

BARBARA
MICHAELS

Tutaj zostanie

Dla Jennifer Erin od kochającej babci
7 maja 1983

PODZIĘKOWANIE

Wielu przyjaciółom z Frederick pragnę wyrazić wdzięczność za pomoc i rady. Dr Charles C. Clark udzielił mi wskazówek, gdy musiałam pozbawić życia jedną z postaci, a właściciele miejscowych zajazdów odpowiadali na pytania i pozwolili buszować po swych posiadłościach. Szczególne podziękowania należą się:

- M.G. (Marty) Martinezowi z zajazdu w Buckeystown, Maryland,

- Beverly i Rayowi Camptonom, z zajazdu Spring Bank Farm w Fredrick, Maryland,

- Jane i Edowi Rossigom ze Strawberry Inn w New Market, Maryland.

Zaznaczam, że nie opisałam w tej książce nie tylko żadnego z wyżej wymienionych, ale w ogóle żadnego konkretnego amerykańskiego zajazdu. Gospodyni powieściowego hoteliku pozwoliłam popełniać błędy wbrew znakomitym radom udzielonym mi przez wspomnianych ekspertów. Również za żaden błąd natury medycznej nie należy winić doktora Clarka.

PROLOG

Najcięższe do wytrzymania były zwyczajne, codzienne dźwięki. Banalne rozmowy i stłumione chichoty dobiegające z położonego niżej od holu pokoju telewizyjnego. Głosy pielęgniarek roztrzęsających w dyżurce kwestie pogody, mody wiosennej oraz ostatnich poczynań ulubionej drużyny. Wydawało się czymś niemal obrzydliwym, że inni są w stanie załatwiać jakieś przyziemne życiowe sprawy, podczas gdy w pokoju obok toczy się właśnie ostateczna walka. Czuwała już tak kiedyś razem z przyjaciółmi i współpracownikami, ale tym razem było to co innego. Tym razem chodziło o Jima. Jedyne go brata, jedyne go krewnego, dziesięcioletka, który ma jeszcze wszystko przed sobą...

Błada, rozczochna postać w wyświechtanym, krzywo zapiętym deszczowcu, narzuconym na nocną koszulę, kuliła się w fotelu, w części przeznaczonej dla palaczy. Miejsce wyglądało żałośnie; zniszczone obicia, czasopisma sprzed pół roku; z przepelnionej popielniczki wysypywały się niedopałki. Poza zrozpaczoną kobietą nie było tam żywej duszy. Od wielu godzin wstawała tylko po to, by zgasić jednego papierosa i zapalić następnego. Kiedy wyrwał ją ze snu dzwonek telefonu, miała tylko tyle czasu, żeby złapać płaszcz i torebkę. Krótkie, brązowe włosy zwisały w strąkach wokół nie umalowanej, na pozór obojętnej twarzy. Nie wyglądała na bohaterkę, choć właśnie prowadziła walkę z najpotężniejszym przeciwnikiem. Z jedynym wrogiem, który nie przegrywał.

Nie dostaniesz go. Jeszcze nie teraz. Nie pozwolę mu odejść.

Kroki zbliżyły się i mijając ją, zwolniły na chwilę. Andrea nie podniosła głowy. Kąciki ust zastygły w karykaturze uśmiechu. Obawiali się, że znów dostanie ataku, który uważali za histerię. Miała już jeden w izbie przyjęć. Nie popisała się zbyt wiele: kopniaki, wrzaski, ciosy rozdzielane na oślepienie - zdaje się, że dostało się nawet lekarzowi, ale osiągnęła cel. Wpuszczono ją do Jima. Mogła go dotknąć, uścisnąć zakrwawioną rękę, zaznaczyć swoją obecność i wolę. Teraz wszystkie siły skoncentrowała na podtrzymaniu i umocnieniu tej niewidzialnej więzi. Czujni obserwatorzy nie potrzebują się niepokoić. Przedstawienie się nie powtórzy, chyba że będzie do tego zmuszona.

Nareszcie po nią przyszedł. Tego lekarza jeszcze nie знаła. Przedstawił się, obserwując ją uważnie. Mówił ze starannie wypracowanym obiektywizmem, jak człowiek, który nie może sobie

pozwolić na luksus osobistego zaangażowania. Zadała mu niezbędne pytania i uzyskała oczekiwaną odpowiedź:

- Robimy, co w naszej mocy.

Widok Jima podziałał na nią jeszcze gorzej, niż się spodziewała. Nieruchomy, spowity w bandaż, podłączony do różnych przewodów kształt w niczym nie przypominał wysokiego młodego atlety, ukochanego brata. Opanowała cisnące się do oczu łzy, wkładając całą siłę w walkę, aby utrzymać go przy życiu.

Kiedy zbielewały wargi rozchyliły się, lekarz wydał okrzyk zdziwienia. Andrea nie dosłyszała, co Jim powiedział. Pielęgniarka pochyliła się nad leżącym.

- To brzmiało jak imię. Alicja?

- Andrea - poprawiła ją, pewna swego. - Pyta o mnie. Czy mogę mu coś powiedzieć? Proszę.

Tym razem odpowiedział wyraźniej. Palce, prawie jedyne nie zabandażowane skrawki ciała, były zimne, choć nie wyczuwało się lodowatego chłodu śmierci. Głos też brzmiał silniej. Rzeczywiście powiedział : „Alicja.” Jakaś nie znana Andrei dziewczyna? Sympatia? Nie. Znała wszystkie jego koleżanki, zawsze starała się je poznać. Wiedziała, że żadnej specjalnie nie wyróżniał. Kogo jeszcze mógłby wzywać poza nią, jedyną siostrą, prawie matką? Ścisnęła zimne palce, próbując je rozgrzać. Trzymaj się, Jimmie. Jestem przy tobie. Zawsze będę, nie pozwolę, byś mnie opuścił. Po prostu trzymaj się.

Ktoś dotknął jej ramienia. Odeszła bez protestu. Lekarz wyglądał na zadowolonego.

- Dobry znak, panno Torgesen. Oczywiście, stan nadal jest krytyczny, nie ustaliliśmy dotąd rozległości obrażeń mózgu, ale bardzo ważna jest postawa pacjenta. Wola życia.

- On nie umrze - odparła stanowczo Andrea. - Nie pozwolę mu.

ROZDZIAŁ I

Andrea zeszła z drabiny i cofnęła się o parę kroków, by obejrzeć szyld wypisany wyrazistymi czarnymi literami na białym tle: ZAJAZD SPRINGERS' GROVE. Tabliczka kołysała się dostojnie na kutyh, żelaznych podpórkach daszku zwieńczającego kamienny słupek przy bramie. Właścicielka pokiwała głową, zadowolona z efektu. Szyld był czytelny, przyciągał uwagę, a przede wszystkim wisiał prosto. Usiadła na ławeczce i przyglądała się domowi. Bolał ją dosłownie każdy miesiąc, ale gdy patrzyła na rezultat zabójczej dla kręgosłupa pracy, czuła słodczy satysfakcji z odniesionego sukcesu, a zmęczenie wydawało się nieważne. Lato było deszczowe, lecz upalne. Trawa na zboczach skarpy koło domu przypominała zielony aksamit, stare drzewa ocieniające werandę pyszniły się lśniącymi szmaragdowymi liśćmi. W powietrzu jednak czuło się już pierwsze tchnienie jesieni, na klonach pojawiły się smużki złota, w koronach dębów akcenty szkarłatu. Na tle falistych wzgórz i zielonych łąk dom połyskiwał w słońcu białą ścian jak marmurowy pomnik. Bogactwo wiktoriańskich ornamentów tłumila prostota samej bryły budynku i masywność murów. Każdy piernikowy zawijas był na swoim miejscu. Przestronna weranda wdzięcznym łukiem sięgała aż na północną stronę budynku. Stały tam wiklinowe krzesła i stoliki oraz staroświecki bujak. Wnętrze domu zostało urządzone z takim samym pietyzmem. Odznaczało się wdziękiem i niewymuszonym komfortem.

Andrea dotknęła odruchowo bolącego krzyża. Kręgosłup dokuczał jej od tygodni. Nic dziwnego, sama wszystko skrobała, malowała, przybijała. Do tego doszło jeszcze użeranie się z robotnikami, patrzeć na ręce przedsiębiorcom budowlanym, walka z inspektorami. Ale się opłaciło. Ten dom to nie tylko osiągnięcie doraźnego celu, to przyszłość jej i Jima. Sama myśl o pierwszym zetknięciu się z tym miejscem pięć miesięcy temu wywołała na jej ustach uśmiech triumfu.

Marcowy poranek - szary, zimny, mglisty. Marznąca mżawka osiadająca na szybie samochodu podprowadzonego do samych stopni werandy. Jim zgarbiony, siedzący obok siostry z ostentacyjnie podciągniętymi kolanami. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, lecz ciągle jeszcze rósł. Swój milczący protest kierował jednak nie tyle przeciw rozmiarom samochodu, ile przeciw niedopuszczaniu go do kierownicy. Głęboko urażony, dąsał się przez całą drogę z

dystryktu Kolumbia - prawie pięćdziesiąt kilometrów obraźliwego milczenia, które Andrea ze spokojem ignorowała. Ale na widok domu nie wytrzymał.

- O kurwa! - wyrwało mu się.

- Nie wyrażaj się - zareagowała automatycznie. Nie mogła jednak powstrzymać się od myśli, że te dwa słowa oddawały samą istotę rzeczy.

Smutne, bezlistne drzewa wyglądały jak kalekie giganty wygrażające domowi wzniesionymi w górę, pokręconymi reumatyzmem ramionami. Budynek składał się z dwóch pięter, mansardowego strychu i wieży przylegającej do jednego boku. Całe połacie muru - i ani kawałeczka, z którego nie obłaziłaby farba! Żelazna balustrada osłaniająca taras na dachu szczyrzyła połamane, rude od rdzy zęby prętów. Kilka okien było zabitych deskami, jeden z filarów werandy złamany, stopnie wypaczone i podparte byle jak kamieniami. Nawet w pogodny dzień wrak tego okazałego niegdyś domostwa musiał sprawiać przygnębiające wrażenie, a cóż dopiero tego paskudnego, ciemnego poranka.

Andrea siedziała z rękami na kierownicy, nie mając odwagi ruszyć się z miejsca. Bywała tu już dawniej, ale teraz po raz pierwszy patrzyła na budynek okiem właścicielki. Właścicielki ruiny, rudery. Raz lub dwa razy w roku składała kuzynce Bercie oficjalne wizyty. W ciągu ostatnich pięciu lat staruszka - przyrodnia siostra babki - znacznie się posunęła, ale trzymała się tego domu z irracjonalną starczą determinacją. Mogła sobie na to pozwolić, ponieważ w małej społeczności zawsze znalazła się jakaś nie wykwalifikowana kobieta w średnim wieku, którą dało się zatrudnić do pomocy. Andrea zdawała sobie sprawę, że dom niszczeje, ale nie przejmowała się zbytnio, gdyż nie sądziła, by ten problem miał jej kiedykolwiek dotyczyć. Berta miała mnóstwo krewnych rozsianych po różnych miejscowościach, ale jedna Andrea odwiedzała regularnie starszą panią. Mogła przy tym z ręką na sercu powiedzieć, że absolutnie nie kierowała nią chęć zysku. Przyjeżdżała, ponieważ mieszkała stosunkowo blisko, a także z powodu prostego, kalwińskiego poczucia obowiązku, które tak bawiło Jima. Żartował sobie nieustannie z jej sumienia rodem z Nowej Anglii, a kiedy nadszedł list od adwokata, nie posiadał się z radości.

- No i wyszło szydło z worka. Jak ją podprowadziłaś, że zrobiła z ciebie jedyną dziedziczkę?

Andrea nie czuła rozbawienia.

- Pewnie zostawiła mi jakąś okropną błyskotkę. Może broszkę z wyschniętym włosami w środku albo kolekcję muszelek? A może coś, co da się sprzedać... Mam nadzieję, że tak. Przydałoby się trochę forsy.

Jim zacisnął ładnie wykrojone usta. Robił to zawsze, kiedy mówiła o finansach.

- Kurczę, Andy, jeśli jesteśmy spłukani, pójdę do roboty. Na pełny etat. Mówiłem ci...

- Nie. Skończysz college. Nikt lepiej ode mnie nie wie, jakie to ważne. Chciałabym dla ciebie czegoś więcej niż stanowego uniwersytetu, ale...

- Ten w Marylandzie jest w porządku. To dobra uczelnia. Lubię ją. Tylko na miłość boską, żebyś wreszcie przestała głądzić o kasie!

Wyszedł z pokoju. Andrea wpatrywała się w zaciśnięte pięści. Miał rację. Rzeczywiście uczepiła się tego tematu. Jim nie mógł znieść, że jest od niej zależny. Wiedział, jak ciężko pracowała, by utrzymać go w szkole. Zabroniła chłopcu starania się o stypendium. Nie chciała, by obciążały go długi, gdy trafi na rynek pracy, on zaś nie pojmował jej awersji do zobowiązań finansowych. Miał tylko osiem lat, kiedy ojciec i macocha zginęli w katastrofie, a on i Andrea zostali sami, bez żadnych krewnych na tyle bliskich, by zechcieli się podjąć opieki. Andrea wprawdzie nie chciała pomocy, jednak przeżyła szok, dowiedziawszy się, że ich przystojny, podziwiany ojciec wydawał swe pokaźne dochody co do grosza i nawet nie wykupił dodatkowej polisy ubezpieczeniowej. Jak wielu mężczyzn nie dopuszczał myśli, że jest śmiertelny. Miał niewiele ponad czterdziestkę i był właśnie u szczytu kariery, gdy katastrofa samolotu położyła kres i tej karierze, i życiu, a także intelektualnym aspiracjom Andrei.

Zaczęła pracować jako maszynistka w biurze pewnego motelu. Było to pierwsze z brzegu zajęcie, ale okazało się rozsądnym wyborem. Po skończeniu wieczorowych kursów doszła do stanowiska asystentki dyrektora sporego hotelu i z wolna zaczęły ją wciągać wyzwania nowego zawodu. Nieraz jednak porządnie dostała w kość przy absorbującej, pochłaniającej długie godziny robocie, gdy musiała być gotowa na każde zawołanie, często wzywana telefonicznie, nawet

jeśli miała wolne. Nie mogła poświęcać Jimowi tyle czasu, ile by chciała, choć wszystkie wolne od pracy godziny należały do niego. Te starania opłaciły się sownie. Poza normalnymi trudnościami okresu dojrzewania Jim nie przysparzał jej zmartwień, a ona nigdy nie żałowała, że jej życie towarzyskie składało się niemal wyłącznie z takich rozrywek, jak szkolne przedstawienia, zbiórki harcerskie, treningi Małej Ligi i szkolne mecze futbolowe. Jim w szkole średniej doszedł do reprezentacji Stanów Zjednoczonych, a na pierwszym roku studiów zaproponowano mu grę w drużynie piłki nożnej i jednocześnie futbolu amerykańskiego. Chciał podjąć jakąś dorywczą pracę, ale Andrea nie zgodziła się; sport i studia pochłaniały dość czasu. Kiedy protestował, odpowiadała żartem:

- Nie wygłupiaj się, mały, wiesz, ile wyciąga zawodowy gracz? Jak już nim zostaniesz, wszystko sobie odbiję.

Gdy nadeszła wiadomość od adwokata, że kuzynka Berta zapisała jej wszystko - dom z całą zawartością i trzydzieści akrów otaczającej go ziemi - Andreę zmroziła nieufność. Musi w tym tkwić jakiś haczyk. Tak długo zmagала się z niepowodzeniami, tyle razy doznała zawodu, że przestała już wierzyć w przychylność losu.

Jim, który nigdy nie towarzyszył jej w czasie wizyt u kuzynki, był przekonany, że na pewno odziedziczyli fortunę. Teraz siedział koło siostry, wpatrując się w ruinę, a na jego twarzy malowało się to samo, co czuła Andrea: złość i niesmak. Zacisnęła bezwiednie pięści. Dom nie był nawet przysłowiowym „białym słoniem” (W oryg. white elephant (ang.) - myśl, przedmiot, którego posiadanie sprawia więcej kłopotów niż pożytku (przyp. tłum.)). To zgniłe, szare truchło. Prawnik ostrzegał, że niełatwo będzie go sprzedać. Nie ma popytu na wielkie, stare domiszcza, których ogrzewanie kosztuje majątek. Teraz Andrea zrozumiała, że jest jeszcze gorzej. Pewnie trzeba będzie dopłacić komuś, kto zechce jej zdjąć ten kłopot z głowy.

- Gdzie się podziwiał ten cholerny adwokat? - wykrzyknęła ze złością. - Miał tu czekać. Nie mogę więcej się zwalniać. I tak mi potrąca za pół dnia.

Jim nie odpowiedział. Jego duże, pokryte bliznami dłonie spoczywały spokojnie na kolanach. Andrea trąciła go łokciem.

- Właściwie możemy tam wejść.

Posłusznie ruszył za nią po trzeszczących schodkach. Klucz wszedł do zamka, ale Andrea musiała się nieźle namęczyć, nim drzwi się wreszcie otworzyły, skrzypiąc zardzewiałymi zawiasami.

Kształty wielkich, masywnych mebli wyłaniały się z szarego półmroku jak czające się do skoku potwory.

- No, przynajmniej niczego jeszcze nie rozszabrowali - odezwała się Andrea z zawziętością w głosie. - Ale to tylko kwestia czasu. Muszę jak najszybciej sprowadzić handlarza. Dziś antyki są w cenie. Może mimo wszystko coś z nich wyciśniemy.

Mrucząc pod nosem, otworzyła drzwi po lewej stronie holu.

- Poświeć mi. Ciekawe, czy... O, jest światło. Tyle dobrego, ale trzeba się liczyć, że ten przeklęty adwokat odetnie dopływ prądu. Każda sekunda kosztuje.

W okazałym żyrandolu z rżniętego szkła brakowało większości żarówek i paru zwisających kryształków. Przy świetle wrażenie opuszczenia jeszcze się pogłębiło. Kurz okrywał grubą warstwą każdy skrawek powierzchni, zaćmiewając połysk mahoni i różanego drewna. Przez silny odór wilgoci przebijał się jeszcze inny, równie nieprzyjemny zapach, którego z początku nie potrafiła zidentyfikować. Kiedy jednak przejechała palcem po rzeźbionym obramowaniu kominka, dotyk chłodnego, gładkiego marmuru poprawił nieco jej samopoczucie.

- Może być warte parę papierów - mruknęła. - Jim, czy myślisz, że... Jim! Gdzie się podziewasz?

Nie odpowiadał, więc wróciła na środek pokoju. Przez łukowate przejście zobaczyła zarys jego sylwetki u podnóża schodów.

- Tu jestem - odezwał się w końcu jakimś sennym, roztargnionym tonem, całkowicie różnym do normalnego, donośnego głosu.

- Co, do diabła, tam robisz? Chodź tu i pomóż mi. Chcę się zabrać do inwentaryzacji.

Odwrócił szybko głowę.

- Myślałem, że jesteś na górze. Zdawało mi się, że mnie wołasz.

- Bo cię wołałam. Przestań bujać w obłokach. Widziałeś, że tu wchodzę.

- No tak, ale... - Potrząsnął ze zdziwieniem głową. - Mógłbym przysiąc, że ktoś jest na górze. Nie słyszałaś głosu wołającego moje imię?

- Dość tego! - prychnęła Andrea. - Rozumiem, że to miejsce nadaje się do nakręcenia horroru, ale nie mam teraz głowy do starych kawałów z duchami.

- Ja nie... - Jim wzruszył ramionami. - No dobrze. Co mam robić? Andrea wręczyła mu notatnik i długopis.

- Pisz, co ci podyktuję. Zaczniemy tutaj.

Ledwie zdążyli się zabrać do pracy, łomotanie do drzwi obwieściło przybycie adwokata. Andrea poszła go wpuścić. Powitał ją z uśmiechem, potrząsając mokrą od deszczu bujną, siwą czupryną.

- Cóż za paskudny dzień! - zawołał wesoło. Andrea zawsze uważała rozmowy o pogodzie za niepotrzebną stratę czasu.

- Spóźnił się pan - warknęła.

- Przepraszam. No i co pani o tym sądzi? Piękny, stary dom, nieprawdaż?

- To katastrofa - skwitowała go Andrea. - Panie Bushwaller, zechce pan poznać mojego brata Jima.

- Mów mi po prostu: Fred. - Bushwaller wyciągnął rękę. - Duży urosłeś, co? Koszykówka?

- Futbol (Mowa o futbolu amerykańskim (przyp. tłum.)) - odparł Jim. - Miło mi pana poznać.

- Na jakiej pozycji grasz?

- W cornerbacku.

- Tym prawym? Wyglądasz na takiego, co się szybko rusza. Dobrze mieć z tyłu wystarczająco wysokiego obrońcę, żeby przechwycić piłkę przed odbiorcą. Gdyby Redskinsi... (Znana amerykańska drużyna futbolowa (przyp. tłum.))

Andrea nie wytrzymała. Wiedziała, że jak zaczną o Redskinach, to już koniec.

- Panie Bushwaller, mam mało czasu. Możemy przejść do rzeczy?

- Jasne. Pomyślałem, że zabiorę was później na lunch. Mamy w tym mieście jedną z najlepszych restauracji w całym stanie i...

- Tak, słyszałam już o „Rogu Obfitości”. Ale dziś nie dam rady. Chcę obejrzeć dom i sprawdzić pański spis inwentarza.

Bushwaller zdjął mokry deszczowiec, strząsnął go i rozwiesił starannie na słupku przy schodach. Miał rubaszną, choć dobroduszną twarz farmera. Jego bladoniebieskie oczy zwężyły się z rozbawienia.

- Nie ma żadnego spisu - oświadczył spokojnie. - Ciągłe napominałem pannę Bertę, żeby go sporządziła, ale pani wie, jak to z nią było. I tak miałem dość kłopotów z namówieniem jej do podpisania tego testamentu pięć lat temu. Mimo osiemdziesiątki na karku zawsze mówiła, że ma mnóstwo czasu.

- Powinnam się domyślić - mruknęła Andrea.

- W każdym razie wszystko należy do pani - ciągnął prawnik ze zgoła nieprofesjonalną bez troską. - Nikt nie ma zamiaru podważać testamentu. Pod względem formalnym jest w porządku i mogę przysiąc, że staruszka była w pełni władz umysłowych.

- Nikt przy zdrowych zmysłach by tego nie wziął - odparła zde gustowana Andrea.

- Pewnie tak. Mnóstwo gratów, ale nic wartościowego. Co pani zamierza z tym zrobić?

- Sprzedam, co się da.

Adwokat skinął głową. Jego zachowanie pozornie się nie zmieniło, ale spojrzenie, jakim ogarnął pokój, obudziło w Andrei podejrzenia. I tak była nieufna z natury, ale dodatkowo utwierdziła się w swoich odczuciach, kiedy Bushwaller odezwał się niedbale:

- Znam w mieście faceta, który ma sklep z używanymi rzeczami. Potraktuje panią uczciwie.

- Sklep z używanymi rzeczami... - powtórzyła Andrea z namysłem.

- No wie pani, taka tam graciarnia. - Bushwaller mówił tym samym obojętnym tonem. - Pewnie chce się pani pozbyć wszystkiego, zanim tutejsze męty się zwiedzą, że nikt tu nie mieszka. Mógłbym przysłać pani Sama, gdy tylko wrócę do miasta, jeśli to pani odpowiada.

- Nie będę rozmawiać z żadnym handlarzem, póki nie spiszę inwentarza.

Bushwaller napotkał jej wrogie spojrzenie i szybko zamrugał oczami. Z godnością zniósł porażkę.

- No to chyba nie potrafię pani inaczej pomóc - rzekł.

- Może pan obejrzeć ze mną dom.

Prawn timer zerknął na zegarek - kosztowny, złoty czasomierz, nie pasujący do małomiasteczkowego adwokata, podobnie jak jego garnitur od Braci Brooks.

- Obawiam się, że już jestem spóźniony.

- Nie zabierze to panu więcej czasu niż przesiadywanie przy lunchu w „Rogu Obfitości” - oświadczyła Andrea tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Wiedziała, że i tak rachunek, który wystawi poczciwy Fred, zetnie ją z nóg. Może facet nie przyda się na wiele, ale przynajmniej popsuje mu szyki.

Wzięty do niewoli Bushwaller postanowił robić dobrą minę do złej gry. Nie miał jednak pojęcia o historii domu.

- Powiedzmy, że liczy sobie około stu lat. Ponieważ Andrei nie obchodziło to bardziej niż jego,

nie zgłaszała obiekcji. Jim natomiast zadawał różne pytania, a kiedy się okazało, że adwokat nie potrafi na nie odpowiedzieć, zamilkł i pograżył się we własnych myślach do tego stopnia, że Andrea w końcu zabrała mu notatnik.

Dom był nawet większy, niż się wydawało, patrząc od frontu. Do dwóch połączonych salonów przylegała z jednej strony biblioteka, z drugiej zaś ciemna, wysoko sklepiona jadalnia, która zajmowała większą część parteru. Stąd przez pokój kredensowy i krótki korytarzyk przechodziło się do kuchni, tak ponurej i brudnej, że Bushwaller nie odmówił sobie jadawitej uwagi:

- To miejsce wyraźnie pamięta stare, dobre czasy. Dziś nie sposób znaleźć kobietę do pracy w czymś takim.

Andrei nie pozostało nic innego, jak zgodzić się z tą opinią. Czarna kuchnia węglowa rozpierała się hardo na swoim miejscu, nie rozpalana prawdopodobnie od lat. Posługaczki kuzynki Berty używały małej kuchenki gazowej i jeszcze mniejszej lodówki. Oba te urządzenia były pokryte rdzą i przestarzałe. Po trzeszczącej ostrzegawczo drewnianej podłodze Andrea przeszła do drzwi na zaplecze. Szeroki korytarz z półkami po obu stronach prowadził do trzech małych, pustych izdebek i obskurnej łazienki z wanną na nóżkach imitujących łapy z pazurami, umywalką i ciekącym sedesem.

- Kwatery dla służby - oznajmił Bushwaller, którego ten widok setnie ubawił. Stopień jego rozbawienia rósł, w miarę jak twarz Andrei tężała. - Jakbym widział te wszystkie kocmołuchy!

Kolejne drzwi wychodziły na strome wewnętrzne schody, którymi dotarli na piętro. Wyglądało tylko odrobinę lepiej niż parter, tak samo przeładowane meblami i zakurzone.

- To pokój panny Berty - poinformował pogodnie Bushwaller, próbując odnaleźć ręką kontakt. - Nie wstawała ostatnio z łóżka, biedactwo. Chyba się żarówka przepaliła - dodał, tłumiąc chichot.

Andrea przepchnęła się naprzód, by odsunąć z okien zasłony. Sypialnia Berty zasługiwała na coś więcej niż tylko pobieżny rzut oka. Swoje najbardziej ulubione rzeczy staruszka trzymała zwykle w zasięgu ręki. Leżąc w przepastnym łóżu z kolumnkami na czterech rogach, grzebała w swoich skarbach, pogrążona w starczym świecie przyjemnych i przykrych wspomnień, dostarczanych przez sfatygowane fotografie i pożółkłe gazetowe wycinki z czasów młodości.

Nagle w łóżku coś się poruszyło. Pościel zafalowała i na samym środku podniosło się coś czarnego. Andrea cofnęła się z krzykiem.

Nawet Bushwaller poczuł się przez chwilę nieswojo. Zaklął pod nosem i rzucił się do najbliższego okna. Szare światło dnia padło na wyprostowany sztywno, nieruchomy kształt. Był to kocur, największy, jakiego Andrea w życiu widziała; czarny jak węgiel, bez jednego białego włoska. Od wąsów do nasady ogona musiał mierzyć dobrze ponad pół metra. W okrągłych, złotych oczach utkwionych w Andrei czaiło się coś w rodzaju wyzwania. Gruby jak kij od miotły ogon poruszał się miarowo w przód i w tył.

- He, he, he! - wybuchnął Bushwaller rubasznym, scenicznym śmiechem Świętego Mikołaja. - Niech mnie licho, całkiem o nim zapomniałem. Ale mi dał popalić! Chyba nie jest pani przesądna?

- Jak... jak to zwierzę tu się dostało? - wykrztusiła Andrea.

Niewinnie brzmiący rzeczownik niezbyt pasował do stworzenia, które stanowiło wcielenie kota baby - jagi.

- Psik! - natarła na łóżko, wymachując rękami. - Wynocha stąd! No, już!

Kot ziewnął, prezentując przy okazji dwa rzędy ostrych zębów, po czym z ostentacyjną pogardą odwrócił się tyłem i zaczął ugniatać pościel łapami. Demonstracji tej towarzyszył odgłos rozdzieranego materiału.

Bushwaller nie posiadał się wprost z radości.

- Lepiej nie wdawać się w dyskusję ze staruszką Szatanem, panno Torgesen. Więc tu siedział przez cały czas! Pytała mnie o niego Annie May, wie pani, pielęgniarce panny Berty.

- Jak się tu dostał? - powtórzyła pytanie Andrea.

- Sobie wiadomym sposobem - odparł spokojnie Bushwaller. - Ale nie radziłbym go dotykać. Nigdy nie był z niego domowy pieszczołek. Należy do tych, co to się rządzą własnymi prawami.

- Teraz będzie się rządził moimi - odparowała Andrea. Nareszcie wiedziała, skąd się wziął ten osobliwy smród w salonie. Po prostu Szatan traktował jeden z kątów jak prywatną skrzyneczkę z piaskiem.

Kot znów umościł się na swoim miejscu. Kiedy Andrea ruszyła w jego stronę, rzucił jej przez ramię harde spojrzenie. Ku zdumieniu wszystkich, z Andrea włącznie, pozwolił się wyciągnąć z pościeli i podnieść.

Ważył dobre dziesięć kilogramów - same kości i mięśnie. Ciepła miękkość wypełniła ramiona Andrei, lecz Szatan nie przylgnął do niej ani nie mruczał, po prostu siedział. Był zastygłym w bezruchu kłębkim obojętności.

- A niech to, trafiła kosa na kamień! - wykrzyknął Bushwaller. - Annie May miała słabość do tego starego drania, choć nigdy nie odważyła się wziąć go na ręce. Czasem pozwolił się pogłaskać pannie Bercie, ale nic poza tym. Musi pani mieć dryg do zwierząt, panno Torgesen.

- Nie lubię zwierząt - ucięła Andrea. - A kotów wręcz nie znoszę. Szatan łypnął na nią jednym okiem i skrzywił się drwiąco. Odwzajemniła mu się niechętnym spojrzeniem.

- Nie znoszę kotów - powtórzyła. - Ale nie znoszę też bezmyślnego okrucieństwa. Nie mieści mi się w głowie, że pan i ta... Annie May zostawiliście biedne stworzenie po prostu na łasce losu.

Już w trakcie wypowiedzania tych słów zorientowała się, że to absurd. Szatan wyglądał przecież na takiego, co to z pewnością nie tylko sam się wyżywi, ale jeszcze, gdy trzeba, stawi czoło licznym przeciwnikom. Jim zaczął się śmiać.

- Szkoda, że nie mam aparatu! Żebyście widzieli swoje miny! Daj no mi go.

Ale gdy tylko wyciągnął rękę, pacnęła go gruba, czarna, wypazurzona łapa. Jim odskoczył i zaczął oblizywać zadrapania.

- Dobrze już, dobrze! Chyba ciebie polubił, Andy. Andrea bez ceregieli zrzuciła kota na podłogę. Szatan

wyprostował ogon, nastroszył wąsy i majestatycznie wymaszerował z pokoju ciężkim krokiem zmęczonego człowieka.

- Mówiłem, że nie jest kanapowym kiciusiem - rzekł Bushwaller.
- Zaopiekowałbym się nim, gdybym mógł, panno Torgesen - dodał urażonym tonem. - Ale odkąd panna Berta odeszła, wszelki ślad po nim zaginał. Zresztą widać, że nie ma pretensji. Annie May twierdzi, że świetnie łapie myszy i nie dopuszcza ich do domu.

Ten aspekt sprawy nie wpadł Andrei do głowy. Może trzeba będzie wybierać między Szatanem obsikującym kąty w salonie i wylegającym się na łóżku a batalionem myszy obgryzających meble, obicia i kable.

- Chyba go zostawię, póki nie znajdę innego wyjścia.

- To był fajny widok, jak go pani próbowała wyeksmitować. Teraz sobie przypominam, że zawsze po Springers Grove kręciły się czarne koty, przynajmniej odkąd pamiętam. W miasteczku też jest ich sporo. - Zachichotał lubieżnie i mrugnął do Jima. - Szatan odwala niezłą robotę po nocach!

- Prawdopodobnie czarny kolor dominuje w tej okolicy - odparła Andrea.

- Co proszę?

- Wracajmy do pracy.

Szatan nie pokazał się już do końca przeglądu. Na pierwszym piętrze było jeszcze pięć dużych sypialni i dwie łazienki, na drugim sześć mniejszych pokoi, które zamieniono na magazyny wypełnione bezładnie krzesłami bez siedzeń, stołami bez nóg i innymi rozpadającymi się gratami.

Potem Bushwaller poprowadził ich na strych. Andrea rzuciła tylko okiem na panujący tam bałagan i potrząsnęła głową.

- Nie dziś. Nie zniosę już widoku żadnych rupieci.

- Na pewno niczego nie brak - zgodził się skwapliwie Bushwaller. - Panna Berta nigdy nic nie wyrzucała. Ani nie rozdawała.

- Dokąd prowadzą te schody? - spytał Jim wskazując spiralne stopnie.

- Do wieży, jak sądzę - odparł Bushwaller. - Muszę się już zbierać...

Jim poszedł na górę i otworzył drzwi.

Światło wpadło na wąski podest. Okrągła wieża stanowiła najwyższe piętro nie łączące się z resztą domu. Wnętrze to nie dzieliło się, jak niższe kondygnacje, na poszczególne pokoje. Trzy czwarte

ściany zajmowały okna, z których rozciągał się widok na okolicę - od zachodu brunatne, jak zwykle zimą, wzgórze, od południa dachy miasteczka, po przeciwnej stronie mulisty strumień stanowiący północną granicę posiadłości. Nawet w najbrzydszej porze roku, przy okrytych mgłą wierzchołkach wzgórz i deszczu spływającym po szybach, był to najprzyjemniejszy obraz, z jakim Andrea zetknęła się w ciągu ostatnich paru godzin. Ale kiedy Jim wykrzyknął: Hej, co za niesamowity lokal! - tonem, który znała aż za dobrze, osadziła go ostro:

- Chcesz powiedzieć: co za niesamowity bałagan. Chodźmy stąd, zanim podłoga się zawali.

- Podłoga jest w porządku. - Na dowód chłopak tupnął parę razy w zasypane warstwą tynku i papierów deski. - Tu przy drzwiach trochę się wypaczyło, ale mógłbym...

- Wychodzimy.

Usłuchał niechętnie. Andrea zamknęła drzwi. Tylko tego brakowało, żeby Jim upodobał sobie to miejsce i przedstawił jakiś kretyński projekt zagospodarowania go. Na szczęście dom znajdował się za daleko od uniwersytetu, żeby coś takiego dało się przeprowadzić, inaczej brat wpadłby pewnie na pomysł wprowadzenia się tu z „paczką chłopaków” - swoją bezceremonialną i doprawdy wszechobecną świtą. Andrea nie miała za złe przyjaciółom Jima, że szukali jego towarzystwa - był z niego cudowny kompan - ale nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego musieli poruszać się zawsze stadami jak dzikie psy. Prawie nie zdarzało jej się widywać brata samego, więc choć nawet lubiła poszczególnych „chłopaków”, szczerze nie cierpiała ich w masie. Samo słowo „chłopaki” doprowadzało ją do szału.

Kiedy oboje zeszli na dół, Bushwaller właśnie wychodził. Andrea trzasnęła za nim drzwiami, co Jim skwitował uniesieniem brwi:

- Potraktowałeś go dość opryskliwie.

- To kanciarz - rzekła Andrea. - Musi tu być parę wartościowych antyków, inaczej by się tak nie palił, żeby wprowadzić do interesu tego swojego Sama. Wracajmy do spisu.

Sam salon zajął im czas do południa.

- Nigdy w życiu nie widziałam tyle chłamu na raz - gderала Andrea zamykając drzwi narożnej szafki, której zawartość w postaci szkła i porcelany zajęła bite cztery strony notatnika. - Nie odważyłabym się jednak niczego pominąć. Nie znam się na antykach,

a kolekcjonerzy mają fioła, potrafią zapłacić kupę szmalu za takie starocie. Następnym razem przywiozę aparat fotograficzny i magnetofon, powinno pójść szybciej niż przy spisywaniu. W piątek. Piątek mam wolny. Przyjadę bladym świtem i będę pracować cały dzień.

- Może ci pomóc? Moglibyśmy się tu spotkać...

- W piątek masz ćwiczenia z trzech przedmiotów. Jim się skrzywił.

- Do diabła, lepiej znasz mój rozkład jazdy niż ja sam. Przecież nic się nie stanie, jeśli...

- Pójdiesz na zajęcia.

- No to w sobotę.

- W sobotę pracuję.

- Nie zrobisz tego w jeden dzień. Mógłbym zacząć tam, gdzie ty skończysz, wezmę paczkę chłopaków...

Andrea zagryzła wargę. Pomoc z pewnością by się przydała, bo czas naglił, ale „chłopaki” się do tego nie nadawały. Spadliby na dom jak szarańcza wyposażeni w mnóstwo dobrych chęci oraz pokaźną liczbę puszek piwa. Nie minie godzina, jak rozłożą się na podłodze, zaczną dyskutować o życiu i tankować.

- Pomyślę o tym - obiecała.

Jim wiedział, co to znaczy. Oczy mu się zwęziły, zacisnął usta. Andrea sama prosiła się o kłótnię. Jim gwizdnałby z niedowierzaniem, gdyby mu powiedziała, że nie cierpi z nim walczyć, ponieważ zawsze zachowywała spokój i zawsze wygrywała. Nienawidziła sprzeczać się z kimś, kogo najbardziej kochała, z jedyną osobą, którą w ogóle darzyła prawdziwym uczuciem. Czemu nie może po prostu jej usłuchać, zamiast bez przerwy się kłócić?

Tym razem, ku jej uldze, skapitulował, wzruszywszy z kamienną twarzą ramionami. Andrea klepnęła go w plecy.

- Pomyślę o tym - powtórzyła. - Lepiej już jedźmy, postawię ci lunch. Pizza, jak zwykle?

Jim ruszył do samochodu.

- Ja prowadzę - oświadczył wojowniczo.

Andrea potulnie wręczyła mu kluczyki. Nie miała serca, by go dalej tłamsić - i on to przewidział. Uśmiechnął się do niej i uruchomił auto z przesadną ostrożnością. Ruszyło po podjeździe w żółtym tempie. Andrea obejrzała się jeszcze po raz ostatni. Mgła była coraz

gęstsza. Dziwaczny, spiczasty daszek wieży sterczał na tle nisko zawieszonych chmur jak wygrażający oskarżycielsko palec.

Tej nocy Jim wracał do kampusu w deszczu i mgle. Na zakręcie próbowała go wyprzedzić ciężarówka. Zepchnięty z szosy samochód chłopca spadł z nasypu i uderzył w drzewo. Andrea ledwie zdążyła zapaść w sen, kiedy zadzwonił telefon.

ROZDZIAŁ II

Walka nie skończyła się bynajmniej tej nocy, kiedy Andrea dowiedziała się, że będzie żył. Całymi tygodniami ciągnęła się żmudna, chwilami beznadziejna batalia o utrzymanie Jima na świecie, o który on sam już nie dbał. Spędzała przy łóżku brata godzinę za godziną, to czytając mu, to znów podtrzymując rozpaczliwie jednostronną rozmowę. Czasem odpowiadał monosylabami, czasem wcale. Przeważnie nawet na nią nie patrzył, tylko leżał z oczami utkwionymi w sufit, każdą zmarszczką na czole i wokół ust wyrażając opór.

Z początku doktor Blake ją uspokajał.

- Czy to Bernard Shaw powiedział, że optymizm jest darem wieku średniego? On ma tylko dziewiętnaście lat. Młodym ludziom brakuje doświadczenia. Nie potrafią wierzyć, że zawsze jest jakieś jutro. Pod względem fizycznym wszystko zmierza ku dobremu, zważywszy rozległość obrażeń.

Pewnego kwietniowego dnia Andrei udało się dopaść Blake'a w gabinecie. Od dłuższego czasu jej unikał, głównie dlatego, że również zaczynał mieć złe przeczucia. Przypadek Jima intrygował go i niepokoił. Zawodowa ambicja lekarza cierpiała z powodu braku współpracy ze strony pacjenta, toteż mimo że starał się zachowywać bezstronnie, zaczynała w nim kiełkować niechęć zarówno do chłopca, jak i do jego siostry.

- On jest bierny. Nie chce wyjść nam naprzeciw. Co mam robić?
- pytała Andrea.

- Musi pani okazać, że jej na nim zależy - przekonywał ją desperacko. - Czasem poczucie odpowiedzialności... Proszę mu powiedzieć, że go pani potrzebuje.

- Potrzebuję? - wyrwał jej się bolesny okrzyk. - POTRZEBUJĘ?

Lekarz odwrócił głowę. Po chwili Andrea wykrztusiła:

- Przepraszam.

Nie chciała usiąść. Stali koło siebie, a choć mężczyzna nie odznaczał się wysokim wzrostem, patrzył na nią z góry. Znał jej wiek - trzydzieści jeden lat. Wyglądała na dziesięć więcej. Zmarszczki na twarzy i zacięty wyraz ust można by wytłumaczyć napięciem ostatnich tygodni, ale lekarz podejrzewał, że to trwały nabytek. Miała charakter bojowniczkę, ot co. Blake już chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Nie był psychoanalitykiem - cóż, u diabła, mógł o niej

wiedzieć? Poza tym trudno się spodziewać, by komuś się udało przebić przez ów mur upartego poczucia wyższości, najbardziej godną podziwu, ale i najbardziej irytującą cechą tej kobiety.

Położył jej rękę na ramieniu.

- Proszę dalej próbować - powiedział łagodnie. - Nie trzeba się poddawać.

Krucha postać zeszywniała pod jego dotykiem.

- Nie poddam się.

Wróciła do Jima. Nie oczekiwał jej. Zobaczyła, że twarz brata pokrywa się maską, jakby nagle osiadła na niej cienka warstewka szybko zastygającej, przezroczystej substancji. Usiadła przy łóżku wzięła go za rękę, próbując znaleźć słowa, właściwe słowa. Miała uczucie, że to jej ostatnia szansa i z początku pogubiła się, ale oto w jakiś dziwny sposób - przypląnęły.

- Chciałabym cię o coś poprosić. - Żadnej odpowiedzi. Bezwładne palce, które trzymała, nawet nie drgnęły.

Brnęła po omacku dalej. - Chodzi mi o ten cholerny dom. Wiesz, dom Berty. Nie mam pojęcia, co z nim zrobić. Dziś rano dzwonił Bushwaller, mówił, że policja przepędziła stamtąd jakichś wyrostków. Podobno wczoraj w nocy próbowali się włamać. Więc zaraz wystawiłam dom na sprzedaż. Cóż, upłynęło sporo czasu, a myśmy nie mieli...

Chyba dostrzegła w patrzących spod bandaży oczach cień zainteresowania. Dalej wywód potoczył się gładko i logicznie, jakby przygotowywała się do niego od kilku dni.

- Jimmie, co byś powiedział, gdyby tak urządzić w tym domu zajazd z mieszkaniem dla nas? Każdy podwładny marzy, żeby być sobie szefem, ale nigdy nie myślałam, że stanę się właścicielką czegoś takiego... Oczywiście nie możemy konkurować z żadną siecią turystyczną, przynajmniej nie teraz. Ale zajazd typu „łóżko i śniadanie”, taki wiejski hotelik - to by mogło chwycić. Czytałam co nieco na ten temat. Budynek jest wystarczająco duży, niedaleko mamy dobrą restaurację, więc nie musiałabym przygotowywać posiłków. W miasteczku jest pełno antykwariatów, niedaleko stamtąd do pól bitewnych i innych historycznych miejsc... Myślisz, że by nam wyszło? A może to za duże ryzyko?

Przez długą, trwającą całą wieczność chwilę nie odpowiadał. Potem odezwał się ochryłym od ciągłego milczenia głosem:

- Dom robi solidne wrażenie. Wymaga mnóstwa pracy... Malowanie, tapetowanie...

- Naprawdę? Naprawdę? O to właśnie chciałam cię prosić. Nie byłam pewna. Ty się na tych sprawach znasz, masz takie pewne ręce...

- Paplała jak najęta, starając się rozdmuchać nikłą isierkę zainteresowania. - Moglibyśmy sprzedać wartościowe meble, ale zatrzymać tyle, żeby ustawić w pokojach prawdziwe antyki... Berta wykupiła niewielką polisę ubezpieczeniową, jakieś parę tysięcy, może w połączeniu z moimi oszczędnościami wystarczy na przebudowę... Jim, boję się. Nie wiem, czy sobie poradzę...

Odwrócił się ku niej twarzą. Miał przylizane, matowe włosy i bardzo wychudł. Z zapadniętymi policzkami i zbielełymi wargami wyglądał jak starzec.

- Jasne, że tak. Ty wszystko potrafisz.

- Chyba że mi pomożesz.

- Jasne. Zbiorę paru chłopaków...

Znajomy, niegdyś znieawidzony zwrot dopełnił miary. Z oczu Andrei trysnęły łzy. Ściskając kurczowo dłoń Jima, ukryła twarz w prześcieradle. Po chwili poczuła, jak druga ręka brata przesuwana się niezdarnie po jej włosach.

*

Jeszcze tego samego dnia Andrea wymówiła mieszkanie i pracę. To ostatnie było rozpaczliwym posunięciem, które pozbawiało ją stałego dochodu w okresie, kiedy najbardziej potrzebowała pieniędzy. Czowała jednak, że musi postawić wszystko na jedną kartę. Podzieliła swój czas między szpital i dom w Ladiesburgu. Mało co zostawało na sen, ale za to spała zawsze jak kamień, wycieńczona napięciem emocjonalnym i fizyczną pracą. Chciała doprowadzić dom do porządku, zanim Jim wyjdzie ze szpitala. Na pewno upierałby się, żeby pomagać, ona zaś nie miała zamiaru dopuścić, by marnował siły na pracę fizyczną.

Uznała za ważne konsultowanie z nim wszystkich swoich poczynań. Starła się też w miarę możliwości stosować do jego rad. Proces powrotu do zdrowia ciągnął się przeraźliwie długo, ale nie zdarzały się jakieś większe załamania. Andrea zaczęła darzyć dom niemal bałwochwalczą czcią, ponieważ stanowił jedyne zainteresowanie Jima nawet w okresach gorszego samopoczucia. No i jeszcze kot.

Szatan uzyskał status stałego rezydenta. Wchodził i wychodził, kiedy mu się podobało, zupełnie jak kot, który chadzał własnymi drogami z powiastki Kiplinga, przypominanej przez jednego z bardziej czytanych kolegów Jima. Kiedy przebywał w domu, prawie zawsze wylegiwał się na łóżku Berty. Andrea bynajmniej nie poddała się bez walki. Próbowwała wszystkich środków, jakie tylko przyszły jej do głowy - od zamykania drzwi do rozsypywania po łóżku pinezek. Wszystko na nic. Kot zawsze dostawał się do środka - podstępem albo przez teleportację. Pinezki zresztą w niczym mu nie przeszkadzały. Spychał na nie poszarpaną kapę i układał się na prześcieradle.

Wojna Andrei z Szatanem stała się dla Jima główną atrakcją dnia. Jego rozdokazywani jak żrebaki przyjaciele z college'u również lubili słuchać plotek o kocie. Andrea bez entuzjazmu, acz skrupulatnie wystawiała Szatanowi jedzenie - przecież nie dopuści, by jakikolwiek zwierzak zagłodził się na śmierć pod jej dachem. Lecz w dniu, w którym Jim po raz pierwszy wybuchnął śmiechem, gdy opowiedziała mu o pinezkach na łóżku, zatrzymała się specjalnie przy sklepie, by nabyć pojemnik śmietany, i to kremówki, a nie jakiejś tam rozcieńczonej namiastki. Szatan nastroszył wąsy i rozpoczął ucztę, ale przedtem wlepił w swą nową panią ślepią pełną bezbrzeżnego, niemal ludzkiego zdumienia.

Po tym wydarzeniu przestało się już mówić o oddaniu kota do schroniska. Jim podsunął Andrei pomysł, jak rozwiązać problem z główną sypialnią.

- Tu jest taka historyjka o kocie - rezydencie. - Pokazał jej czytaną właśnie książkę pod tytułem Wiejskie zajazdy i restauracje. W pokoju numer 6 mieszka kot i gospodarze po prostu informują o tym gości. To wywiera pewne piętno, prawda?

- „Wywiera piętno” nie jest odpowiednim określeniem - odparła ze śmiechem Andrea. Słownictwo Jima zdecydowanie się wzbogacało. Nigdy dotąd nie miał czasu na czytanie...

Szatan wreszcie wnosił odrobinę humoru. W obecnym życiu Andrei mało co było zabawne, chociaż prace posuwały się o wiele sprawniej, niż przypuszczała. Robotnicy zjawiali się teraz w umówionym dniu, różne niezbędne zezwolenia udawało się uzyskać bez dyskusji, inspektorzy dopuścili do użytku nowe instalacje, zachowując się przy tym z niewiarygodną wprost życzliwością.

Sama Andrea urabiała sobie chude ręce po łokcie. Zdzieriała tapety, szlifowała piaskiem podłogi, malowała framugi, uszczelniała okna. Ograniczyła remont do parteru i pierwszego piętra. Pięć gościnnych pokoi - to wszystko, na co mogła sobie pozwolić bez stałej pomocy. W wolnym czasie studiowała poradniki w rodzaju „Zrób to sam”, czytała wszystkie artykuły na temat wiejskich zajazdów, jakie jej wpadły w ręce, i odwiedzała właścicieli podobnych hotelików, podpatrując różne pomysły. Doświadczenie z poprzedniej pracy przydało się jej nieco, ale wiele aspektów prowadzenia domów typu „łóżko i śniadanie” okazało się czymś całkiem nowym. Nowym - i ekscytującym. Podczas skrobania i malowania głowa jej pękała od ambitnych planów. Więcej pokoi gościnnych na drugim piętrze i strychu, doskonała kuchnia, kort tenisowy i basen, specjalne weekendy dla zorganizowanych grup z przewodnikiem połączone z wykładami... Można by to nazwać „Ucieczka w świat antyków i historii”... W miarę upływu czasu zaczęła odczuwać nieoczekiwaną satysfakcję z tego pracowitego odkrywania piękna starego domu, drzemiącego od wielu lat pod grubą warstwą pajęczyn.

Dopiero po wizycie w banku, dokąd udała się w celu zaciągnięcia kredytu hipotecznego, zaczęła się zastanawiać, dlaczego sprawy idą tak gładko. Nie spodziewała się, że zdobędzie pieniądze bez walki, przynajmniej nie tak od razu. A jednak dyrektor, który zwracał się do niej „panno Andrea”, praktycznie dał jej gotówkę od ręki.

Wyszła stamtąd oszołomiona i zatrzymała się na schodach, by pozbierać myśli. Bank był oddziałem dużej instytucji o zasięgu stanowym, ale jego siedzibę wybudowano w latach trzydziestych. Wtedy banki wyglądały jak banki, a nie jak pawilony z czerwonej cegły. Wysokie kamienne kolumny, podpierające grecki szczyt frontonu, białe w słońcu. Gmach stał przy głównej ulicy Ladiesburga. Na jednym jej końcu znajdowały się zabudowania Foster's Amoco, na drugim, odległym mniej więcej o półtora kilometra - zakłady produkujące mrożonki mięsne. Dzielnica handlowa składała się z trzech kompleksów, przy czym większość budynków pochodziła z XVIII i XIX wieku. W ciągu ostatnich lat zawarto porozumienie mające na celu przywrócenie oryginalnego wyglądu stylowym federalnym budowlom, a ladiesburscy kupcy zaczęli snuć makiaweliczne plany odebrania miastu New Market tytułu marylandzkiej stolicy antyków.

Z niektórymi właścicielami sklepów Andrea zetknęła się w trakcie prac remontowych. Byli życzliwi i chętni do pomocy, ale ona nie miała czasu, by odwzajemnić te przyjazne gesty. Teraz, zastanawiając się nad swym świeżym bogactwem, zwróciła uwagę na okazały kamienny budynek z czarnymi okiennicami i skrzynkami petunii ciągnącymi się wzdłuż całej fasady. Zdecydowała się podejść bliżej.

Było wpół do jedenastej i w „Rogu Obfitości” trwały przygotowania do lunchu. Przez tylne drzwi Andrea skierowała się do głównej sali. „Róg Obfitości” zaczynał jako zajazd, broszura określała go jako „najdłużej działającą marylandzką gospodę”. Reba Miller przejęła restaurację po rodzicach. Prawdopodobnie miała jakiegoś męża, gdyż poprzedzała nazwisko literkami „Mrs.”, wskazującymi na stan małżeński. Andrea jednak podejrzewała, że gdyby nawet efemeryczny pan Miller znajdował się jeszcze wśród żywych, określano by go jako „męża Reby Miller”. Właścicielka stała w końcu sali, komenderując kelnerkami, które nakrywały stoliki. Papieros zwisający z kącika ust wcale jej nie przeszkadzał. Czubkiem kopulastej, czarnej peruki zahaczała ciągle o koszyk z paprociami zawieszony na niskim suficie. Reba miała metr osiemdziesiąt wzrostu i tuszę proporcjonalną do wysokości. Od czasów wczesnej młodości stosowała ten sam rodzaj makijażu: krzywo pociągniętą krechę szkarłatnej szminki i źle rozprowadzony, podkreślający tylko zmarszczki puder. Wchodzącą Andree dobiegł ryk:

- Rusz dupą Susie, otwieramy o czasie!

Susie, urocze, filigranowe stworzenie, odziane w czepeczek i suknię z czasów wojny o niepodległość, który to ubiór obowiązywał kelnerki, uśmiechnęła się i dalej spokojnie kończyła robotę. Reba spojrzała na Andree i machnęła ręką na powitanie.

- Leniwe pindy! - skomentowała sytuację, nie wyjmując papierosa. - Chcesz kawy?

Oczywiście spodziewała się odmowy. Zwykle, kiedy spotykały się na ulicy albo w sklepie, Andrea wymawiała się od wizyty pod pretekstem braku czasu. Tym razem poddała się jednak.

- Dzięki, jeśli tylko nie sprawię kłopotu...

Reba uśmiechnęła się od ucha do ucha, przy czym papieros wypadł jej z ust. Andrea schyliła się usłużnie ale gospodyni rozgniotła go po prostu obcasem.

- Tracy, zrób tu porządek - poleciła.

Kawę podano w biurze przylegającym do sali jadalnej, więc Reba mogła nadal nękać personel. Gabinet był wielkim, zagraconym pomieszczeniem, w którym poza biurkiem i półką na segregatory stał jeszcze stół z krzesłami, kanapy i regały pełne książek. Podczas przerwy w rozmowie, kiedy gospodyni wyskoczyła skarcić kelnerkę za to, że zapomniała o serwetkach, Andrea zerknęła na książki. Jakoś jej nie zdziwił ich, delikatnie mówiąc, eklektyczny dobór. Był tam zarówno zniszczony, „zaczytany” egzemplarz Kurcząt matki Carey, jak Proust w oryginale, a także parę książek z gatunku, który pokolenie Reby zwykło ukrywać pod materacem.

Andrea od razu przystąpiła do rzeczy.

- Czy to tobie powinnam podziękować za ten strumień słodczy i życzliwości spływający na moją skromną osobę?

Reba bezskutecznie usiłowała zrobić zdziwioną minę.

- Co masz na myśli?

- Właśnie otrzymałam kredyt na hipotekę domu. - Mogła się spokojnie przyznać, Reba wiedziała o wszystkim, co się dzieje w miasteczku jeszcze przed zainteresowanymi osobami. - Dali mi więcej, niż się spodziewałam, i to bez żadnych targów. Ktoś tu musi mnie lubić. Chyba że...

Reba w lot podchwyciła jej myśl.

- Boże, ależ z ciebie kawał złośliwej cyniczki! - wykrzyknęła z podziwem. - Nie, dziecinko, nie zależy mi na żadnych rewanzach. Poza, oczywiście przysyłaniem klientów, ale to działa w obie strony. Nie konkurujemy ze sobą, bo ja nie wynajmuję pokoi, a ty nie wydajesz posiłków.

- Więc to ty szepnęłaś za mną dobre słowo. Powinnam połapać się wcześniej, ale nie miałam czasu na myślenie.

- Pogadało się z paroma osobami - przyznała Reba.

Zapaliła nowego papierosa i starała się przybrać obojętny wyraz twarzy.

- Dlaczego?

- A dlaczego, u diabła, nie?! - zagrzmiała, przy czym papieros wypadł na stół. Włożyła go z powrotem do ust i gryzła przez chwilę. - Co w tym dziwnego, że wyświadcza się przysługę, komuś, kto... no, powiedzmy, przyjaciółce? Która w dodatku dostała nieźle w kość?

Andrea oswoiła się już z faktem, że cały Ladiesburg wiedział wszystko o jej osobistych sprawach. Prawie nie znani ludzie zatrzymywali ją na ulicy, żeby zapytać, jak się czuje Jim. Nienawidziła litości tak samo, jak niezdrowego zainteresowania, ale zmuszała się do uprzejmych odpowiedzi. Nie dałaby sobie rady bez życzliwości lokalnych sklepikarzy. Współpraca była korzystna dla obu stron. Andrea nigdy jednak nie sądziła, że familiarne stosunki, panujące w miasteczku, wyjdą jej na dobre.

- Przepraszam - wykrztusiła, uświadamiając sobie, że gapi się cały czas na okropnie zmieszaną Rebę, która zżuła już cały koniec papierosa. - Ja po prostu nic nie rozumiem. Przecież ledwie mnie znasz.

- Podoba mi się twój charakter - odparła tamta. - Ja sama przed laty... Ach, czort z tym! Właściwie to nie twój zakichany interes, dlaczego coś robie.

- Rzeczywiście - uśmiechnęła się Andrea. Kąciki błazeńsko czerwonych ust Reby zadrgały.

- Och, chodźmy stąd. Muszę popędzić kota tym próżniakom, a i ty masz co robić.

- Racja. - Andrea wstała. - Wpadnij kiedy na drinka.

- Czemu nie?

Chodniki ladiesburskie były wybrukowane, ale część płyt powypychały korzenie karłowatych wiśni o zwieszających się nisko gałązkach, które zwłaszcza w kwietniu przydawały miastu szczególnego powabu. Andrea szła wolno ulicą z oczami wbitymi w ziemię, mijając różne sklepiki o takich nazwach jak „Antykwariat Raiderów”, „Antyczna Przystań”, „Przeszłość i Teraźniejszość (Antyki)”, „Świece i Wiklina (także rękodzieło)”, „Patchworkowy Raj”, „Długa Pamięć (Antyki)”. Reba była ostatnią osobą, po której można by się spodziewać wybuchu sentymentalizmu. „Podziwiam twój charakter”, też coś. Całkiem jak dialog ze starego filmu ze Spencerem Tracy i Mickeyem Rooneyem. Ale jeśli nawet kierowały Rebą jakieś podstępne motywy, Andrea nie potrafiła ich dociec. Mimo ostentacyjnie twardego, męskiego zachowania, orientacja seksualna właścicielki restauracji nie odbiegała od tego, co świat nazywał normalnością. Andrea zbyt często miała do czynienia z odchyleniami, żeby nie wyrobić sobie zdolności instynktownego ich wyczuwania. Reba wyraźnie identyfikowała się z nią i rozumiała zmagania Andrei,

choć niełatwo sobie wyobrazić tę herod - babę jako młodziutką, wystawioną na ciosy kobietkę.

Mimo że nie rozumiała motywów działania Reby, nie zawahała się przed przyjęciem zaoferowanej pomocy. Dyskretny wywiad, przeprowadzony wśród robotników i sklepikarzy, dostarczył informacji na temat wpływów nowej znajomej; była ona właścicielką największej nieruchomości w mieście i posiadaczką pokaźnego pakietu akcji banku. Szkoda, że nie jestem z nią spokrewniona, myślała Andrea, szpachlując ściany salonu.

Nim zdecydowano się wypuścić Jima ze szpitala, nastął sierpień. Andrea podwoiła wysiłki i wreszcie zakończyła najpilniejsze roboty. Najbardziej wartościowe meble powędrowały do handlarzy, ale tego, co zostało, i tak wystarczyło do umeblowania salonów i sypialni z wiktoriańskim przepychem. Strych okazał się prawdziwym skarbcem. Znalazła tam marmurowe umywalnie, dębowe stoły, ręcznie robione kołdry, szydełkowe kapy. Poza tym łóżka, krzesła, osłony do kominków. Mogła śmiało napisać w ogłoszeniu, że „każdy pokój umeblowany jest prawdziwymi antykami”, nie narażając się na zarzut naciągania rzeczywistości. Jeszcze przed oficjalnym otwarciem zgromadziła rezerwacje na parę tygodni naprzód, zawdzięczając to zresztą Rebie.

- Reklama na gębę: oto, czego ci trzeba - mówiła nowa przyjaciółka, rozciągając usta w uśmiechu. - Moja się świetnie nadaje, bo ma odpowiedni rozmiar.

Szyld zajazdu - to już ostatni akcent. Andrea umyślnie zwlekała z jego zawieszeniem do chwili, aż wszędzie zapanował porządek. Ten akt miał być jej małym, osobistym świętem, którego nie życzyła sobie dzielić z nikim, nawet z Jimem. Zanim przyjedzie, wszystko musi być zapięte na ostatni guzik.

A to nastąpi już za parę godzin. Lekarz zaproponował, żeby przyjechała po niego koło jedenastej. Trzeba jeszcze wrócić do domu, wziąć prysznic i przebrać się, choć ciepłe promienie słońca, istne błogosławieństwo dla obolałych ramion, sprawiły, że ciągle odwlekała ten moment...

W oddali widziała przylegającą do domu łąkę, falującą zieloną przestrzeń, którą na samym środku psuła pojedyncza ciemna plama. Gęste futro Szatana lśniło w słońcu gagatową czernią. Tylne łapy i ogon kryły się w wysokiej trawie. Kot siedział w absolutnym

bezruchu. Kojarzył się z kosztownym dziełem sztuki leżącym na wystawie, na tle zielonego atlasu. W słoneczne dni potrafił tkwić tak godzinami. Prawdopodobnie czaił się na myszy i krety, ale Andrea wolała o tym nie myśleć. Jediną zaletą Szatana było to, że nigdy nie obdarowywał jej swoimi łupami. Słyszała, że koty w ten sposób wyrażają uczucia. Akurat jej to potrzebne.

Za plecami Andrei przebiegała wąska, ale całkiem ruchliwa szosa. Wiele z przejeżdżających samochodów zwalniało. Miała nadzieję, że ich kierowcy będą kiedyś jej gośćmi... Choć większość z nich to po prostu tutejsi mieszkańcy, którym szczęki opadają na widok przeobrażenia się domu. Paru skręciło w aleję dojazdową, wyraźnie żeby się pogapić. Trzeba postawić tablicę: DROGA PRYWATNA - WSTĘP WZBRONIONY. W tym momencie usłyszała chrzęst opon na żwirze i odwróciła się ze zmarszczonymi brwiami.

Zamiast czym prędzej zawrócić i odjechać, samochód zwolnił i zatrzymał się, strzelając przy okazji fontanną świeżo wysypanego i bardzo kosztownego żwiru. Natychmiast rozpoznała ten wehikuł, gdyż był jedyny w swoim rodzaju. Ukochany Kevinowy buick - kabriolet z 1965 roku, uratowany ze złomowiska w Connecticut, rozebrany na czynniki pierwsze i odpicowany przez wierną bandę „chłopaków”. Za kierownicą siedział Kevin, a obok niego - Jim.

Andrei ze złości niemal odjęło mowę. Chłopcy machali do niej rękami, śmiejąc się jak głupi do sera. Wzięła głęboki oddech i ruszyła im na spotkanie.

Jeśli nawet zauważyli jej kwaśną minę, to ją zignorowali.

- Poprosiłem Kevina, żeby mnie odebrał - wyjaśnił Jim.

- Widzę.

- Chcieliśmy ci oszczędzić jazdy - dodał Kevin, przesuając pieścotliwie ręką po kierownicy. - Fiuuu, Andy, aleś odstawiała kawał roboty! To wprost niesamowite! Ojej, czy tam siedzi Szatan? Patrzcie, jak się przyczaił, skubaniec. Ten szyld jest fantastyczny. Sama go zawiesiłaś? Jakby na nas czekał!

Nie dawał Andrei dojść do głosu. Pewnie miała wypisane na twarzy, że nie powie nic, co pasowałoby do nastroju ogólnej euforii, który kumpel brata za wszelką cenę starał się podtrzymać.

- Wskakuj, trzeba oszczędzać nogi. Mamy dość miejsca z tyłu, nawet z tymi bambetłami Jima.

Andrea patrzyła na brata bez uśmiechu.

- No, wskakuj - powtórzył za Kevinem. - Zmieścimy się wszyscy z przodu. O, zobacz.

- Nie. - Andrea machnęła przecząco ręką. - Dziękuję. Jedźcie już. Przyjdę za minutę.

- Dobra.

Kevin wrzucił bieg i odjechali z rykiem, puszczając przy okazji kłęby spalin. Uważa, że nie wytrzymam i coś powiem, myślała Andrea z goryczą. Ale jego niedoczekanie. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Spośród zalegających tylne siedzenie kartonów i toreb kule sterczały dumnie i wyzywająco jak drzewce sztandarów. Jim nie miał na sobie spodni, które sama tak starannie mu przerobiła. Wytarte stare dżinsy przyniósł mu pewnie Kevin. Jedna nogawka była podwinięta. Dwie duże agrafki spinały ją w miejscu, gdzie kończył się kikut - to, co zostało z lewej nogi.

ROZDZIAŁ III

Ciekawe, czy potrafi się przyzwycząić. Z początku, kiedy wyrok dotyczył tylko życia lub śmierci, utrata jednej kończyny wydawała się niegroźnym obrażeniem. Teraz jednak inne rany zostały wyleczone, a na podziurawionej podczas operacji mózgu czaszce odrosły włosy. Za parę miesięcy nie będzie żadnych śladów poza paroma bliznami, no i tą pustą nogawką. Ale Andrea przywyknie. Jim też. Ludzie potrafią do wszystkiego przywyknąć.

Nim dotarła do domu, chłopcy zniknęli w środku. Oczywiście frontowe drzwi stały otworem. Chłodne powietrze z wnętrza domu wydostawało się na dwór - niemal je widziała - a owady miały wolną drogę do środka.

Byli na górze. Słyszała głuchy odgłos kroków Kevina i jeszcze jeden rodzaj dźwięku, który sprawił, że zadrżała: nieregularnie powtarzający się łomot i stukanie kul. Jim odrzucił pomysł protezy. Lekarz powiedział, żeby dać mu czas do namysłu.

Stukanie przybliżyło się do szczytu schodów. Andrea krzyknęła ostrzegawczo i popędziła na górę z rozpostartymi rękami.

- Uważaj, Jimmie, nie tak szybko! Pozwól, że ci pomogę!

Jim zatrzymał się w połowie drogi, na podeście. Światło wpadające przez witrażowe okno ubrało go w błazeński strój i zabarwiło twarz szkarłatem i zielenią.

Podniósł jedną kulę i pogroził nią Andrei. Gest i towarzyszące mu słowa były żartobliwe, ale szczególny błysk w oczach uświadomił jej, że brat wcale nie żartuje.

- Dotknij mnie tylko, a rzucę się na dół. I przy okazji rozgniotę cię na miazgę.

Wycofała się potulnie. Jim zakończył wprawdzie schodzenie karkołomnym susem, ale wylądował triumfalnie na tyłku i ostatecznie nic mu się nie stało.

- Równowaga! - zawołał radośnie. - Grunt to równowaga. Fajnie, co?

- Stary, musisz sporo trenować - rzucił lekko Kevin. - Dasz sobie radę, skoro zatrzymywałeś takie szafy jak Wściekły Pies Martin czy Za Duży Mazurski.

- Nigdy nie zapomnę Za Dużemu - wtrąciła mściwie Andrea. - Przysięgłabym, że ten padalec umyślnie kopnął Jima w kostkę.

Kevin objął ją po bratersku ramieniem. Podobnie jak Jim, był od niej wyższy o dobrą głowę, zwłaszcza ze swą gęstą popielatoblond czupryną. Szczeszył włosy do tyłu, by odsłonić to, co uważał za wysokie czoło naukowca. Kevin czytał książki, nawet jeśli nie musiał, wobec czego „chłopaki” uznawały go za swój mózg. Był najlepszym kumplem Jima i faworytem Andrei, ale akurat dziś obeszloby się bez niego. Tak starannie obmyśliła przyjazd brata do domu...

- Jimmie, nie sądzisz, że powinieneś się na chwilę położyć?

- Leżałem sześć miesięcy. Teraz chcę obejrzeć resztę domu. Chodź, Kevin.

- Twój pokój...

- Tak, jasne, że chcę go zobaczyć. - Zatrzymał się w marszu, by rzucić przez ramię: - Kevin zostaje na lunchu. Obiecałem mu spaghetti.

- Ojej, nie chciałbym się narzucać - zaprotestował tamten.

- Nie ma sprawy.

Odpowiedzi wyraźnie brakowało serdeczności, ale tej Kevin nigdy nie doświadczał od Andrei zbyt wiele. Mruknął pośpiesznie:

- Dzięki, Andy - i zniknął za Jimem.

Andrea zgrzytnęła zębami. Pot spływający po jej ciele zdążył obeschnąć. Dżinsy, sztywne od kolejnych plam z farby, obcierały boleśnie kostkę. Chciała wyglądać przyzwoicie - dla Jima - być świeża, spokojna, wypoczęta, żeby nie miał poczucia winy z powodu jej przepracowania. Ale jeśli teraz pójdzie się przebrać, ominie ją przyjemność pokazania Jimowi jego pokoju i tego skrzydła domu, gdzie znajdowało się ich mieszkanie.

Miała trochę wyrzutów sumienia z powodu sum, które poszły na dawne „kwatery dla służby” za kuchnią. Prawdopodobnie rozsądniej byłoby wydać pieniądze na pomieszczenia przynoszące dochód. Ale tak chciała urządzić wszystko idealnie - dla Jima. To ich dom, ich własne miejsce na ziemi, gdzie będą mogli uciec od gości i cieszyć się sobą.

Jedną ścianę dużej kuchni kazała wyburzyć i wmontować tam wykuszowe okno, które rozjaśniło pomieszczenie i zmieniło nie do poznania jego charakter. Powstało miejsce do ustawienia najbardziej nowoczesnego wyposażenia kuchennego - był to wydatek absolutnie konieczny, gdyż miała zamiar wydawać śniadania. W drugim końcu urządziła wygodny kącik do przesiadywania w rodzinnym gronie.

Ściana między dwiema małymi sypialniami również została usunięta. Utworzył się w ten sposób duży pokój dla Jima, z dwiema rozkładanymi sofami, żeby mógł zapraszać na noc przyjaciół. Znalazła tu miejsce większość jego ulubionych rzeczy: wieża stereo, książki, sprzęt fotograficzny - ale nie wszystkie, nie te, do których był najbardziej przywiązany. Ukryte głęboko w najciemniejszym kącie strychu leżały narty, rakiety do squasha i tenisa, ciężarki, prasa stołowa, kije hokejowe i piłka futbolowa. Kupiła mu nową na Gwiazdkę. Nie zdążył się nią nacieszyć.

Przygnębioną Andreę wyrwał z zamyślenia dzwonek telefonu.

- Andy? To ja, Reba. Podobno Jim wrócił?

- Nawet nie zapytam, skąd wiesz.

- Przypadek. Właśnie wyjrzałam przez okno, kiedy przejeżdżał samochód. Wykombinowałam, że to musi być on, jesteście tacy podobni... - Reba ze swoistym poczuciem taktu nawet nie zająknęła się na temat kul, za to dodała: - A gdybyś go tak przyprowadziła na kolację?

Kolejny intruz, który próbuje popsuć intymność pierwszego dnia w domu!

- To miło z twojej strony, Rebo - odpowiedziała pośpiesznie - ale... ale jest z nami jego kumpel, a jak znam Kevina, sam będzie chciał się zakręcić koło kolacji...

- Przyjeżdżajcie wszyscy. Lubię dzieciaki w tym wieku. Umieją docenić dobre jedzenie.

Kiedy Andrea zastanawiała się gorączkowo nad bardziej przekonującym wykrętem, dobiegło ją trząśnięcie kuchennych drzwi. A niech to szlag trafi. Wyszli, cholera wie gdzie, pewnie na łąkę do Szatana, a tam królicze nory, jeżyny, jeszcze upadnie i coś sobie zrobi...

Przedłużające się milczenie Reba uznała za zgodę.

- Świetnie, więc koło ósmej. Zresztą to łapówka. Mam do ciebie romans.

- Tak?

- Chodzi o Martina Greenspana. Wiesz, tego mojego przyjaciela, który ma rezerwację na weekend...

- Tak?

Tym razem monosylaba zabrzmiała nieco uprzejmiej. Andrea zawdzięczała tę rezerwację wyłącznie Rebie. Martin Greenspan był

pisarzem i publicystą w gazecie o krajowym zasięgu. Jeśli mu się tu spodoba, jego ewentualne rekomendacje mogą mieć doniosłe skutki.

- Rozumiem, to paskudnie zwracać ci głowę teraz, kiedy dopiero rozkręcasz interes, ale on chciałby wiedzieć, czy mogłabyś go przyjąć o dzień wcześniej.

- Dzień wcześniej... - Andrea usiłowała przypomnieć sobie daty.

- Czyli jutro? JUTRO!

- Wiem, wiem. Ale nie gniewaj się. To sympatyczny gość. I jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...

- Nie, w porządku. - Musi być w porządku, dopowiedziała sobie w myśli.

- Zapędź tych skurczybyków po południu do roboty - poradziła Reba. - Wieczorem ich nakarmię. To cześć, Andy. I dzięki.

- Ty cholerny draniu! - skłęła Andrea umilkły już telefon i opadła ciężko na schody.

Tak długo tęskniła za tym dniem. Tyle nie kończących się, samotnych nocy i tyle dni morderczej pracy... W lodówce czekały dwa steki (tylko rzucić na patelnię), duża miska sałatki jarzynowej i krem pistacjowy - ulubione dania Jima. Po lunchu chwilę by odpoczął, a potem oprowadziłaby go po domu. Oczami duszy widziała na twarzy brata wyraz miłego zaskoczenia na widok wnętrza, których wygląd zaplanowała w każdym szczególe.

Wszystkie pokoje gościnne miały nazwy. Dyskutowali nad nimi razem, „chłopaki” też podsuwały różne pomysły, bardziej lub mniej nieprzyzwoite i raczej nie do przyjęcia. Jim nalegał, by dawną sypialnię Berty nazwać „Pokojem Szatana”, i nie kto inny jak Kevin wytłumaczył mu skutki tego posunięcia: „Chyba nie powinno się robić piekła z pokoju gościnnego?”

Teraz sypialnia nosiła oficjalną nazwę „Pokoju Lincolna”, ale Andrea zastanawiała się, czy komentarz Kevina nie wpłynął niechcący na wystrój tego wnętrza. Zarówno przy łożu z kolumnkami, jak i przy oknie zawiesiła ciemnoczerwone, adamaszkowe zasłony. Kosztowały wiele godzin niewdzięcznej, frustrującej pracy, jako że z Andrei była fatalna szwaczka. Tapety położyła szkarłatne, ze złoceniami, kopie oryginału z czasów wiktoriańskich. Przy kominku z czarnego marmuru stały wygodne, dobrze wypchane fotele. Całość tchnęła ciepłem i godnością patrona. Andrea uznała swe dzieło za prawdziwy majstersztyk.

Nazwy pokoi sugerowały, że poszczególne osobistości rzeczywiście spędziły tu kiedyś noc. Właściwie pomysł nie był specjalnie naciągany. Pokój Ulissesa T. Granta miał mosiężne łóżka, kołdry ręcznej roboty i plecione dywaniki; pokój Roberta E. Lee wyposażała w lampy z czasów Przemieństwo z wiatrem, umywalnię z marmurowym blatem i szydełkową kapę; pokój McKinleya...

No i figa, zarówno ze zwiedzania, jak i innych planów, myślała ponuro Andrea. Powinna się tego spodziewać. Kiedyż wreszcie wszystko ułoży się po jej myśli?

Godzinę później, już po prysznicu i przebrana, stała przy kuchni, mieszając sos do spaghetti. Nie zaprzętała sobie głowy wołaniem chłopców - przyjdą, jak zgłodnieją, i ani chwili przedtem. Wreszcie usłyszała, że wracają.

- Zamknijcie przesuwane drzwi - przykazała automatycznie. Zaraz potem wyrwał się jej okrzyk: - Jimmie! Jesteś brudny i podrapany! Gdzieście, u diabła, byli?

- A o mnie się nie martwisz? - Kevin wysunął ręce pokryte siateczką krwawiących zadrapań. - Te mniejsze to przez jeżyny, a duże przez Szatana. Słuchaj, Andy, czy to gęste pnącze to sumak jadowity?

- Założę się, że tak - odparła Andrea. - Doprawdy zasługujecie obaj... Umyjcie ręce tą dużą kostką żółtego mydła. Podobno pomaga na sumaka, choć osobiście w to wątpię.

Jim ruszył do łazienki, ale przedtem zaznaczył:

- Ja ugotuję spaghetti. Tobie zawsze wychodzi paciaja.

- Siadaj, Andy, i napij się piwa - dodał Kevin. - My będziemy podawać.

- Nie znoszę piwa.

- No to może lampkę jakiegoś wystrzałowego wina. Połóż nogi wysoko. Bóg jeden wie, jak sobie na to zasłużyłaś.

Ku swemu zaskoczeniu i zakłopotaniu, Andrea poczuła, że z oczu tryskają jej łzy. Kevin taktownie się wycofał, a ona wytarła twarz. Jestem po prostu przemęczona i wściekła, powiedziała sobie. Posłucha rady Kevina. Niech sobie bałaganą w kuchni. Cały dzień i tak jest do chrzanu.

Chłopcy jedli, aż im się uszy trzęsły. Kevin jednak potrafił gadać nawet z pełnymi ustami.

- Założę się, że w strumieniu są pstrągi... I znaleźliśmy w lesie tropy jelenia... Chyba że to krowa. Macie nawet prywatny cmentarz...

- Czy tam właśnie byliście przed chwilą? Jak przeleźliście przez mur? Specjalnie sprawdzałam, czy brama jest zamknięta na kłódkę...

- Dobry pomysł, po co dzieciaki z sąsiedztwa mają tam łązić. Niektóre czują chorobliwy pociąg do grobów - rzekł poważnie Kevin.

- I kto to mówi?

- Nie, nie, posłuchaj, Andy, powinnaś uporządkować to miejsce. Założę się, że zainteresuje historyków. Czy wiesz, że w czasie wojny domowej toczyły się tu walki? Może są groby żołnierzy...

- Jeśli sądzicie, że pozwolę wam odkopywać szczątki... - rozzłościła się Andrea.

- Coś ty, Andy, przecież wcale nie chcemy. Trzeba po prostu zrobić tam porządek, wyciąć chwasty, ułożyć na miejscach płyty...

- To mogłaby być atrakcja dla turystów - dodał Jim. Gorące jedzenie przywróciło trochę kolorów jego za

padniętym policzkom, a poplamiony sosem podbródek sprawiał, że wyglądał jak chłopczyk. Andrea próbowała jeszcze walczyć, choć już wiedziała, że się podda..

- To mordercza robota, Jimmie. Jest tam zwarta plątanina dzikich malin, trującego bluszczu, są też drzewa, niektóre całkiem spore...

- Zabiorę się za to.

- Czemu, na litość boską?

- A czemu nie? - spytał Kevin.

- Bo... bo jest mnóstwo innych rzeczy do zrobienia. Jutro przyjeżdża nasz pierwszy gość. O dzień wcześniej...

- Greenspan? - Kevin rzucił widelec i pochylił się do przodu.

- Właśnie.

- Hej, to naprawdę gruba ryba, wiesz? Czytałaś jego artykuł o rozbrojeniu nuklearnym?

- Tak i pomyślałam, że to kupa g...

W porę ugryzła się w język. Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

- Patrzcie, co za reakcjonistka! - wykrzyknął Jim.

- A Martin Greenspan jest wojującym liberałem, jeśli już przypinamy etykietki - odcięła się Andrea. - Ale to ważny kontakt i chciałabym, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik.

- Słusznie. Pomożemy ci. - Kevin zerwał się na nogi. - Co mamy robić? Ścielić łóżka, szorować kible? Możemy nawet umyć okna.

- Daj spokój, Kevin, nie chcę ci psuć ostatnich dni wakacji.
- Nie ma sprawy.
- Widzę, że szukasz pretekstu, by poznać tego swojego idola.
- Nie sposób cię przechytryć, Andy. Wiesz, jaki ze mnie podstępny i zdradziecki typ. Chodź, Jimbo. Ja sprzątam ze stołu, ty ładujesz zmywarke.

Kevin wyraźnie planował kilkudniowy pobyt. Żadnemu z chłopców nie przyszło do głowy choćby wspomnieć coś na ten temat, a tym bardziej prosić o pozwolenie. Nie leżało to w ich obyczajach. Tylko kiedy Andrea poszła do pokoju Jima, by rozpakować bagaże, zastała tam dwie ogromne papierowe torby, pełne ubrań nie należących do brata. Styl życia amerykańskiej młodzieży rodzaju męskiego nigdy nie przestanie jej zadziwiać. Wiele zachowań przypominało ekscentryczne wspólnoty religijne. Wszystkie rzeczy mieli wspólne - ubranie, jedzenie, poza tym pomieszkiwali u siebie nawzajem. Czas dla nich nie istniał, absolutnie się nim nie przejmowali. Obdarzali się całkowitym zaufaniem, uważając wydanie „brata” rodzicom czy policji za śmiertelny grzech. Czasem Andrea czuła się jak etnolog badający egzotyczne grupy plemienne, ale znacznie częściej po prostu się wściekała.

Dlatego też nie bez złośliwej satysfakcji zasadziła Kevina do czyszczenia toalet i wanien. Jim cisnął w kąt ściereczkę do kurzu, którą mu wręczyła, i uparł się, że pomoże przyjacielowi.

- Kucanie dobrze mi idzie - oznajmił z wyzywającym uśmiechem. - Nie mam już tyle do podwijania.

Późnym popołudniem, wyładowawszy złość w pracy, Andrea uznała, że czas zlitować się nad pomocnikami. Chłopcy wyrazili chęć poleżenia na trawie, by złapać trochę słońca, ona zaś poszła po raz ostatni rzucić okiem na pokój gościa i łazienkę. Zdecydowała, że zainstaluje Greenspana w swoim ulubionym Pokoju Lincolna. Był najelegantszy i najkosztowniejszy w całym zajeździe, a z wykuszowego okna rozciągał się widok na strumień.

Nim wyszła, podniosła jeszcze falbanę kapy i zajrzała pod łóżko. Ani śladu Szatana. Postanowiła, że za skarby go tu nie wpuści. Mogła wprawdzie umieścić Greenspana gdzie indziej, gdyż na weekend oczekiwała jeszcze dwóch par gości. Ale prędzej szlag ją trafi, niż dopuści, by to aroganckie, tłuste kocisko monopolizowało jej najlepszy pokój.

Słońce chyliło się już za wierzchołki gór, gdy zasiadła na werandzie z kolorowym magazynem i szklanką mrożonej herbaty. Wiklinowy bujak był miękki i wygodny - upewniła się o tym wcześniej, ale dopiero teraz odpoczywała w nim po raz pierwszy, kołysząc się łagodnie, wsparta o poduszki. Chciała przeczytać pewien artykuł, ale zamiast otworzyć pismo, delektowała się widokiem, którego chwilami nie spodziewała się już ujrzeć.

Leżący w trawie chłopcy nie przyczyniali się bynajmniej do atmosfery spokojnej stabilizacji. Puste puszki po piwie zaśmiecały trawnik, stary koc, na którym się rozłożyli, wyglądał, jakby właśnie wytarli nim samochód. Kevin, rozwalony na brzuchu, czytał. Jego obnażone plecy przedstawiały swoistą mozaikę łuszczącego się po opalaniu naskórka, piegów i - jeśli Andrei wzrok nie mylił - miał też czerwoną plamę od sumaka jadowitego. Splotła ręce na kolanach i znów się zaczęła kołysać.

*

Wieczór w restauracji okazał się sukcesem. Kevin zakochał się w Rebie od pierwszego wejrzenia. Z zafascynowanych błysków w jego oczach Andrea wywnioskowała, że chłopak ma zamiar uwiecznić jej przyjaciółkę w powieści, którą tworzył od trzech lat. Zamiast po prostu uścisnąć szorstką dłoń, podniósł ją z galanterią do ust, składając przy tym ceremonialny ukłon. Reba zarechotała i klepnęła go w plecy, aż się zatoczył.

Specjalnością „Rogu Obfitości” były paszteciki z krabów i smażone kurczęta. Chłopcy zjedli jedno i drugie, pochłaniając przy tym góry puree ziemniaczanego, niezliczone kolby kukurydzy, niesamowitą ilość herbatników i całe kwarty mleka. Reba, rozparta łokciami na stole, zachęcała ich, by sobie nie żalowali.

Podziękowała Andrei, że zgodziła się zmienić swoje plany i dodała z przekonaniem:

- Ten zajazd będzie prawdziwym hitem, czuję to. A co do ciebie, Jim, cieszę się, że tu jesteś. Dobrze mieć w domu mężczyźnę. Martwiłam się o Andy. Sama, na takim odludziu...

- Dużo tu włamywaczy? - zainteresował się Jim.

- Nie tak znów dużo. Ale zawsze kręcą się jakieś żule.

- Nigdy nie byłam strachliwa - rzekła szczerze Andrea. - I przecież kuzynka Berta od lat mieszkała sama.

- Kto był właścicielem domu przed Bertą? - spytał Jim.

- Przypuszczam, że jej ojciec. Kiedy wychodziłam za Millera, panna Berta, jeszcze czerstwa i zdrowa, mieszkała już sama. Zawsze była dziwaczką. Nie wiodła wprawdzie żywota pustelnicy, ale i nie zapraszała gości. - Reba zachichotała. - Miała taki elektryczny samochodek, pamiętacie je? Raz w tygodniu jeździła do miasta po sprawunki. Widziałam, jak przejeżdżała tędy, tydzień po tygodniu, tego samego dnia, o tej samej godzinie, wyprostowana za kierownicą, jakby kij połknęła. I zawsze sunęła środkiem drogi.

- Co się stało z tym samochodem? - zapalił się nagle Kevin.

- Rozbił się, kiedy najechała na starego chevroleta pana Willisa. Staruszka musiała mieć już ponad siedemdziesiąt lat, a on też dobry - osiemdziesiątka na karku - i ciągle uważał, że jego auto jest jedyne na drodze. Cud, że nie zderzyli się przedtem. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Ona jak zwykle zasuwła okrakiem po środkowej linii, a on wprost na nią z przeciwnej strony, całkiem jak w starych filmach, pamiętacie? Samochód i pociąg jadą naprzeciwko siebie; wiecie, że muszą się stuknąć i ni cholery, nic się nie da zrobić. Oni tak samo: zderzyli się czołowo tuż pod tą knajpą. Wprawdzie oboje byli ślepi jak nietoperze w dzień, ale myślę, że głównie zawinił upór. Żadne nie chciało ustąpić.

- Samochód poszedł do kasacji?

- Co za wzruszająca troska o ludzkie życie! - uśmiechnęła się Reba. - Żadnemu autu coś takiego nie wychodzi na dobre, tyle ci powiem. Staruszkowie nie ucierpieli w wypadku, ale gdy pan Willis wygramolił się ze środka, zaczął wydzierać się na Bertę. Tak się wściekł, że dostał ataku serca i padł trupem u jej stóp. Potwornie nią to wstrząsnęło.

- Ja myślę! - wykrzyknęła przejęta zgrozą Andrea. Tylko ona dostrzegła tragizm tej historii. Jim się uśmiechał, a Kevin robił „mentalne notatki” do książki.

- Przestała potem prowadzić - dodała Reba. - Był najwyższy czas.

Cała trójka momentalnie zareagowała:

- I jak sobie radziła bez samochodu?

- Hej, Jim, może to autko ciągle stoi w którejś szopie? Nie zaglądaliśmy do wszystkich!

- Czy ona jest pochowana na cmentarzu za domem? Reba przywykła do rozmów z kilkoma osobami na raz.

- Wszyscy jakoś się skrzyknęli i kolejno robili jej zakupy - odpowiedziała Andrei. - Nie wiem, Kevin, co się stało z samochodem, może gdzieś tam jest, ona nigdy niczego nie wyrzucała. Jaki znów cmentarz?

Jim wyjaśnił. Reba potrząsnęła głową.

- Nie, panna Berta spoczywa na porządnym cmentarzu metodystów. Nie wiedziałam, że w Springers' Grove macie cmentarz. Odkąd pamiętam, nikogo tam nie chowano. Takich cmentarzy pełno jest w okolicy, przynajmniej tak ludzie mówią. W latach trzydziestych ktoś napisał o nich książkę. Powinnam ją mieć, chyba że mi ukradli. Widzieliście te wbudowane regały w holu. Kiedyś kupiłam na aukcji trochę starych książek, żeby przydać lokalowi nieco klasy. Wtedy to była taniocha, teraz są warte majątek, więc czasem jakiś klient coś zwinie. Chcecie już deser? Szarlotka, tort czekoladowy, wiśnie, maliny?

Podpuszczana przez oczarowanego Kevina i podlewana niezliczonymi kieliszkami wina, Reba snuła jedną historyjkę po drugiej. Jedne były komiczne, inne tragiczne. Jim mówił bardzo mało. Chyba się jednak dobrze bawił, a zjadł tyle, że nawet najbardziej troskliwa mamuska nie miałaby się do czego przyczepić, toteż Andrea zwlekała z pożegnaniem prawie do północy.

- Jutro mamy mnóstwo roboty - rzekła wstając. - Rebo, zapomniałam cię spytać, o której przyjeżdża pan Greenspan?

- Chyba po południu. Zarezerwował stolik na kolację.

- Zdążymy.

Przeszli przez salę jadalną, gdzie kelnerki ziewając sprzątały ze stołów. Kiedy znaleźli się w holu, Jim wskazał ręką półki.

- Czy to te książki, o których mówiłaś?

- Co? - Reba odwróciła się od drzwi, które właśnie odryglowywała. - Tak, te.

Jim oglądał uważnie zawartość regałów.

- Nie widzę tu nic o cmentarzach.

Reba wreszcie uporała się z drzwiami. Po klimatyzowanym wnętrzu restauracji nocne powietrze wydawało się parne, ale kiedy tak stała nieruchomo, wyglądając na ulicę, jej masywna sylwetka lekko zadrżała.

- Zaraz sprawdzę - rzekła. Wybrała sfatygowany tomik w czerwonej okładce. Nim podała go Jimowi, zdmuchnęła kurz z górnej krawędzi. - Masz. Muszę pogonić te lafiryndy do odkurzenia.

- Oddam za parę dni - obiecał Jim. Reba położyła mu wielką łapę na ramieniu.

- Nie musisz się śpieszyć. Trzymaj, jak długo chcesz.

*

Andrei nie stać było na zatrudnienie stałej pomocy. Zdecydowała się na miejscową szesnastolatkę, która porzuciła szkołę i zgodziła się przychodzić na parę godzin w tygodniu. „Linnie nie jest wiele warta”, powiedziała Reba, polecając dziewczynę, „ale jeśli ją dobrze przyciśniesz, będziesz miała jakiś pożytek. No i jest niedroga.”

Linnie zjawiła się wczesnym rankiem, co było dość niezwykle, wzięwszy jednak pod uwagę okoliczności, nie stanowiło niespodzianki. Fotografia Jima, którą Andrea ustawiła na biurku, wywarła na dziewczynie spore wrażenie. „Jejku, ale przystojniak!”, wykrzyknęła. Mając w bliskim zasięgu nie jednego, ale dwóch nowych w okolicy mężczyzn, mogła liczyć na jakieś szanse, jeśli tylko zacznie kuć żelazo, póki gorące.

Czasem Linnie przyjeżdżała do pracy sama, ale kiedy jej ojciec potrzebował furgonetki, jak właśnie tego ranka, sam podrzucił córkę. Pomachali sobie z Andrea na powitanie, po czym samochód ruszył z chrzęstem po żwirze. Hochstrasser był wdowcem i Andrea domyślała się, że nadzór nad Linnie stanowił dla niego nie kończące się pasmo udreki.

Odwróciła się z kwaśną miną do mizdrzącej się przed lustrem dziewczyny.

- Wyglądasz okropnie. Co się stało z bluzką i spódnicą, które ci kupiłam?

- Są w praniu. - Linnie przesunęła gumę do żucia na drugą stronę ust. - Zwykle noszę dżinsy...

- Nie mam pojęcia, jak ci się udaje w nich schylić.

Trwałe zmarszczki rozchodzące się od kroku dżinsów w bok dowodziły, że Linnie potrafi zgiąć się w biodrach, ale materiał przylegał ściśle do wszystkich jej okrągłości. Nosiła jeszcze trykotową koszulkę bez rękawów, za to z wielkim dekoltem, oblepiającą ciasno pełne piersi. Twarz miała zbyt szeroką i prostacką, by określić ją jako ładną, ale makijaż i falujące blond włosy kwalifikowały dziewczynę

do gatunku, który skupia na sobie oko telewizyjnej kamery prześlizgującej się po ławkach publiczności, gdy gracze wykopią piłkę na aut.

- Włóżysz którąś z moich bluzek - poleciła Andrea. - Oczekuję dziś pierwszego gościa, a ty wyglądasz jak kelnerka w tanim barze.

Linnie prasowała, a Andrea wyrabiała ciasto na muffiny (Rodzaj okrągłych, płaskich bułeczek, podawanych zwykle na gorąco z dodatkiem masła (przyp. tłum.)), kiedy zaspani, przeciągający się chłopcy zeszli wreszcie na dół. Tłumacząc sobie, prawidłowo zresztą, zrzędlivość siostry nerwami, Jim próbował dodać jej otuchy.

- Wszystko będzie dobrze, Andy. Dom wygląda fantastycznie. Jeśli chcesz, żebyśmy coś zrobili... - Urwał i zagapił się na Linnie, która właśnie weszła z jadalni, niosąc wyprasowaną zasłonę.

Andrea przedstawiła ich sobie. Chłopcy obrzucili dziewczynę pełnymi aprobaty spojrzeniami. Linnie wyszczerzyła w odpowiedzi zęby i zakołysała biodrami.

Andrea odesłała ją z powrotem do prasowania, ale Linnie wolała kręcić się po kuchni. Wchodziła ciągle i wychodziła pod różnymi pretekstami, byle tylko mieć na oku jedzących śniadanie chłopców. Kiedy skończyli, Jim ponownie zwrócił się do Andrei:

- Pomóc ci w czymś?

- Trzeba przystrzyc trawnik.

- Zajmę się tym - obiecał Jim.

Nastroszył się, jakby oczekując protestu, lecz Andrea zdążyła już wygrać swoją prywatną bitwę związaną z tą sprawą. Maszyna do strzyżenia, którą wypatrzyła na wyprzedazy, stanowiła konieczny zakup, ale również ustępstwo na rzecz pasji Jima do samochodów. Musiał mieć coś, co jeździ. Z tym urządzeniem nie będzie miał kłopotów, trawnik rozpościerał się na łagodnej, gładkiej jak stół pochyłości.

- Obaj się tym zajmijcie - rzekła. - To robota na cztery godziny, nawet z jeżdżącą kosiarką. Są miejsca, które wymagają ręcznego strzyżenia. Nie obijajcie drzew i uważajcie na kwiaty...

- Gderaj sobie, gderaj - uśmiechnął się Jim. Ciepło tego uśmiechu przejęło Andreę wstydem. Czy rzeczywiście tak trudno z nią wytrzymać? Starła się unikać nadopiekuńczości. Jeszcze zanim lekarz o tym wspomniał, zdała sobie sprawę, że Jim musi zdobyć

pewność siebie i niezależność. Ale właściwe zachowanie przychodziło jej z wielkim trudem.

- Zanim zaczniecie - rzekła - trzeba przenieść sosnowy stół z salonu do Pokoju Lincolna. Postawcie go między oknami.

Kevin odrzucił zarówno pomoc Andrei, jak ochoczą ofertę Linnie. Powiedział, że wygodniej mu będzie nieść stół samemu, ale Andrea poszła za nim, by upewnić się, że postawi mebel na właściwym miejscu. Jim włókł się z tyłu. Andrea uczyła się panowania nad odruchami.

Nawet nie odwróciła głowy na odgłos stukających mozolnie po schodach kul.

Wysunęła się naprzód, żeby otworzyć drzwi. W chwilę potem wrzasnęła z taką furją, że Kevin aż podskoczył.

- Patrzcie! No tylko patrzcie! Jak on, do ciężkiej cholery, tu wlaź?

W samym środku łóżka, na purpurowej kapie, która kosztowała Andreę tyle pracy, rozpierał się Szatan. Napotkawszy jej wzrok, wyciągnął zdecydowanym ruchem czarną łapę i wbił prowokacyjnie pazury w materiał.

- Pięknie! - rozdarła się Andrea. - Po prostu wspaniale! Słuchaj koleś, oboje wiemy, że potrafisz rozprawić się z tą kapą, nim zdołam mrugnąć. Ale tylko spróbuj, a przysięgam, że nie zobaczysz w tym domu ani jednej puszki kociego żarcia!

Jim pokładał się ze śmiechu.

- Doktorowa Dolittle, niech ja skonam! I co ci odpowiedział? A może wolisz nie powtarzać?

- Nie ma się z czego śmiać. - Andrea odwróciła się i spojrzała w dwie roześmiane gęby. - Któryś z was musiał zostawić otwarte drzwi.

Kevin zaprotestował uroczyście:

- Nie wchodziłem tu od wczoraj.

- Ja też nie - dodał Jim. - Uspokój się, Andy, przecież nic się nie stało. Właściwie wygląda bardzo stylowo, całkiem jak na zdjęciu w jednym z tych twoich ekskluzywnych magazynów.

- Panu Greenspanowi na pewno nie będzie przeszkadzał - zapewniał Kevin. - On ma duże poczucie humoru. I lubi koty. Pamiętam jeden taki felieton...

- Och, zamknijcie się obaj. - Andrea spojrzała złym wzrokiem na Szatana. Kot zdążył już schować pazury i podwinął niewinnie łapki.

„Jestem w najwyższym stopniu dekoracyjny”, zdawał się mówić, „i tylko prostak tego nie przyzna.” - No cóż, siłą go nie usunę. Podarłby tę kapę na strzępy. Zostawimy otwarte drzwi, może sam wyjdzie.

Szatan ziewnął.

Po tych porannych emocjach należało się spodziewać, że Greenspan pojawi się wcześniej, niż będzie gotowa na jego przyjęcie. A jednak kiedy chłopcy w porze wczesnego lunchu skończyli z trawnikiem, jeszcze go nie było. Andrea pozbyła się Linnie i opanowała całkowicie sytuację.

- Zdażę nawet wziąć prysznic i wrzucić na grzbiet jakieś przyzwoite ciuchy. Słuchajcie, chłopaki, mam do was prośbę - jedną, jedyną prośbę. Wejdźcie od tyłu, żeby nie roznosić trawy po domu. I włożcie koszule, dobrze? Oczywiście buty też.

Ale nie było powodu do obaw. Kevin wychodził ze skóry, by wywrzeć odpowiednie wrażenie na obiekcie swego uwielbienia. Wprost ścinał z nóg intelektualnym wyglądem. Nie mając mięśni Supermana, przypominał młodego Clarka Kenta: poważny okularnik w źle dopasowanej i przez to niewygodnej koszuli oraz muszce.

Ta muszka Andreej dobiła.

- Może jeszcze kapelutek z prasową wizytówką zatkniesz za wstążkę? A na niej napis: „Wilson Bomba”.

Kevin zrobił minę zranionej sarny.

- Myślałem, że ci zależy... Poklepała go po ramieniu.

- Zależy. Wyglądacie wspaniale - obaj.

- Ty też - pochwalił ją Jim.

- Dzięki. Czemu nie pójdziecie i... i... och, róbcie sobie, co chcecie, tylko żebym nie widziała żadnego bałaganu. On może przyjechać i za parę godzin, więc nie ma co wypatrywać oczu.

Siedzieli na werandzie - Andrea na bujaku, chłopcy na schodkach. Tworzyli uroczy obrazek szczęśliwej rodziny, ale nie chciała, by Greenspan pomyślał, że nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko wyczekiwać go z utęsknieniem. Lecz równie dobrze mogła gadać do lampy.

- Nie co dzień ma się okazję poznania kogoś takiego jak Martin Greenspan - tłumaczył poważnie Kevin. - Gdybym tak zdecydował się na dziennikarstwo...

- Nie waż się go prosić, żeby przeczytał twoją książkę.

Kevin uśmiechnął się.

- Ona i tak istnieje przede wszystkim w mojej głowie.

- Zdaje się, stary, że nie jesteśmy tu mile widziani. - Jim podniósł kule i przygotowywał się do wstania. - Chyba psujemy obraz, czy coś w tym rodzaju.

Na drodze pojawił się samochód. Andreę nagle dopadła sceniczna trema, zmieniając jej ręce dosłownie w dwie bryłki lodu.

- Jimmie, proszę cię, siadaj, kochany, naprawdę nie chciałam... O Boże, przyjechał!

Jim wyciągnął się wygodnie.

- Chyba też jestem spięty. Spoko, Za Mała, ty wszystko wytrzymasz.

- Co ty tam wiesz!

Ale ucieszył ją komplement i stare przezwisko, nadane w dawnych czasach. Musiał ją wtedy siłą powstrzymać przed atakiem na Za Dużego Mazurskiego, który złamał mu nogę w kostce. Opanowała się. Samochód tymczasem spokojnie torował sobie drogę między rzędami dereni.

Był to volkswagen garbus nieokreślonego wieku, ale z pewnością nie pierwszej, a może i nie drugiej młodości, pierwotnie polakierowany na żółto. Teraz pokrywały go smugi w różnych odcieniach - od kremowego do wściekle kanarkowego - a boczne lusterka ustawiano mu chyba w pijanym widzie. W pierwszej chwili Andrea nie mogła uwierzyć, że sławny dziennikarz porusza się takim wrakiem. Potem uświadomiła sobie, że auto stanowiło doskonały przykład „odwróconego snobizmu”, który charakteryzował też twórczość właściciela: „W gruncie rzeczy jestem zwykłym robociarzem jak wy wszyscy: spójrzcie, nie mam nawet mercedesa!”

Twarz publicysty, znaną z fotografii zamieszczanej przy każdym jego artykule, dawało się z łatwością rozpoznać pomimo zakurzonej szyby. Próżność nie należała do słabości Greenspana; fotografie starzały się razem z nim, ukazując przesuwającą się coraz bardziej do tyłu linię włosów, mnożące się zmarszczki i obwisłe policzki. Samochód zatrzymał się przy frontowych schodkach i pierwszy gość wysiadł. W tyle auta rozległ się głośny trzask i po chwili wzbila się chmura dymu.

Dziennikarz przyglądał się temu zjawisku, skrobiąc się niespokojnie w głowę. Wyglądał wcale nie jak sławny pisarz, tylko jak pechowy sprzedawca nie chcianego przez nikogo towaru. Brzuch

wylewał mu się zza paska, garnitur był wymięty, a krawat źle zawiązany. Kevin jednym susem zeskoczył ze stopni.

- Wygląda na termostat.

Greenspan odwrócił się i zamrugął oczami.

- Tak? Coś się z nim dzieje, odkąd... - W tym momencie uchwycił spojrzenie Andrei, która stała na szczycie schodów. Podniósł rękę do głowy i nie znalazłszy na niej kapelusza, ukłonił się niezgrabnie. - Panno Torgesen, przepraszam za moje złe maniery. Usprawiedliwia mnie tylko niesprawność umysłu. Od jakichś piętnastu kilometrów spodziewam się w każdej chwili, że ten parszwy pojazd wyleci w powietrze.

Andrei nie przyszło do głowy, że jej gość jest zdenerwowany. Bo i czym? Co za dęta mowa, pomyślała i zareagowała odpowiednio sztywno.

- Proszę się nie tłumaczyć, panie Greenspan. Mam przyjemność powitać pana w Springers' Grove. - Nie dostrzegając wyciągniętej ręki, przyglądał się Andrei z wyjątkowo głupią miną i lekko opadniętą szczęką. - To mój brat, a zarazem współgospodarz domu - dokończyła prezentacji.

Przywykła już do ludzkich spojrzeń. Niektóre cechowała jawna ciekawość, inne - trudniejsza do zniesienia litość. Greenspan zachował się inaczej, po prostu z uśmiechem skinął Jimowi głową. Oczywiście Reba musiała go ostrzec.

Kevin zniknął pod tyłem samochodu, skąd sterczały teraz tylko sztywne z wysiłku, długie nogi. Po chwili wychynął stamtąd i zwrócił się, cały rozpromieniony, do przybysza:

- Mogę go panu naprawić. To robota na pięć minut, trzeba tylko zdobyć jedną część.

Greenspan wybuchnął tubalnym, niepohamowanym śmiechem, od którego zatrzęsło się jego potężne brzuszysko, a wszystkie zmarszczki wskoczyły na swoje miejsce, świadcząc raczej o poczuciu humoru niż o wieku.

- To cały Kevin - rzekł Jim. - On, proszę pana, naprawdę zna się na wozach.

- Kevin. - Greenspan uściskał z całej siły poplamioną smarem rękę, którą chłopak usiłował wytrzeć w spodnie. - Panna Torgesen nie wspomniała w informatorze, że naprawy samochodów są wliczone do usług.

- Robię jeszcze za tragarza. Walizki w bagażniku, proszę pana?

- Na tylnym siedzeniu. Dzięki.

Lody zostały skruszone na milion kawałków. Zażenowanie Greenspana zniknęło bez śladu. Z uśmiechem na ustach podszedł do stojącej na werandzie Andrei.

- Co za niesamowitych rzeczy dokonała pani w tym miejscu. Często tędy przejeżdżam i zawsze żałowałem, że taki wspaniały dom popada w coraz większą ruinę.

- Mam nadzieję, że jego wnętrze też przypadnie panu do gustu - odrzekła oficjalnym tonem. - Może zechce pan przyjąć zaproszenie na koktail przed kolacją. Jest pan naszym pierwszym gościem, więc uważamy, że należy to odpowiednio uczcić. Zwykle nie podajemy drinków, ale...

- Wiem. - Potrząsnął wyciągniętym z kieszeni informatorem. - Przywiozłem wprawdzie butelczynę, ale bez obawy, pijaństwo należy do tych nielicznych grzechów, które mnie nie bawią.

- A jakie pana bawią? - zaciekał się Jim.

- Jim! - syknęła Andrea. Greenspan zamrugał oczami.

- Wszystkie! - odparł z kamienną twarzą. - Lenistwo, zazdrość, pycha, próżność...

- Ale do kotów nic pan nie ma? - spytał Kevin wyciągając bagaże.

Greenspan zerknął na purpurową twarz gospodyni. Kąciki jego ust zadrgały.

- To zależy od kota - odparł z powagą. - Czy mam przez to rozumieć, że jest tu kot - rezydent?

Ponieważ szydło (a właściwie kot) wyszło z worka, Andrea wyjaśniła sytuację, starannie pomijając zbyt drastyczne szczegóły. Chłopcy jednak natychmiast uzupełnili opowieść, co doprowadziło Greenspana do chichotu.

- Przypuszczam, że Szatan domaga się miejsca do spania dokładnie pośrodku łóżka. Cóż, może się jakoś dogadamy. Niewątpliwie trzeba będzie pójść na ustępstwa. Jestem wielkim zwolennikiem kompromisu.

- Niestety, Szatan nie jest - rzekł Jim.

Kocur jednak nie pojawił się ani na łóżku, ani w ogóle w pokoju. Greenspan rozejrzał się po sypialni i aż gwizdnał z zachwytu.

- Super. Po prostu super.

- Dziękuję. Łazienka jest po drugiej stronie holu. Proszę dać mi znać, gdyby pan czegoś potrzebował. Czekamy na dole, ale dopiero kiedy pan odpocznie i w ogóle będzie gotów. Nie ma tu żadnego regulaminu, chyba że sam pan go sobie narzuci.

Słowa Andrei brzmiały sztywno i oficjalnie jak wyuczona formułka.

- Dziękuję - odparł ciepło dziennikarz. - Myślę, że niedługo się zjawię.

Aż dziwne, że na razie wszystko idzie jak po maśle. Przegoniła chłopców na dół, do kuchni. Inaczej czatowaliby na gościa pod drzwiami.

- Czyż nie jest wspaniały? - nie wytrzymał Kevin.

- Jak dotąd, nie zauważyłam, by zrobił coś szczególnie wspaniałego - odparła Andrea.

- Zachował się bardzo miło w związku z Szatanem.

- Nie zna go jeszcze. Słuchajcie, ciągle mamy okres próby, więc zachowujcie się spokojnie, dobrze? Jim, włóż trochę lodu do kubeczka i przygotuj tacę z drinkami.

- Pokroję ser - zaofiarował się Kevin.

- Obawiałam się, że to powiesz. W lodówce jest taca z kanapkami - powtarzam: z kanapkami, a nie z plasterkami sera. Tylko nie ważcie się nic ruszać, póki Greenspan nie zejdzie.

Wcinając wzgardzony ser, Kevin mówił z pełnymi ustami:

- Ten volkswagen nie wygląda za dobrze. Mogę odwieźć pana Greenspana na kolację.

- Tylko jeśli cię poprosi. Mówiłam, Kevin, uspokój się.

- Dobrze ci idzie, Andy - odezwał się pojednawczo Jim. - Jesteś idealną gospodynią.

- Seksizm (Seksizm - kierunek dążący do zniesienia równouprawnienia płci, m. in. poprzez ostentacyjne używanie żeńskich końcówek w nazwach zawodów (przyp. tłum.)) przez ciebie przemawia! - oburzył się Kevin, wymachując kawałkiem sera.

- No, niech ci będzie: idealny właściciel zajazdu - poprawił się Jim.

Stosownie do obietnicy Greenspan nie dał długo na siebie czekać. Po zachwytach nad urządzeniem salonu poprosił nieśmiało:

- Czy nie sprawię kłopotu, jeśli zaproponuję, byśmy się przenieśli na werandę? Nie siedziałem na takim werandowym bujaku, odkąd... mniejsza o to. Wezmę kanapki i krakersy...

Wydawało się, że gość jest zadowolony. Dopiero o siódmej przeprosił, tłumacząc, że spóźni się na kolację. Przedtem jednak zdążył do reszty zawojować chłopców. Wysłuchał z szacunkiem ich poglądów i pochwalił, że na poruszane tematy wiedzą co najmniej tyle samo co on. Andrea musiała przyznać, że jest inteligentnym i błyskotliwym rozmówcą.

Odnosząc do kuchni brudne naczynia, nie przestawała wysilać umysłu. Jak dotąd - w porządku. Ale jutro czeka ją prawdziwy sprawdzian. Przyjedzie czwórka innych gości, a Szatan nie wyrównał jeszcze rachunków z Greenspanem. Chłopcy dostali na kolację hamburgery i Andrea wcześniej poszła do siebie. Dała wprawdzie dziennikarzowi klucz do frontowych drzwi, ale podejrzewała, że ci dwaj i tak na niego zaczekają. Cóż, pomyślała ze znużeniem, to jego sprawa, musi się przyzwyczaić do pełnej uwielbienia asysty, wyczekującej na każde słowo... Zasnęła natychmiast kamiennym snem i w ogóle nie słyszała powrotu swego gościa.

Pomimo głębokiej ciszy ostatnich godzin nocy obudził ją ból przeforsowanych mięśni. Tym razem oprzytomniała od razu, bez łagodnego okresu pośredniego między jawą a snem. Widziała dokładnie otwarte okno, bladą smugę księżycowego światła, białe muślinowe firanki, zwisające omdlewająco w dusznym, nieruchomym powietrzu.

Nagle dobiegł ją łopot skrzydeł. Miotaly się wściekle w mrokach nocy, jakby usiłując za wszelką cenę wyrwać się na wolność. To wzbijały się w górę, to znów opadały, a drgające powietrze atakowało zgodnie z ich rytmem porażoną strachem Andree.

Nim chłopcy wpadli do pokoju, zdarła sobie gardło od krzyku. Przez cienkie prześcieradło, które naciągnęła na głowę, przebijało światło zapalanej lampy, ale i tak Jim musiał wyrwać materiał z zaciśniętych palców siostry.

- Andy! Co z tobą?

Widok zaspanej, wystraszonej twarzy brata wyrwał z jej ust okrzyk grozy:

- Jimmie, Jimmie!... O Boże!

- Hej. - Usiadł przy niej na łóżku i otoczył ramieniem. - Już dobrze, jestem przy tobie. Miałaś zły sen?

Zadygotała.

- To nie sen. Coś było w pokoju. Przysięgam, że było. Może ptak... wpadł tu i próbował się uwolnić... Duży ptak...

- Teraz nic nie ma - rzekł stojący w drzwiach Kevin. Bez okularów sprawiał wrażenie kogoś obcego.

- Zobacz. - Usiadła prosto, nie puszczając ręki Jima. - Zajrzyj pod łóżko, za biurko...

Kevin usłuchał.

- Nic nie ma - zaklinał się. - Nawet siatka w oknie jest cała. Przyśnił ci się jakiś koszmar. Tylko nie rozumiem, dlaczego aż tak przeraziłaś się ptaka. Oglądałaś horror w kinie nocnym?

- Może to był nietoperz? - zastanawiał się Jim. - One potrafią szaleć. Powiedz, siostrzo, co cię tak nastraszyło?

Andrea zmusiła się do rozluźnienia palców.

- Żaden nietoperz. Miało pióra. I było duże... O, takie... - Pokazała rękami.

Chłopcy nie potrafili dłużej zachować powagi.

- To właśnie jest typowe dla koszmarów - mądrzył się Kevin. - Nie przeraża cię sam obraz, ale jego Freudowska interpretacja.

Andrea opadła na poduszkę. Spływała potem, mięśnie bolały ją jak po długim biegu, ale z dwojga złego wołała koszmary niż Kevinową psychologię od siedmiu boleści.

- Wracajcie do łóżek - burknęła. - Przykro mi, że was obudziłam.

- Już w porządku? - spytał Jim.

- Tak, oczywiście. Zwlekał z odejściem.

- Tak szczerze, siostrzyczko, nie ma sposobu, by coś się tu przedostało. Siatka jest szczelna, a komina nie ma.

- Wiem. Nic mi nie jest.

- Chcesz, żebym zostawił otwarte drzwi?

- Nie! To znaczy - dziękuję. Idź spać.

Jakiś czas później zmusiła się do wstania i sprawdzenia jeszcze raz wszystkich kątów, które chłopcy już przeszukali. Nie mogła ich winić za brak zrozumienia dla wstrząsu, jakim było dla niej to przeżycie. Teraz sama nie potrafiła do końca zrozumieć, co się stało. Skrzydła próbujące się wyswobodzić... To oczywisty symbol - ptaki,

skrzydła, lot, wolność. Tylko że nie widziała w tym sensu. W jej życiu
nie było nic, od czego chciałaby uciec.

ROZDZIAŁ IV

Ku źle ukrytemu zawodowi Linnie, chłopcy spali do późna. Andrea kazała dziewczynie posprzątać salon, gdzie poprzedniej nocy odbyła się najwyraźniej długa, męska impreza. Uczestnicy grzecznie wynieśli do kuchni puste puszki po piwie i filiżanki po kawie, ale wszędzie wałały się okruchy i rozsypany popiół. Znalazł się też zapomniany talerz z wyschniętymi na wiór plasterkami sera.

Greenspan zamówił śniadanie na ósmą. Andrea, choć śpiąca i wytrącona z równowagi, przygotowała mu tacę, popełniając przy tym jedynie nieznaczne błędy. Ciasto na muffiny przygotowała wczoraj, dziś należało tylko dodać jagód i uformować placuszki. Pokrojone w plasterki brzoskwinie, śmietanka, płatki zbożowe do wyboru, grzanki i świeżo zaparzona kawa... Jeszcze tylko ostatni rzut oka. Na pewno o czymś zapomniała. Cukier, dietetyczny słodzik, sztućce, serwetka... Masło w malutkiej miseczce z miśnieńskiej porcelany... Och! Ze stłumionym okrzykiem rzuciła się do lodówki. Przecież dżem! Jeszcze kilka misek: galaretka truskawkowa i jabłkowa roboty żony miejscowego farmera. Miseczki stanowiły miły akcent. Kuzynka Berta posiadała ich kilkadziesiąt. Andrea nie miała pojęcia, do czego dawniej służyły.

W najbliższym czasie obarczy Linnie obowiązkiem zanoszenia na górę tac ze śniadaniem, ale tego pierwszego dnia lepiej będzie, gdy zrobi to sama. Taca była ciężka i przy wchodzeniu po schodach obolałe łydki mocno dawały się Andrei we znaki.

Pomysł roznoszenia śniadań do pokoi poddała jej pewna życzliwa właścicielka zajazdu w Wirginii, od której niejeden pomysł ściągnęła bez skrupułów. Zadanie, choć uciążliwe, nie okazało się trudniejsze niż podawanie wspólnego dla wszystkich posiłku w jadalni. Stwarzało wrażenie indywidualnego traktowania każdego gościa. „Twoja klientela to nie zwykli turyści”, przekonywała ją sympatyczna koleżanka. Większość zalicza się do dwóch kategorii: romantycznie nastroszeni nowożeńcy i starsi ludzie, którzy chętnie wypiją poranną filiżankę kawy bez konieczności zakładania zębów. Nie śmieję się! Jesteś wprawdzie znacznie ode mnie młodsza, ale czy nie sądzisz, że z wiekiem coraz trudniej jest stawać oko w oko ze światem przed poranną kawą?”

Andrea postawiła tacę na stoliku przed drzwiami Greenspana, przyjrzała się jej jeszcze raz, po czym delikatnie zapukała. Okienko

nad drzwiami było uchylone. Usłyszała skrzypienie łóżka i stłumiony jęk.

- Już ósma, panie Greenspan - oznajmiła i natychmiast uciekła.

Drzwi otworzyły się dopiero, gdy już znalazła się na podeście, poza zasięgiem wzroku gościa. Uśmiechnęła się leciutko na myśl, że widać dziennikarz należy do tych, którzy wkładają zęby dopiero po kawie.

Kiedy gość zszedł na dół, dokonywała właśnie w salonie ostatnich poprawek po cokolwiek pobieżnym sprzątaniu Linnie. Przystanął w drzwiach, by się przywitać.

- Wyśmienite śniadanie - powiedział. - Pewnie sama pani piekła muffiny?

W tonie jego głosu było coś tak ponurego, że w Andrei natychmiast obudziła się czujność. Nieświeże jagody? Sól w cukiernicze?

- Owszem, sama. Czy okazały się niejadalne?

- Były super - odparł Greenspan z jeszcze posepniejszą miną. - Cóż. Pora na poranną przebieżkę.

- Do bramy i z powrotem jest ponad pół kilometra - poinformowała go usłużnie Andrea.

- Tak? Świetnie. Nie ma jak trochę joggingu po śniadaniu. Robię to codziennie.

- Tym lepiej dla pana. Chyba lubi pan biegać.

- O, tak. No dobrze. Dziękuję za przepyszne śniadanie.

Po jego wyjściu Andrea wróciła do ścierania kurzu. Podejrzewała, że słynny autor Martin Greenspan po prostu się popisuje. Gdyby rzeczywiście każdego ranka uprawiał jogging, nie urosłoby mu takie brzuszysko.

*

Wieczorem przyjechali następni goście, dwie pary w średnim wieku ze stanu Pensylwania. Twierdzili, że mają fioła na punkcie antyków i chcą się rozejrzeć za jakimiś okazjami w tych dzikich okolicach zachodniego Marylandu. Pan Whitman - wysoki, tęgi jegomość noszący dwuogniskowe szkła w złotych oprawkach - klepał się po brzuchu jeszcze wydatniejszym niż Greenspana i wychwalał pod niebiosa muffiny Andrei. Niski, pękaty pan Johnson (trójogniskowe okulary w złotych oprawkach) próbował poklepać ją po tyłku, ale nie upierał się przy tym nadmiernie.

Wydarzył się tylko jeden niefortunny incydent. Kiedy w sobotni wieczór towarzystwo wróciło z rundki po aukcjach - zgrzane, wykończone i zde gustowane z powodu wysokich cen - okazało się, że w sypialni Johnsonów nie działa klimatyzacja. Ponieważ Andrea miała wolne jeszcze dwa pokoje, po prostu przeniosła pechowców do jednego z nich. Jednak Johnson zezłościł się z powodu tej niewygody, choć rozszczebiotana małżonka starała się ze wszystkich sił go uspokoić.

Zapewne przez czysty przypadek Greenspan zdecydował się przyłączyć do gości zebranych w salonie przy herbacie. Andrea podała ją w delikatnych hawilandskich filiżankach wraz ze skąpo wydzielonymi, lecz artystycznie ułożonymi na paterze ciasteczkami. Pewnego dnia, gdy nauczy się przyrządzać placuszki z bitą śmietaną, ma nadzieję przyciągnąć klientki po zakupach na popołudniową herbatkę i może nawet odważy się podnieść ceny? Teraz jednak pod tym terminem kryje się to, co w innych zakładach o gorszej reputacji określa się mianem „godziny szczęścia”, czyli picia. Goście rodzaju męskiego wolą sobie przygotowywać własne drinki, korzystając tylko z kostek lodu i szklaneczek Andrei. Nie miała koncesji na podawanie alkoholu i nie zamierzała o nią występować. Nie potrzebowała ostrzeżeń znajomych, by wiedzieć, jakie ryzyko z tym się wiąże.

Pani Whitman wzięła filiżankę herbaty i skubała delikatnie ciasteczka. Pani Johnson przyłączyła się do mężczyzn, którzy sączyli whisky z wodą sodową. Jej mąż nadal narzekał na klimatyzację. W tym momencie w drzwiach stanął Martin Greenspan.

Wiedzieli, kim jest. W księdze gości, którą obejrzeli przed dokonaniem wpisu, figurowało tylko jego nazwisko. Czekali, kiedy się pojawi. Był z niego nie kwestionowany lew salonowy, wprawdzie nie najwyższej rangi, ale co najmniej średniej. Uśmiechnięty i szarmancki, przyjął od pana Johnsona drinka, po czym rozsiadł się wygodnie i czekał, aż go złączą przypiekać.

Poglądy polityczne gości wahały się od skrajnej prawicy do prawicowej ekstremy. Andrea nie rozumiała, czemu tacy ludzie zawracają sobie głowę tekstami Greenspana, ale Johnson znał chyba każde słowo, które wyszło spod pióra dziennikarza. Cytując niektóre z nich, aż poczerwieniał na twarzy.

Choć Greenspan został nieźle przyparty do muru, spór bynajmniej nie toczył się po jednej stronie barykady. Andrea była zachwycona

tym, w jaki sposób publicysta bronił swych racji, nie pozwalając się wytrącić z równowagi i nie podnosząc głosu. Po pewnym czasie pani Johnson przypomniała mężowi, że są już spóźnieni na kolację. Choć Johnson prawdopodobnie opuszczał salon w poczuciu wygranej debaty, Andrea nie zauważyła, by Greenspan ustąpił choć na cal.

Zbyt zajęta przez cały dzień obowiązkami, nie miała czasu zastanawiać się nad nocnym koszmarem. Kiedy jednak znalazła się wieczorem pod drzwiami swej sypialni, wszystko wróciło z taką żywością, że wprost nie miała odwagi nacisnąć klamki. Wahanie trwało tylko chwilę; nie podda się przecież takiej słabości, w każdym razie nie teraz. I nie zostawi zapalonego światła, choć czuje wielką pokusę. Gruntowne wyczerpanie spowodowało wkrótce nie zakłócony niczym sen, który pozwolił jej nabrać sił przed kolejnym gorącym, parnym dniem.

Obie pary małżeńskie wyjechały w niedzielę po południu, po znużającym dniu spędzonym w świetle antyków i solidnym obiedzie w „Rogu Obfitości”. Powiedzieli Andrei, że są bardzo zadowoleni z pobytu.

- Myślę, że wyprostowałem nieco poglądy tego młodego człowieka - burczał Johnson.

Dopiero po dobrej chwili Andrea pojęła, że mówi o Greenspanie.

Pani Whitman, zwolenniczka herbaty, tylko się miło uśmiechała. Później jednak, kiedy mężczyźni pakowali bagaże do ciężarówki załadowanej już weekendowymi zakupami, a pani Johnson udała się jeszcze na górę w pewnym nie sprecyzowanym, choć oczywistym celu, pani Whitman pociągnęła Andreę na bok.

- Spędziliśmy tu takie miłe chwile. Ten przepiękny, stary dom... - Pani Whitman zniżyła głos do szeptu. - I ta obecność... tak ciepła, serdeczna, zbawienna...

- Obecność? - powtórzyła Andrea.

- Och, moja droga, przede mną nie musi pani udawać, ja zawsze byłam wrażliwa na takie sprawy. Nie mówię o tym przy Harrym, on jest za bardzo przyziemny, ale wyczułam to dosłownie od momentu przekroczenia progu. Niewidzialna obecność kogoś życzliwego i kochającego...

Kiedy do Andrei dotarło znaczenie pokrętnych aluzji pani Whitman, mogła tylko zacisnąć zęby, by nie wyrwało się jej przekleństwo. Ostrzegano ją przed czymś takim. „Na litość boską,

moja droga, nie pozwól się zawojować psychicznym. To odwieczny problem, gdy chodzi o stare domy, oni ciągle węszą za duchami, zjawami, starymi morderstwami. Prawda, że przyciąga się w ten sposób klientów, ale na większość gości takie rzeczy działają odstraszaająco i ani się obejrzysz, jak cię jakiś kretyn wyroluje..."

- Obawiam się, że nie wiem, o czym pani mówi - odparła zimno.

Pani Whitman nie dawała jednak za wygraną.

- Nie każdy to wyczuwa. Tylko ci, którzy potrafią się dostroić do duchowego świata. Aż do ostatniej nocy sama nie miałam pewności. Leżałam długo, nie mogąc zasnąć, a nade mną się unosiły... jakby anioły. Muskały mnie skrzydłami... Ojej, Harry mnie woła, muszę lecieć. Panno Torgesen, jeszcze raz dziękuję...

Skrzydła. To jedno słowo niewinne słowo Andrea odebrała jak cios w żołądek. Przypadek, powiedziała sobie. Czysty przypadek. Anioły, twory duchowe, anielska obecność... to zwykle określenia w tej sferze.

Przyoblekła twarz w uśmiech i poszła pożegnać odjeżdżających gości.

Kiedy ciężarówka zniknęła jej z oczu, wróciła do kuchni i ciężko opadła na krzesło. Po chwili przyszedł Kevin, który pomagał ładować rzeczy. Z uśmiechem pokazał swój łup.

- Pół dolca. Wiedziałem, że ten Johnson jest oszczędny.

- Powinieneś mu to oddać z miną lorda - odparła Andrea. - Dziękuję, Kevin, jestem ci bardzo wdzięczna.

- Nie musisz. Zbieram materiał do książki.

- Gdzie Jimmie? - Zrzuciła pantofle i próbowała poruszać palcami nóg.

- Gdzieś na dworze.

- Ale nie na tym starym cmentarzu? Idź i zawołaj go. Powinniśmy zjeść kolację. Choć właściwie jestem tak zmęczona, że mam to w nosie.

- Żadnego gotowania, moja pani. Pojedziemy po pizzę.

- Czy możecie przywieźć i dla mnie? - W drzwiach ukazała się głowa Greenspana. - Może być każda, tylko nie z anchois. Nie znoszę anchois.

- Ja też - ucieszył się Kevin. - A oliwki mogą być? Dobra. Fajnie. Lecę po Jima.

Greenspan zwlekał z odejściem.

- Proszę wejść. - Andrea sięgnęła po pantofle.

- Chyba że obieca pani zostawić te buty w spokoju. Proszę się swobodnie wyciągnąć. Mogę pani coś podać? Herbata, piwo, mleko, szampan?

- Pan jest moim gościem, panie Greenspan. To ja powinnam pana obsłużyć.

- Proszę mi mówić: Martin.

Miał zniewalający uśmiech. Surowość wąsko wykrojonych ust łagodził skrzywiony ząb. Przy silnym zarysie rzymskiego nosa, niemal tak imponującego jak u Waszyngtona, dół twarzy pozostawał cokolwiek w cieniu.

- Nie wiedziałam, że nosisz okulary - powiedziała patrząc na szkła przesunięte do góry na łysiejącą głowę.

- Tylko do czytania. Przekleństwo średniego wieku.

- Jesteś głodny? Myślałam, że byłeś na kolacji u Reby.

- Obawiałem się że wpadnę na Moralną Większość.

- Przecież to nie do przyjęcia. Nie mogę dopuścić, żeby jedni goście narażali innych na niewygodę.

- Na miłość boską, kobieto, przestań się wreszcie czuć odpowiedzialna za cały świat! Nie zaszkodzi mi, jak opuszczę jeden posiłek. I tak ostatnio przytyłem.

Andrea chciała, żeby już sobie poszedł. Czowała, że za tą pozornie zdawkową rozmową coś się kryje, ale Martin przeszedł do rzeczy dopiero, kiedy chłopcy pojechali do pizzerii w okolicy Frederick.

- Pewnie to paskudna pora na poruszanie takich spraw, kiedy słabo ci się robi na samą myśl o gościach, ale mam dla ciebie pewną propozycję. W końcu możesz ją odrzucić.

- O co chodzi? - W Andrei obudziła się czujność.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy - uśmiechnął się Martin.

- Ja nie myślałam o...

- Jasne, że nie. - Składał i rozkładał okulary. - Jak na zawodowego pisarza, nie jestem zbyt wymowny, prawda? Mam prostą sprawę. Blok, w którym mieszkam w Waszyngtonie, przekształca się w kondominium (Kompleks mieszkań własnościowych (przyp. tłum.)). Zresztą i tak nigdy nie mogłem tam wytrzymać, to nieciekawa, tandetnie zbudowana klatka dla ludzi... Więc tak sobie pomyślałem... widzisz, mam umowę na książkę, już trochę zawałem

termin i mój wydawca przysięga, że mnie ugotuje w oleju, jeśli nie skończę do pierwszego marca...

- Chyba nie chodzi ci o pozostanie tutaj?

- A cóż by w tym było dziwnego?

- No... sama nie wiem.

Martin zaczął mówić bardziej płynnie.

- Zawsze ciągnęło mnie w te strony. Po moim obwodzie widać, że lubię regularne posiłki. „Róg Obfitości” to jedna z moich starych melin. Nie znoszę mieszkać w motelu. Twój zajazd ma szczególny klimat...

- To znaczy? - Andrea się wyprostowała. Popatrzył na nią zdziwiony.

- Spokój, przyjemne otoczenie, urok starego domostwa... A ty myślałaś, że co?

- Niczego nie widziałeś? Nie wyczułeś?

- Droga panno Torgesen, czy próbujesz mi wmówić, że dom jest nawiedzony?

Spoglądali na siebie jednakowo skonsternowani. Andrea zdążyła już pożałować odruchowego pytania. Gdyby nie zmęczenie i gdyby ta grupa kobieta nie wyprowadziła jej z równowagi...

Martin uśmiechnął się.

- Niczego nie widziałem ani nie wyczułem.

- No, dalej, wyśmiewaj się ze mnie. Nie żałuj sobie.

- A co z tobą? Może ty coś widziałeś albo wyczułaś?

- Nie. Nie wierzę w tę bzdurę. A i ty jesteś za inteligentny, by dać się nabrać.

- Cóż... - Podrapał się za uchem. - Staram się mieć otwarty umysł. - Widząc jej minę roześmiał się z zakłopotaniem. - Wiem, co teraz myślisz. Że może jest za bardzo otwarty. Nie możesz mnie tak odstawić, panno Torgesen. I nie zapominaj, że nie znajdziesz zbyt wielu klientów, którzy zgodziliby się sypiać z puszystym, czarnym kotem.

- O mój Boże! - Andrea zakryła twarz rękami. - Na śmierć zapomniałam o Szatanie. Czy on...

- Tak jest. W gruncie rzeczy świetny z niego kompan. Pokrewieństwo pisarzy z kotami jest dobrze udokumentowane, z jego pomocą stworzę fantastyczne dzieło. Nie musisz się decydować w tej chwili. Przemyśl to sobie. Pogadaj z bratem...

Wiedziała przecież, co powie Jim. Zdawała sobie zresztą sprawę z zalet planu Greenspana. Zalet? To istny dar niebios - stały dochód w okresie martwego sezonu! Nie mówiąc już o reklamie, szczególnie cennej ze względu na osobę gościa. Same korzyści! Z drugiej strony...

...Sami z Jimem... Wspólna praca i wspólne projekty... Długie, zimowe wieczory przy piecu kuchennym, kiedy śnieg z deszczem tłucze o szyby... Czytanie i rozmowy, telewizja... Poznawanie Jima na nowo... Tak mało go widywała, odkąd poszedł do college'u, chociaż kampus znajdował się tylko o godzinę drogi...

Szalka przesunęła się w dół, ale dzięki zdrowemu rozsądkowi znów podskoczyła. Komfortowe warunki, które chciała zapewnić Jimowi, zależały wyłącznie od sukcesu w interesach. Wszystkie swoje oszczędności wpackowała w ten zajazd. Czasy są trudne; jeśli hotelik padnie, ona może nie znaleźć pracy wystarczająco dobrze płatnej, by nie odbiło się to na Jimie...

- Nie muszę się namyślać - odpowiedziała. - Oczywiście, jeśli uzgodnimy warunki...

*

Pomimo wszystkich obaw umowa nie przysporzyła Andrei kłopotów. Greenspan okazał się idealnym gościem. Poza posiłkami i porannym bieganiem rzadko opuszczał pokój. Ku skrywanemu rozbawieniu swej gospodyni, zaczął się wkrótce pojawiać w przepisowym stroju do joggingu, tak nowym, że z tyłu spodni ciągle jeszcze dyndała mu metka z ceną. Interes rozwijał się, goście przyjeżdżali nawet w środku tygodnia. Były wśród nich rozchichotane gospodynie domowe pragnące wyrwać się z rodzinnych pieleszy, ale i dziadkowie spragnieni spokojnej nocy i zjedzonego bez pośpiechu śniadania, nim wpadną w wir rodzinnego życia.

Kevin nie zbierał się jakoś do odjazdu. Andrea wiedziała, że powinna być mu wdzięczna. Dzięki niemu Jim miał zajęcie i rozrywkę. Ona sama nie była w towarzyskim nastroju. Słabo jeszcze widoczną zmarszczkę na czole - wynik przepracowania - zastąpiła wprawdzie promiennym uśmiechem, ale tylko przy gościach. Nie mogła się już doczekać wyjazdu Kevina na uczelnię i cieszyła się w głębi serca, że wybrał uniwersytet na środkowym zachodzie zamiast miejscowego college'u. Nie będzie żadnych cotygodniowych wizyt, zakłócających koleżeńską idyllę, której wyczekiwała z utęsknieniem. Najpierw jednak musi wyjść na prostą z interesami.

Pewne sprawy związane z zachowaniem chłopców doprowadzałyby ją zapewne do szału, gdyby miała czas się zastanowić. Spenetrowali każdy skrawek z trzydziestu akrów ziemi otaczającej dom i wyskakiwali bez przerwy z różnymi niepraktycznymi projektami. Wymyślili na przykład, żeby zbudować na strumieniu basen, w lesie wytyczyć buldożerem „naturalne” szlaki, urządzić dziewięciodołkowe pole golfowe. Wyciągnęli ze strychu hantle Jima i zrobili sobie w jednej z szop salę gimnastyczną. Przetrzęsnęli, wprawdzie bezskutecznie, kurnik i inne zabudowania w poszukiwaniu elektrycznego samochodziku Berty. Przy okazji znaleźli zardzewiałe maszyny gospodarcze oraz stary traktor, który rozebrali na części i próbowali zreperować.

Bez wiedzy Andrei spędzali wiele czasu na opuszczonym cmentarzu. Nie zdawała sobie sprawy, ile pracy w niego włożyli, aż do dnia, w którym Kevin miał wyjechać i Jim zaprosił ją do obejrzenia rezultatów.

- Nie, dziękuję - rzekła. - Gdybym wiedziała, co wam chodzi po głowie, zabroniłabym tego. Nie mogę pojąć, co was tak fascynuje w tym okropnym miejscu.

Martin właśnie jadł z nimi lunch. Za niewspółmiernie wygórowaną dodatkową opłatą Andrea zgodziła się podawać kanapki i zupę, kiedy nie chciało mu się wychodzić.

- Ja też jestem zaproszony? - spytał. - Nie wiedziałem, że na terenie posiadłości jest cmentarz. Co za wygoda!

- Oczywiście, bardzo prosimy - odparł Jim. - Nie myślałem, że to pana zainteresuje.

- Mnie właściwie wszystko interesuje. Dlatego właśnie zawałam terminy.

- Nie ma tam nic ciekawego - próbowała go zniechęcić Andrea. - Same chwasty i ciernie.

- Już nie - zaprotestował Jim. - Jest to, panie Greenspan, stary cmentarz Springerów. Tak się nazywała rodzina, do której posiadłość należała w XVIII wieku. Wtedy istniało wiele prywatnych cmentarzy. Z biegiem lat, kiedy dorastały kolejne pokolenia i podróże stawały się łatwiejsze, większość z nich uległa zapomnieniu.

Greenspan, z łokciami na stole, słuchał z wielką uwagą, jak zwykle zresztą, kiedy Kevin albo Jim coś mu opowiadali, nawet jeśli nie dowiadywał się niczego nowego.

- Jim zdobył książkę o tych starych cmentarzach - wyjaśnił Kevin. - Jakiś facet przeprowadził badania aż do lat trzydziestych i czterdziestych. Odwalił kawał roboty, bo już wtedy niektóre z tych miejsc były zarosnięte i zapomniane. Od tamtej pory jeszcze więcej cmentarzy zniknęło z powierzchni ziemi.

- Ale ten dom zbudowano... zaraz... niech pomyślę... mniej więcej w połowie XIX wieku - rzekł Greenspan. - Czyli znacznie później niż powstały te cmentarze.

- Domyślamy się, że przedtem stał tu inny dom - odparł Kevin. - Może niedokładnie na miejscu tego, ale na terenie tej samej posiadłości.

Greenspan pokiwał głową.

- To rozsądny pogląd. Sprawdziliście?

- Och, nie, nie odrabialiśmy żadnych słupków - uśmiechnął się Kevin. - Zajęliśmy się uczciwą pracą ręczną.

Z zewnątrz cmentarz nie wydawał się odmieniony. Cegły w murze gdzieś się kruszyły i pozostały, jak przedtem, krzywo ułożone. Zwieszające się nisko gałęzie cedrów rzucały posepny, zielony cień. Natomiast teren w środku zmienił się nie do poznania. Przedtem całość porastała płataniną chwastów i pieniających się bez przeszkód jeżyn. Chłopcy wyrabiali młode samosiejki drzew, wyrwali z korzeniami wiciokrzewy i dzikie jeżyny, wycięli chwasty, pozostawiając tylko nierówne ściernisko. Nie wyglądało to ładnie, ale przynajmniej nie aż tak brzydko jak dotąd. Tylko parę nagrobków zostawili na miejscu, reszta została ułożona w równym rzędzie pod murem.

Kevin otworzył z rozmachem bramę i objął funkcję przewodnika.

- Nie ruszaliśmy żadnego z nagrobków pozostających na swoich miejscach. I zaznaczyliśmy na planie, gdzie znaleźliśmy te inne. - Zerknął na dziennikarza, który stosownie do oczekiwań chłopca skinął z aprobatą głową. - Dużo było poprzewracanych albo rozsadzonych od spodu przez korzenie drzew. Ale spójrzcie choćby na datę tego!

- „John Springer” - przeczytał Greenspan. - „Urodzony w kwietniu 1712 roku, zmarły”... kiedy?

- Też nie mogliśmy odcyfrować, wszystko jest zatarte. Ale czy to nie rewelacja? 1712! - I pociągnął Martina do innych nagrobków.

Andrea spojrzała na brata. Uniesioną ku górze twarz oświetlały promienie słońca przenikające przez gałęzie cedrów. Był rozmarzony i myślami bujał gdzieś daleko.

- Jim! - przywołała go ostro.

Odwrócił się na kuli jak na osi, ciągle z tym samym wyrazem twarzy.

- Myślę, że moglibyśmy to jakoś urządzić. Zasiać trawę, posadzić kwiaty... A tu, pod drzewami przydałaby się ławeczka.

- Jimmie, wołałabym, żebyś nie...

Greenspan błyskawicznie położył jej rękę na ramieniu.

- Fantastyczna robota, Jim. Musieliście sobie wyrobić niezłe bicepsy.

- To była piekielna harowa - przyznał chłopak. - Ale ledwie zaczęliśmy. Myślę, że trzeba będzie...

I znów zaczął snuć swoje projekty. Tym razem jednak jego słowa nie brzmiały już tak... złowrogo? Chorobliwie? Mimo to niechęć Andrei się nie zmniejszyła. Już miała zaproponować, żeby wracali, kiedy usłyszała podniecony głos Greenspana:

- A to co takiego?

Jednym susem skoczył do splątanych liściastych gałęzi pod murem, na wprost furtki. Liście zaczynały już przybierać barwy jesieni. Kiedy Andrea podeszła, Greenspan trzymał w dłoni kwiat. Miał przy tym taką minę, jakby znalazł co najmniej rzadki gatunek orchidei. Bładoróżowe pomarszczone płatki wydzielają silny zapach piżma.

- Dzika róża - rzekł Jim. - Wiciokrzew częściowo ją przygłuszył, ale zostawiliśmy krzak, bo ładnie kwitnie.

- Dzika róża, też coś! - wykrzyknął Martin. - Albo zwariowałem, albo mamy tu okaz rosa damascena bifera.

- Rosa... - jaka? - zdziwił się Kevin. - Co w niej takiego nadzwyczajnego?

Martin trzymał kwiat w zagłębieniu dłoni.

- Jesienna damascenka. Jedna z najstarszych róż na świecie. Pisali o niej Owidiusz i Liwiusz. Sprowadzona do Nowego Świata przez Hiszpanów, którzy nazywali ją różą kastylijską.

- Musiała ją zasadzić kuzynka Berta - rzekła obojętnie Andrea. - Ależ ty masz rozległe zainteresowania!

- Chcesz powiedzieć, że nie wyglądam na miłośnika róż. A jednak nim jestem. Kiedyś zamieszkałam na wsi, w miejscu takim jak to, i będę uprawiała ogród. Tego gatunku nie dostaniesz od sąsiadki. Można go sprowadzić tylko od specjalistów. Czy jesteś pewna, że twoja kuzynka

nigdy -

- Naprawdę trudno mi powiedzieć. - Andrea nie mogła zrozumieć jego dociekliwości, poza tym miała już dość tego miejsca. - Panowie, podziwiam wasz wysiłek i mądrość. Jesteście w ogóle bardzo mili, ale muszę wracać do pracy. Idziecie ze mną?

- Zaczekaj chwilę. Co to jest? - Martin pochylił się, rozgarniając długie badyle i wybujałą trawę, z której wyrastały. - Jeszcze jeden nagrobek?

- Znów się przewrócił. - Kevin ukląkł przy Martinie. - Myślałem, żeśmy go dość solidnie umocowali. Jest na nim ciekawy napis - dodał.

Martin uniósł płytę tak, by padało na nią słońce. Spośród wielu pozacieranych liter tylko jedna linijka pozostała czytelna. Czy ocalała przez przypadek, czy też akurat tę część napisu wyryto dość głęboko, by oparła się wpływom atmosferycznym i czasowi? Inskrypcja naprawdę była ciekawa.

- TUTAJ ZOSTANE - przeczytał Martin. - Rany, co za jakiś zatwardziały bezbożnik?

Reszta napisu była kompletnie zatarta.

- Chyba na imię miała Mary - zdecydował w końcu Martin. - Widzę też datę: 1800 albo 1809, albo 1889 czy jakoś podobnie. Jedna ze Springerów?

- Gdybyśmy oczyścili ten kamień, może udałoby się więcej odczytać - zaproponował Kevin.

- Może. Nie jestem pewien, czy mi tak zależy. Komuś innemu jednak musiało zależeć, skoro sprowadził tę różę, by ją zasadzić na grobie... Ciągle nie chce mi się wierzyć, by przetrwała taki szmat czasu bez właściwej pielęgnacji.

- Zaczekajcie... - Znów zaczął przegarniać trawę. - Korzenie sięgają tutaj, parę stóp od grobu Mary. Czyżby do innego grobu? Są tu resztki płyty...

Umilkł i przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Wszelki ruch ustał, jakby zawieszony w powietrzu. Nawet wiatr zniżył głos do stłumionego szmeru...

- Idę - odezwała się Andrea. Jej głos brzmiał za głośno i za szorstko, niemal obraźliwie wobec tej ciszy. - Mam robotę.

Martin dogonił ją, kiedy zwolniła przyśpieszone, przypominające ucieczkę kroki do normalnego tempa.

- O co chodzi? - zapytał. - Czy zrobiłem coś złego?

Usłyszała z tyłu rozbawione głosy chłopców. Szli do szopy, w której trzymali hantle. Czemu Jim nie może zająć się czymś bezpiecznym? Czy musi wymachiwać ciężkimi hantlami albo łązić po wyboistym cmentarzu niczym jakiś Hamlet?

- To patologiczne. Patologiczne i niezdrowe. Po co go zachęcasz?

- Pozostając przy tej terminologii, za patologiczną należałoby uznać całą archeologię, podobnie zresztą jak historię - próbował ją przekonać. - Genealogia, paleontologia, antropologia... Wykopywanie starych kości... Chłopak ma swoje potrzeby, Andreo. Szuka nowych zainteresowań, nowych pasji, może nowej drogi do kariery. Zdaje się, że ma zamiar zostać profesjonalistą.

- Pic na wodę. On chce się specjalizować w księgowości. Albo w komputerach.

- A może w hotelarstwie? No dobrze, teraz powiedz, że to nie mój interes. Ale nie mogę dopuścić, aby ludzie, których... których lubię, popełniali tak skandaliczne pomyłki. Muszę wyrazić, co myślę, i dlatego powiadam ci: wszystko, co możesz zrobić, to pozwolić mu rozwijać własne zainteresowania. I dziękować Bogu, że je w ogóle ma.

- Masz rację - zgodziła się. Defensywna mina Greenspana złagodniała. Andrea zaś z zamierzonym okrucieństwem odczekała dobrą chwilę, zanim dodała: - To rzeczywiście nie twój interes.

Zatrzasnęła mu rozsuwane drzwi przed nosem i pobiegła do swojego pokoju.

*

Wyjazd Kevina poprzedził jeszcze jedno starcie, tym razem z Jimem. Andrea nie mogła pojąć, co zrobiła, że brat się tak rozzłościł. Nie żałowała, że Kevin jedzie, myślała jednak, że udało się jej tego nie okazywać. Chłopak nie powinien się dopatrzeć żadnego uchybienia w pożegnaniu i podziękowaniach, ale kiedy już wyjechał, Jim wybuchnął wściekłymi oskarżeniami, jakich nie słyszała z jego strony od lat.

- Nienawidzisz Kevina, nienawidzisz wszystkich moich kumpli, nie chcesz, żebym miał przyjaciół!

Hałasując kulami, wypadł z pokoju, zamknął się u siebie i pozostał tam, głuchy na wszelkie błagania. Kiedy próbowała poruszyć klamkę, przekonała się z żalem, że drzwi są zamknięte na zasuwkę. Musiał ją zainstalować dzisiaj, z pomocą Kevina.

Wyładowała się na sprzątanii pokoi, w których i tak można by jeść z podłogi. Potem położyła się do łóżka i pewnie płakałaby aż do zaśnięcia, gdyby pozwoliła sobie na taką słabość.

Skrzydła, skrzydła tłukące się w ciemności, wrywające się na wolność... Obudziła się z niespokojnego snu i czuła je wokół siebie. Muskały w przelocie jej włosy, ocierały się o rękę, kiedy próbowała się opędzić...

Zaciskając wargi i zęby, zdusiła w sobie krzyk nie tyle ze wstydu, co z dumy. Nie użyje tej broni przeciw Jimowi. Ale też za żadne skarby świata nie zmusi się do opuszczenia bezpiecznego gniazdka pod kocem, nie wyciągnie nawet ręki, by zapalić lampkę na nocnym stoliku.

Po nie kończącej się przerwie uświadomiła sobie, że w ciemnym pokoju znajduje się coś jeszcze. Wyobraziła sobie, że mimo zamkniętych oczu dostrzega malutki punkcik światła, podobny do słabego płomyczka świecy. To coś dodało jej siły i powstrzymało skrzydła, które wkrótce potem zapadły się w mrok. Teraz mogła wysunąć drżącą rękę i zapalić lampę.

I oczywiście, nikogo w pokoju nie było. Nocny wiatr poruszał cienkimi firankami. Andrea czuła lodowate zimno, ale kiedy spocone ze strachu ciało obeszło, ciepło i spokój stopniowo powróciły. Tym razem wygrała, a za następnym - o ile w ogóle nastąpi - zwycięstwo będzie łatwiejsze.

ROZDZIAŁ V

Następnego ranka Andrea czatowała na Martina. Nie pozwolił jej przynosić tacy ze śniadaniem do pokoju. Tłumaczył się, że jego rozkład zajęć jest chwiejny i trudno mu wyraźnie określić godzinę porannej kawy. Dochodziła dziesiąta, kiedy zszedł na dół ubrany w strój do joggingu. Zobaczywszy Andree, wymamrotał „dzień dobry” i skierował się do drzwi. Zatrzymała go.

- Chciałam cię przeprosić.
- Chyba się zagalopowałem. - Nie patrzył na nią.
- Zależy ci na Jimie. Powinnaś zaufać twoim dobrym intencjom.
- Ale nie zdrowemu rozsądkowi? - Odwrócił się z uśmiechem.

Andrea z niezrozumiałych powodów poczuła ulgę i też się uśmiechnęła.

- Umówmy się. Będziesz miał prawo wyrażać swoje opinie, a ja - stawać dęba, jeśli mi się nie spodobają.

Martin przekrzywił z namysłem głowę.

- To brzmi rozsądnie - przyznał.

Po udanym początku poszła zawrzeć pokój z Jimem. Otworzył drzwi natychmiast, kiedy zapukała.

- Przepraszam, że mnie wczoraj poniosło - powiedział z beztroskim uśmiechem. - Nie mogłem znieść, że Kevin wyjeżdża. Brzydko z mojej strony, że wyładowałem złość na tobie. Już zgoda?

- Zgoda.

Zasuwka lśniła nowością. Jim spostrzegł, że Andrea na nią patrzy.

- Nie bierz tego do siebie, siostrzyczko. Po prostu musiałem... Wiesz... potrzebuję miejsca, gdzie mógłbym być sam. Mojego własnego miejsca.

- Rozumiem.

- To dobrze. Umieram z głodu, co ze śniadaniem?

Ruszył do kuchni. Andrea zatrzymała się, by sprawdzić stan zapasów w spiżarni. Potrzebowała paru dużych misek kuchennych. Linnie w zeszłym tygodniu stłukła dwie. Lepiej będzie kupić takie z nierdzewnej stali, pomyślała, marszcząc brwi.

Z kuchni dobiegło ją szuranie odsuwanej krzesła i pogodny głos Jima:

- Cześć, Linnie. Ciepło, co?

- Masz tu kawę. Dobrą i gorącą - mruknęła Linnie. - Zrobię ci jajka na bekonie.

- Nie rób sobie kłopotu.

- Żaden kłopot. Lubię gotować. - Zniżyła głos do uwodzicielskiego szeptu. - Powinieneś więcej jeść, Jim. Jesteś za chudy.

No, tego już za wiele. Wstrętna, mała dziwka! Pewnie najpierw latała za Kevinem, przecież ciągle kręciła się rano po kuchni, póki nie wstał, a jeszcze te propozycje dłuższej pracy wieczorem! Andrea zatrzasnęła z hukiem drzwiczki kredensu. Błąd taktyczny. Ostrzegła w ten sposób Linnie, że jest w pobliżu, i dała jej czas na ucieczkę w drugi koniec kuchni.

- Ja mu usmażę jajka. - Zabrała Linnie bekon. - Idź posprzątać u pana Greenspana. I lepiej się pośpiesz, bo zaraz wróci.

Dziewczyna ociągając się, wyszła. - Nie jesteś trochę za surowa dla tej małej? - odezwał się oględnie Jim.

- Pracuje z każdym dniem gorzej. Chyba się rozejrzę za kimś innym.

- Raczej nie zależy jej na pracy.

Obojętny ton uspokoił Andreę, ale zdecydowała, że nie zaszkodzi dodać ostrzeżenie.

- Mówiła, że na wiosnę wychodzi za męża. A ma dopiero siedemnaście lat!

- Co to za facet?

- Pracuje na stacji benzynowej. Jest od niej tylko o rok czy dwa starszy. Według Reby to nicpoń. Jedno warte drugiego, oboje rzucili szkołę. Ani zdolności, ani ambicji...

- Zostały jakieś muffiny? - spytał Jim.

*

Nim tydzień dobiegł końca, Andrea już prawie chciała, żeby Kevin wrócił. Jim się obijał, był niespokojny i opryskliwy. Dużo czasu spędzał rozłożony na kanapie w kuchni, gapiąc się w telewizor. Oglądał bez wyboru wszystko, co tylko przesuwało się przed jego półprzymkniętymi oczami - teleturnieje, mydlane opery, stare filmy. Wszystko - z wyjątkiem sportu. Początek sezonu futbolowego nic go nie obchodził. Kiedyś Andrea przysiadła, żeby obejrzeć mecz Marylandu z Północną Karoliną, w nadziei, że udając zainteresowanie, zdoła wyrwać brata z apatii. Ale on wstał i zmienił kanał. Łamała sobie głowę, próbując obmyślić mu jakieś rozrywki. Na żadną nie

miał ochoty, a wszystko, co chciał robić, było albo fizycznie niemożliwe, albo niebezpieczne, albo sprzeczne z prawem.

- Och, daj spokój - protestował Martin, kiedy wyraziła swoją opinię. - Co takiego proponował? Napad na bank w Ladiesburgu, uprawę marihuany?

Dziennikarz przez te kilka dni pracował naprawdę ciężko i ledwie go widywała. Nie miała zamiaru mu się zwierzać, ale kiedyś wpadła na niego, gdy szedł na kolację, i słowa jakoś same popłynęły.

- Nie rozumiem, czemu rozmawiam o nim z tobą - zreflektowała się. - Zawsze trzymasz jego stronę.

- Rozmawiasz ze mną z braku kogoś innego - odparł Martin. - Nie myśl, że mam jakieś złudzenia. Może to i dobrze.

- Co? Przepraszam, Martin, myślałam o czym innym. Grymas na twarzy Greenspana po chwili zniknął.

- Nieważne. Nie trzymam strony Jima, ale twojej też nie. On się tu dusi - i nic dziwnego. Dlaczego mu nie pozwalasz prowadzić samochodu?

- Wiesz, dlaczego.

- Nie, nie wiem. Może przecież prowadzić z jedną nogą. Do diabła, dzieciak w tym wieku poradziłby sobie nie tylko z jedną nogą, ale nawet z jedną ręką.

- Nie waż się pożyczać mu volkswagena.

- Nie mogę. Nie ma automatycznej skrzyni biegów, pamiętasz? A poza tym, wierz albo nie, nie potrafię działać wbrew twoim życzeniom, nawet jeśli je uważam za idiotyczne.

- Och, jesteś niemożliwy - rzekła szorstko Andrea. - Zapomnij o całej sprawie.

Martin próbował. Następnego wieczoru wprosił się na kolację, pozwalając Andrei wybierać między pizzą, kurczakiem a superpodwójnymi cheeseburgerami. Kiedy jechał z Jimem po jedzenie, chłopak wyglądał weselej. Po posiłku Martin odezwał się z pozorną obojętnością:

- Kupiłem niedawno parę katalogów nasion. Zdaje się, Jim, że chciałeś posiać jakieś kwiaty?

- Przecież jesienią nie wysiewa się nasion.

- Nie, ale to akurat odpowiednia pora na sadzenie cebulek. - Otworzył katalog na obrazku hiacyntów w olśniewających barwach i

podsunął go Jimowi, który siedział z obojętną twarzą. - Prawda, że ładne? - spytał z nadzieją w głosie.

- Tulipany też są ładne - dodała Andrea.

- Nie lubię tulipanów - skrzywił się Martin. - Przypominają mi rozmemłane, przejrzałe dziwki z obrazów Toulouse - Lautreca. Zwłaszcza te strzepiaste.

- O, tu są śliczne! - wykrzyknął Jim, przewracając stronę. - Żonkile. One są wieloletnie, prawda?

Martin, zadowolony z udanej akcji, pośpieszył z odpowiedzią:

- Rzeczywiście, jak na takie delikatne kwiatki, są wyjątkowo wytrzymałe. Rozmnażają się i kwitną co rok, a przy tym nie wymagają specjalnej pielęgnacji.

Po obejrzeniu katalogów Jim włączył telewizor. Tym razem Andrea nie oponowała. Chłopak umówił się z Martinem, że następnego dnia pojedą po cebulki, po czym obaj oddali się zawziętej krytyce poglądów wyrażonych w oglądanym programie publicystycznym.

Później Andrea wstała, żeby zmienić kanał. Właśnie pojawiła się zapowiedź następnych tematów, które jej nie interesowały: skoki z opóźnionym otwarciem spadochronu, projekt podniesienia z dna morskiego wraku hiszpańskiego galeonu zawierającego skarb, wywiady z ludźmi, którzy „przeżyli własną śmierć”. Gdy jednak sięgnęła do przełącznika, Jim ją powstrzymał.

- Zostaw, dobrze? Chcę to obejrzeć.

- Ja też pasjonuję się tymi skokami - wtrącił Martin. - Doszedłem do wniosku, że powinienem zacząć uprawiać jakiś sport.

Andrea wróciła do cerowania. Znalazła na strychu pudło z bielizną pościelową i stołową - poszewki na jaśki, bieżniki na toaletki i mnóstwo serwetek z pięknego, choć teraz pożółkłego płótna, obrębionych koronkami ręcznej roboty. Niektóre wymagały drobnych napraw. Kiedy parę z nich położyła w pokojach, goście się zachwycili i właśnie ktoś ją namówił do sprzedaży jednego z bieżników za sumę, która wydawała się astronomiczna. Prawie nie patrzyła w ekran; na widok spadających w przestrzeń ludzi zęby same jej się zaciskały.

Kolejny temat zaczął się od cichej, przejmującej muzyki. Ekran rozbłysnął na moment tęczowym światłem, po czym rozległ się ponury głos:

- Przywróceniu do życia! Przedstawiamy państwu najbardziej wstrząsające odkrycie stulecia, a może nawet wszech czasów: prawdziwe historie ludzi, którzy choć fizycznie umarli, wrócili na ten świat i teraz dzielą się swymi przeżyciami. Czy znaleźli odpowiedź na odwieczne pytanie człowieka o nieśmiertelność?

Temat potraktowano bardziej sensacyjnie niż naukowo. Trzeba przyznać, że autorzy odnieśli sukces. Nawet Andrea odłożyła swoje życie. Historie były uderzająco do siebie podobne. Pewien bardzo zażenowany elektryk ujął to tak:

- Coś trzasnęło, jakby pękł mocno napięty przewód. Potem wisiałem w powietrzu i patrzyłem na swoje leżące na łóżku ciało, choć przecież ja sam byłem w górze. Zupełnie jakby facet na łóżku nie był naprawdę mną. Widziałem lekarza i stojące dookoła pielęgniarki... A potem przeniknąłem przez ściany i leciałem w dół długim, białym korytarzem. Unosiłem się... W końcu korytarza zobaczyłem światło, usłyszałem coś w rodzaju muzyki - i głosy ludzi. Nie mogłem się doczekać, kiedy się wreszcie tam znajdę. Światło rosło, było coraz jaśniejsze, miało w sobie wszystkie kolory tęczy. I kiedy znalazłem się dosłownie o krok - wróciłem.

- Wrócił pan do ciała? - indagował prezenter przyciszonym głosem.

- No. Jakby mnie tam coś wessało, jak... jak magnes. Musiałem wracać, chciałem czy nie.

- A czy chciał pan wrócić, panie Brown?

- Nie! Och, nie. To bolało. Okropnie bolało.

posępną twarz elektryka zastąpił nagle rząd rozśpiewanych, fikających nogami pańienek przebranych za butelki od piwa.

- Jak tak można! - Andrea wbiła igłę w materiał. - Przecież w gruncie rzeczy prezenter wmówił mu te odpowiedzi.

- Nie, nie wmówił - odezwał się Jim. - Tak jest naprawdę. Dokładnie tak.

Kropla krwi spłynęła z palca Andrei, plamiąc serwetkę. Po chwili milczenia Martin zapytał:

- Przydarzyło ci się coś takiego?

- Uhm.

- Nigdy o tym nie mówiłeś - rzekła z pretensją Andrea.

- Pomyślałabyś, że bredzę, czy coś w tym rodzaju. - Słuszność oskarżenia i spokój, z jakim je wypowiedział, sprawił, że poczuła się

bezbronna. - Nikomu nie mówiłem. Nie wytrzymałbym, rozumiecie, tego łapania za słówka, podchwytliwych pytań, kpinek. Poza tym nie zdawałem sobie sprawy, że zdarzyło się to także innym ludziom. Potem czytałem na ten temat...

- A nie przedtem? - spytał czujnie Martin. - Wybacz, Jim. Nie wątpię w twoje słowa...

- Podchodzisz fachowo do tematu - uśmiechnął się Jim. - Nie, przedtem nie.

- Mogły ci jednak wpaść w oko jakieś wzmianki, o których potem zapomniałeś - tłumaczył Martin. - Pisano o tym w prasie.

- Zawsze tak można powiedzieć. Jak czegoś nie pamiętasz, to nie dlatego, że się nie zdarzyło, tylko dlatego, że zapomniałeś.

- Punkt dla ciebie - przyznał Martin. - Ale właśnie dlatego problem pozostaje nie rozwiązany.

- Nie dla mnie - uciął Jim.

- Ależ Jimmie - zawołała Andrea - miałaś uszkodzoną czaszkę, uraz mózgu, nafaszerowano cię różnymi pigułkami...

Martin natychmiast jej przerwał, umyślnie podnosząc głos:

- Chciałbym ci uwierzyć. Kto by nie chciał? Jak to właściwie było?

- Och, bardzo podobnie do tego, co mówił ten facet. Tylko zamiast dryfować w dół korytarzem, poruszałem się w ciemności. Nie widziałem nic, póki nie pojawiło się światło. Z początku wyglądało jak gwiazda, daleka, bardzo daleka... Nie słyszałem głosów, ale wiedziałem, że ktoś na mnie czeka; ktoś, kogo chcę zobaczyć... - Jim oparł się wygodnie o poduszki. - Ja też nie chciałem wracać - wyznał.

Martin zerknął na Andreę i szybko odwrócił wzrok.

- Czy ten powrót do ciała... Czy to bolało?

- O, tak, bolało. Zdawało mi się, że nie mogę się zmieścić, jakby coś wpychało mnie w za mały i bardzo sztywny pancerz. - Wzdrygnął się, choć jego twarz pozostała nieporuszona. - Ale nie ból był najgorszy. To światło... takie piękne... przyciągało mnie, ale coś innego ciągnęło w drugą stronę. Czuję się, jakby mnie rozdierano.

- Fascynujące - mruknął Martin.

Odnosił się do Jima z zainteresowaniem, ale obiektywnie, starając się wyciągnąć z niego jak najwięcej. Andrea wiedziała, że ona nic by nie wskórała. Dla Jima to bardzo ważne, że może opowiedzieć o najtrudniejszym doświadczeniu swego życia. Powinna być Martinowi

wdzięczna. Pomaga jej bratu wyartykułować to, co nim wstrząsnęło. Sama za nic nie potrafiłaby się zmusić do rozmowy o tych koszmarnych tygodniach, kiedy musiała toczyć walkę o wyrwanie Jima ze śmiertelnego zagrożenia. Nie przyszło jej do głowy, że ten straszny, nieuchronny koniec mógł wcale nie być koszmarem, tylko wytęsknionym celem. Czuła, że przytłacza ją poczucie winy, tym boleśniejsze, że nie zasłużone. Czemu czuje się winna? Życie to coś realnego, a tamto... tylko iluzja wywołana przez leki!

Jim zauważył jej przygnębienie.

- Andy ma dość. Ona nie znosi takich rozmów, prawda, siostrzyczko? Zmieńmy temat. Skoki z opóźnionym otwarciem spadochronu... to byłoby coś dla mnie. Musiałbym tylko wykombinować coś zamiast tego... - dotknął kikuta - ale na pewno dałbym sobie radę.

Zerknął spod oka na Andree, co upewniło ją, że sobie stroi żarty. Odpowiedziała odruchowo:

- Spróbuj tylko, kolego, a oberwę ci uszy.

Nie wiedział. Wierzył, że to jego własne, rozdarte i niechętnie ciało przyciągnęło go z powrotem. Nie chciała wyprowadzać go z błędu, póki nie nadejdzie dzień, w którym usłyszy wreszcie zasłużone podziękowanie.

*

Przez kilka dni Jim z zapałem oddawał się ogrodnictwu. Andrea była z tego zadowolona, nawet kiedy się przekonała, że wcale nie pracuje na zaniedbanych rabatkach ciągnących się wokół domu, tylko na cmentarzu. Gdy wszystkie cebulki zostały posadzone, a deszczowa pogoda zatrzymywała akurat Jima w domu, znów ją dopadła chandra. Obiecała sobie, że już nigdy nie będzie zawracać głowy Martinowi. Ciężko pracował. Monotonny stukot maszyny nie ustawał od wielu godzin.

Tymczasem Jim sam znalazł sobie zajęcie. Pewnego deszczowego popołudnia, kiedy Andrea odkurzała właśnie salon i przy okazji odgrażała się Szatanowi rozsiewającemu wszędzie czarną sierść, pojawił się na dole postukując jak zwykle kulami.

- Zobacz, co znalazłem. - Wyciągnął sfatygowany magazyn.

Andrea wyłączyła odkurzacza i przyjrzała się czasopismu.

- To „Life”. Z 1947 roku! Jaki stary...

- Są tego na strychu całe stosy. Niektóre jeszcze starsze.

- Jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić - powiedziała Andrea, widząc w tym palec niebios. - Nie przejrzałam dotąd rzeczy na strychu i na drugim piętrze. Wyciągnęłam tylko trochę mebli, a resztę zostawiłam.

- Jak znajdę coś do opylenia, dasz mi dolę?

- Jimmie, przecież wiesz, że możesz mieć tyle pieniędzy, ile ci potrzeba. Wszystko jest w połowie twoje, jesteśmy współnikami...

- Tak, wiem, ale... - Końcem kuli zaczął wodzić po kwiatowym deseni dywanu. - Chciałbym zarabiać. Rozumiesz?

- Ta robota z pewnością jest warta pieniędzy.

- Bardzo niewielkich - rzekł stanowczo. - Jasne, że to zrobię. Ale mogę także wysprzątać pokoje na drugim piętrze, poprzenieśli stamtąd niepotrzebne rupiecie na strych, wytapetować ściany, odnowić stolarkę i w ogóle.

Natychmiast wykiełkowało jej w głowie mnóstwo obiekcji. Schody na strych są strome i wąskie, meble zbyt ciężkie. Ciągłe odmawiał noszenia protezy. Kiedy ostatnio poruszyła ten temat, rozżłościł się na dobre.

Widziała, że ją obserwuje. Wie, jaka jest spięta.

- To wspaniały pomysł - wykrztusiła. - Po odnowieniu te pokoje będzie można wynajmować. Możesz mi oszczędzić kosztów.

Rozpromienił się i cmoknął ją w policzek. Zaraz pognął z powrotem na górę, poruszając się z taką szybkością, że mimo całego podziwu włos się jej zjeżył. Nie przestanie się o niego bać - ale warto, warto wszystko zrobić, byle widzieć go tak uszczęśliwionym. I nie będzie go zamięczać opiekuńczością ani sprawdzać, ani wołać co chwila, by uważał.

Dotrzymywała swego postanowienia, nawet gdy od hałasu przewracanych na ziemię gratów trząsł się dom, a przekleństwa Jima rozlegały się aż na dole. Kiedy po raz pierwszy coś rymnęło, Martin wyskoczył jak oparzony z pokoju, z okularami odsuniętymi na czoło i oblędem w oczach.

- Co, do diabła...

Andrea stała przy schodach na pierwszym piętrze i wykręcała sobie palce.

- Nie pozwól mi tam iść - prosiła. - Przysięgam, że tego nie zrobię.

- Nic mu nie jest - uspokoił ją Martin nasłuchując. - Nie rzucałby mięsem z taką elokwencją, gdyby zrobił sobie krzywdę. - Wrócił zaraz do siebie, rzucając tylko przez ramię: - Dziewczyno, jesteś bohaterką. Tak trzymać.

Długie okresy ciszy, które następowały po hukach i trzaskach, Andrea znosiła jeszcze gorzej. Od czasu do czasu ulegała pokusie, by zajrzeć na górę, wmawiając sobie, że to tylko naturalne zainteresowanie. Od kilku dni Jim zajmował się sprzątaniami i odnawianiem większej sypialni na drugim piętrze. Kiedy jednak pewnego dnia udała się tam ze szklanką mleka i talerzem ciasteczek, nie mogła go nigdzie znaleźć. Już miała zawołać, gdy zobaczyła otwarte drzwi pokoju na wieży.

Nic nie usprawiedliwiało strachu, który ją nagle poraził. Pokój w wieży nie krył w sobie więcej niebezpieczeństw niż inne. Lecz zamiast zawołać Jima po imieniu, wkradła się na schody na palcach, a gdy zobaczyła, że brat, zdrów i cały, stoi przed zachodnim oknem - poczuła równie niezrozumiałą ulgę.

Choć weszła po cichutku, usłyszała ją.

- Podejź tu - rzekł nie odwracając się. - Patrz.

Deszcz niedawno przestał padać i powietrze było przezroczyste jak źródłana woda. Półokrąg nieba niczym wielka emaliowana miska okrywał miniatury pejzaż - kopulaste wzgórza, bursztynowe pola, lasy, pastwiska, strumień i dolinę. Tam gdzie ostre linie gór odcinały się na tle zachodzącego słońca, pozostała na niebie pojedyncza chmura. Ukryte za nią słońce złociło jej brzegi, co wyglądało jak obszycie królewskiego płaszcza. W miarę jak słońce chyliło się niżej, wychodząc zza chmury, wszystkie kolory jesiennego krajobrazu nabierały żywości i wyrazistości, podobnie jak oszlifowane przez bystrą wodę kamyki zmieniają się w błyszczące klejnoty. W różnych porach roku to piękno może się przeobrażać, ale nie zmniejszać. W zimie świat staje się czarny, biały i lśniący jak kryształ, a na wiosnę... Poczula nagle rozpaczliwą tęsknotę za wiosną. Wtedy derenie i jabłonie obsypią się kwiatami, strumień przyśpieszy swój bieg. I zastanawiała się, czy na tym lub innym świecie może istnieć coś piękniejszego...

- Mam zamiar przeprowadzić się tutaj - powiedział Jim. - Do tego pokoju.

Wziął od niej szklanekę, nim zdążyła rozlać mleko.

- Jim, przecież to niemożliwe... - zaczęła.

- Zawsze słyszę tylko „niemożliwe”. Wiedziałem, że nie zrozumiesz.

- Ależ rozumiem. Chcesz ode mnie uciec.

Zebrał się w sobie, gotów do walki, jednak zmartwiona mina siostry go rozbroiła. Złagodniał.

- Nie od ciebie, Andy, to nie ma nic wspólnego z tobą. Słuchaj, jeśli się boisz zostać sama na dole czy coś w tym rodzaju...

Dał jej do ręki broń, ale nie mogła się nią posłużyć. Powiedział to z taką wzruszającą rycerskością. I jeszcze coś skłoniło ją do ustępstwa. Wspomnienie smutnego głosu: "Nie chciałem wracać..."

- Nie boję się - odparła. - Nie o to chodzi.

Wiedział, że wygrał. Oczy rozjaśniły mu się znowu tym zniewalającym spojrzeniem...

- Sama zobacz - przekonywał ją z zapalem. - Spójrz tutaj. To może być najpiękniejszy pokój w całym domu. Wszystko urządzę - wymaluję, wytapetuję i w ogóle...

Racja. Ten pokój o osobliwym kształcie miał ogromny urok, widoczny dla każdego z odrobiną gustu i wyobraźni. Andrea zauważyła, że Jim rozpoczął już prace. Śmieci były zgarnięte na kupkę, a część tapet pozdzierana.

- Nie przeszkadza mi, że chcesz się tu przenieść - kłamała. - Ale tyle roboty! Spróchniałe parapety, z sufitu odpada tynk. I jeszcze ta podłoga!

Ona też wiedziała, że wygrał, lecz formalna zgoda nie mogła jej przejść przez gardło, przynajmniej nie zaraz. Krążąc po pokoju, badała kawałki pokruszonego tynku, wypróbowywała nogami deski. Tupiała ze złością w podłogę, jakby chciała ją ukarać, aż dotarła do drzwi.

- O, ta deska jakoś dziwnie skrzypi. Chyba jest spróchniała.

- Zauważyłem. Wymienię ją. Andrea uklękła.

- Jeśli legar jest zniszczony... - Obmacywała deskę w poszukiwaniu pęknięcia. - Patrz, nawet nie jest przybita! Da się podnieść gołymi rękami.

- Może wystarczy kilka gwoździ - zainteresował się Jim.

Kiedy Andrea podniosła deskę, ukazała się pusta przestrzeń w kształcie podłużnej skrzynki, której dnem był sufit niższego piętra, a

bokami legary z surowego drewna. Pod grubą warstwą pozbijanego w kłaczkę kurzu rysował się jakiś kształt.

Jim zorientował się szybciej niż ona. Wstrzymał na chwilę oddech, po czym wykrzyknął:

- Ta deska wcale nie jest spróchniała. To wieko skrytki. Wystarczy wyciągnąć gwoździe, położyć dywanik - i nikt się nie połapie. Co tam może być?

Znalezisko okazało się plikiem związanych arkuszy kartonu. Szarawa wstążeczka rozpadła się Andrei w rękach, kiedy wyciągała pakiet i próbowała obmieść go z kurzu. Okładka z grubej, obitej materiałem tektury, tak brudna, że nie dawało się rozpoznać oryginalnego wzoru, okazała się dobrym zabezpieczeniem dla zawartości.

Był to zbiór obrazków wykonanych różnymi technikami: piórką, węglem, akwarelą. Musiały powstawać w ciągu dłuższego czasu, ponieważ młody artysta wyraźnie rozwijał swe zdolności. Szkice kwiatów, kobiety o lalkowatych twarzach, w wytwornych krynolinach, panna młoda w pełnym rynsztunku, z wiankiem z kwiatów pomarańczy i długą smugą welonem... Wojak, stanowczo za przystojny, pewnie wyidealizowana postać jakiegoś bohatera... Inne twarze, wyraźnie wzięte z życia i dlatego już nie tak ładne... Obrazkom brakowało pewności ręki wyszkolonego artysty, ale na pewno były wartościowe; pomarszczoną twarz starszego mężczyzny na jednym z portretów można by uznać niemal za karykaturę.

Ostatni arkusz przedstawiał postać kobiety. Zapewne z powodu niedostatków warsztatowych zarys sylwetki był dziwnie zniekształcony, lecz twarz - zachwycająca. Kobieta nosiła długą, czarną suknię z wąskimi, obszytymi sobolowym futrem rękawami i z wysoką kryzą spiętą gagatową broszą. Lekko odwrócona głowa ukazywała ciężki, zebrany na karku węzeł matowych, kruczoczarnych włosów. Czoło przecinały czarne kreski brwi. U stóp damy, częściowo ukryte w fałdach suto marszczonej sukni, siedział... Szatan. Jaskrawożółte kocie ślepie stanowiły jedyny kolorowy akcent na całym obrazie.

- Mój Boże - rzekł cicho Jim. - Przecież on jest częścią tej kobiety. Trudno powiedzieć, gdzie się kończy kot, a zaczyna suknia. I ten ogon... Mógłby należeć do każdego z nich.

- Prapradziadek Szatana? - mruknęła Andrea.

- Coś koło tego... To dobry obraz, prawda? - Owszem.

Słabe określenie jak na bezsprzecznie wybitne dzieło sztuki portretowej, zwłaszcza że wykonane przez młodą dziewczynę. Dlaczego doszła do wniosku, że artysta był młodą osobą płci żeńskiej? Miała pewne racje, zważywszy, że szkicowanie, malarstwo, haft i gra na fortepianie traktowano w dziewiętnastym wieku jako zajęcia odpowiednie dla panienek z dobrych rodzin. Na dziewiętnasty wiek wskazywały kostiumy. Wcześniejsze rysunki należały do tych, jakie można by znaleźć w wielu szkicownikach: kwiaty, ładne buzie, panny młode.

Portret damy był inny. Jim zdawał się tego nie dostrzegać i Andrea nie miała zamiaru zwracać mu na to uwagi. Czysta złośliwość szkicu zapierała wprost dech, a drapieżne wyrafinowanie autorki budziło niepokój. Nie polegało to na zniekształceniu rysów - widać było, że chodzi o przystojną, stateczną kobietę, lecz te wykrzywione szyderczo wargi, te złe krechy zmarszczonych brwi... No i kot. Jim zauważył wprawdzie wzajemne przenikanie się kobiety i zwierzęcia, nie rozumiał jednak tkwiącego w tym zamysłu.

Andrea wróciła do początkowych rysunków. Teraz, kiedy wiedziała już, czego szukać, dostrzegła w każdym szkicu niewielką, ledwie zauważalną skażę. Na rozkwitłej róży siedział mały, czarny robaczek. W projektach sukni kryły się doskonale zamaskowane przez fałdy i inne ozdóbki linie nagiego ciała, a w jednym przypadku - zarys szkieletu i szczerzącej zęby czaszki. Niezbyt udana próba podpatrzenia budowy anatomicznej człowieka nie była specjalnie szokująca, ale koniec dziewiętnastego wieku to przecież okres, w którym damska skromność sięgała szczytów pruderii i nienaturalności. Młoda, niezamężna osoba nie miała nawet prawa wiedzieć, jak wygląda jej własne ciało.

Jedynie rysunki niczym nie skażone, dlatego zresztą mdłe i cikliwe, przedstawiały młodego oficera i pannę młodą. Czemu, zastanawiała się Andrea, leżały wśród tych „niemoralnych”, które dziewczyna ukrywała przed rodzicami czy guwernantką? Nieco oszołomiona, zamknęła szkicownik. Z punktu widzenia historii obyczajów rysunki stanowiły niepodważalny dokument potępiający pruderię i podwójną moralność, która życie kobiet zamieniała w piekło. Z drugiej jednak strony, mieszkanka tego pokoju musiała być zdrowo szurnięta.

Nerwica nie jest zaraźliwa, upomniała samą siebie Andrea. Jeśli nawet Jim będzie oddychał tym samym powietrzem co ta pannica, nie grozi mu niebezpieczeństwo infekcji.

ROZDZIAŁ VI

Andreę denerwowali ludzie wierzący w znaki i cuda. Nigdy jej nie przyszło do głowy, by potraktować odkrycie tajemniczego albumu jako zapowiedź nieszczęścia, ale każdy dzień przynosił teraz jakieś kłopoty. Linnie stawała się coraz powolniejsza i coraz bardziej niezdarna. Cena kawy wzrosła już po raz drugi w tym miesiącu. Deszcz zamienił ziemię w błoto, a ludzi wprowadził w nastrój przygnębienia. Szatan, który nie znosił wilgoci, wrócił do swojej ulubionej skrzyneczki z piaskiem wewnątrz domu. Oprawione w skórę książki w bibliotece zaczęły obrastać pleśnią.

Próbując zaradzić przynajmniej temu ostatniemu nieszczęściu, Andrea udała się pewnego ranka do biblioteki i zastała tam Jima z Martinem. Martin zresztą też trochę ją denerwował. Ostatnio odstawił maszynę i ustawicznie kręcił się pod nogami. Proponował pomoc, której sobie nie życzyła i prowadził długie dyskusje z Jimem. Zostawiali po sobie puszki po piwie i mnóstwo okruchów oraz rozsypanego popiołu.

Właśnie zauważyła na bibliotecznym stole dwie przepełnione popielniczki. Powyciągali też z półek różne książki, burząc ich idealny porządek.

Goście płci męskiej chętnie przesiadywali w bibliotece. Boazeria z ciemnego dębu i przepastne fotele nadawały wnętrzu wygląd staroświeckiego londyńskiego klubu. Wystroju nie psuł nawet telewizor. Gdy nikt nie korzystał z tej nieuniknionej zdobyczy cywilizacji, aparat zakrywała spiczasta osłona kominka. Antenaci kuzynki Berty nie zaliczali się do miłośników książek. Ich nabytki składały się głównie z dzieł zebranych, w których większość stron pozostawała nie rozcięta, ale rzędy grzbietów w skórze koloru ciemnej czerwieni i brązu dodawały pomieszczeniu okazałości.

Andrea wymieniła Martinowi popielniczkę. Podniósł wzrok i nie wyjmując zwisającego z kącika ust papierosa mruknął:

- Dzięki.

- Nie szkodzi. - Zaczęła wycierać książki. - W ogóle nic nie szkodzi.

- Ten deszcz - zauważył Martin bardziej pod adresem tonu Andrei niż samych słów - każdemu działa na nerwy.

- Jak ci idzie z książką? - spytała zgryźliwie. Martin wyszczerzył zęby.

- Nie idzie. Chyba popadłem w niemoc twórczą.
- I jak masz zamiar ją przełamać?
- Jest tylko jeden sposób - odparł ze spokojem. - Kiedy terazniejszość wymyka ci się z rąk, należy szukać ucieczki i ukojenia w przeszłości.

Jim nie zwracał uwagi na tę wymianę zdań. Nie podnosząc ciemnej głowy znad książki, rzucił:

- Szukamy materiałów na temat domu. Tu jest o nim wzmianka.

Zadowolona, że znalazł sobie nowe hobby, zajrzała mu przez ramię.

- Stare domy zachodniego Marylandu. Drugorzędne rezydencje - przeczytała. - Niezbyt pochlebnie to brzmi.

- W czasach autora tej książki wiktoriańska nie były w modzie - wyjaśnił Martin. - Główne rezydencje regionu powstały w końcu XVIII i na początku XIX wieku.

Wyblakła czarno - biała fotografia, dodatkowo zamazana w druku, przedstawiała dom tak, jak się prezentował w roku 1925. W ogólnym zarysie pozostał nie zmieniony, ale nawet na niewyraźnym zdjęciu wyglądał dostatnie i okazale.

- Posiadłość musiała wtedy należeć do ojca kuzynki Berty - rzekła Andrea. - Ona miała w tym czasie ponad dwadzieścia lat.

- Czy nosiła nazwisko Webber? - spytał Martin.

- Owszem.

- O, tutaj - pokazał Jim. - „Właścicielem nieruchomości jest pan Josiah Webber, znany kupiec z Ladiesburga.” Odziedziczył ją po swoim ojcu, ten zaś nabył posiadłość od... nie piszą od kogo, tylko kiedy. W tysiąc dziewięćset...

- Przypuszczam, że dom został zbudowany w 1862 roku - oznajmił Martin.

- Ale nie przez Springerów - wtórował mu Jim. - Zbudował go facet nazwiskiem Broadhurst. Musiał być bogaty. Posiadał prawie trzysta akrów...

- Ciekawe, skąd miał forszę - dumał Martin. - Może z dostaw wojennych? Tekturowe buty, zepsute żarcie, stęchła mąka?

- Komuszek z ciebie - powiedziała słodziutko Andrea. - Myślisz, że wszyscy kapitaliści wzbogacili się uciskając biedaków.

- Wtedy było tak naprawdę. Dopiero później próbowali uspokoić sumienia i przebłagać rozgniewanego Boga, budując biblioteki i sierocińce.

Andrea dała za wygraną. Nigdy go nie przegada.

- Wszystko to jest niezmiernie ciekawe - powiedziała kurtuazyjnie, podnosząc ścierkę do kurzu.

- Nie tak bardzo - ciągnął Martin. - Takie książki podają tylko ogólne informacje. Nie mówią niczego o skandalach, tragediach, morderstwach, pasjonujących romansach...

- Masz, jak widzę, skłonności do melodramatu - przycięła mu Andrea.

- Bo życie to melodramat, nie zauważyłaś? Żaden powieściopisarz nie wymyśliłby tak skomplikowanej fabuły, jakie przytrafiają się w życiu. Ten dom na pewno był sceną melodramatu. Jak każdy stary dom.

- Może, ale nie chcę o tym słyszeć. - Andrea przysunęła sobie schodki i zabrała się do odkurzania górnych rzędów.

- Więc przypuszczalnie nie zechcesz wziąć udziału w dzisiejszym posiedzeniu Ladiesburskiego Towarzystwa Historycznego.

- Nie, nie zechcę. Mam dość problemów tu i teraz.

- My z Jimem idziemy.

- Więc dlatego siedzicie po całych dniach w książkach?

- Odrabiamy lekcje - przyznał Jim. - Na pewno nie chcesz iść?

- Nie, dziękuję.

Miło być samej w domu po raz pierwszy od tygodni. Panowie postanowili wypuścić się na cały wieczór - zjeść kolację w „Rogu Obfitości”, po czym pójść na zebranie w domu miejscowego antykwariusza. Zawinięta wygodnie w stary, sfilcowany szlafrok, Andrea spędziła wieczór oglądając najgorszy z oferowanych programów telewizyjnych. Odrętwiała od tej ohydy, nie spojrzała nawet na leżące na kolanach wykazy.

Wyobraziwszy sobie członków Towarzystwa Historycznego jako kościanych dziadków udających się na chwiejnych nogach do łóżek o wczesnej porze, oczekiwała Jima z Martinem około jedenastej. Zbłąkane owieczki wróciły jednak dobrze po północy.

- Jeszcze nie śpisz? - zdziwił się Jim.

- Jesteście spóźnieni. Zebranie musiało być fascynujące.

- Wpadliśmy do „Shamrock Club” na parę piw.
- Czy to ta speluna po drugiej stronie miasta? Ta, gdzie w środy występują półnaczy tancerze?
- Dziś mamy czwartek - zauważył Martin. - Słowo speluna” też jest nie na miejscu.
- Powinniście się wstydzić.
- Wsłuchiwałem się w puls społeczeństwa. Chcesz trochę kawy?
- W tej pipidówce nie znajdziesz zbyt wiele zrozumienia dla swej wrażliwości.
- Była fajna rozróżba - uśmiechnął się szeroko Jim. - Martin znakomicie umie podpuszczać ludzi.
- Od dawna nie widziała brata tak odprężonego i zadowolonego. Stał przed nią na kulach, wysoki, uśmiechnięty, z wijącymi się na uszach włosami. Wilgotne powietrze zawsze skręcało mu włosy i szalał potem z brylantyną i suszarką.
- Podobało ci się tam? - spytała.
- Całkiem przyjemne zebranie. Wiesz, że ten dom był już kiedyś hotelem?
- Żartujesz. Ciekawe, że w książce nic o tym nie ma. Martin nalał sobie kawy i usiadł.
- Nie był to rodzaj działalności, którą twoja kuzynka albo jej ojciec chcieliby się chwalić. Na zebraniu nikt specjalnie dużo o tym nie wiedział, ale podejrzewam, że lokal nie należał do wysokiej kategorii.
- Taki miejscowy burdelik? - zachichotał Jim.
- Co za paskudne rzeczy opowiadasz!
- Nie nadymaj się tak, siostrze.
- Prostytucja i inne brzydkie zajęcia po upływie lat nabierają blasku - mądrzył się Martin. - Ludzie na przykład kolekcjonują stare mosiężne żetony z dawnych domów publicznych na Zachodzie. Większość, oczywiście, jest fałszywa.
- Nie mam zamiaru spędzać nocy na dyskusji o domach publicznych. - Andrea stłumiła ziewnięcie. - Cieszę się, żeście się dobrze bawili. - Poznałeś jakichś miłych młodych ludzi?
- Kpisz czy o drogę pytasz? - oburzył się Jim. - Byłem tam jedynym facetem przed osiemdziesiątką!
- Dzięki - rzekł lakonicznie Martin.
- Wiesz przecież, o co mi chodzi!

- Uhm... - westchnął ponuro dziennikarz.

Andrea z nogami na stołku słuchała przyjacielskich docinków i komentarzy dotyczących głównych wydarzeń tego urozmaiconego wieczoru. Mówili sobie po imieniu i zachowywali się jak starzy kumple. A ona - rozczochrana i w szlafroku - traktuje Martina niczym członka rodziny...

Jak do tego doszło? Nie może przecież oskarżyć Martina o nachalność. Za swoje przywileje dobrze płaci i Andrea tylko siebie ma prawo winić za zakamuflowaną krytykę, którą od czasu do czasu kieruje w jej stronę. Jest z nim za bardzo szczerą, zbyt swobodnie zwraca się do niego o pomoc czy radę. Tymczasem jego troskliwe, pełne wyrozumiałości zachowanie to tylko zawodowe metody - prawdopodobnie odnosi się tak do każdego. Musi być teraz bardziej powściągliwa. Śmieszne. Przecież ona nie wie nic o osobistych sprawach Martina. Natomiast on stanowczo za bardzo został wciągnięty w ich życie.

Kiedy Jim poszedł do siebie, Andrea odprowadziła Martina do holu.

- Dziękuję ci za ten wieczór - rzekła miękko.

- Czemu mi dziękujesz? Przecież się dobrze bawiłem.

- Zrobiłeś to dla Jima.

- Nie tylko.

Umilkł i stał z notatnikiem w ręku, oparty o poręcz schodów. Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że Andrea cofnęła się o krok. Nie bądź idiotką, powiedziała sobie. Przecież on nigdy... nigdy by nie... A już na pewno nie teraz, kiedy tak wyglądam. Włosy w strąkach i ten okropny szlafrok...

- Ciebie też lubię - powiedział Martin spokojnie. - Oboje daliście mi więcej niż oficjalną gościnność. Pozwalasz mi wścibiać nos w swoje sprawy, a kiedy posuwam się za daleko, gryziesz. To dla mnie całkiem nowe doświadczenie: być członkiem rodziny. Podoba mi się.

Andrea czuła, że się czerwieni. Tylko tak zapatrzona w siebie kretyńka jak ona mogła choć przez moment przypuszczać...

- Cieszę się, że tak to odczuwasz - odparła. - Ale nie mogę cię wykorzystywać. Wiem, jaki jesteś zajęty. Nie musisz się martwić o Jima. Z nim teraz wszystko w porządku.

- Tak sądzisz?

- No... przecież to jasne. Jest szczęśliwszy, weselszy...

- Do jasnej cholery! - Wyrzwał pięścią w poręcz. - Że też taka inteligentna kobieta może być do tego stopnia ślepa! Ten dzieciak jest jak w więzieniu. Nie potrafi się wydostać. Czy naprawdę uważasz, że dziewiętnastoletni chłopak może czuć się dobrze w towarzystwie dwojga statecznych, dorosłych ludzi? Uwiązany w czterech ścianach i na paru akrach gruntu? Jemu trzeba towarzystwa rówieśników, wolności, niezależności... - Urwał. Po chwili dodał cicho: - Że też zawsze muszę sobie wszystko spieprzyć. Teraz twoja kolej. No, jazda, chcę to mieć za sobą.

- Och, idź do diabła - rozzłościła się Andrea, zapominając o swoim układzie z Martinem. - Doprowadzasz mnie do szału swoim krakaniem. Idę spać.

- A jednak spodziewałem się, że będzie gorzej. Uważam, moja droga, że stanowczo łagodniejesz.

Znów się to powtórzyło. Trzeci raz. Tym razem następnego dnia zrobiła notatkę w kalendarzu, żeby mieć pewność co do daty.

Kiedy się obudziła, zmaltretowana przez tłukące się rozpaczliwie niewidzialne skrzydła, nie dostrzegła żadnego błysku światła. Paraliżujące zimno przenikało jej ciało falami dreszczy. Szczękając zębami, przytrzymując koc lodowatymi palcami, wpatrywała się w ciemność. Wkrótce zamigotała mała iskierka. Andrea wyciągnęła ku niej rękę i światełko zaczęło się powiększać, usuwając z powietrza chłód. Stawało się coraz większe, ale traciło początkową intensywność. Wreszcie było już tylko nikłym, słabo połyskującym kształtem. Jakiś czas unosiło się w powietrzu, aż zgasło, zostawiając po sobie ciepło i spokój.

*

Najdziwniejszą sprawą związaną ze „snem”, jak Andrea wolała określać to zjawisko, była szybkość, z jaką zacierało się w pamięci. Kiedy leżała roztrzęsiona w ciemności, przemyśliwała nad różnymi środkami, które mogłyby jej pomóc. Tabletki uspokajające, wizyta u neurologa, u psychiatry... Gdyby pojawił się w okolicy jakiś samozwańczy egzorcysta, skorzystałaby z jego usług bez chwili wahania. W jasnym świetle dnia koszmar oddalał się jak wspomnienie o bólu. Wmawiała sobie, że jest to prawdopodobnie skutek jakiejś głębokiej podświadomej rozterki, która zniknie, kiedy ona, Andrea zacznie odnosić sukcesy i wyzwoli się od niepokoju. Nie trzeba tyle myśleć, wtedy wszystko przejdzie.

Rano miała już inne zmartwienia. Obudziła ją bębniąca o szyby ulewa, jakiej dotąd jeszcze nie widziała. Wtórna fala ostatniego w tym sezonie huraganu wdarła się głąb lądu zalewając całymi hektolitrami wody i tak moknącą w deszczu okolicę. Nim żywioł się uspokoił, nadeszły wieści o podmytych mostach, zalanych autostradach i wezbranych strumieniach. Telefon nie działał, ale Andrea nie potrzebowała oficjalnych zawiadomień, by się domyślić, że nikt ze spodziewanych gości nie przyjedzie. Most na strumieniu przy granicy posiadłości już w południe znalazł się pod wodą, a łąka wyglądała jak brunatne jezioro. Większa część dnia zeszła Andrei na zbieraniu wody, która przeciskała się pod drzwiami, a także przez jakieś nie zauważone dotychczas szczeliny przy oknach i okapach.

W dodatku, ku rozpaczy Andrei, obaj panowie uznali tę klęskę za świetną rozrywkę. Co chwila wyskakiwali z domu, żeby obserwować podnoszącą się wodę, a po powrocie strząsali mokre rzeczy na lśniącej posadzce. Zmęczeni tym zajęciem, poszli sobie, zostawiając Andree walczącą z kałużami. Martin wrócił do pracy, śmiejąc się w kułak z własnej przezorności. Nie zmienił dotąd staromodnej maszyny do pisania na model elektryczny, a właśnie wyłączono prąd. Jim wycofał się na strych, gdzie spędził resztę popołudnia.

Andrea siedziała na najniższym stopniu schodów, apatycznie obserwując rozrastającą się na środku holu kałużę, kiedy Martin uchylił drzwi. W domu było tak ciemno, że wpadłby na nią, gdyby go nie ostrzegła.

- Co tu robisz? - spytał zaskoczony.
- Poddaję się. Ręce mi skostniały. Wylałam już ze dwadzieścia wiader wody, a ona ciągle wraca. Dobrze mi tak.
- Potrzebujesz drinka. I musisz coś zjeść. Te kanapki na lunch nie były zbyt pożywne.
- Kuchnia jest elektryczna - wyjaśniła Andrea z wymuszonym spokojem. - Nie mogę gotować.
- Nieszczęsna miastowa panienska! Jak byś sobie radziła w czasach pionierów?
- Poderżnęłabym sobie gardło.
- Daj spokój. - Ściągnął ją ze schodka i pomógł wstać. - Pozwól, że wujcio Martin pokaże, co potrafi.

W ciągu dziesięciu minut w bibliotecznym kominku zapłonął ogień. Andrea, w suchych pantoflach i długiej, ciepłej sukni sączyła sherry, obserwując, jak Martin podsycza buzujące płomienie.

- Najgorsze już chyba za nami - oznajmił, obrzucając swe dzieło fachowym okiem. - Na rano przewiduję czyste niebo... Ale Bóg jeden wie, kiedy włączą światło. Trzeba będzie poprzestać na czymś prostym. Na przykład hot dogi. Masz w domu parówki? Mniejsza o to, zobaczymy, co się znajdzie.

Nucąc fałszywie opuścił bibliotekę. Andrea wiedziała, że narobi w kuchni bałaganu, ale miała to w nosie. Wino rozgrzało ją od środka, a tańczące płomienie podniosły na duchu. W tym momencie poparłaby kandydaturę Martina Greenspana nawet na stanowisko prezydenta.

Wrócił z pełną tacą i zaczął rozstawiać przy kominku patelnie i garnuszki.

- Dobrze, że napełniłaś czajnik - rzekł pogodnie. - Rano możemy mieć kłopoty z wodą. Czysty absurd przy tej powodzi, prawda?

- W spiżarni jest woda w butelkach. Na wszelki wypadek.

- Właśnie mamy ten „wszelki wypadek”, nie sądzisz? Wystawię na dwór parę wiader, ale gdyby przyszło do najgorszego, możemy nosić wodę do toalet ze strumienia. Bo przecież hydrofor ciągnie wodę ze studni?

- O mój Boże, nawet nie pomyślałam o... Tak, jest studnia. Z pompą. Elektryczną.

- Przyzwyczaisz się. Będiesz musiała, skoro mieszkasz na wsi...

- Kiedyś ty zdążył...

- Pieczona fasolka, hot dogi - znalazłem parę szpikulców, możemy je zrumienić. Pewnie nie masz w spiżarni kartofli?

- Wariat! - roześmiała się Andrea. - Myślisz, że to biwak harcerzy?

- Prawdziwy filozof wszystko potrafi obrócić na dobre. Przydałaby mi się druga para rąk. Nie, nie wstawaj. Gdzie Jim?

- Na górze. Bóg jeden raczy wiedzieć, co on tam robi w ciemnościach. Pewnie skręci sobie kark przy schodzeniu... - W głosie Andrei brzmiała ponura rezygnacja.

Martin wyszedł do holu.

- Jim? Gdzie się, u diabła, podziewasz? Andrea nie dosłyszała odpowiedzi.

- Idzie - zameldował Martin wracając.
- Spadnie. Przecież nic nie widzi.
- Ma latarkę. Uważasz go za głupka?
- Och...
- Jeszcze kropelkę sherry?
- Poproszę.

Wkrótce przykuśtykał Jim.

- Co na kolację? - spytał z nadzieją w głosie.
- Dla ciebie nic, chyba że ruszysz tyłek i pomożesz mi - odparł Martin, kucając przy ogniu.

- Patrzcie, co znalazłem. - Jim potrząsnął zawiniątkiem, które dotąd trzymał pod pachą.

Była to para białych, płóciennych majtasów, obszytych mnóstwem koronek i wstążeczek. Mogły śmiało pomieścić zad małego słonia.

Martin aż się przewrócił ze śmiechu.

- Cudo! Czemu ich nie przymierzysz?
- Nie, nie - krzyknęła Andrea, kiedy Jim, rad ze swego dowcipu, próbował włożyć do środka nogę. - Są warte kupę forsy. Ten nowy sklep, „Płótna i Koronki”, sprzedaje halki i inne zabytkowe ciuchy po osiemdziesiąt i dziewięćdziesiąt dolarów.

- Zapłacę ci osiemdziesiąt, jeśli przejdziesz się w nich po supermarkecie - zaproponował Martin.

Wieczór zakończył się śmiechem i przypalonymi hot dogami. Mimo zwiastującego przeziębienie drapania w gardle, Andrea zasnęła natychmiast kamiennym snem. Zapewne z powodu sherry.

Kiedy wczesnym rankiem zadzwieczał dzwonek u drzwi, Andrea podniosła znad gazety zdziwiony wzrok. Była z siebie zadowolona, gdyż udało się jej rozpaść własnoręcznie ogień i zagotować wodę na kawę. Deszcz ustał, wyrzało niebieskie niebo i nadeszły gazety, które doniosły, że droga do miasteczka jest już przejezdna. Andrea cieszyła się właśnie pierwszym od dłuższego czasu wolnym niedzielnym porankiem. Od dawna tęskniła za długą, rozkoszną godziną przy gazetach i kubku kawy. Ostatnim widokiem, który życzyła sobie teraz oglądać, była bezmyślna gęba Linnie Hochstrasser.

- Nie musiałaś przyjeżdżać, Linnie. - Andrea stanęła w drzwiach, blokując wejście. - Nie mogłam zadzwonić, bo telefon nie działa, ale chyba się domyśliłaś, że podczas takiej burzy żaden gość tu nie dotrze.

- Myślałam po prostu... - Linnie przestępowała z nogi na nogę, próbując zajrzeć za plecy chlebobawczyni.

- Doceniam twoją dobrą wolę, ale naprawdę nie jesteś dziś potrzebna.

- No cóż...

- Wracaj do domu - rzekła stanowczo Andrea.

- Dobrze, psze pani. - Linnie odeszła z opuszczoną głową.

Andrea zamknęła drzwi. Nagle drgnęła.

- Dobry Boże, Jim, czy musisz się tak skradać? Myślałam, że jeszcze śpisz.

- Usłyszałem dzwonek.

- To tylko ta głupia Linnie. Nie mam dziś do niej słowy. Powinna się domyślić.

- Może chciała z tobą pogadać. - Jim szedł za siostrą do kuchni.

- O czym?

- Ma problemy z tym chłopakiem. Chce z nim zerwać, a on się na niej wyżywa.

Nie przestawał mówić, podczas gdy Andrea studiowała dział mody. Paryskie fasony nie interesowały jej zbyt, ale na pewno bardziej niż sercowe kłopoty Linnie Hochstrasser.

- Żyjemy w wolnym kraju - ciągnął Jim. - Skoro ona nie chce...

- Znow krótkie spódnice w modzie! Spójrz tylko na te ciuchy! Naprawdę można by sądzić, że projektanci nienawidzą kobiet.

Jim sięgnął po kolumnę sportową.

Po południu włączono telefon. Pierwsza zadzwoniła Reba z pytaniem, jak znieśli nawałnicę. Andrea opowiedziała o pionierskich wyczynach Martina. Słuchając wybuchów śmiechu i pochwalnych okrzyków przyjaciółki, uświadomiła sobie nagle, jak wiele jej zawdzięcza. Choćby Martina. Jeden z gości powiedział kiedyś tylko na pół żartobliwie: „Pani Miller mówi, że gdybyśmy się zatrzymali w Holiday Inn, nie moglibyśmy jadać w jej restauracji. Oczywiście nie żałujemy, panno Torgesen, bardzo nam się tu podoba.”

- Rebo, musisz nas odwiedzić! Czy wiesz, że jeszcze nie widziałaś wnętrza domu?

- Nie zwałam się do ludzi bez zaproszenia.

- Nie potrzebujesz żadnego zaproszenia. Czuj się zaproszona raz na zawsze. Za bardzo cię lubię, by proponować posiłek - okropnie gotuję - ale może wpadniesz któregoś wieczoru na drinka?

Skwapliwość, z jaką tamta się zgodziła, podpowiedziała Andrei, że uczucia Reby musiały być poważnie zranione, ale teraz pokój został zawarty na nowo.

- Miałam cię właśnie zapytać o Linnie - zmieniła temat Reba. - Jak jej idzie praca?

- Dobrze.

Odpowiedź brzmiałaby daleko mniej entuzjastycznie, gdyby nie fakt, że to Reba zaprotegowała Linnie. Andrea chciała wy badać możliwość zastępstwa, ale obcesowe pytanie ją zaskoczyło.

- Powinnaś ją wylać.

- Dlaczego?

- Bo zagięła parol na Jima.

- Podejrzewałam to. - Andrei udało się nie roześmiać z powodu zwrotu, z którym ostatni raz się zetknęła przy lekturze powieści Luizy May Alcott. - Rzeczywiście, odbiło dziewczynie, ale Jim nie jest nią zainteresowany. Traktuje ją jak dziecko.

- Czyżby? Słyszałam inaczej. Cholera, nie mój interes, co oni robią albo czego nie robią. Gorsza sprawa z tym wariatem Garym Joe. Groził, że rozkwasi Jimowi głowę.

- Gary Joe? Ach tak, ten narzeczony...

- Narzeczony, dobre sobie. Gary Joe Bloomquist to kawał łobuza. Leniwy, niezaradny, prędzej czy później zamkną go za jazdę po pijaku albo i za co gorszego. Żal mi Linnie, że tak się wpakowała. Choć głupia jak but, jest w gruncie rzeczy nieszkodliwa. Gary Joe to seksowny facet - jeśli komu odpowiada ten typ. Ponury brunet z marsem na czole, torsem jak szafa i grubymi wargami. Najwyraźniej Linnie wykłuwiała mu oczy Jimem, że taki przystojny, dobrze wychowany... Resztę możesz sobie dośpiewać.

Andrei zrobiło się na moment żal nieszczęsnej Linnie. Jeśli Gary Joe rzeczywiście jest taki, jak mówi Reba, Jim musiał się wydać dziewczynie wcieleniem księcia z bajki

uprzejmy, wrażliwy, w dodatku kaleka... Ale Linnie trzeba się pozbyć. Wprawdzie to absurd podejrzewać wybrednego, inteligentnego Jima o uleganie wdziękom takiej wywłoki. A jednak...

- Dziękuję, żeś mi powiedziała. Pomyślę o tym. Czwartek by ci pasował?

Umówiły się na czwartek, biorąc pod uwagę możliwość zmian w planach, które mógł popsuć choćby deszcz - po czym się pożegnały.

Nie mogę sobie pozwolić na zaniechywanie Reby, myślała Andrea. To mi nie wychodzi na dobre, no i świadczy o złym wychowaniu. Poza tym lubię tę starą jędzę. Może zaprosić ją kiedyś na kolację? Musi mieć dość wciąż tych samych potraw, mimo że takie dobre. I koniecznie powinnam nauczyć się gotować. To chyba nie takie trudne... Może kiedyś zechcę wydawać posiłki. Oczywiście nie mogę konkurować z „Rogiem Obfitości”... przynajmniej nie teraz. Ciekawe, czy gościom muffiny też już wychodzą uszami, tak jak mnie?

O piątej Martin pojechał do restauracji, niewątpliwie z zamiarem skorzystania z pewnych urządzeń. Prądu jeszcze nie włączono i, jak powiedziano w elektrowni, nie należało się tego spodziewać wcześniej niż wieczorem. Andrea spędziła część popołudnia przy telefonie, próbując się tam dodzwonić, a część na sprzątanii. Bez wody jednak nie mogła wiele zdziałać.

Zapach pieczonego mięsa zwabił ją do biblioteki, gdzie, jak się okazało, Jim przyrządzał jedną ze swoich dwóch specjalności - hamburgery. Pociągnęła nosem.

- Przeziębiłaś się? - Jim podniósł głowę.
- Mam nadzieję, że nie.
- Weź parę tabletek i idź spać. Dobry, mocny sen na pewno ci pomoże.

Wzruszona tą troskliwością i przekonana logiką argumentu, poddała się. Kiedy zanosili naczynia do kuchni zabłysło światło, ale Andrea nie miała nastroju do domowej roboty. Jak miło, że Jim tak koło niej skacze! Otulił ją starannie kołdrą, przyniósł gorący grog, kryminał i pudełko chusteczek, zadbał też o mnóstwo innych, całkiem zbędnych rzeczy, które jednak przyjęła z wdzięcznością. Po popitych alkoholem pigułkach poczuła się senna. Próbowwała jeszcze czytać, lecz litery skakały jej przed oczami. Nagle drzwi się otworzyły i Jim wsunął głowę.

- Śpisz?
- Zasypiam.
- Chciałem ci tylko powiedzieć, że wychodzę - mówił w pośpiechu. - Zadzwoił facet, którego poznałem w Towarzystwie Historycznym. Chcemy wyskoczyć na parę piw. Nie wrócę późno.

I tyle go widziała.

Gdyby nie ta senność, poszłaby za nim. Wypytywałaby, upominała, doradzała. I popełniłaby błąd. Może przeziębienie było szczęściem w nieszczęściu.

Zostawiła jednak zapaloną lampkę i siedziała wyprostowana, zapadając w sen, budząc się i znów zasypiając, póki Jim nie wrócił. Dotrzymał słowa. Dochodziło wpół do dwunastej, kiedy zajrzał, by powiedzieć jej dobranoc.

- Miło było? - spytała.

- Och, wiesz. Normalnie.

- Następnym razem zaproś swojego znajomego do nas, dobrze?

- Tak, oczywiście. Dobranoc, Andy.

*

Jeśli chodzi o przeziębienie, ranek nie przyniósł ani poprawy, ani pogorszenia. Jednak po ośmiu godzinach sprzątanania, wycierania zacieków, uszczelniania okien i zalepiania szpar - przy czym jeszcze musiała przyjmować telefony z rezerwacjami - nie sprawiło jej przykrości, że Jim znowu objął dowództwo.

- Spaghetti dla odmiany? - spytała z uśmiechem.

- Hamburgery były wczoraj.

- Rzeczywiście. Dziękuję, kochany. Doceniam twoją pomoc.

- Nie ma sprawy - mruknął Jim odwracając się tyłem.

- Nie wstawiaj jeszcze wody na spaghetti. Napijmy się piwa i pogadajmy.

- Myślałem, że chcesz się wcześniej położyć.

- Nie chcę. Po tych cholernych tabletkach czuję się taka śpiąca...

Przestanę je chyba brać.

- Ty zawsze przestajesz brać lekarstwa, kiedy poczujesz się trochę lepiej. W tym cały problem, bo potem choroba ci wraca. Potrzebujesz dużo snu.

- Może masz rację - zgodziła się potulnie Andrea, zaskoczona tą gorliwością. - Tylko nudzę się w łóżku.

- Mogę ci przenieść telewizor do pokoju. Dziś jest dobry film.

Lekarstwo na przeziębienie musiało jej stępić umysł. Każdy doświadczony opiekun młodzieży na pewno zareagowałby wzmożoną czujnością na poczynania Jima. Andrea nie połąpała się aż do początku filmu. Był to jeden z tych sensacyjnych dramatów o prywatnych detektywach z efektownym roztrzaskiwaniem samochodów. Ona osobiście nie lubiła takich filmów, ale pomyślała,

że to coś w guście Jima, więc wstała, żeby zapytać, czy nie chce oglądać. Martwa cisza w całym domu od razu wydała się jej podejrzana. Jima nie było ani w pokoju, ani w kuchni.

Kiedy nie znalazła go nawet na drugim piętrze, zapukała do Martina.

- Coś się stało? - zapytał widząc jej zmartwioną minę.

- Czy jest u ciebie Jim?

Wyczuwając, że zwykle zaprzeczenie nie zadowoli Andrei, Martin odsunął się od drzwi i otworzył je na oścież. Leżący na środku łóżka Szatan zmrużył arogancko złote oczy. Jima nie było.

- Gdzie on się podziewa? W domu go nie ma...

- To znaczy, że wyszedł - odparł Martin. - I o co ten krzyk? Nie ma sześciu lat.

- Ale on... - przełknęła ślinę - jest niepełnosprawny...

- To nie znaczy, że masz go niańczyć.

- Och, zamknij się. Nic nie rozumiesz.

- Owszem, rozumiem - westchnął. Był bez marynarki, kołnierzyk koszuli miał odpięty, a okulary odsunięte wysoko na czoło. - Sprawdziłaś, czy zostawił ci wiadomość?

- Nie, nie sprawdziłam. - Pobiegła na dół. Martin spojrzał na Szatana. Kocur ziewnął.

- Masz stuprocentową rację - mruknął dziennikarz. - Ale ja nie mam takiej zimnej krwi jak ty. - I poszedł za Andrea.

Kartka leżała w widocznym miejscu na kuchennym stole, przyciśnięta cukierniczką. Kiedy Martin wszedł, Andrea kończyła ją czytać.

- Wyszedł z tym samym chłopakiem - rzekła z gniewem. - Nie chciał mi przeszkadzać... Kto to w ogóle jest? Jim mówi, że go poznał w Towarzystwie Historycznym.

Martin uniósł brwi.

- Nie przypominam sobie nikogo szczególnego - rzekł wymijająco.

- Jim mówił, że nie było tam nikogo poniżej osiemdziesiątki.

- Dlaczego uważasz, że nowy znajomy jest w jego wieku?

- Właściwie tego nie powiedział. Musi to być ktoś zupełnie nieodpowiedni, inaczej nie zadawałby sobie tyle trudu, żebym się z nim nie spotkała. Kurczę, jak Jim mógł mi zrobić coś takiego!

Martin zdawał się spierać z samym sobą. Wreszcie zabrakło mu widać argumentu, bo potrząsnął smutno głową.

- Dam ci pewną radę, ale czy nie odgryziesz mi głowy?

- Prawdopodobnie odgryzę. - Andrea krążyła po kuchni, mnąc kartkę.

- A jednak spróbuję. Nie czekaj na niego.

- Dziękuję, ale zrobię dokładnie to, co zechcę.

- Wiem - westchnął ponownie. - Nie sądzę, bym mógł ci dotrzymać towarzystwa?

- Nie, dziękuję.

- Dobrze. W razie czego, jestem na górze. Następną godzinę Andrea spędziła na przemierzaniu

holu, picu kawy, paleniu i mówieniu do siebie. Od kawy ją mdliło, od papierosów drapało w i tak bolącym gardle. W końcu ustawiła krzesło przy oknie salonu i siedziała, wpatrując się w drogę. Im bardziej noc zbliżała się do

świtu, tym rzadziej smugi samochodowych świateł rozpraszały ciemność. W pewnym momencie jakieś auto skręciło do bramy. Andrea zerwała się z miejsca. Ale to tylko ktoś zawracał. Światła na moment zniknęły, po czym znów odnalazły swą trasę.

O wpół do drugiej - sprawdziła co do sekundy - podniosła się sztywno z krzesła i poszła do pokoju Jima. Drzwi dawały się zaryglować tylko od środka, ale sam fakt założenia zasuwki stanowił ostrzeżenie, z którym aż do tej pory się liczyła. Z wielką skrupulatnością respektowała prawo Jima do prywatności, nigdy nie wchodziła bez uprzedzenia. I teraz ma nagrodę! Złamał zasadę wzajemnego zaufania, więc nie zasługiwał już na żadne względy.

Szukała notesu z adresami. W przypadku Jima zresztą był to zapewne świstek papieru z nazwiskiem i numerem telefonu. Mimo spóźnionej pory zadzwoniłaby tam bez wahania, ale nic nie znalazła.

Gdyby nie była tak zaślepiona gniewem i troską uznałaby brak takich świstków za pożałowania godny fakt. Biurko i szuflady Jima zawsze były pełne karteczek od tak łatwo kiedyś pozyskiwanych przyjaciół obojga płci. Przeszukawszy na próżno każdą szufladę i każdy mebel, wzięła do ręki notatnik i potrząsnęła. Na podłogę sfrunęła pojedyncza kartka. Przelotne spojrzenie upewniło Andree, że to nie to. Kartka była zapisana. Może jakiś list? Albo sądząc z nieregularnych linijek - fragment wiersza? Mimo gniewu nie

pozwoliłaby sobie na wścibianie nosa w prywatną korespondencję, ale jeden zwrot przyciągnął niechcący jej oko. Coś o zawalonych mostach. Nim przyjrzała się bliżej, usłyszała upragniony dźwięk. Włożyła kartkę do kieszeni i pobiegła do drzwi. Znalazła się tam w samą porę, by zobaczyć światła reflektorów omiatające dom i zmierzające na służbowy podjazd do garażu i zabudowań gospodarczych. Nim dotarła do drzwi kuchennych, samochód odjechał. W ciemności bezksiężycowej nocy nie widziała wyraźnie, poznała jednak odgłos silnika. Słyszała go przedtem wystarczająco często.

Od drzwi na dwór oddzielał kuchnię mały przedsionek. Jim właśnie wszedł do środka. Andrea rozpoznała oczywiście sylwetkę brata, ale zauważyła coś dziwnego w jego postawie; odchyłał się od pionu niczym krzywa wieża.

Ujrzawszy siostrę, głupio zachichotał.

- O, kurwa. No i sprawa się rypła...

Odór kiepskiego piwa był tak silny, że Jim musiał chyba oblać nim ubranie.

- Wchodź - wykrztusiła. - Jeśli możesz iść.

- Cholera, jasne, że mogę. - Ale potknął się już na pierwszym schodku i Andrea rzuciła się na pomoc, próbując go podeprzeć. Poczula, że chłopak trzęsie się ze śmiechu.

Ledwie jej się udało wciągnąć go do kuchni. Kiedy światło padło mu na twarz, krzyknęła. Miał spuchnięte usta, a podbródek siny i pokrwawiony. Ze skroni spływały strużki krwi, podkreślając zarys kości policzkowych.

- Po... powinnaś zobaczyć tamtego - wymamrotał Jim. Odrzuciwszy kule, które z hukiem upadły na podłogę, usiłował dobrnąć do krzesła.

- Chyba słyszałem samo... - Martin urwał w pół słowa. Po chwili wykrzyknął: - Dobry Boże! - I zaczął się śmiać.

Jim mu zawtórował.

- Żałujcie, żeście nie widzieli tego drugiego skurwiela! - chwalił się.

Andrea wodziła przez chwilę wzrokiem po zaczerwienionych, roześmianych twarzach obu mężczyzn, po czym wybuchnęła płaczem.

Łkania siostry otrzeźwiły Jima szybciej niż zimny prysznic.

- Hej, siostrzyczko, przestań, nic mi nie jest! Czuję się znakomicie.

Oczy rozszerzyły mu się nienaturalnie, spuchnięte wargi rozchyliły się z zażenowaniem. Za chwilę wydałoby się, że kłamie, ale Martin złapał go wpół i podniósł z krzesła.

- Jazda, bracie, dasz chyba radę dojść do łazienki? Po ich pośpiesznym wyjściu słyszała już tylko serię niepokojących odgłosów przerywanych cierpkimi uwagami Martina. Kiedy dziennikarz wrócił, Andrea już nie płakała. Siedziała nieruchomo z kamienną twarzą.

- Położyłem go do łóżka - oznajmił Martin, opuszczając rękawy.
- Nie jest ranny, ma parę zadrapań i stracił ząb. Musiał się świetnie sprawić. Widziałem Gary'ego Joe, to nieokrzesany drań, ale ślamazarny i pozbawiony...

- Macie źle w głowie - odparła beznamietnie Andrea. - Obaj. Wszyscy. Wszyscy mężczyźni.

- Chcesz filiżankę kawy?

- Jeśli wypiję jeszcze jedną, to się porzygam.

- A więc herbaty. Dobrej, mocnej herbaty. To staroświeckie panaceum na damskie nerwy.

Nie odezwała się; Martin podał jej filiżankę i usiadł naprzeciwko.

- Czas na kazanie? - spytała podejrzliwie.

- Czy uwierzysz mi, jeśli powiem, że nie mam na to ochoty?

- Nie.

- Wobec tego zaczynam. Potrafię zrozumieć Jima, ponieważ należę do tej samej wulgarnej płci. Myślę, że kobiecie trudno coś takiego wytłumaczyć.

- Spróbuj.

- Andreo, wypadek okaleczył Jima pod wieloma względami. W jakiś sposób pozbawił go męskości. Amputacja symbolizuje kastrację. Wiem, to się tak gładko mówi, ale pomyśl sama, ile on stracił. Sukcesy sportowe, samochód... Psiakrew, pamiętam, co czułem niegdyś do mojego sponiewieranego wraka, choć to już prehistoria. Dla dzisiejszych dzieciaków cztery kółka są czymś więcej niż środkiem transportu. Czemu cię dziwi, że Jim wybrał dwa klasyczne sposoby sprawdzenia się jako mężczyzna?

- Rozpustę i mordobicie.

- To tylko jedne z określeń.

- Był z Linnie, tak? Poznałam po silniku ciężarówki jej ojca.

- Jest jedyną dostępną dla niego kobietą - stwierdził sucho Martin.

W jego głosie zabrzmiała krytyczna nuta. Andrea wolała ją zignorować.

- Ale dlaczego... dlaczego nie mogli robić tego... cokolwiek robili... tutaj?

- Czy ja dobrze słyszę?

- Och, sama już nie wiem, co mówię. - Oparła głowę na rękach.

- Rano poczujesz się lepiej. - Martin odsunął krzesło i wstał. - Jim chyba nie, chociaż... Dobranoc, Andreo.

- Dobranoc. - Odczekała, aż otworzy drzwi. - Dziękuję ci, Martin.

- Zawsze do usług.

Andrea pozostała na miejscu, z głową na rękach. Nie próbowała odpierać zarzutów Martina, ale nie czuła się specjalnie winna, że Jim utracił kontakt ze szkolnymi przyjaciółmi. Co prawda nie zawsze przekazywała mu wiadomość, gdy ktoś telefonował, lecz przecież nie robiła tego umyślnie, po prostu zapominała. Jim miał prawo zapraszać kolegów i doskonale o tym wiedział, nie musiała mu przypominać. Sam się od nich odsunął. Czy dlatego, że nie chciał się pokazywać w swej nowej postaci dziewczynom, z którymi dawniej się umawiał?

Martin zostawił drzwi do pokoju Jima otwarte. Słyszała chrapanie. Chłopak nigdy nie chrapał, chyba że za dużo wypił. Nie po raz pierwszy wracał nieco zawiany, ale w zasadzie nie zdarzało mu się przeholowywać - przynajmniej ona w to wierzyła. Często pracowała nocami, a on czasem dzwonił, żeby powiedzieć, że nie wraca na noc. Oczywiście, że pił. Jak oni wszyscy. To absolutnie normalne i nieuniknione, choć niepożądane stadium dorastania.

Jim chrapał, jakby go coś dusiło i Andrea poszła sprawdzić, co się dzieje. Martin zostawił zapaloną lampkę - starego, zniszczonego Kaczora Donalda, którego Jim wyciągnął z pudła z zabawkami. Wyglądał nierealnie i śmiesznie. A może Jim w ogóle wolał teraz zostawiać światło na noc?

Andrea wygładziła koc i przykryła nagie ramiona brata. Martin zmył mu zaschniętą krew z podbródka i prze - mył jodyną świeże zadrapania. Poza śladami walki twarz Jima wyglądała spokojnie jak u dziecka. Na czole miał delikatną zmarszczkę, jakby to gargantuiczne chrapanie przychodziło mu z najwyższym trudem.

- Tak bardzo cię kocham, Jimmie - szepnęła Andrea - Tak bardzo...

Jim przewrócił się na bok. Chrapanie przeszło w spokojny, regularny oddech.

Zostawiwszy otwarte drzwi, Andrea poszła do siebie i zaczęła się rozbierać. Szelest papieru w kieszeni przy. pomniał jej o kartce znalezionej w notatniku brata.

Próbowała się powstrzymać. Walczyła z pokusą wytrwale, póki nie znalazła się w łóżku. Dopiero wtedy zapaliła lampkę i wyjęła zmięty arkusik z kosza na śmieci.

To nie był list. Przebiegając wzrokiem niedbale skreślone linijki, Andrea poczuła, jak serce ścina się jej lodem.

Mapa jest tu, przede mną. Czarnym atramentem
Znaczyłem na niej linie dróg i rzek
I wytyczałem szlak - ten, którym miałem pójść.
Wszystko stracone. Mosty zawalone, drogi podmyte.
Stop. Tu przejścia nie ma. Trzeba szukać dalej.
Są przecież inne trasy. Inne drogi, rzeki
Wiodą do miłych miejsc na mojej mapie.
Są góry do wspinania, wzgórza do spacerów...
Więc dlaczego się czuję
Tak zagubiony, gorzej: intruz
W obcym, choć starym świecie?
Czyż nie odnajdę mapy mego świata?

ROZDZIAŁ VII

On myśli, że umrze - powiedziała Andrea.

- Bo umrze. Ja umrę, ty umrzesz. To jedyna pewna rzecz na tym niepewnym świecie.

- Przestań. Wiesz, o co mi chodzi.

Martin cisnął kartkę na stół i podszedł do okna. Pod nogami szeleściły mu papiery, podłogę przy biurku zaścielały zmięte żółte arkusze. Zastanawiająco mały stosik gotowych stron leżał na stoliku przy maszynie, gdzie Szatan zabawiał się właśnie przyciskiem do papieru.

Greenspanowi najwyraźniej nie szła robota. Andrea miała trochę wyrzutów sumienia, ale postanowiła się nie przejmować. Jim był ważniejszy, najważniejszy na świecie, a poza Martinem nie miała do kogo zwrócić się o radę. Zapukała do niego rano, gdy tylko usłyszała za drzwiami ruch.

- Czy naprawdę nie rozumiesz? - pytała gorączkowo. - A może dopatruję się zbyt wielu rzeczy?

- Czego, na przykład?

- Samobójczych myśli.

- Możliwe.

Spojrzała na niego, zaskoczona. To nie było przyjacielskie, pokrzepiające dodawanie otuchy, coś w rodzaju słów: „Wszystko będzie dobrze.” Czegoś takiego oczekiwała, ale powinna wiedzieć, że nie usłyszy od Martina żadnego arbitralnego, fałszywego pocieszenia.

- Niepotrzebnie zawracam ci głowę. - Podniosła się i zamierzała wyjść.

- A od czego się ma przyjaciół? - Uśmiech rozjaśnił mu twarz, wygładzając zmarszczki - oznaki wieku i zmartwień.

Andrea opadła z powrotem na krzesło.

- Dziękuję. Chyba nie zasłużyłam na te słowa. Od dawna z nikim się nie przyjaźnię. Nawet nie bardzo rozumiem, co to znaczy przyjaźń.

Martin przybrał pozę posagowego oratora.

- Przyjaciel - rozpoczął przemówienie - to ktoś, kto próbuje cię podnieść, gdy upadniesz. A jeśli nie potrafi, kładzie się obok i słucha.

- Kto tak powiedział? Mark Twain?

- Martin H. Greenspan. Właśnie to wymyśliłem. Andreo, położę się i będę słuchał, kiedy tylko zechcesz, ale do niczego więcej się nie

nadają. I niech mnie diabli porwą, jeśli przyjmę jakąś odpowiedzialność.

- Po prostu powiedz, co myślisz.

- Chyba mam nierówno pod sufitem, że się tak angażuję - mruknął. - Nie uważam, żeby ten wiersz - zresztą żaden literacki wyczyn - sam w sobie coś oznaczał. Oboje wiemy, że w grupie wiekowej Jima procent samobójców jest wyższy niż w innych, temu nie przeczę. Ale to margines złożony z ludzi o niezdrowych skłonnościach, którzy bawią się ideą śmierci. Ten utwór uważam za bardzo typowy. Czy nigdy nie napisałaś wiersza o śmierci?

- Nie.

- Naprawdę? A ja tak. Pamiętam początek: „Upiorne widmo, twoje białe kości...” Na szczęście resztę zapomniałem.

Andrea uśmiechnęła się mimo woli.

- Czego się przedtem naczytałaś?

- Lovecrafta i Poe'go. Większość moich ówczesnych utworów była w tym stylu.

- Natomiast większość twoich późniejszych utworów zginie w zarodku, jeśli cię nie zostawię w spokoju. Dziękuję, już mi lepiej.

- No i dobrze. - Położył poufale rękę na gładkiej

wypukłości kociego grzbietu. Szatan prychnął. Kiedy Andrea wyszła, Martin popatrzył na kota. - I co tak leżysz i podsłuchujesz, he? Cóż, istnieją różne rodzaje przyjaźni. Tylko nie wiem, czy rozgrywam sprawę z zimną krwią czy raczej własnoręcznie podrzynam sobie gardło. Jak myślisz, kotku?

Szatan wstał, stracił parę arkuszy, odwrócił się do Martina tyłem i zwinąwszy się w kłębek, zapadł w drzemkę. Martin zabrał się do porządkowania papierów.

Andrea bez żadnych ostrzeżeń wiedziała, że powinna zostawić Jima w spokoju. Pamiętała, jak się czuje człowiek na kacu gigancie. W połączeniu z bolesnymi szramami i potężnymi wyrzutami sumienia było to coś, czego nie życzyłaby najgorszemu wrogowi. Nasłuchując jednym uchem dźwięków z pokoju brata, zmywała po śniadaniu. Linnie nie przyszła do pracy. Nic dziwnego - dziewczyna miała instynkt samozachowawczy jak szczerak czy inne podobne stworzenie. Andrea nie mogła się doczekać, kiedy ją wreszcie wyrzuci.

Gdy skończyła sprzątać kuchnię, Jim wciąż jeszcze spał, więc zabrała się do sprawdzania księgi rezerwacji. Czekał ją pracowity

tydzień, w dodatku bez pomocy. Miała jedną rezerwację na środek tygodnia, pełny dom na weekend, a jeszcze w czwartek czeka ją wizyta Reby.

Nareszcie przestało padać. Słońce świeciło prosto w okna salonu, światło przesiane przez witraż na klatce schodowej układało się na stopniach w różnokolorowe plamy. Z nasiąkniętych wilgocią trawników unosiła się para, przez którą próbowały się przebić ciepłe promienie. Wpadające przez otwarte drzwi powietrze było świeże i rześkie.

Podniosła głowę, gdyż usłyszała warkot samochodu. Prawie natychmiast rozpoznała charakterystyczne poświstywanie silnika. Zerwawszy się na równe nogi, pobiegła do drzwi. Ta główniara ma chyba nieźle nakopane w głowie, skoro uważa, że może sobie przyjeżdżać jak gdyby nigdy nic po dwugodzinnym opóźnieniu!

Z ciężarówki wysiadła nie Linnie, tylko Hochstrasser, ubrany jak na oficjalną wizytę. Kombinezon, choć zniszczony, lśnił czystością, guzik przy kołnierzyku był zapięty.

Andrei, przygotowanej na awanturę ze sklamrzącą dziewczyną, zrobiło się słabo na widok ojca Linnie, który mógł się okazać rozjuszoną, wymachującą strzelbą ordynusem.

Miała nadzieję, że obejdzie się bez scen. Pan Hochstrasser nie wyglądał na krzykacza. W gruncie rzeczy był bardziej zakłopotany niż sama Andrea. Ujrawszy ją w drzwiach, zdjął sfatygowaną czapkę i uśmiechnął się z przymusem.

- Dzień, dobry, panno Torgesen. Ładny dzionek, nie? Andrea udzieliła stosownej odpowiedzi:

- Miło znów zobaczyć słońce. Mam nadzieję, że deszcz nie zaszkodził pańskim zbiorom.

- Nie, proszę pani. Siano od dawna mam pod dachem. - Obracał czapkę w rękach. - Mogę z panią pogadać?

- Proszę wejść. - Zebrała się w sobie i otworzyła drzwi.

- Może lepiej, żeby pani tu zeszła. Moje ubranie nie pasuje do eleganckich salonów.

Usiedli na werandzie. Andrea zagłębiła się w bujaku, Hochstrasser przycupnął nieśmiało na brzeżku wiklinowego fotela, w przyzwoitej odległości.

Andrei ani się śniło rozpocząć rozmowę, dając w ten sposób przeciwnikowi taktyczną przewagę, choć oczywiście wiedziała, jak

ciężko mu znaleźć słowa. Posługiwał się nimi z takim samym trudem jak ona, przynajmniej na początku, młotkiem i śrubokrętem. - Nietatwo o tym mówić - zaczął po licznych chrząknięciach i pokasływaniach. Ponieważ Andrea dalej się nie odzywała, wykrztusił wreszcie: - Przy... przypuszczam, że słyszała pani o bójce.

- Widziałam co poniektóre skutki - odparła Andrea, przechodząc do ofensywy. - Jak nisko trzeba upaść, by zaatakować kalekę na kulach! Zastanawiam się poważnie nad wniesieniem oskarżenia.

- Cóż... Na pani miejscu powstrzymałbym się od takich kroków. - Przez chude policzki Hochstrassera przemknęło coś, co mogło być zaczątkiem uśmiechu. - Z tego, co słyszałem, Jim tamtemu też nieźle dołożył. Może nawet jeszcze lepiej.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Cóż, doprawdy... - Hochstrasser ruszał rytmicznie szczękami, jakby poszukując w ten sposób słów. Na pewno nie zuł tytoniu; uważałby to za nietakt w obecności damy. Był to czysty odruch ułatwiający myślenie. - Właściwie trochę ma. Zaraz, co ja chciałem... Jim zyskał sobie uznanie. Za to, jak stawał przeciw Gary'emu Joe. I tak se myślę, że Jim w końcu nakryłby się nogami, tylko że reszta chłopaków, tam u Shamrocka, do tego nie dopuściła. Nie, proszę pani. Kiedy zobaczyli, jak rwie się do bitki, mimo że kaleka, wtrącili się do zabawy i odciągli Gary'ego Joe. Gdyby pani chciała wmieszać w to prawo, byłoby... jakby tu powiedzieć...

- Myślę, że rozumiem - odrzekła Andrea. Odwaga jest pojęciem zrozumiałym. Odwaga - jako powód do szacunku. Dzięki kazaniom Martina udało się jej zgłębić nieco tajniki niepisanych praw rządzących archaicznym światem mężczyzn, gdzie przemoc nie traktuje się jako ostatniej deski ratunku, tylko jak wartość samą w sobie. Nawet jeśli uważała takie podejście za krańcowe stadium kretyzmu - potrafiła je zrozumieć.

- I tego... Jeśli się pani martwi o Gary'ego Joe, to nie ma powodu. On już nic Jimowi nie zrobi. Teraz już nie. Za bardzo stracił... twarz.

- To bandzior.

- Pewnie któregoś dnia wyląduje w kiciu - zgodził się Hochstrasser. - Ale nie przyszedłem tu z jego powodu. Chodzi o Linnie.

No i wyszło szydło z worka, pomyślała Andrea, czując, że sztywnieje.

Hochstrasser nie spodziewał się odpowiedzi. Utkwił oczy w czubkach podniszczonych butów.

- Niełatwo samotnemu tatusiowi wychować przyzwoicie dziewczynę - zaczął żałośnie. - Dobry Pan wie, że zrobiłem, co mogłem. I gorąco się modliłem... Gdzieś... musiałem popełnić błąd. Ona... znaczy Linnie... nie jest taka zła. Nie, proszę pani. Dać jej miłego chłopaka, to się ustatkuje, urodzi parę dzieciaków i wszystko będzie jak trzeba.

- I jakiegoż to chłopaka ma pan konkretnie na myśli? - spytała zimno Andrea.

Hochstrasser nagle podniósł głowę, wytrzeszczając na Andree oczy. Szczeka mu lekko opadła. Potem wybuchnął śmiechem przypominającym zgrzytanie zardzewiałego żelastwa.

- Chyba pani nie sądzi, że przyszedłem tu, żeby... Jejku, co też pani... - Założył nogę na nogę, jakby dopiero teraz poczuł się swobodnie. Andrea uświadomiła sobie, że teraz on jest panem sytuacji. - Nie, proszę pani - ciągnął śmiejąc się w kułak. - Zostawiłem swoją pukawkę w domu, naprawdę. Wcale bym nie chciał, żeby moja Linnie wyszła za takiego jak Jim. Och, nie, nie z powodu nogi - dodał pośpiesznie. - Znam wielu facetów, którzy świetnie sobie radzą z jedną ręką czy nogą. Ale Linnie i pani brat do siebie nie pasują. Nie byliby szczęśliwi. - Mężczyznę wstrząsnął nowy wybuch śmiechu. Trzepnął się w kolano. - Przyszedłem tylko powiedzieć, że Linnie nie będzie już u pani pracować. Namawiam ją, żeby wróciła do szkoły.

- To chyba niezły pomysł - wykrztusiła czerwona ze wstydu Andrea.

- Tak, proszę pani. Nie powinienem jej pozwolić rzucać szkoły, kiedy skończyła szesnaście lat. Jeśli dziewczucha ma za dużo czasu, migiem narobi sobie kłopotów, to jasne jak słońce. A wtedy i chłopaki mają problemy. Jak z tą Dalilą w Biblii.

Pan Hochstrasser rozmyślał przez chwilę w nabożnym skupieniu nad pechowym losem Samsona. Andrea niemal słyszała, jak dowodzi, że gdyby tatuś Dalili zadbał o zajęcia dla swojej córki, kazał jej zamiatać świątynię i prać szaty, to biblijna piękność nigdy nie znalazłaby się w opałach.

- Taak. Jasne, że przede wszystkim Linnie zawiniła...

- Hochstrasser wstał. Powiedział swoje i zbierał się do drogi. -
Moje uszanowanie, panno Torgesen. I co złego - to nie ja.

- Do widzenia - odparła Andrea.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz było jej tak potwornie głupio. Ten farmer w niedwuznaczny sposób pokazał, gdzie jej miejsce. Tam mianowicie, gdzie i innych kobiet, zbyt zajętych dziećmi i mężami, by mieć czas na wpadanie w kłopoty.

Poczucie humoru wzięło w końcu górę nad troskami. Zaczęła się śmiać. Przepaść dzieląca właścicielkę zajazdu od ludzi typu Hochstrassera była większa, niż sobie kiedykolwiek wyobrażała, a jednak właśnie ten farmer rozweselił ją o wiele skuteczniej niż Martin swoimi aluzjami i aforyzmami.

Poszła rozejrzeć się za Jimem. Opowie mu tę historię, mimo że pewnie ją wyśmiej. To dobry sposób na przełamanie lodów i przekonanie, że nie ma zamiaru potępiać brata, nawet jeśli trochę pobrykał.

Nie było go w pokoju. Zostawił skłębioną pościel, na kuchennym stole stała brudna filiżanka po kawie. Ślady prowadziły do uchylonych kuchennych drzwi. Słońce stało już wysoko. Na pogodnym, błękitnym niebie chmurki jak kleksy z bitej śmietany przeczyły niewinnym wyglądem wszelkim wspomnieniom o deszczu. Jima nigdzie nie było.

Nie potrafiłaby powiedzieć, skąd wiedziała, gdzie go szukać. Jak zwykle niechętnie i z oporami ruszyła w stronę cmentarza.

Znalazłszy się za murem, zatrzymała się, zaskoczona. Kiedy on to wszystko zrobił? Aż trudno uwierzyć, by tak bujna, zielona trawa wyrosła z nasion. Zapadające się prostokąty grobów pooddzielane były równymi rzędami cegieł i kamieni - ciemnego łupku, szarego granitu, jasnego marmuru i czerwonego piaskowca. Przy murze, na wprost bramy, pod krzewem pnącej róży stała ławeczka - zwykła betonowa płyta podparta kamiennymi słupkami. Andrea znalazła ją kiedyś, przewróconą i zapomnianą, zarośniętą chwastami, pod dużym dębem przy domu i kazała zabrać do szopy. Ktoś musiał Jimowi pomóc w przenoszeniu, nigdy by sam nie dał rady. Na cmentarzu nie kwitły teraz żadne kwiaty, nawet polne. Deszcz zniszczył je doszczętnie. Łachy świeżo skopanej ziemi, zamienione w błotniste kałuże, wytyczały miejsca przyszłych rabatek. Wśród splątanej zieleni

różanego krzewu dostrzegła jednak jasną plamkę - jeden nie tknięty przez deszcz pączek, czekający, aż słońce pozwoli mu się rozwinąć.

Jim nie widział siostry. Siedział na ławce z pochyloną głową i splecionymi rękami. Może dumał nad sensem życia, może żałował nocnych ekscesów. Tak cicho szła, a on był tak głęboko pogrążony w rozmyślaniach, że nie zauważył obecności Andrei, póki nie znalazła się tuż przy nim. Podniósł na chwilę głowę, ukazując pokaleczoną, zbawioną wyrazu twarz, po czym wrócił do poprzedniej pozycji. Andrea usiadła.

- Jeśli czujesz się tak paskudnie, jak wyglądasz, to współczuję - rzekła umyślnie lekkim tonem.

- Nie patrzyłem w lustro. Nie miałem ochoty. Ale nie mogę wyglądać gorzej, niż się czuję.

Objęła go za ramiona. Strząsnęła jej rękę.

- No, dalej, nawrzucaj mi. Chcę to mieć za sobą.

- Wcale nie chcę na ciebie krzyczeć.

- To ja pokrzyczę. Okłamałem cię, narobiłem ci niepotrzebnych przykrości i przy okazji wyszedłem na kompletnego głupka. I wiesz, co?

- No, co?

Spojrzał jej twardo w oczy.

- Wcale mi nie jest przykro.

Na to już nie mogła nic odpowiedzieć. Nawet stwierdzenie, że go rozumie, zabrzmiałoby fałszywie.

- Linnie nie przyszła dziś do pracy - oznajmiła. - Ale był jej ojciec.

- O cholera! - Jim wyraźnie się przestraszył.

- To nie to, co myślisz - Andrea starała się nie roześmiać.

Po namyśle postanowiła przedstawić bratu własną wersję tej rozmowy. Inaczej nie dostrzegłby w niej nic śmiesznego. Poza tym Jim wolałby raczej, żeby ojciec Linnie pogonił go z batem, niż poklepał po główce i odesłał do domu, przykazując by odtąd zachowywał się jak grzeczny chłopczyk. Ale Andrea nie potrafiła ukryć zasadniczych poglądów Hochstrassera i Jimowi, w miarę słuchania, coraz bardziej rzedła mina.

- Więc wszystko skrupiło się na Linnie - odezwał się w końcu. - A ja wyszedłem na czysto. Co za skurwiel z tego ojca.

- Żaden skurwiel, tylko skołowany facet, który chce dla swojej córki jak najlepiej. Może ma staroświeckie poglądy - chyba należy do jakiejś fundamentalistycznej sekty - ale prawdę mówiąc, nie tylko tacy jak on wyznają pogląd, że cała wina spada na kobietę. Większość mężczyzn, a i sporo kobiet, jest tego samego zdania. - Z tobą włącznie? Przynajmniej ubrał stwierdzenie w formę pytającą.

- Sądziłam, że lepiej mnie znasz. I tak chciałam wyrzucić Linnie, bo nie miałam z niej za grosz pożytku. Niech wraca do szkoły, przynajmniej tyle dobrego z tego zamieszania. Nie, uważam, że jesteś tak samo winien jak ona. Albo i więcej. Bo chyba masz więcej rozumu.

- Dziękuję, Andy. - Dopiero teraz dostrzegł humorystyczną stronę sytuacji. Uśmiechając się przekornie, sięgnął po jej rękę. - Poproszę o jeszcze jedno kazanie. Uwielbiam kazania.

- Pewnie cisną ci się na myśl gorsze słowa niż mnie.

- Taak. To już się nie powtórzy. Przysięgam na Boga.

- Wierzę ci, kochany.

Nie wątpiła, że mówi prawdę. Nie popełniłby po raz drugi takiego samego szaleństwa. Wymyśli coś innego. Ale ona nie będzie się martwić na zapas. W ten piękny, słoneczny poranek, czując ciepłe palce Jima na swej dłoni, wierzyła, że wszystko zmierza ku lepszemu.

Czas zmienić temat. Jim nie lubił wylewności, poza tym boli go głowa, źle się czuje, a do człowieka w takim stanie niewiele dociera. Rozejrzała się dookoła.

- Co za cudów dokonałeś z tym cmentarzem!

- Podoba ci się?

- Przyjemnie tu - przyznała ze zdumieniem. - Szczerze mówiąc, nie znosiłam tego miejsca, ale teraz... Rozumiem, dlaczego lubisz tutaj przychodzić.

- Myślałem - zaczął ostrożnie chłopak - że poszperam trochę w historii, tak jak proponował Martin. To bezpieczne zajęcie, prawda?

- Interesujący pomysł.

Jima nie zwiodła serdeczność jej tonu. W oczach błysnęło mu rozbawienie.

- Nie masz za grosz wyobraźni - westchnął. - Nie czujesz tego? Tej tajemnicy? Wyzwania?

- Muszę przyznać...

- Spójrz tutaj. - Obrócił się tyłem i wskazał ziemię za ławką. - Pamiętasz ten nagrobek z zagadkowym epitafium? Czy to cię nie ciekawi? Kim była owa Mary i dlaczego na jej nagrobku wyryto takie słowa? Kto zasadził różę i dlaczego? Dużo o tym myślałem. Chciałbym wiedzieć, kim była, co się z nią stało i czemu ona... - Urwał w pół zdania, jakby zawstydzony własnym wybuchem.

- Ona? Masz na myśli Mary?

- Owszem. W każdym razie mam zamiar zająć się tym na serio.

- Od czego zaczniesz?

- Cóż, rozmawiałem z jednym facetem z Towarzystwa Historycznego - spojrzał na nią z ukosa. - Naprawdę poznałem tam paru ludzi, tylko z nimi raczej nie da się wyskoczyć na parę piw.

- Daj spokój - roześmiała się Andrea.

- Mówił coś o archiwum sądu rejonowego. Mają tam akty własności i testamenty sięgające zamierzchłych czasów. Podobno można tam dotrzeć do oryginalnych dokumentów nieruchomości, sprawdzić, do kogo należała, no i w ogóle. Więc myślałem, że któregoś dnia...

Zawahał się. Andrea odpowiedziała ze spokojem:

- Skoro masz zamiar jeździć do Frederick, będzie ci potrzebny samochód. Chcesz, wyskoczymy dziś po południu i dowiemy się, co trzeba zrobić, żeby odnowić prawo jazdy?

Rozjaśniona twarz Jima wynagrodziła całkowicie tę najdalej posuniętą ofiarę. Mimo wszystko, pomyślała Andrea, to wcale nie oznacza wypuszczenia chłopca spod opieki. To tylko inny, bezpieczny sposób, by go zatrzymać.

*

Jeszcze tego samego dnia Andreę poraziła makabryczna myśl. Może siedziała na grobie Mary? Przecież Jim umieścił ławeczkę obok krzewu róży...

Nie zaprzętała sobie głowy tym nagrobkiem, póki Jim nie zwrócił uwagi na jego osobliwość. Teraz przyznała mu rację. To naprawdę dziwne epitafium. Kiedy Andrea uświadomiła sobie jego najbardziej oczywiste znaczenie, poczuła coś w rodzaju podziwu dla kobiety, która tak jawnie wyrażała swe buntownicze poglądy w czasach, gdy wszędzie obowiązywała obłudna pobożność.

Nadmiar zajęć spowodowany nieobecnością Linnie uwolnił Andreę od nieistotnych spekulacji. Nie miała nawet czasu, by martwić

się o Jima. Wręczenie bratu kluczyków samochodowych było jednym z najcięższych momentów w jej życiu. Obawiała się, że oszaleje, jeśli nieobecność chłopaka przeciągnie się choćby o sekundę. Kiedy jednak wpadła w wir porządków w salonie, bibliotece, gościnnych pokojach, wyleciało jej na jakiś czas z głowy, że Jim znajduje się właśnie daleko na autostradzie - bezbronny i narażony na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nie tęskniła specjalnie za zabawianiem Reby, gdyż zdawała sobie sprawę, że centrum informacji o życiu okolicznych mieszkańców dysponuje pełnymi danymi na temat bójki Jima z Garym Joe oraz wszystkich intryg związanych z tym wydarzeniem. Zaproszenie jednak zostało wystosowane i Andrea nie mogła sobie absolutnie pozwolić na odwołanie wizyty. Poza tym potrzebowała pomocy Reby w znalezieniu następczyni Linnie.

Reba nie wyznawała „odwróconego snobizmu”. Jeździła najnowszym modelem mercedesa, i to z brawurą godną d'Artagnana. Samochód zatrzymał się z piskiem non tuż przed schodkami werandy. Reba wysiadła i natychmiast gruchnęła o ziemię. Musiała złamać obcas, bo słyhać było, jak mamrocze: „Szlag by trafił te kretyńskie szpilki...” Andrea trzymała się dyskretnie z daleka, nie chcąc wprawiać gościa w zakłopotanie, ale Reba bynajmniej nie przejęła się wypadkiem.

- Siad płaski! - oznajmiła wesoło. - Żałuj, żeś nie widziała. Było na co popatrzeć!

Andrea, niepewna, czy ma się śmiać czy proponować pomoc, przyglądała się czerwonej twarzy przyjaciółki.

- Usiądź tu i złap oddech. Przyniosę drinki na werandę.

- Nie rób sobie kłopotu - sapnęła Reba.

- Żaden kłopot. Taki przyjemny dzień, szkoda siedzieć w domu.

W holu Andrea natknęła się na Szatana. Okrążył ją szerokim łukiem, po czym oddalił się swoją stałą trasą w kierunku kuchni. Tknięta straszliwym podejrzeniem, Andrea rzuciła się do stołu, gdzie wcześniej zostawiła talerz z zakąskami. Wiedziała z gorzkiego doświadczenia, że Szatan przepadał za serem.

Pięknie udekorowane kanapki były nienaruszone, Szatan natomiast siedział z miną grzecznego koteczka, któremu udało się zachować cnotę wyłącznie z braku okazji do grzechu.

Obładowana talerzem z kanapkami, tacą z kieliszkami i butelką wina, torowała sobie łokciem drogę na werandę. Reba wachlowała się magazynem, ale nie była już taka czerwona i oddychała spokojniej.

- Gorąco - westchnęła. - Może pogoda się zmieni...

- Ma być burza, jeśli wierzyć prognozom.

Teraz Andrea już rozumiała, że pogoda nie jest tylko obowiązkowym tematem towarzyskiej pogawędki - dla mieszkańców wsi to życiowa sprawa. Farmerzy martwi się o zbiory, a im dalej od miasta, tym częściej telefony i sieć elektryczna ulegają uszkodzeniom. Dla właścicielki hoteliku wyłączenie prądu to nie niewygodna, tylko katastrofa. Andrea przekonała się, że brak prądu oznacza też brak klimatyzacji, możliwości gotowania i przede wszystkim brak wody. Dlatego z taką samą troską jak Reba obserwowała teraz grube, białe kumulusy, które właśnie zaczęły się zbierać na południu.

Reba była wyraźnie wzruszona staraniami Andrei. Przypadły jej do gustu eleganckie kanapki, cienkie szkło kieliszków i znakomite wino. Po paru minutach zdawkowej wymiany zdań przeszła bez żadnych wstępów do sedna:

- Pogadamy o tym zaraz czy później?

- Najlepiej w ogóle.

- Poradzę ci coś, dziecko. Nie bądź taką cholerną mimozą. Wszyscy staramy się trzymać przy sobie niektóre sekrety, ale akurat tego nie potrzebujesz się wstydzić.

- Powinnaś to przewidzieć.

- Próbowałam cię ostrzec. Ale - przyznała - z dziećmi nigdy nic nie wiadomo. Nie możesz go pilnować na każdym kroku. - Zniżyła głos. - Gdzie jest Jim? Nie chcę, żeby to słyszał.

- Wszystko w porządku. Pojechał do Frederick.

- Świetnie. Co to ja miałam powiedzieć? No, więc cała sprawa może się jeszcze obrócić na dobre. Akcje Jima stoją teraz bardzo wysoko.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- A powinno. Jeśli chcecie spędzić tu życie, Jim musi znaleźć swoje miejsce, zyskać uznanie. Oczywiście, pewnie kiedyś wróci do college'u, ożeni się, stworzy rodzinę...

To absolutnie nie był temat do dyskusji. Andrea napełniła Rebie kieliszek.

- Wiesz, że Linnie odeszła. Czy mogłabyś polecić kogoś na jej miejsce?

- Zorientuję się w sytuacji. Przypuszczam, że nie chciałabyś już żadnej smarkuli.

- Wolę osobę w średnim wieku. I żeby umiała gotować. Tylko nie myśl, że chcę z tobą konkurować.

- Nie mogłabyś, kiciu. - Reba zmarszczyła grube brwi. - Dobra z ciebie kobitka i masz głowę do interesów, ale chyba nie sądzisz, że pomogłabym ci, gdybyś chciała otwierać drugą restaurację? - Po raz pierwszy Andrea ujrzała w Rebie kobietę dzierżącą berło władzy, choć zawsze się tego domyślała. Obraz ten nie wróżył niczego dobrego. Ta kobieta byłaby strasznym wrogiem. - Zresztą nieważne - ciągnęła Reba, wymachując kieliszkiem. - Jestem tu nieźle ustawiona i ciężko by się przeliczył ten, kto by mi chciał zaszkodzić. Właściwie i tak mam za dużo klientów.

Andrea napełniła jej kieliszek.

- Myślałam o śniadaniach - wyjaśniła potulnie. - I ewentualnie podwieczorkach... Z placuszkami, tradycyjnymi kanapkami z ogórkiem...

- Hmm. Tak, to by mogło być miłe. Możesz wyciągnąć nieźle ceny. Ale jeśli rozkręcisz gotowanie na wielką skalę, zaraz dorwie cię służba zdrowia. Mają surowe przepisy i czasem zachowują się naprawdę po chamsku. Zastanów się jeszcze.

Temat okazał się interesujący dla obu stron, więc oddały się całkowicie zawodowym projektom. W pewnej chwili niebo pociemniało i Andrea zerwała się z krzykiem.

- Spójrz na tę chmurę! Zaraz będzie lało. Chodźmy do domu.

- Zabiorę wino - ofiarowała się Reba.

Pierwsze krople deszczu zabębniły o schodki, gdy jeszcze zbierały resztki jedzenia i napojów. - Ciekawe, gdzie podziewa się Jim. - Andrea spojrzała z niepokojem na ołowiane niebo.

- Robisz za dużo szumu wokół dzieciaka - skrzywiła się Reba, otwierając kopniakiem drzwi.

Błyskawica przecięła ciemne chmury i w dali rozległ się grzmot. Andrea z tacą w rękach szła za Rebą przez ciemny hol. U podnóża schodów prawie na nią wpadła.

- Zaczekaj - rzekła. - Zapalę światło.

Nacisnęła kontakt i poszła, nie zatrzymując się, do czerwonego salonu, pewna, że Reba za nią idzie. Kiedy jednak wyprostowała się po odstawieniu tacy, zobaczyła, że jej gość stoi z przechyloną głową, jakby nasłuchując. Światło lampy zwieszającej się tuż nad głową Reby zniekształciło jej rysy, wyraźne cienie grubych brwi i wydatnego nosa pozbawiły twarz naturalnego kolorytu.

- Chodźże tutaj! - zawołała Andrea, ale kobieta ani drgnęła. Dopiero na powtórne, głośniejsze wezwanie ruszyła z miejsca powoli i niezbyt chętnie.

Andrea zapaliła kilka lamp. Tak bardzo chciała pokazać Rebie dom. Zebrała już wiele gratulacji, ale tylko ktoś, kto widział stan poprzedni, mógł naprawdę docenić cały trud.

Czerwony salon miał mniej oficjalny charakter niż ten po drugiej stronie holu. Dzięki umiejętnemu doborowi barw nawet w deszczowe dni sprawiał miłe, pogodne wrażenie. Zasłony ze złotymi frędzlami i chwastami kosztowały kawał grosza, ale były tego warte. Ciemna, głęboka czerwień, przypominająca dywany z Buchary, harmonizowała z aksamitną tapicerką kanapy i foteli. Choć Andrea osobiście wolała we wnętrzach skandynawską prostotę, stopniowo polubiła swoje dzieło. Jeden z pary foteli, „damski”, wyglądał jak zrobiony specjalnie dla niej - wysokość i głębokość siedzenia pasowały dokładnie do jej niskiego wzrostu.

Reba klapnęła ciężko na drugi fotel, nieco głębszy i wyższy, przeznaczony dla „pana domu”. Andrea postanowiła wstrzymać się na razie z propozycją zwiedzenia budynku. Reba wyglądała na zmęczoną. Niech skończy wino i jeszcze trochę odpocznie.

Na dworze ciągle lało jak z cebra. Po jakimś czasie zszedł na dół Martin. - Pada - oznajmił. - Zauważyłam - odparła sucho Andrea. - Zobacz, kto tu jest.

- Cześć, Rebo! - powitał gościa. - Wiatr wieje z południa. Mogę sobie przynieść poduszki?

Wszedł nie czekając na odpowiedź. Po chwili pojawił się z naręczem poduszek, które rzucił bez ceremonii na podłogę.

- Widzę, że zdążyłyście już obciągnąć całą butelkę - zauważył, przyglądając wilgotne włosy.

- Otwórz drugą - zaproponowała gościnnie, choć niechętnie Andrea. Wino było drogie, a każda butelka to kolejna pozycja w rachunkach, nad którymi i tak trzeba się sporo nabiedzić.

- Chyba, że wy się jeszcze napijecie. Ja poprzestanę na szkocekiej.
- Martin podszedł do wbudowanego w regał barku. - Nalać ci, Rebo?

- I to podwójną.

Andrea w niczym się nie zorientowała, nawet kiedy jej przyjaciółka wypila pół szklanki duszkiem. Miejscowi plotkarze twierdzili, że Reba potrafi prześcignąć w picciu i zwalić pod stół niejednego chłopca, ale Andrea nigdy jej nie widziała podpitej. Nie zauważyła też, że Rebę nagle opuściła gadatliwość. Martinowi za to nie zamykały się usta. Był wściekły z powodu ostatnich doniesień z konferencji rozbrojeniowej w Genewie. Rokowania znajdowały się w stanie permanentnego impasu. Wypowiedzi Martina na temat bezkompromisowego stanowiska delegacji Stanów Zjednoczonych sprowokowały Andreę do gwałtownego kontrataku. Dopiero gdy burza ucichł i deszcz się zmniejszył, przypomniała sobie o obowiązkach gospodyni.

- Gadaj tu z tępakiem - zakończyła dyskusję. - Równie dobrze mogłabym się kłócić z tym stołem. Rebo, nie chciałabyś obejrzeć reszty domu?

Reba wzdrygnęła się.

- Nie - odparła. - Muszę wracać. Już późno.

- Masz tak świetnie wyszkolony personel. Dadzą sobie radę bez ciebie - przekonywał ją Martin. - Odpręż się. Chcesz jeszcze drinka?

- Nie.

Postawiła szklankę na brzeżku stołu. Martin złapał ją w locie. Reba wstała niepewnie i podniosła rękę do ust. Miała dzikie, wystraszone oczy lisa osaczonego przez psy.

- Co się stało? - wykrzyknęła przerażona Andrea.

- To przez mieszanie alkoholi - stwierdził Martin, rzucając Andrei niespokojne spojrzenie. Objął dygoczącą Rebę ramieniem.

- Taaa. Jasne - zgodziła się. - Nie gorączkujcie się tak. Muszę stąd wyjść.

Odepchnęła go i rzuciła się do drzwi z takim impetem, że aż zabrzęczały kryształki w żyrandolu.

Pobiegli za nią. Deszcz przeszedł w słaby kapuśniaczek, na wschodzie pojawił się skrawek niebieskiego nieba. Martin pierwszy dopadł uciekinierki.

- Zaczekaj chwilę, ty uparciuchu! - krzyknął przytrzymując ją za ramię. - Usiądź. A jeśli chcesz sobie rzygnąć, tu masz poręcz.

- Muszę wracać. - Reba zrobiła głęboki wdech. - Przepraszam, Andy. Cały dzień kiepsko się czułam.

- Wyglądasz już lepiej - pocieszyła ją Andrea.

- Jasne. Zaraz mi przejdzie. Dziękuję, było bardzo przyjemnie.

- Odwiozę cię - zaproponował Martin, widząc, że nie da się przekonać.

- Nie musisz.

- Wiem, że nie muszę. Dawaj kluczyki.

Pomógł Rebie wsiąść i podbiegł do Andrei.

- Wrócę pieszo. Zjem tam kolację. I nie martw się, to pewnie początek grypy czy coś w tym rodzaju.

Jak dotąd Jim nie zawiódł zaufania Andrei. Już dwa razy wrócił punktualnie z wyprawy samochodowej. Tego dnia pobił rekord i zrobił to po raz trzeci. Pojawił się zaraz po odjeździe Reby i Martina.

- Nie chciałabyś chyba, żebym jechał w taką ulewę. Zjechałem na pobocze i zaczekałem, aż deszcz ustanie.

- Mądra decyzja, kochany. Zresztą i tak się nie spóźniłeś.

- Hej, co za fantastyczna wyżerka! - Jim wpakował sobie do ust kanapkę z krabem. - Nie zostawiliście zbyt dużo. Kto był?

- Mówiłam ci, że Reba przyjeżdża.

- Och, racja. Szkoda, że jej nie zastałem. Myślałem, że zostanie dłużej.

- Źle się poczuła. Mam nadzieję, że nie z powodu jedzenia. Może lepiej nie ruszaj tych kanapek.

- Są super - zaproponował Jim. Wiedział, co mówi, bo zdążył już spróbować każdego rodzaju. - Rozchmurz się, Za Mała. Gdyby były nieświeże, nie zaszkodziłyby jej tak szybko.

- Chyba masz rację. - Andrea zmusiła się do uśmiechu. - Co dziś robiłeś?

- Mówiłem, że jadę do sądu.

- I dowiedziałeś się czegoś?

- Trochę. Powiem ci później. Gdzie Martin? Uważał oczywiście, że audytorium bez Martina jest niekompletne. Andrea zdusiła w zarodku znajome ukłucie zazdrości.

- Odwioził Rebę. Nie wróci przed kolacją.

- Masz taki głos, jakbyś ciągle była przeziębiona. Chcesz, żebym dziś gotował?

- Bez urazy, ale mam trochę dość hamburgerów i spaghetti. W lodówce jest zapiekanka. Możemy jeść w każdej chwili.

Jim zawsze był gotów do jedzenia. Zrobili sobie wczesną kolację, po czym chłopak wycofał się na górę „popracować”. Andrea nie wypytywała go więcej. Nie może się pozbyć przeziębienia, bo haruje jak wyrobница, ma wszystkiego wyżej uszu i właśnie rozplywa się z żalu nad sobą. Jutro przyjeżdża szóstka gości, a tu znikąd pomocy... No i jeszcze Reba...

Z tego zdenerwowania zaczęła wyglądać Martina. Wiedział, że jest niespokojna, więc na pewno zaraz przyjdzie rozproszyc jej obawy. Andrea usłyszała, jak wchodzi, ale potem odgłos kroków - zamiast zbliżać się do kuchni - umilkł. Po chwili zdecydowała się wyrzeć.

W holu Martina nie było. Ze względów oszczędnościowych paliła się tam tylko jedna lampa - na biurku, koło księgi gości i stosu broszurek na temat lokalnych atrakcji turystycznych. W żadnym z dwóch salonów ani w bibliotece też się nie świeciło, więc myślała, że poszedł na górę. Już miała wejść na schody, kiedy uświadomiła sobie, że ktoś - a może coś - ukrywa się w czerwonym salonie. Zauważyła jakiś cień o ton ciemniejszy od ogólnej ciemności, jakieś nieznaczne, niemal niedostrzegalne poruszenie.

- To tylko ja - odezwał się Martin, słysząc, że Andrea gwałtownie wciąga powietrze. Podeszedł do niej.

- Co, do diabła, wyprawiasz? Mało nie umarłam ze strachu!

- Nic, ja tylko... hm...

- No, tego już za wiele! Najpierw historia z Rebą, teraz ty się czaisz jak jakiś cholerny Fu Manchu.

Mógłbyś mieć nade mną litość!

- Przepraszam. - Martin poskrobał się w brodę, jak zwykle, kiedy się nad czymś zastanawiał. Miał gęsty, kilkudniowy zarost i odgłos drapiących paznokci doprowadzał Andreę do szału. Już miała powiedzieć coś, czego by pewnie później żałowała, ale na szczycie schodów pojawił się Jim.

- To ty, Martin? Jesteś zajęty? Mam ci coś do powiedzenia.

- Tak... nie... Chwileczkę - odkrzyknął dziennikarz i zwrócił się do Andrei: - Z Rebą wszystko w porządku, jeśli to tym się tak gryziesz. Zjadła na kolację więcej niż ja.

- Dzięki Bogu. Czemu mi zaraz nie powiedziałeś?

Jim uratował go od odpowiedzi.

- Zgadnij, co dziś odkryłem? - zapytał z dumą.
- Pewnie perpetuum mobile - mruknął Martin. - No co?
- Odkryłem, kim ona była. Znalazłem Mary!

ROZDZIAŁ VIII

Przyszła na świat w roku 1823 jako najstarsza córka i jedyna dziedziczka urodzonego Franklina Broadhursta. Broadhurst nabył Springers' Grove na licytacji w roku 1854. Posiadłość składała się z dwustu siedemdziesięciu akrów ziemi, domu z zabudowaniami gospodarczymi oraz dwóch młynów na strumieniu. Stary dom został zburzony po wybudowaniu nowego, co, jak wiemy, nastąpiło w roku 1862. Broadhurst był jednocześnie właścicielem wielu innych nieruchomości na terenie hrabstwa, liczących w sumie około tysiąca akrów, lecz kiedy umierał w roku 1866, nie zostawił córce nic poza tym domem i trzydziestoma akrami. Resztę sprzedano. Prosił córkę o przebaczenie. W testamencie brak informacji, czy je uzyskał.

Mary miała wtedy czterdzieści trzy lata. Kiedyś wyszła za mąż za pułkownika armii konfederackiej Johna Fairfaxa. Musiał chyba zginąć na wojnie, bo w roku 1866 Mary była już wdową z czteroletnią córeczką. Jej matka zmarła parę lat wcześniej, tak że bliska bankructwa Mary została sama na świecie.

Zamiast rozglądać się za mężczyzną, który by się nią opiekował, założyła w domu pensjonat - Hotel Fairfax. Stanowił źródło utrzymania Mary i znakomicie prosperował aż do jej śmierci w roku 1900. Zostawiła po sobie jeszcze dziwniejszy testament niż ojciec. Dom z całym wyposażeniem miał być sprzedany. Każdemu z długiej listy kuzynów zapisała po dolarze, aby mogli sobie kupić żałobne obrączki. Resztę pieniędzy rozdzieliła między swego adwokata, niejakiego pana Wilberforce'a, a towarzystwa dobroczynne. Zostawienie legatu adwokatowi było sprytnym posunięciem, ponieważ wychodził potem ze skóry, żeby kuzyni nie obalili testamentu, i dopilnował spełnienia wszystkich związanych z pogrzebem życzeń zmarłej. Nagrobek zamówiła wcześniej, trzeba tylko było wyryć datę śmierci i dopilnować, by ta, a nie inna płyta została umieszczona na grobie. Mary życzyła sobie spocząć na starym cmentarzu Springerów. Gdyby adwokat nie spełnił tych żądań, miał zostać wykluczony z testamentu, a wszystkie pieniądze przekazane na dobroczynność. Wśród licznych wymienionych organizacji znalazło się także schronisko dla zwierząt, które w zamian za zapis miało przyjąć do siebie kota Belzebuba. Testatorka przykazała prawnikowi wystawiać czek co miesiąc i sprawdzać przy tej okazji, czy opieka jest należycie sprawowana.

Jim podniósł głowę znad notatek. Miał minę zwycięzcy biegu i oczekiwał zasłużonej owacji. Martin nagroził go gromkimi oklaskami.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - wykrzyknęła z podziwem Andrea.

- To raczej długa i nieciekawa historia - odparł skromnie chłopak.

Siedzieli przy kuchennym stole. Jim, trzymając przed sobą rozłożony notatnik, wygłaszał tekst z pewnością siebie zawodowego historyka. Robił przerwy tylko aby przepłukać gardło piwem z puszki.

- Ciekawe, ile sam wymyśliłeś - rzekła Andrea.

- Niczego nie wymyślałem - oburzył się. - Przy badaniach historycznych nie wolno wymyślać faktów. Składa się do kupy różne strzępki informacji, aż się uzyska pełny obraz.

- Znakomicie się spisałeś - pochwalił go Martin, starając się ugłaskać urażoną dumę chłopaka. Udało mu się tylko częściowo.

- To cholernie żmudna robota - przekonywał ich Jim, - Nigdy czegoś takiego nie robiłem.

- Kochany, przecież nie wątpię w to, co mówisz tłumaczyła się Andrea. - Ja też się na tym nie znam. Po prostu jestem ciekawa.

- Podobnie jak ja - dodał Martin. Chłopak tylko czekał na te słowa.

- To bardziej interesujące, niż przypuszczałem - wyznał. - Jak układanka. Znajdujesz dwa kawałeczki - i myślisz, że następny powinien mieć taki a taki kształt. Szukasz go. I czasem naprawdę się zgadza. Wtedy czujesz prawdziwy triumf! Ale często się zdarza, że ten nowy kawałeczek zupełnie nie pasuje do tamtych - i musisz wszystko poprzekładać...

- Nie sądzę, bym kiedyś słyszał jaśniejszy opis procesu badawczego - odezwał się z powagą Martin.

Jim wziął to stwierdzenie dosłownie i starał się przybrać skromną minę.

- Cóż - kontynuował - jak wiecie, zainteresowałem się Mary z powodu tych tajemniczych okoliczności. Ten napis... i w ogóle... grób daleko w rogu... no, to wszystko razem. Niestety nie znałem jej ostatniego nazwiska ani dat urodzenia i śmierci. Nie wiedziałem, od czego zacząć, dopóki nie pogadałem z facetem z Towarzystwa Historycznego. On mi powiedział o archiwum. Poradził, żebym prześledził akty własności domu i ustalił, kto był właścicielem

posiadłości w XIX wieku. Kiedy natrafię na ostatnie nazwiska, będę mógł się zorientować, czy w rodzinie była kobieta o imieniu Mary. No i tak zrobiłem. Jeśli jakakolwiek część nieruchomości zmienia właściciela, transakcja musi być odnotowana. Te dokumenty - zapisy testamentowe, akty własności i tak dalej - wpisuje się do ksiąg, które znajdują się w archiwum sądowym. Obejmują nawet XVIII wiek. Taka księga nazywa się „liber” a jej strona „folio” - Teraz powiedzmy, że ja kupuję dom od Martina. Na akcie własności zapisuje się numer „liberu” i „folio”, do których urzędnik przepisał akt, a także odpowiednie numery z poprzednich transakcji. Pisz się tak... - Przewrócił kartki notatnika i zaczął czytać.

Taż nieruchomość, która została sprzedana Martinowi Greenspanowi przez Joe Smitha w dniu 15 września 1966 roku - zob. liber 10, folio 10." Wtedy tam zaglądasz i znajdujesz numer poprzedniej sprzedaży. Jak dotąd jasne?

Publiczność z szacunkiem pokiwała głowami.

- Nie takie to łatwe, jakby się zdawało - ciągnął Jim. - Po pierwsze, te „libery”, czyli tomy, nie mają kolejnych numerów: jeden, dwa, trzy i tak dalej. One tworzą serie uporządkowane według inicjałów urzędników. Tak więc zależnie od tego, jak długo facet pracował, może być siedemnaście tomów serii ASL, a tylko trzy tomy serii BD. Istnieje główny indeks, który podaje chronologiczny porządek serii, więc jeśli chodzi ci o jakiś szczególny rok, możesz się dowiedzieć, które serie obejmuje.

To wszystko zabiera czas. Im głębiej sięgasz w przeszłość, tym bardziej niedbałe są zapisy. Nie zawsze rejestrują numery poprzednich sprzedaży. Są oddzielne indeksy testamentów, aktów własności, metryk urodzenia, świadectw zgonów i wielu innych dokumentów, a odsyłacze trudno znaleźć.

Zrobił przerwę na dobrze zasłużony łyk piwa.

- Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem - wtrącił Martin. - Jeśli nieruchomość zmieniała właściciela tylko w drodze sprzedaży, wystarczy, gdy sprawdzisz w tomie zawierającym zapis poprzedniej transakcji. Ale założmy, że stało się to wskutek dziedziczenia. Wtedy zmiana właściciela nie będzie odnotowana w aktach sprzedaży.

Czy istnieją odsyłacze do testamentów?

- Czasem tak, czasem nie. Wiesz, ja zacząłem od testamentu kuzynki Berty. To długi elaborat napisany prawniczym językiem, ale

jest w nim odnotowany fakt, że dziedziczyła po swoim ojcu, no więc zajrzałem z kolei do jego testamentu, czyli cofnąłem się w zamierzczłą przeszłość aż do roku 1937.

Andrea zerknęła z ukosa na Martina i zauważyła jego kwaśną minę. Ma około czterdziestki, pomyślała, mógł się urodzić właśnie w 1937 roku, tymczasem dla Jima to naprawdę „zamierzczła przeszłość”.

Chłopak mówił dalej, nieświadom tego drobnego zakłócenia:

- Ojciec Berty dziedziczył po swoim ojcu. Ten zaś zmarł w roku 1902. I tu miałem szczęście. Nie we wszystkich starych testamentach jest powiedziane, jak zmarły wszedł w posiadanie nieruchomości. Ale tu - proszę: „Posiadłość znana jako Springers' Grove, ograniczona hm... hm... nabyta w drodze kupna od urodzonej Mary Fairfax, obecnie nieżyjącej.”

To imię przyprawiło mnie o niezły szok, ale nie byłem jeszcze pewien, czy chodzi o naszą Mary, więc zacząłem grzebać dalej. Ponieważ poznałem jej nazwisko, mogłem dotrzeć do testamentu. Odszukałem też testament ojca Mary Fairfax - i wtedy nie miałem już wątpliwości. Ponieważ staruszek kupił to miejsce od Springerów, a Mary nie nazywała się Springer...

- Skąd wiesz? - przerwała mu Andrea. - Mówiłeś, o ile pamiętam, że nie da się odczytać nazwiska na nagrobku?

- Ja... - zająknął się Jim. - Za długo by mówić. Na płycie są pewne ślady liter. Nie pasują do słowa „Springer”, ale do „Fairfax” - tak.

- Więc całą tę długą historię wydedukowałeś na podstawie kilku testamentów? - spytał Martin. - Niezła robota!

- Przejrzałem jeszcze świadectwa zgonów i metryki urodzenia. Ale rzeczywiście trochę pogłówkowałem - twierdził z dumą Jim. - To przecież logiczne. Na przykład fakt, że mąż Mary został zabity na wojnie. Nie mogłem znaleźć świadectwa zgonu, ale wiemy, że służył

wojsku, a Mary w 1866 roku była już wdową. Jej ojciec tak o niej pisze: „Mary Fairfax, wdowa po pułkowniku Armii Skonfederowanych Stanów Johnie Fairfaksie..” Jasne, że mąż musiał polec w bitwie.

- Ciekawe, czy Franklin Broadhurst był zwolennikiem konfederatów - zastanawiał się Martin. - To by tłumaczyło, dlaczego stracił majątek. Złożył go na ołtarzu Sprawy. Umarł z powodu

złamanego serca i zawiedzionych nadziei jak każdy szanujący się rebeliant. Mary nie poślubiłaby żołnierza Południa, gdyby jej ojciec...

- To są bezpodstawne domysły - odparł wyniośle Jim - których my, badacze, nie bierzemy pod uwagę.

Andrei podział na wyobraźnię inny aspekt odkrycia brata.

- Powiedziałeś: 1866? To prawie sto dwadzieścia lat temu. Nie można wprawdzie przyjąć, że zajazd działa od tego czasu, ale czemu by nie umieścić pod szyldem tabliczki: „Zbudowany w roku 1866” albo...

- Wszystko na sprzedaż, co? - uśmiechnął się Martin.

- A czemu nie?

- Czy ani trochę nie interesują cię ludzie? Choćby ta kobieta, walcząca o przetrwanie w świecie rządonym przez mężczyzn. Przypuszczam, że masz z nią wiele wspólnego.

Andrea skwitowała tę sentymentalną gadaninę wzruszeniem ramion. Myśłami nadal błędziła przy projektach reklamy.

- Jimmie, pamiętasz te rysunki? Kobieta w czerni... Założę się, że to portret Mary. Mogłabym go oprawić i powiesić nad biurkiem w holu...

- Jakie rysunki? - zainteresował się Martin.

- Jim ci nie pokazywał?

- Nie.

- Gdzie one są, Jimmie?

- Położyłem je z powrotem tam, gdzie były.

- Do tej brudnej dziury? Głupio postąpiłeś. Coś tak starego jest warte...

- ...kupę forsy - dokończył za nią Jim. - Chcesz obejrzyć te obrazki, Martinie?

- Bardzo proszę.

- Ja pójdę - zaczęła Andrea, ale zaraz opadła z powrotem na krzesło, krzywiąc się z bólu po zainkasowaniu tego kopniaka. Jim wstał i wyszedł.

- Wystarczyłaby lekka sójka w bok - rzekła Andrea, rozcierając nogę.

- Przykro mi. - Wcale nie było mu przykro. - Czemu Jim ma takie opory przed pokazaniem mi tych rysunków?

- Nie ma żadnych oporów. Dlaczego miałby mieć? Rysunki są dość dziwaczne, ale nie mają nic wspólnego z Jimem. Znalazł je pod

podłogą w pokoju na wieży. Coś mu odbiło i chce się tam przeprowadzić.

- Mówił mi - rozchmurzył się Martin. - Może to jest jakieś wyjaśnienie. Traktuje ten pokój jak coś osobistego i nie chce, żeby jakiś intruz grzebał w jego rzeczach... Ciekawe, czemu Mary Fairfax nie wyszła ponownie za mąż.

- Bo miała dobrze w głowie. Martin się uśmiechnął.

- „Jak jesteś starą panną, wszyscy ci współczują. Jak mężatką, mąż tobą rządzi. Najlepiej więc być wdową.” Gdzie ja to czytałem?

- To musi być powszechna postawa.

- Jaka z ciebie cyniczka! Zobaczmy... - Martin sięgnął po notatnik Jima. - Urodzona w roku 1823. Miała trzydzieści dziewięć lat, kiedy przyszło na świat dziecko. Dość długo była starą panną.

- Skąd wiesz? Mogła być dwukrotną wdową, kiedy wychodziła za tego żołnierza... - Andrea urwała. Czemu to słowo porusza coś w jej pamięci? Nieważne. - I mogła mieć tuzin dzieciaków. W tamtych czasach dużo ich umierało.

- Tak, ale... O, Jim. Masz te słynne rysunki?

Jeśli Jim rzeczywiście wzdragał się dawniej przed pokazywaniem znaleziska, to teraz po tej niechęci nie zostało nawet śladu. Podał Martinowi album i wrócił na swoje miejsce.

Dziennikarz przez dłuższy czas przyglądał się obrazkom. Andrea zorientowała się, że szybciej niż ona wyczuł ich osobliwość. Pierwszy rysunek - róża, którą toczył robak - wyraźnie nim wstrząsnął.

W końcu dotarł do portretu damy w czerni. - To ona - powiedziała Andrea. - Suknia według mody z roku 1880 i ta całkowita czerń, nawet w biżuterii. Widać, że wdowa. To musi być Mary.

- I Belzebub - mruknął Martin.

- Rzeczywiście. W testamencie jest o nim mowa.

- Chyba nie zdajecie sobie sprawy, co oznacza to imię - rzekł Martin, przyglądając się rysunkom.

- Nie rozumiem - zdziwił się Jim.

- Belzebub to imię Księcia Ciemności, diabła. Szatana.

- To logiczne, nie wymagające wielkiej wyobraźni imię dla czarnego kota - odparła Andrea. - Ludzie są tacy przesądni.

- Uhm... Cóż, będę teraz traktował starego drania z większym respektem. A te szkice są bardzo szczególne. Ciekawe, kto je rysował.

- Nie są podpisane. Nie sądzę, żeby Mary...

- Autoportret? Raczej nie. - Martin nie wyjaśnił, dlaczego tak uważa. - Jim, gdzie będziesz teraz prowadził badania?

- Przetrzęsnałem już dokładnie archiwum. Nie wiem, co robić dalej.

- Ośmielasz się tak mówić w mojej obecności? - oburzył się Martin. - Gazety, ty ignorancie, gazety! A jeśli zapytasz, czy one istniały w tych przedpotopowych czasach, to dostaniesz w dziób.

Jim się roześmiał.

- To chyba nie aż tak dawno temu?

- Bardzo dawno - westchnął Martin. - Ale już po wynalezieniu druku. Spróbujmy poszperać w bibliotece.

- Nie masz dość czasu, żeby pomagać Jimowi - zaprotestowała Andrea. - Przecież już zawałęś terminy.

- Wygląda na to, że zawałę jeszcze bardziej - odparł niefrasobliwie. - Znam te objawy. Jestem o krok od uwikłania się w kuszące, bezużyteczne dygresje. Do diabła, przecież to taka interesująca historia! Chciałbym zajrzeć do testamentu Mary. Coś mi tu pachnie zemstą - żeby tak zostawić krewnych na lodzie, rzucając tylko nędzny ochłap? A co z córką? Mówiłeś coś o córce.

- Miała na imię Alicja - odparł Jim. - Umarła w 1879 roku. W wieku siedemnastu lat.

*

Siedemnaście lat!

Te słowa prześladowały Andreę przez cały następny dzień, kiedy przygotowywała się na przyjęcie weekendowych gości. Siedemnaście. O dwa lata młodsza od Jima.

Reba zadzwoniła z przeprosinami za swoją ucieczkę. Nie zapomniała też o sprawie następczyni Linnie. Ma na oku pewną kobietę - taką, jak chciała Andrea - prostą, w średnim wieku, gotową zatrudnić się czasowo, póki nie zacznie się sezon w przetwórnicy owoców. Może jednak zacząć dopiero w poniedziałek. Andrea wyraziła wdzięczność, osłabioną nieco doznany zawodem. Na weekend miała komplet rezerwacji.

Często podczas pracy nasuwała się jej przed oczy mocno zarysowana twarz Mary Fairfax. Andrea bardzo przeżywała historię tej kobiety, za nic jednak nie chciała, by Martin się tego domyślił. Ona i Mary naprawdę miały ze sobą wiele wspólnego. Obie były twardymi, zmagającymi się z losem kobietami. Zbyt twardymi, by

sobie pozwolić na uleganie porywom serca. Mary, tak jak ona, kochała tylko jedną osobę. Skąd ta pewność? Chyba z testamentu. Martin miał rację. Był to ociekający jadem wyraz pogardy dla wszystkich - z wyjątkiem czarnego kota. Mary nie darzyła nikogo uczuciem na tyle silnym, by chcieć wyjść za mąż. Może kochała zmarłego męża, ale on nie zostawił jej nic prócz dziecka. Gdyby było inaczej, nie musiałaby otwierać domu dla obcych.

Andrea nie miała wątpliwości, że szkicownik należał do Alicji Fairfax. Któż inny potrafiłby sportretować Mary, łącząc z takim mistrzostwem niechęć i podziw? Dorastająca młodzież tak właśnie traktuje rodziców.

Siedemnaście. Młodo się wtedy umierało. Wiktoriańscy artyści i dramaturdzy przelewali różne tragedie na welinowy papier, upajając się rozdzierającymi scenami przy łożu śmierci zwłaszcza młodych, urodziwych bohaterek, dziewczynek jak Ewa, Nell czy Beth z Małych kobietek. To gorsze niż sentymentalizm, to hipokryzja! Zamiast walczyć, przeklinać Boga - załamywali ręce, przewracali oczami i wygłaszali napuszone banały w rodzaju „Wola boska...”, „Pan wezwał ją do siebie”, „Taka młoda, niewinna, nieskażona grzechami świata...”. Ten świat był rzeczywiście grzeszny i okrutny, szczególnie dla kobiet. Przy takiej wegetacji śmierć naprawdę mogła być uważana za ucieczkę.

Mary Fairfax nie próbowała uciekać. Zdjęła wdowi welon i zakasała rękawy. Andrea całym swoim współczuciem obdarzyła nie młodą zmarłą, tylko jej nieszczęsna matkę. Alicja uciekła, a Mary została z następnym, jeszcze cięższym brzemieniem.

Zmudna domowa krzątanka nabierała nowego ostrzejszego wymiaru, jeśli się przy tym rozmyślało o Mary. Robiła to samo co ona - wiórkowała te same podłogi, myła te same okna, nawet polerowała niektóre z tych samych mebli. Orzechowa etażerka czy mahoniowy sekretarzyk mogły śmiało do niej należeć. Mary zarządziła, by wyposażenie domu sprzedano; czemu nie, nie miała przecież nikogo, komu by mogła zapisać swoje skarby. Siedemnaście... To znaczy, że Alicja umarła gdzieś koło 1880 roku. Mary żyła potem samotnie jeszcze ponad dwadzieścia lat.

Tak, Andrea stanowczo sympatyzowała z Mary, nie z małą Alicją. Kiedyś, dawno temu, знаła chyba dziewczynę o tym imieniu i zdecydowanie jej nie lubiła. Imię „Alicja” wydziela jakieś negatywne

fluidy, jak by powiedział Jim. Może w trzeciej, a może w czwartej klasie była taka piezyczoska nauczycielki, jasnowłosa lizuska, której idealne kucyki nigdy nie przypominały stracha na wróble...

*

Andrea przeżyła jakoś weekend i zataczając się ze zmęczenia wkroczyła w nowy tydzień. Obiecana pomoc zjawiała się, ale niewiele z niej było pożytku. Powolna i niechętna kobieta wyraźnie uważała, że prace domowe nie dorównują swoją rangą produkcji lurowatych soków. Andrea musiała ją wszystkiego uczyć, nawet ścielenia łóżek. Jim, rzuciwszy tylko jedno spojrzenie na ponurą warz pani Shorb, wycofał się do swej samotni na wieży. Przez cały dzień dobiegały stamtąd złowrogie odgłosy piłowania i przybijania.

Po wyjściu pani Shorb Andrei nie zostało nawet tyle energii, by chciało jej się sprawdzić, co on tam robi. Martin zastał ją przy kuchennym stole z butelką sherry i pudełkiem ligninowych chusteczek.

- Powinnaś pójść z tym przeziębieniem do lekarza.

- To chyba zatoki - sapnęła Andrea. - Typowa dolegliwość tych stron.

- Przyniosłem ci prezent - Martin rzucił na stół plik papierów. - Może cię rozweseli, a może nie.

Sięgnęła po arkusiki bez specjalnego zainteresowania. W tym momencie na schodach rozległ się stukot kul. Obecność Martina działała na Jima jak magnes.

- Cześć, Martin. - Czyżbyś...

- Mógłbyś powiedzieć „cześć” i własnej siostrze - odezwała się ochryłym głosem Andrea.

- Przecież jesteś tu cały czas. Martin, znalazłeś coś?

- Co nieco. - Pisarz usiadł przy stole. - Trzeba było jechać ze mną.

- Miałem robotę. - Jim wskazał na sufit. - Co tu macie?

- Kserokopie ze starych gazet - poinformowała go Andrea, przewracając kartki. - To miło, Martinie, że masz tyle czasu do stracenia.

- Wcale nie uważam, że traciłem czas. Parę kolumn z tego materiału może mi się przydać - chodzi o zmiany stylu w dziennikarstwie, oryginalne cytaty i inne sprawy. - Zaczął segregować kartki. - Nie miałem kiedy tego uporządkować, ale powinno być mniej

więcej po kolei... Proszę bardzo. To „Examiner”, lokalny tygodnik Frederick z 17 lipca 1869 roku, bite dziesięć stron. Całkiem niezły, jak na tak małą społeczność, tylko trudno powstrzymać się od śmiechu ze sposobu rozłożenia materiałów, chyba typowego dla gazet w tamtych czasach. Prawie żadnych wiadomości krajowych, że nie wspomnę o międzynarodowych. Nawet lokalne informacje zepchnięte są na koniec. Na pierwszej stronie mamy wiersz „Spoglądaj zawsze na słoneczną stronę”, napisany prawdopodobnie przez matkę wydawcy, sądząc po jakości i po tym, że jest skromnie anonimowy. Dalej idzie moralizująca opowiadka zatytułowana „Obowiązek pani Wilkins” i ze sześć akapitów czegoś, co można by określić mianem „humoru”.

- Tam są różne ciekawostki. - Jim zaglądał Martinowi przez ramię. - Andy, czy wiedziałeś, że określenie kota „tabby” (Tabby (ang.) - o kocie: pręgowany, marmurkowy (przyp. tłum.)) pochodzi od nazwy ulicy w Bagdadzie - Atab?

- Hm... - mruknęła Andrea, wycierając nos.

- Na trzeciej stronie mamy wiadomości - mówił Martin. - „Ostatniego piątku pani Jonatanowa Fried pośliznęła się i upadła na zbitą do połowy beczkę. Złamała sobie żebro i dotkliwie się potłukła.” A tutaj, kobieto interesu, coś dla ciebie. Ogłoszenia. „Doktor Robinson gwarantuje skuteczne leczenie wszystkich chorób układu moczowego, przypadłości nerwowych, bezpłodności, impotencji oraz syfilisu.”

Podał kartki Andrei, która uznała je za wystarczająco ciekawe, by zapomnieć na chwilę o zatkanym nosie.

- „Bar cukierniczy i lodowy...” - przeczytała.

- Bar? - zdziwił się Jim.

- Bar. Dalej: „Damskie i męskie zegarki. Sklep »Tanie Buty« Henry'ego Millera. Kapelusze i czepki - francuskie wzory. Męskość odzyskana...” O, jest ogłoszenie Hotelu Fairfax. Dlatego zrobiłeś odbitkę?

- Wiedziałem, że cię zainteresuje.

- „Hotel Fairfax, Ladiesburg, Maryland. Właścicielka Mary W. Fairfax. Pierwszorzędna obsługa pod każdym względem. Oddzielny salon dla pań. Handlowcy mile widziani.” Nic specjalnego, prawda? Miałam nadzieję, że

znajdę coś ekstra, co mogłabym umieścić w prospekcie reklamowym.

- Spójrz tutaj.

Martin podał jej inną stronę. Nie zawierała już ogłoszeń, tylko wiadomości. Uwagę Andrei przyciągnął wydrukowany dużymi literami tytuł:

OŚWIADCZENIE „Zwracam się niniejszym do wszystkich obywateli Ladiesburga, a w szczególności do nieznanymi sprawców odpowiedzialnych za serię rzekomych „wypadków”, które miały miejsce w pobliżu mego domostwa. Oświadczam, że w przyszłości każdy, kto wtargnie na teren mojej posiadłości, obojętne w jakim celu, spotka się z pistoletami mego zmarłego ojca. Choć jestem tylko „słabą kobietą”, odziedziczyłam po ojcu umiejętność obchodzenia się z bronią i wykorzystam ją bez skrupułów przeciwko tchórzom, mającym najwyraźniej na celu zmuszenie mnie do opuszczenia domu. Mam za sobą wszelkie prawa, więc tutaj zostanę.

Mary Fairfax, właścicielka Hotelu Fairfax

- Tutaj zostanę... - powtórzyła Andrea. - Więc to tak!

- Tak się zaczęło. Ciekawe tylko, czy... - Martin napotkał zdumione spojrzenie Andrei i uśmiechnął się nieznacznie. - Chodzi mi o jej poglądy religijne, a raczej ich brak. A ty o czym myślałaś?

Andrea wołała nie odpowiadać.

- Miała manię prześladowczą czy też rzeczywiście zdarzały się jakieś incydenty?

- Och, zdarzały się. Znalazłem parę notatek. Może były jeszcze inne, na które nie natrafiłem, albo nie o wszystkim pisano. O, tu, na kolumnie „Nowinki ladiesburskie” czytamy:

W nocy ósmego bm. spłonęła przechowalnia mięsa znajdująca się na terenie posiadłości pani Mary Fairfax. Przyczyn pożaru nie ustalono. Pani Fairfax straciła prawie całe mięso, gdyż straży pożarnej nie udało się przyjechać wystarczająco szybko.

- Jaka to data? - Andrea sięgnęła po kartkę. - Sierpień. Drogi w tym czasie są przejezdne. Dlaczego straż nie dotarła na czas?

- Jest parę podejrzanych okoliczności - zgodził się Martin. - W innych notatkach, na przestrzeni trzech lat, mówi się o zniszczonych narzędziach gospodarczych, ordynarnych napisach na słupkach bramy i tak dalej. I zawsze chodzi o nieznanymi sprawców.

- Ale dlaczego? Czemu jej nie lubili? Martin wzruszył ramionami.

- Nie sędzę, by nam się udało tego dowiedzieć. Ale można trochę poruszać głową.

- I jakie jest twoje zdanie? - spytał Jim.

- Była samotną kobietą, prowadzącą własny interes. „Handlowcy mile widziani”. Nie mogła sobie pozwolić na przebieranie wśród klientów. Ta pipidówka nie była ani centrum handlowym ani „rajem dla turystów”. Większość gości można by zapewne podciągnąć pod typ obwoźnego sprzedawcy. Kto wie, jakiego rodzaju usługi proponowała, byle interes się kręcił? Co kryło się w słowach „pod każdym względem”?

- Jeśli próbujesz we mnie wmówić, że prowadziła burdel, to ci powiem, że łzesz jak pies - rozzłościła się Andrea. - Ten portret to uosobienie wiktoriańskiej powagi. Nigdy cię nie podejrzewałam o męski szowinizm, Martinie Greenspan.

- Hej, zaczekaj. Nic mnie nie obchodzi, jak zarabiała na życie. Szczerze ją podziwiam. A jeżeli tego jeszcze nie zauważyłaś, to oświadczam, że uwielbiam bojowników obojga płci.

Uśmiechnął się do niej, jakby chciał zaznaczyć, do kogo kieruje komplement.

W porządku - powiedziała przez zatkany nos ułagodzona Andrea. - Prawdopodobnie sąsiedzi przyjęli najgorszą wersję, ale i tak ich reakcja wydaje się przesadzona. Trzeba przyznać, że działo się to w najbardziej świętoszkowatym, przesiąkniętym hipokryzją okresie, choć wtedy też kwitły stare grzechy w rodzaju pornografii czy prostytucji dzieci...

- Pamiętaj tylko, że mówimy o małym miasteczku - dowodził swych racji Martin. - Ludzie w małych społecznościach mają długą pamięć i z trudem wybaczą krzywdy, błędy. Jak raz ci przykleją etykietkę, to nie pozbędziesz się jej do końca życia. Możesz wydać miliony na dobroczynność, ufundować tuzin sierocińców, a i tak nie przestaną ci wytykać grzechów młodości.

- Racja - przyznała Andrea, myśląc o Jimie. Tylko dlatego, że przeleciał jedną panienkę i dołożył rywalowi, uznano go za męczyznę godnego szacunku. Na takich chwiejnych podstawach opiera się czasem całe życie mężczyzny czy kobiety. Aż się wzdrygnęła, a Martin, jakby czytając w jej myślach, dodał:

- To działa w obie strony. Jeśli miasteczko stanie po twojej stronie, możesz popełnić więcej morderstw niż Gilles de Rais, nim

zwróca się przeciw tobie. Mary musiała sobie czymś zrazić sąsiadów, ale teraz już raczej nie dojdziemy prawdy. Mnóstwo skandali z zamierzchłej przeszłości zdążyło się pokryć kurzem. Tylko życie sławnych i bogatych jest dostępne dla wszystkich, natomiast szacowna klasa średnia pilnie strzeże swoich grzeszków.

- Wszystko mi jedno, co zrobiła - oświadczyła Andrea. - Jestem po jej stronie.

Sposobiąc się do kolejnego dnia zmagania z panią Shorb, Andrea wcześniej wycofała się do siebie wraz ze swymi obolałymi zatokami i pudłem chusteczek. Zamiast jednak od razu wskoczyć pod koce z książką, wysunęła górną szufladę biurka.

Napotkała nieprzychylnie spojrzenie złotych oczu Belzebuba. Mary patrzyła jeszcze na coś innego. Zmarszczone brwi i zacięte usta wskazywały, że nie myśli o niczym przyjemnym - może rozpamiętuje zadawnione krzywdy albo obmyśla batalię przeciwko swym wrogom. Jak świetnie to zbuntowane dziecko uchwyciło siłę charakteru matki. „Tutaj zostanę.”

Słusznie, Mary, pomyślała Andrea. Ja też tu zostanę.

Wyjęła portret ze szkicownika, nim Jim zabrał resztę rysunków. Nie obchodziło jej, co z nimi zrobi, póki zgodnie z poleceniem będzie je trzymał w odpowiednim miejscu, ale chciała mieć Mary. Dobierze odpowiednią ramę - coś kunsztownie rzeźbionego i złożonego, a potem zawiesi obraz na poczesnym miejscu w holu. Pod portretem, być może, umieści tabliczkę z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem Mary oraz podpisem: „Właścicielka Hotelu Fairfax, założonego w 1866 roku.”

To będzie świetny chwyt reklamowy, wart odnotowania w waszyngtońskiej gazecie albo w którymś z magazynów specjalizujących się w życiu prowincji. Wyszukanie ramy zajmie trochę czasu, ale nie ma powodu, żeby aż do tej chwili Mary tkwiła w szufladzie. Andrea przyjrzała się obrazom, które wisiały w jej pokoju.

Żaden nie miał teraz dla niej szczególnego znaczenia, choć kiedyś należały do ulubionych. Wycięta z plakatu biura podróży fotografia fantastycznych, niemal baśniowych, strzelistych wież zamku Neuschwanstein w Bawarii; stary fotos filmowy Clarka Gable'a miażdżącego w muskularnych ramionach Vivien Leigh... oprawione zdjęcie Jima wraz z całą obsadą ostatniej, wystawionej przez szkolnych seniorów sztuki... Grał w Arseniku i starych koronkach

rolę brata, tego, który uważał się za Teddyego Roosevelta i który ciągle wskakiwał na schody, wymachując mieczem i krzycząc co sił w płucach: "Naprzód!"

Oczywiście, ta fotografia to świętość. Ale inne? Nie rozumiała, czemu ich nie usunęła przez te wszystkie lata. Bajkowe zamki, ogniści kochankowie... Czy naprawdę była kiedyś taka młoda? Rama od zamku wydawała się odpowiedniej wielkości.

Po paru minutach zamek z bajki wylądował w koszu na śmieci, a jego miejsce zajęła Mary Fairfax. Patrzyła teraz w stronę drzwi ze zmarszczonymi brwiami, jakby przed czymś ostrzegała.

ROZDZIAŁ IX

Przez kilka dni Andrea zmagiała się z zatokami, panią Shorb i skutkami kolejnych deszczowych dni, ale w końcu tygodnia odebrała telefon, który dodał jej otuchy. Jakaś kobieta zgłosiła dwudniowy pobyt dziesięcio osobowej grupy. Andrea odpowiedziała, że ma tylko cztery pokoje. Kiedy po tym stwierdzeniu w słuchawce zaległa dłuższa cisza, zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła błędu, pozwalając Martinowi monopolizować najlepszą sypialnię w szczycie sezonu. Kobieta wykazała jednak sporą dozę rozsądku. W tej sytuacji przyjedzie tylko osiem osób, a jeśli Andrea nie może ich przyjąć w ten weekend, poczekają do następnego tygodnia. Które dni ma wolne?

Ta wykraczająca poza wszelkie ramy ustepliwość powinna dać trochę do myślenia, ale Andrea nie była w krytycznym nastroju. Zaczęły jej przelatywać przez głowę różne świetlane wizje. Oto hotelik stał się tak popularny, że ludzie pchają się drzwiami i oknami...

Czek pani De Grange nadszedł w terminie i jak zwykle został złożony do depozytu bankowego, chociaż Andrea nie miała podstaw, by sądzić, że mógłby nie być honorowany. W adresie podano Foxhall Road, ulicę położoną w jednej z najelegantszych dzielnic Waszyngtonu.

Pomimo niesprzyjającej pogody trójka weekendowych gości przybyła dokładnie w zapowiedzianym czasie. Andrea stawiała na głowie, żeby uprzyjemnić im pobyt. Rozpaliła ogień w kominkach, częstowała smakołykami, posunęła się nawet do tego, że starszemu, zrędliwemu jegomościowi, cierpiącemu na reumatyzm, wstawiła do pokoju własny telewizor. W poniedziałek pani Shorb złożyła dwudniowe wymówienie, które Andrea przyjęła z mieszanymi uczuciami. Niewiele miała pożytku z tej kobiety, ale zawsze więcej niż z żadnej. Przynajmniej pomogła w przygotowaniach do przyjazdu grupy pani De Grange. Poza ten termin plany Andrei nie wykraczały.

Również w poniedziałek wyszło słońce. We wtorek schowało się znowu, a we środę Andree obudził znajomy dźwięk dzwoniącego o szyby deszczu. Szczęściem goście pojawili się dopiero późnym popołudniem. Do tego czasu wszystko było gotowe.

Zachowywali się bardzo wylewnie. Było mnóstwo ukłonów, uśmiechów, uścisków rąk - z jednym wyjątkiem. Wysoka blondynka w futrze z norek trzymała się wyraźnie na uboczu. Wysunięty do

przodu podbródek, napięte mięśnie szyi i wystudiowane ruchy rąk wskazywały na modelkę pozującą do fotografii. Karierę prawdopodobnie miała już za sobą, ponieważ mimo znakomitego makijażu jej twarz nosiła ślady przynajmniej połowy wieku. Było w tej kobiecie coś, co wyróżniało ją od innych, i pewnie dlatego Andrea wzięła ją za szefową grupy.

A jednak nie ona okazała się panią De Grange. Ta właściwa, pulchna śmieszka w okularach, przedstawiła blondynkę jako panią Jones. Andrea wyciągnęła księgę gości i wszyscy kolejno się powpisywali.

Dziwił ją nieco mieszany skład grupy. Jak dotąd większość wśród gości stanowiły kobiety - miłośniczki antyków i zmęczone rodzinnymi obowiązkami panie domu. Grupa pani De Grange składała się z mężczyzn i kobiet w bardzo zróżnicowanym wieku. Pan Abbot wyglądał na dwudziestoparolatka, miał straszny trądzik i wodniste oczy, nienaturalnie powiększone przez bardzo silne szkła. Panny Gorman i Wilkins były w średnim wieku; pierwsza - niska, tęga i niesympatyczna, druga - przypominająca głosem i wyglądem wystraszonego szarego królika. Najbardziej wiekowy w tym gronie był staruszek, do tego stopnia zasuszony i pomarszczony, że wyglądał jak reanimowana mumia. Fakt, że w ogóle się poruszał, sprawiał przykre wrażenie czegoś niezgodnego z naturą. Przedstawiony Andrei jako profesor Schott, zademonstrował garnitur źle dopasowanych sztucznych zębów i wymienił z nią zaskakująco silny uścisk dłoni. Najbardziej niesamowite miał oczy. Napotkawszy jego spojrzenie, Andrea poczuła niemal fizyczny wstrząs. Takie płomienne oczy mogły należeć albo do fanatyka, albo do człowieka bardzo czymś rozgniewanego.

No i jeszcze małżeństwo - państwo Nasmith. Zajęli jeden pokój, reszta wśród żartów i śmiechów podobierała się jakoś - panny Gorman, Wilkins i pani De Grange razem, następnie profesor i pan Abbot, pasujący do siebie jak maj i grudzień. Pani Jones zajęła osobny pokój. Andreę zdziwił nieco ten podział, ale uznała, że to nie jej sprawa. Może pani Jones chrapie.

Kiedy wkrótce po rozlokowaniu schodzili na dół, udając się na kolację, Andrea stała w pobliżu. Życzyła wszystkim dobrego apetytu, wypytując przy okazji, czy są zadowoleni z pokoi. Została zasypana komplementami. Wszystko było cudowne, urocze, zachwycające. I

czy miałyby coś przeciwko temu, żeby obejrżeli sobie dokładniej ten przepiękny dom?

- Z przyjemnością państwa oprowadzę - obiecała Andrea z nieco chłodniejszym uśmiechem.

Spotykała się już z tym problemem wcześniej, choć nie za często. Niektórzy ludzie uważali, że wynajęcie pokoju na jedną noc upoważnia ich do przekraczania drzwi opatrzonych tabliczką z napisem: „Mieszkanie prywatne” albo: „Przejścia nie ma”.

- Jak to miło - zagulgotała pani De Grange. - A czy moglibyśmy dziś wieczorem posiedzieć w bibliotece, czy może będzie pani sama z niej korzystać?

- Wszystkie pomieszczenia ogólnego użytku są dostępne dla gości - poinformowała ją Andrea.

- Och, tak, rozumiem. Mam nadzieję, że nie uzna pani za swój obowiązek zabawiania nas. Na pewno zechce pani spędzić spokojny wieczór u siebie, bez...

Pani Jones zakaszłała. Pani De Grange wybuchnęła nerwowym śmiechem.

- Jak ja głupio gadam. Dobranoc, panno Torgesen.

Przynajmniej deszcz nie wypłukał z nich poczucia humoru, pomyślała Andrea, zamykając drzwi. Nie przestawała się jednak zastanawiać, jakie to wspólne zajęcia czy zainteresowania mogły połączyć tak różne typy osobowości i dlaczego postanowili się ukryć akurat w jej zajeździe. Większość ludzi aż nazbyt chętnie wdawała się w rozmowy o swoim hobby, starając się popisać jakąś szczególną wiedzą. A ci tutaj nie pisną ani słowa. Może to Martin stanowił dla nich atrakcję? Może gości u siebie waszyngtoński oddział fan - klubu Martina Greenspana?

Z przyjemnością posłuchała rady pani De Grange, ponieważ ledwie się trzymała na nogach i w dodatku czuła kolejny nawrót przeziębienia. Usadowiła się w kuchni z nogami na stołeczku i prawie już zasypiała, kiedy pojawił się Jim.

- Wyglądasz, jakby cię przepuścili przez wyżymaczkę. Mam zrobić kolację?

- W piecyku jest zapiekanka.

- I kto to wydziwiał nad moim menu? - przyciął jej żartem. - Martin je z nami?

- Mówił, że idzie do Reby. Zostaliśmy sami, Jimmie. Nim skończyła jeść, zużyła pół pudełka chusteczek, ale nie zgodziła się wcześniej położyć.

- Najpierw niech goście rozejdą się do pokoi. Ktoś może mnie potrzebować.

Jim nie zaproponował, że ją zastąpi. Zwykle nie był przeczulony na swoim punkcie, ale pewien rodzaj ludzi wprawiał go w zakłopotanie. Zwłaszcza starsze kobiety robiły wokół niego za dużo szumu, czego nie lubił.

- W razie czego jestem na górze - powiedział, przyciskając rękę do czoła.

- Już trzeci raz rozcierasz sobie głowę. Boli cię?

- Ty zawsze musisz wszystko zauważyć. - Odwrócił się. - To nic takiego. Wziąłem aspirynę.

- Wolałabym, żebyś już dzisiaj nie pracował. Wszystkie te pyły i rozpuszczalniki... Nic dziwnego, że boli cię głowa.

- A ja bym, kurde, wolał, żebyś wreszcie przestała trzeszczeć mi nad uchem. Nic mi nie jest, jasne?

I wyszedł, nim zdążyła coś powiedzieć.

Andrea nie miała pretensji o ten wybuch. Wiedziała, że idylla płynąca z poczucia winy i skruchy nie potrwa w nieskończoność. Teraz Jim będzie przez jakiś czas opryskliwy, przewrażliwiony i skłonny uważać każde jej słowo za dowód braku zaufania. No cóż, przynajmniej odpada zmartwienie o ewentualne randki z panią Shorb.

Wróciła do swojej książki. Po jakimś czasie usłyszała głosy świadczące o powrocie gości. Zachowywali się spokojnie, mówili przyciszonymi głosami, nie było też słychać żadnych śmiechów. Kiedy dźwięki umilkły, Andrea zapadła w drzemkę, ale po chwili się ocknęła. Do kuchni zbliżały się kroki.

Był to Martin. Zdjął mokry deszczowiec i rzucił go na krzesło.

- Nie śpisz? - spytał.

- Właśnie mnie obudziłeś.

- Przepraszam. Ale chyba powinnaś wiedzieć, co tu jest grane.

Andrea w jednej chwili się wyprostowała. Wszystkie wątpliwości co do przyjezdnych wróciły ze zdwojoną siłą. Gang złodziei specjalizujących się w kradzieżach antyków? Sekta religijna mordująca w bibliotece białe koguty?

- Co takiego? - spytała. - Nudyści? Jakaś orgia?

Martin się roześmiał. Patrzył, jak Andrea przeciera oczy i twarz mu złagodniała.

- Aż tak źle nie jest. Nie rozpoznałaś tej kobiety?

- Jakiej kobiety?

- Z księgi gości dowiedziałem się, że występuje pod nazwiskiem Jones - stwierdził sucho Martin. - Niezbyt się wysiliła. To Starflower Morningcloud, medium. Pisuje parę razy w tygodniu do „Washington Post”. Musiałaś czytać.

- Medium? Nie czytuję tych bzdur. Ale nazwisko wydaje mi się znajome. Może dlatego, że zwraca uwagę.

- Jesteś więc jedną z nielicznych, których to nie bierze. Ona naprawdę nazywa się Ruby Dowdy, zresztą się nie dziwię, że występuje pod pseudonimem (Dowdy (ang. - zaniedbany, pozbawiony gustu (przyp. tłum.)). To jedna z najbardziej wpływowych kobiet w Waszyngtonie. Kongresmeni wkradają się tylnymi drzwiami do jej domu, żeby dowiedzieć się, co mówią gwiazdy. Była doradczynią co najmniej jednego prezydenta. Co, być może, tłumaczy obecny stan tego kraju. Słyszałem plotkę, że do jej najwierniejszych klientek należy Pierwsza Dama.

Andrea osunęła się z powrotem na oparcie.

- Na miłość boską, co tym ludziom padło na mózg? Ciekawe, czy ona sama wierzy w swoją moc?

- Pewnie nie. Tobie to nie przeszkadza?

- To, że tyle kretynów uzależnia się od... - Andrea znów się wyprostowała. - Mam głowę jak z waty. Pewnie dlatego tak wolno kojarzę. Martin, co ty próbujesz mi powiedzieć?

- Cóż, nie znam się specjalnie na tych sprawach - mówił irytująco powoli. - Może zależy ci na tym, by ten zajazd zyskał reputację nawiedzzonego, domu. Ale przypuszczałbym raczej...

Andrea zerwała się na równe nogi.

- Dobrze byś przypuszczał. Co oni robią?

- Według mnie urządzają seans. Pamiętam taką dość nagłośnioną sprawę, kiedy to Starflower przesłuchiwała jakiegoś rzekomo bardzo złośliwego ducha. Potem właściciele domu wnieśli oskarżenie, że z jej powodu posiadłość straciła na wartości i później nie mogli jej sprzedać. Andreo! Andy! Nie tak prędko!

Próbował ją zatrzymać, ale mu się wyrwała, więc klnąc pod nosem poleciał za nią.

Ponieważ czerwony salon był ulubionym miejscem gości, których nie interesowała telewizja, Andrea rozpałała tam w kominku, podobnie jak w bibliotece. W zielonym salonie też zostawiła zapalone lampy. Rozsuwane drzwi dzielące go od biblioteki były teraz zamknięte.

Andrea sforsowała z furią ciężkie, dębowe płyty i wtargnęła do środka. Bibliotekę oświetlał tylko ogień z kominka. Cienie przesunęły się i zadrżały, zamieniając twarze obecnych w zastygłe maski z otwartymi ustami. „Pani Jones”, prezydująca zgromadzeniu u szczytu stołu, pierwsza ocknęła się z zaskoczenia. Wydała z siebie nieludzki krzyk i zaczęła się wić.

Profesor Schott wysunął o skarżycielsko palec w stronę Andrei.

- Morderczyni! Potwór! Pani Starflower znajdowała się w głębokim transie! Była podatna na najłżejszy wstrząs! Zabiłaś, ją, okaleczyłaś, napadłaś na nią!

Andrea, która zwykle chlubiła się swym opanowaniem, tym razem nie wytrzymała.

- Wynocha z mojego domu! Wszyscy! - rozdarła się jak przekupka. - Zabierajcie tę obłudną sukę, zanim naprawdę coś jej zrobię!

Starflower wiła się i krzyczała. Udało się jej podnieść krzesła, ale zaraz ktoś podbiegi i delikatnie ułożył ją na podłodze. Wybuchła ogólna wrzawa. Panna Wilkins wydawała urywane, przenikliwe dźwięki, przypominające syrenę alarmową.

Andrea poczuła, że na jej ramionach zaciskają się czyjeś ręce.

- Proszę państwa o spokój! - usłyszała donośny głos Martina. Gotowa do rękoczynów Andrea próbowała mu się wyrwać. Potrząsnął nią lekko. - Pozwól mi się tym zająć. Jim, spróbuj ją uspokoić.

- Tak jest. Uspokój się, Za Mała. - Jim otoczył ją mocnymi ramionami i trzymał w żelaznym uścisku.

Martin zapalił lampy. W normalnym, elektrycznym świetle scena straciła swój makabryczny charakter. Uczestnicy stali się znów zwykłymi ludźmi, mrugając przywykłymi do ciemności oczami. Wyglądali tak głupio, jak zapewne się czuli. Starflower przestała się wić i usiadła.

- Ach... - dyszała ciężko, trzymając się za serce. - Ach, co za tortura... ból rozdzielania... Gdzie jestem? Co się stało?

- Wstawaj, Ruby, bo sobie pobrudzisz tę śmieszna kieckę. - Martin wyciągnął z kieszeni pomiętą paczkę papierosów i zapalił,

ogarniając zebranych krytycznym, choć pobłażliwym spojrzeniem. - Tym razem naprawdę zrobiliście z siebie stuprocentowych głupków. Będę miał temat na cały felieton. Oczywiście nie wymienię nazwisk.

Ruby wstała. Ratując resztki urażonej dumy, odsunęła czyjeś pomocne ramię.

- Moja rubryka też nie od macochy - powiedziała. - Ja wymienię nazwiska. Szok dla organizmu...

- Niewidoczny gołym okiem. Daj spokój, Ruby, nie Przekonasz o swojej krzywdzie ani jednego lekarza w tym kraju, a tym bardziej sędziego. Panna Torgesen natomiast ma podstawy, by cię oskarżyć o złamanie umowy, zakłócenie porządku, złośliwe wybryki... Poczekaj chwilę, zaraz coś jeszcze wymyślę. Ruby się wyprostowała.

- To zły dom - stwierdziła niskim, wibrującym głosem. - Wyczułam to w momencie, kiedy znalazłam się w tych przeklętych murach. Zguba, śmierć, opętanie czyhają na tych, co tu mieszkają!

- Teraz groźby... - mruknął Martin, wypuszczając idealnie równe kółko dymu. - Zniesławienie... Ciekawe, czy można zniesławić dom? Dowiemy się tego. Jeśli to takie okropne miejsce, jak twoja wrażliwa duszyczka mogła tu wytrzymać?

- Potrafiłabym uwolnić ten dom od zła. Ale ponieważ mnie zraniono i obrażono, zostawiam jego mieszkańców na pastwę losu.

Andrea ciągle jeszcze czuła złość, choć początkowe zaciętrzewienie już ustąpiło. Chciała coś powiedzieć, ale Martin ją ubiegł.

- Coś za coś, Ruby. Siedź cicho, to i ja nic nie napiszę. Czymkolwiek miało być to przedstawienie, dopuściłaś się poważnego nadużycia gościnności i obraziłaś gospodynię.

- Nie mówiła, że gościom nie wolno się kontaktować z duchami - pisnęła panna Wilkins.

Ta niewinna uwaga starej panny spotkała się z gniewnym błyskiem oczu Ruby. Martin wybuchnął śmiechem.

- Nie powiedziała też, że w salonie nie powinno się uprawiać aerobiku ani grać w futbol. Ale każdy, kto ma odrobinę poczucia przyzwoitości, poprosiłby najpierw o pozwolenie na seans. Poza tym zarejestrowałaś się pod fałszywym nazwiskiem...

- Opuszczam ten dom natychmiast - oznajmiła Ruby. - Te wibracje są zbyt bolesne.

- Ale pada... - jęknęła panna Wilkins.

- Oczywiście, panna Torgesen nie wyrzuci państwa w środku nocy - uspokoił ją dziennikarz. - Radziłbym jednak skrócić pobyt do minimum.

Pominąwszy tę uwagę pogardliwym milczeniem, Ruby ruszyła do drzwi, a za nią reszta towarzystwa. Martin powstrzymał się od zadania ostatecznego ciosu do momentu, kiedy medium zniknęło z pola widzenia, ale nie z zasięgu głosu.

- Ponieważ panna Torgesen zarezerwowała pokoje dla państwa, nie należy oczekiwać zwrotu kosztów.

Jedyną reakcją był stłumiony okrzyk panny Wilkins: „O Boże!”

Spirytyści wyjechali rano. Andrea zaniósła im tace ze śniadaniem o wpół do ósmej, tak jak sobie życzyli. Kiedy poszła je później pozbierać, zauważyła, że prawie wszyscy, łącznie z Ruby, pochłonęli całe jedzenie, do ostatniego okruszka.

W świetle dnia - szarego i dżdżystego - wydawało się jej niewiarygodne, że pozwoliła sobie na taki wybryk. Oczywiście, miała prawo być wzburzona. Ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła, to żeby zajazd zyskał sławę „nawiedzonego domu”. Owszem, niektórych klientów mogłoby to nawet przyciągnąć, ale nie tych najbardziej pożądaných. Niezrównoważony gość mógłby dostać ataku serca, zawału - a potem wnieść oskarżenie. Sensacja dawno by minęła, a opinia przyłgnęłaby na amen. „Och, Harry, nie możemy się tam zatrzymać, za nic w świecie, coś przychodzi w ciemności i ściąga koce z łóżek, a jedna moja znajoma mówiła, że inna jej znajoma nie zmrużyła oka przez całą noc, bo zobaczyła na schodach białą damę... Chociaż może to była przyjaciółka tej znajomej.”

Pod względem prawnym Andrea nie czuła się zbyt pewnie. Doświadczenia z pracy w hotelu nie na wiele się przydały. Istnieje niepisana zasada, że goście w swoich pokojach mogą robić, co im się żywnie podoba, tak długo, póki na przykład nie podłożą ognia, no i póki nikt się nie skarży. Ale ponieważ Ruby i jej grupa zajęli pomieszczenia ogólnego użytku, Andrea miała moralne, jeśli nie oficjalne prawo zaprotestować.

Musiała jednak przyznać, że przesadziła. Całą sprawę można było przeprowadzić o wiele skuteczniej, gdyby zachowała się z większą godnością i spokojem. Na wspomnienie swego popisu skręcała się ze wstydu, choć rano, kiedy tamci wyjeżdżali, tkwiła na posterunku. Nie można prowadzić hotelu, jeśli się nie ma odpowiednio grubej skóry.

Martin się nie pojawił, ale Jim trwał solidarnie u jej boku i starał się podtrzymać siostrę na duchu. Puściwszy do niej oko i pokazawszy uniesiony kciuk, stanął z uśmiechem przy drzwiach, gotów w każdej chwili otworzyć je przed gośćmi.

Starflower spłynęła majestatycznie ze schodów i wyszła nie zaszczyciwszy Andrei ani jednym spojrzeniem. Reszta ciągnęła za nią, rzucając w przejściu złe spojrzenia i szemrząc z oburzeniem. Być może widok Jima, poważnego i świetnie się prezentującego mimo kul, powstrzymał ich od dalej posuniętej demonstracji niechęci.

Jim z Andreą trwali ramię w ramię przy drzwiach, obserwując gości tłoczących się przy samochodach. Starflower siedziała sama na tylnym siedzeniu cadillaca prowadzonego przez pana Abbota. Reszta wpakowała się do drugiego auta.

Nagle chuda, wysoka postać oderwała się od odjeżdżających i ruszyła truchcikiem w stronę domu. Z gwałtownych ruchów panny Wilkins, grzebiącej nerwowo w kieszeniach i torebce, Andrea wywnioskowała, że kobieta musiała czegoś zapomnieć. Otworzyła więc drzwi i cofnęła się, by ją przepuścić.

Panna Wilkins jednak zwróciła się do Andrei. Złapała ją za rękę.

- Powiedziałam im, że zapomniałam rękawiczek - mamrotała ściszym głosem. - Droga panno Torgesen, wiem, że nie chciała pani niczyjej krzywdy, naprawdę, rozumiem pani postawę... Moja droga matka, która już przeszła na tamten świat i teraz mimo wysiłków Starflower nie chce się do mnie odezwać... O czym to ja mówiłam?

- Nie mam pojęcia - odparła Andrea, próbując uwolnić rękę. Palce panny Wilkins były zimne jak u trupa, ale trzymały mocno.

- Moja droga matka. Tak, ona by się z panią zgodziła, jestem pewna, ale, panno Torgesen, błagam, niech się pani jeszcze zastanowi i poprosi Starflower, żeby oczyściła ten dom. To miłosierna dusza, na pewno zmięknie, wiem o tym. Och, panno Torgesen, proszę mi wierzyć, tu naprawdę coś jest nie w porządku, grubo nie w porządku. Ja mam tylko odrobinę tego dam co Starflower, ale nawet ja to wyczuwam. Tę złą, szkodliwą dla ducha aurę, i to taką silną, niepokojącą...

Nie sposób przecież gniewać się na tę istotę. Była sporo wyższa od Andrei, ale przygarbiona sylwetka o ściśniętych ramionach świadczyła o wielkiej, wrodzonej nieśmiałości, przez co kobieta wydawała się bezbronna jak dziecko.

Andrea poczuła, że sarkazm czy szorstkość z jej strony mogłyby zamienić pannę Wilkins w chlipiącą, rozmazaną masę protoplazmy.

Jim stojący za plecami siostry odezwał się ze spokojem:

- W porządku, proszę pani. Doceniamy pani troskę, ale dziękujemy.

Panna Wilkins puściła Andree i chwyciła rękę Jima. Oczy jej zwilgotniały.

- Kochany chłopiec - szepnęła. - Taki młody, nie przygotowany...

Nawoływania z zewnątrz otrzeźwiły ją. Nie zwracając uwagi na płynące po twarzy łzy, wypadła na dwór.

Andrea zatrzasnęła drzwi.

- Teraz widzisz, dlaczego nie życzę sobie tutaj takich ludzi. Każdy normalny człowiek mógłby przy niej zapomnieć języka w gębie.

- To poczciwa dusza - rzekł Jim. - Ma dobre serce Andrea wytarła palce w spódnicę.

- Ale ręce lodowate. Jeśli to ma świadczyć o dobrym sercu... No, krzyżyk na drogę. Chciałabym tylko wiedzieć, komu zawdzięczam ten najazd.

- Komu zawdzięczasz? - zdziwił się Jim. - Co masz na myśli?

- Starflower nie dowiedziała się o naszym domu przypadkiem - odparła cierpko Andrea. - I nie przypuszczam, by poinformował ją ktoś z tamtego świata. Musiała dostać cynk.

- Na pewno nie od Martina.

- Wcale tego nie powiedziałam.

- Ale pomyślałaś. Czemu się od niego nie odczepisz? Tyle dla nas zrobił!

- Nie chcę o tym mówić. - Andrea kichnęła potężnie.

- Dobrze już, dobrze. Jak katar?

- Ma się nieźle, dziękuję.

- Dlaczego byś nie...

- Jeśli powiesz, że mam się położyć, zacznę krzyczeć. Dajcie wy mi wszyscy święty spokój!

Przez resztę dnia panowie obchodzili ją szerokim łukiem, jak średniowieczni chłopci trędowatych. Martin wypróbował ostrożnie grunt przy lunchu i spotkał się z taką reakcją, że czym prędzej uciekł do siebie. Następną próbę podjął koło piątej. Andrea w pełnym przeciwdeszczowym rynsztunku zmierzała właśnie do drzwi.

- Dokąd się wybierasz?

- Co cię to obchodzi?

Martin zerknął na Jima i wznosił oczy w górę.

- Obchodzi - odparł. - Gdybyś powiedziała, czego potrzebujesz...

- Ty jesteś gościem - odrzekła szorstko. - Płacisz. Goście hotelowi nie biegają na posyłki dla gospodarzy.

- Przecież mówiłem, że pojedę... - zaczął Jim.

Andrea trzasnęła drzwiami.

Ludzie, którzy nie miewają kataru, nie są w stanie pojąć, dlaczego dotknięci tą przypadłością robią wokół siebie tyle szumu. Ci zaś, którzy miewają go często, zastanawiają się, jak mogli zapomnieć to potworne uczucie towarzyszące ostatniemu przeziębieniu. Ich cierpienia zwiększa jeszcze fakt, że nikt nie bierze ich poważnie. „To tylko katar. Weź aspirynę i połóż się.” Ludzie nękani katarem nienawidzą całego świata, a szczególnie tych, których się on nie ima.

Andrea nienawidziła wszystkich, ze sobą włącznie. Brnąc przez kałuże na parkingu supermarketu, recytowała w myśli listę swoich krzywd. Wszystko musi robić sama. Nikt jej nie pomoże. A jeśli już się do czegoś wezmą, narobią takiego bałaganu, że potem jest dwa razy więcej roboty. Załatwienie najprostszego sprawunku zajmuje Jimowi pół dnia; prawdopodobnie krąży po całym hrabstwie i próbuje podrywać dziewczyny. Martin znów ciągle ją poucza i traktuje tak, jakby nie miała za grosz rozsądku. Starflower Morningcloud zaś...

- Rozdarłabym ją jak żabę - mruknęła do siebie.

W supermarkecie był tłok. Andrea przepychała się z wózkiem między rzędami półek, obijając po drodze ludzi i rzucając grzecznościowe zwroty w rodzaju: „pozwoli pan?” i „przepraszam”, takim tonem, że powitalne uśmiechy zastygały na znajomych twarzach w wyrazie zdziwienia. Kiedy kierownik, pan Bliss, zagadnął ją pogodnie: „Ale katar, co?” - dosłownie zmroziła go spojrzeniem.

Przy końcu rzędu, w dziale wyrobów papierniczych, dokąd dotarła w celu nabycia kolejnego zapasu chusteczek, zauważyła znikającą za węglem znajomą postać, zachowującą się jak olbrzymi krab na widok rybaka. Andreę zaintrygowało, dlaczego Reba jej unika, jednak ponieważ sama też nie miała ochoty jej widzieć, nie poszła za nią. Pech chciał, że spotkały się w kolejce do kasy.

- Biedne dziecko, wyglądasz okropnie - odezwała się Reba ze współczuciem. Andrea zmiękła nieco na ten objaw serdeczności, ale

zauważyła, że Reba się śpieszy. Wykonywała wózkiem gwałtowne ruchy, narażając na niebezpieczeństwo stojącą przed nią kobietę.

- Jestem w fatalnym nastroju - przyznała. - Mówiłam ci o grupie, której oczekiwałam w tym tygodniu?

- Taak. - Reba zaczęła układać pomarańcze przy wyłożonych na ladę zakupach swej poprzedniczki. Kobieta z miną męczennicy ustawiła rozdzielacz na miejscu.

- Nie masz pojęcia, co się stało.

- Słyszałam.

- Od kogo? Założę się, że od Martina!

- Hm... No cóż...

- Nie popisałam się - przyznała Andrea. - Ale czy możesz sobie wyobrazić tupet tej baby? To mogła być dla mnie katastrofa.

- Och, zaraz katastrofa - skrzywiła się Reba. - To znaczy, oczywiście, rozumiem, że jesteś zmartwiona...

- Zmartwiona? Czy nie pojmujesz, jak moje kochane babcie i dziadkowie zareagują na wieść, że w zajeździe straszysz? Postawiłam na ciszę i spokój, na tym opiera się moja renoma. Czy ktoś poleci znajomym zajazd, w którym w środku nocy wypadają z szafy szkielety? Żeby tak dostała w swoje ręce tego łobuza, co nasłał na mnie tę wariatkę -

Przyjaciółka pochylili się, by wyłowić z dna wózka ostatnią pomarańczę, ale Andrea zdążyła zobaczyć wyraz jej twarzy. Winę miała wypisaną na czole.

- No nie, przecież chyba nie ty! - wykrzyknęła. Reba wyprostowała się. Była cała czerwona.

- Lepiej się przyznam, bo będzie na kogo innego... Boże, jak mi przykro! Nigdy nie sądziłam...

- Ty jej to podsunęłaś? - spytała cicho Andrea.

- Jest moją stałą klientką - tłumaczyła się tamta z nieszczęśliwą miną. - Nie zrobiłam tego celowo, klnę się na Boga. To przez ten wieczór... kiedy tak źle się poczułam. Nie chodziło o żołądek, ja... To ten dom. No po prostu wzięło mnie i nie potrafię wytłumaczyć, co czułam...

- Pewnie „przytłaczającą, szkodliwą dla ducha aurę”?

- Tak, właśnie to. - Reba za późno zorientowała się w ironii, z jaką Andrea wypowiedziała te słowa. - Nie, to znaczy... niezupełnie. Martin odwiózł mnie do domu, pamiętasz? No i od razu poczułam się

lepiej, gdy tylko wyszłam, ale jeszcze mnie trochę mdliło, więc kiedy się zatrzymałam - jak zwykle - przy stoliku Starflower... znaczy Ruby, ona zapytała, co się stało i ja... Ją bardzo interesują takie rzeczy. Ale nie pisnęłabym ani słowa, gdybym nie czuła...

- Ilu jeszcze psychicznych raczyłaś poinformować?

- Nikogo. Przysięgam. Słuchaj, Andy, jeśli mogę coś dla ciebie zrobić...

- Już dość zrobiłaś. - Skreśliła gwałtownie wózek i stanęła na końcu drugiej kolejki. Zanim zapłaciła, Reba wyszła ze sklepu.

Kiedy Martin przyszedł, by pomóc wnieść torby z jarzynami, Andrea wszystko mu opowiedziała. Winna mu była przeprosiny za podejrzenie, które, choć nie wyrażone słowami, jednak przyszło jej do głowy. Przynajmniej miała pretekst, by znów obarczyć go swymi kłopotami i to wkrótce potem, jak sobie przysięgła, że więcej tego nie zrobi. A tak naprawdę potrzebowała po prostu czyjejs życzliwości.

Nie zyskała tyle współczucia, ile się spodziewała.

- Reba nie chciała narobić ci kłopotów - próbował ją przekonać. - Nie widziałaś jej w najgorszym stanie. Kiedy ją odwoziłem, załamała się zupełnie. Cała się trzęsła, mamrotała coś bez sensu... Nigdy jej takiej nie widziałem.

- Powiedziała ci, jak się czuje? I nic mi nie powtórzyła!

- A co miałem mówić? Że nasza przebojowa, twardo chodząca po ziemi przyjaciółka została zniecka porażona... - Zawahał się, po czym wyrzucił z siebie gwałtownie: - Nie wiem nawet, jak to nazwać. Ty pewnie użyłabyś słowa „zabobon”.

- Co dokładnie ci powiedziała? Zobaczyła coś? Słyszała jakieś głosy? A może...

- U ciebie zawsze wszystko musi być czarne albo białe, prawda? To nie takie proste. Zadałem jej to samo pytanie. Nie dowiedziałem się niczego konkretnego, ale jak sędzę, nie było to doznanie zmysłowe. Raczej narastająca świadomość czegoś okropnego, nienaturalnego... - Wzruszył bezradnie ramionami.

- Szkodliwa aura - mruknęła Andrea.

- Tego określenia nie użyła. Niewiele z niej wyciągnąłem.

Dziewczyna nie zaprzeczyła, że usłyszała ten zwrot od Reby. Starflower i jej uczniowie to albo świadomi naciągacze, albo ofiary otumanienia, ich świadectwo się nie liczy. Mimo to zbieżność odczuć

tych ludzi i Reby zaniepokoiła Andreę, toteż w jej głosie zabrzmiała nutka prośby.

- Ty nie nazwałbyś tego zabobonem. Tylko jak? - A gdy Martin nie odzywał się przez chwilę, dodała: - Jeżeli mi powiesz, że czujesz to samo...

- Nie. Wprost przeciwnie. Kiedy wróciłem tamtego wieczora, zrobiłem stare, szkolne doświadczenie. Stałem w całkowitej ciemności, próbując wypuścić z siebie jakieś duchowe nibynóżki, czy coś w tym rodzaju. Czuję się przy tym jak kompletny osioł. Dla mnie ten dom jest przyjazny, przytulny, otwarty. Zawodowe media, takie jak Ruby, to dla mnie skończone dupki. Ale Reba jest kobietą, którą dobrze znam i podziwiam. Ona naprawdę przeżyła tutaj coś strasznego, a przynajmniej tak uważa. Nie mogę jej zaprzeczać tylko dlatego, że sam niczego podobnego nie doznałem.

- Nie interesuje mnie filozofia - odparła szorstko Andrea. - Jak ktoś ma halucynacje, nie musi zaraz trąbić o tym na cały świat.

- Cóż, stało się, a jeśli chodzi o moją opinię... wiem, że jej nie potrzebujesz, ale i tak powiem, co myślę. Uważam, że twoja reakcja jest przesadzona. Nie możesz po prostu zapomnieć? Nie poprawisz sytuacji, jeśli zaczniesz walczyć z Rebą.

Prawda była tak oczywista, że Andrea nawet nie pofatygowała się, by odpowiedzieć. Kiedy usiadła z Jimem do wczesnej kolacji, usłyszała trzaśnięcie drzwiami.

- No i poszedł - syknęła ze złością. - Do „Rogu Obfitości”, rzecz jasna. Teraz razem z Rebą nie zostawią na mnie suchej nitki. Będą wałkować sprawę cały wieczór i narzekać, jaka to ze mnie suka.

Jim przyłożył jej do czoła spracowaną rękę.

- Gorące.

- Nie mam gorączki i nie pójdę do łóżka! Jimmie, czy myślisz, że zachowuję się głupio?

- Nie. To właśnie chciałaś usłyszeć, prawda? - Wstał i wziął kule. Miał obcy wyraz twarzy i wydawał się bardzo daleki. - Zobaczymy się później.

Gdyby krzyknął, pobiegłaby za nim, zasypując go wyjaśnieniami, broniąc się, tłumacząc - z czego właściwie? Nic nie zrobiła. Wszystko przez Martina. Jim go podziwiał i próbował małpować. Zawsze brał jego stronę przeciwko niej.

Ostatkiem sił sprzątnęła kuchnię i zabrała się do przygotowywania muffinów. Nie cierpiała ich, nie mogła znieść nawet widoku tego szarego, lepiałego się ciasta. Jutro musi zacząć szukać jakiejś pomocy. Nie będzie się czołgać przed Rebą.

Jim nie pokazał się na dole, kiedy skończyła robotę. Wszystko ją bolało - od czubka głowy do palców u nóg a zamiast nosa miała jedną wielką ranę. Kiedy szorowała zęby i myła twarz, uświadomiła sobie, że boi się położyć. Jeśli miały ją zaatakować jakieś koszmary, to na pewno wtedy, gdy jest wykończona fizycznie i psychicznie.

Gdy otworzyła apteczkę, by wyjąć nitkę dentystyczną, natrafiła na słoiczek. Pigułki nasenne! Lekarz wmusił w nią to świństwo po wypadku Jima. Po zażyciu pierwszej była śpiąca i przygnębiona przez cały następny dzień, więc zdecydowała, że da sobie z nimi spokój.

Niemal bezwiednie wyjęła jedną kapsułkę i włożyła do ust.

Chwilę jeszcze czytała, ale wkrótce zaczęła ją ogarniać błogosławiona senność. Co za cudowne uczucie! Umysł i mięśnie jakby odtajały i odprężyły się, cała unosiła się w przyjemnej, ciepłej mgiełce. Książka wypadła jej z ręki, oczy powędrowały tam, gdzie na straży drzwi tkwił portret Mary.

- Bardzo słusznie - mruknęła Andrea. - Miej oko na wszystko. Nie wpuszczaj ich. A skoro już tu jesteś, może zrobisz coś z tym deszczem.

*

Pigułka sprawiła, że Andrea pierwszy raz od początku kataru przespała całą noc, a jeśli coś się jej śniło, po przebudzeniu niczego nie pamiętała. Nie pamiętała też mowy, którą wygłosiła już niemal przez sen do portretu

Mary Fairfax. Gdyby sobie przypomniwała, rozbawiłby ją zapewne fakt, że deszcz ustąpił miejsca pięknej, jesiennej pogodzie. W rezultacie zwiększyła się liczba rezerwacji. Chłodne, rześkie noce i słoneczne dni zamieniły okoliczne wzgórza w olśniewającą panoramę barw, zachwalaną przez agentów biur podróży. Wielkie dęby na frontowym dziedzińcu mieniły się purpurą, derenie przy drodze dojazdowej wyglądały jak szkarłatne wstążeczki. Odległość tłumiała jaskrawość kolorów, toteż dalekie zbocza przypominały pstre szale przerzucone przez wiejską okolicę. Głęboka, trwała zieleń sosen odcinała się wyraźnie od fioletów, różów, palonej umbry i złamanej żółci.

Pokojówki przychodziły i odchodziły, jedna po drugiej. Większość była zupełnie do niczego, tylko kilka przetrwało dłużej niż dwa dni. Panowie próbowali pomagać. Jim rwał się do pracy, ale miał ograniczone możliwości. Zrobił sobie plecak, w którym nosił drewno do kominków i zakupy z samochodu, Andrea jednak nie mogła patrzeć, jak kuśtyka po domu z obciążonymi ramionami, wołała już dźwigać sama.

Martin też chciał się przydać, lecz choć nie miał takich ograniczeń jak Jim, Andrea stanowczo się temu sprzeciwiała. Powiedziała, że docenia jego dobre chęci, ale niech się zajmie własnymi sprawami. Po paru odmowach wrócił do swojej maszyny i towarzystwa Szatana, który jeśli nawet dorównywał obojętnością Andrei, to przynajmniej nie wyrażał jej tak dosadnie.

Mimo narastającego wyczerpania i coraz gorszego nastroju, Andrea twardo obstawała przy zwyczaju nadzorowania gości, kiedy zajmowali wspólne pomieszczenia. Nie dopuści już do żadnych seansów. Raz wypłoszyła podejrzaną siwowłosą kobietkę o wytrzeszczonych niebieskich oczach, którą przyłapała, jak rozciągnięta na skórzanej kanapie przemawiała do sufitu. W następną niedzielę rubryka Starflower w gazecie poświęcona została opisowi jej wstrząsających przeżyć w „pewnym złym domu, położonym około osiemdziesięciu kilometrów od stolicy, w którym stara zbrodnia i nowoczesny sceptycyzm wypełniają zabytkowe mury przerażającymi, zgubnymi fluidami”. Starflower nie była taka głupia, żeby wymieniać nazwy, ale i tak można było zidentyfikować dom na podstawie różnych aluzji.

Andrea zawrzała gniewem, ale wiedziała, że nie powinna podejmować walki z tą kobietą. Najlepiej ją kompletnie zlekceważyć, wtedy zainteresowanie szybko wygaśnie. Zdwoiła tylko wysiłki, by wyeliminować spośród grona gości wszystkie osoby nie zrównoważone psychicznie. Zadanie ułatwiła jej ludzka naiwność. Pewna kobieta na przykład zapytała wprost: „Czy to ten nawiedzony dom, o którym pisała Starflower?” Andrea poinformowała ją z satysfakcją, że ma komplet rezerwacji na dłuższy czas.

Takie incydenty nie wpływały dodatnio na jej nastrój, i tak zwarzony z powodu przepracowania. Pewnego wieczoru, kiedy walcząc z sennością kiwała się nad nieśmiertelnymi hamburgerami

przyrządzonymi przez Jima, nadszedł kryzys. Jim szturchnął ją w łokieć.

- Nie słuchasz mnie. Mówiłem, że skończyłem skrobać stolarkę, potrzebuję teraz...

Łokieć Andrei spadł ze stołu, przy czym podbródek zsunął się z podpierającej go ręki. Gwałtownym ruchem poderwała głowę, gdyż przygryzła sobie język. Oczy napęłniły jej się łzami. Jim, który już miał się roześmiać, wykrzyknął:

- O rany, Andy, przepraszam, nie płacz...

- Nic się nie stało. Po prostu ugryzłam się w język i teraz mnie boli.

- Jesteś przemęczona, ot, co. I nie masz ze mnie żadnego cholernego pożytku - odparł z goryczą.

- Ależ mam! I miałabym jeszcze więcej, gdybyś...

Znów ugryzła się w język, tym razem umyślnie, ale Jim i tak się domyślił.

- Gdybym zgodził się na protezę.

- Chodzi mi tylko o ciebie, Jimmie. Mógłbyś robić tyle rzeczy...

- Nie mam kolana - rzekł cicho Jim. - To znacznie pogarsza sprawę. Nigdy nie będę mógł robić tego, co naprawdę chcę. Nigdy. I nie pójdę znowu do tego szpitala. Wolę umrzeć.

- Tak źle ci tam było? - Potrząsnęła głową. - Co za idiotyczne pytanie. Zapomnij, że je zadałam.

- Chciałbym w ogóle zapomnieć o wypadku.

- Ja też. - Andrea otarła oczy i próbowała się uśmiechnąć. - O czym zacząłeś mówić, zanim zboczyliśmy z tematu? Czego potrzebujesz?

- Jestem gotów do malowania. Z wyjątkiem jednej rzeczy. Muszę wymienić parapety. Myślałem, że pojedę jutro do miasta i wybiorę sobie jakieś dechy, farby i takie tam drobiazgi. Potrzebna mi... - Urwał na moment. - Potrzebuję rady. Może pojedziesz ze mną i udzielisz mi konsultacji?

*

Następnego ranka Andrea długo mizdrzyła się przed lustrem, jakby wybierała się na przyjęcie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Jim poprosił ją, żeby gdzieś z nim poszła. Wina leżała częściowo po jej stronie. Nigdy nie interesowała się specjalnie jego pracą ani nie próbowała zachęcać go do zwierzeń. Teraz rozumiała, dlaczego

obawiał się szpitala. Pochłonięta własnym cierpieniem, nie zastanawiała się nad jego uczuciami.

Ale od dzisiaj koniec z tym. Od tej chwili będzie się starała bardziej mu pomagać i wszystko rozumieć.

Samochód prowadził Jim. Wpatrzona w drogę Andrea gawędziła o pogodzie i przewadze farby lateksowej nad olejną. Mieli do przejechania tylko kawałek.

Jim właściwie nie potrzebował jej rady. Pan Burton właściciel sklepu z narzędziami, zaliczał się wyraźnie do jego starych przyjaciół. Mówili sobie po imieniu i zaraz zniknęli na zapleczu, by oddać się tam ożywionej dyskusji. Pozostawiona samej sobie Andrea krążyła między półkami, przyglądała się zgromadzonym towarom i udawała, że nie słucha. „Taaa, cóż, stare drewno, będziesz musiał pociągnąć dwa razy, chyba że dasz najpierw gruntówkę... Dom z tamtej epoki pewnie ma całą stolarkę z miękkiego drewna, wtedy twardego używano tylko na podłogi...”

Kiedy ładowano im zakupy do bagażnika, Jim trącił siostrę łokciem.

- Spójrz.

Obramowana bukszpanem i gałęziami wiśni, fasada „Rogu Obfitości” połyskiwała bladym złotem w promieniach słońca. Na schodkach stała najbardziej pożałowania godna postać, jaką Andrea w życiu widziała. Reba miała na sobie staromodne fokowe futro. Była przygarbiona, ręce zwisały jej ciężko po bokach. Wyglądała jak smutny czarny niedźwiedź.

Jim machnął do niej kulą.

- Cześć, Rebo!

Futrzane ramię podniosło się w ostrożnym pozdrowieniu.

- Przestań! - syknęła Andrea.

- Och, dajże spokój. Musicie obie coś wreszcie z tym zrobić.

Wielka czarna plama nadal tkwiła nieruchomo, psując zalany słońcem krajobraz. Andrea nagle się uśmiechnęła.

- Wszystko ukartowałeś, co?

- Chowanie urazy świadczy o niedojrzałości.

- No cóż...

Kiedy podeszli bliżej, Reba wyprostowała się i spojrzała na nich z nadzieją.

- Dzień dobry - odezwała się Andrea. Zdawkowe grzeczności nie leżały w stylu tamtej. - Gniewasz się jeszcze? - spytała Reba. - Oczywiście, że nie. Już wszystko zapomniane.

- Dzięki Bogu! Jeśli cię to pocieszy, sama ukarałam się jeszcze gorzej. Wchodźcie, napijemy się kawy. Ciągłe szukasz kogoś do pomocy? Mam parę pomysłów...

Jim, uśmiechnięty od ucha do ucha z powodu odniesionego sukcesu dyplomatycznego, nie przyjął zaproszenia.

- Nie mam czasu słuchać babskich plotek. Zawiadam mnie jak będziesz gotowa, to po ciebie przyjadę.

Trzeba by chyba mieć serce z kamienia, żeby pozostać obojętnym wobec radości Reby z powrotu przyjacielskich stosunków. Serce Andrei, choć nie z kamienia, obrosło jednak przez lata grubą warstwą nalotu. Rozpuścił się on wkrótce pod wpływem serdeczności Reby, która zgromadziła przed odzyskaną przyjaciółką wszystkie najbardziej wyszukane przysmaki i jeszcze wsypała jej do kawy podwójną porcję cukru.

- Chcesz którąś z tych dziewczyn? - pytała tonem właścicielki niewolników. - Tylko pokaż palcem, każda może być twoja.

- Nie, dziękuję. Są za młode i za ładne. Ja potrzebuję kogoś w średnim wieku, bez śladu seksapilu.

- Cóż, trudno się dziwić - zachichotała Reba. - Linnie wróciła do szkoły, wiesz? A tatuś trzyma ją na smyczy jak psa.

Andrea poczuła, że się czerwieni. Pan Hochstrasser nie należał wprawdzie do plotkarzy, ale mogłaby się założyć, że ta historia obiegała już całe miasteczko. Zmieniła temat. Kiedy Reba przedstawiła informacje dostarczone przez swój wywiad, uzgodniły, że najlepiej się nada nie jaka pani Horner.

- Jest trochę powolna - mówiła Reba - ale jak raz jej coś wytłumaczysz, zabierze się do roboty ściśle według wskazówek i nie przestanie, aż jej każesz. Jedyne jej wadą jest małomówność.

To akurat wydało się Andrei wyjątkowo cenną zaletą. Powiedziała, że pani Horner podoba się jej z opisu, po czym podniosła się z krzesła.

- Muszę już wracać.

- Odwiozę cię. Nie ma sensu dzwonić po Jima.

- Chcesz powiedzieć, że wejdiesz do tego domu zła i obrzydliwych fluidów? - spytała żartem Andrea.

Reba odchyliła się ciężko na oparcie.

- Chciałam pomówić z tobą na ten temat, tylko nie wiedziałam, jak zacząć.

- Chodzi ci o Starflower czy o dom?

- O dom. Masz mnie za idiotkę?

- Ja wcale...

- Oczywiście, że tak myślisz. Każdy, kto wierzy w te psychiczne bzdety, jest idiotą. Ja nie wierzę - a jednak mi się to przytrafiło.

Andrea z powrotem usiadła.

- Co się wtedy czuje?

- Och, po prostu mdłości. Mogłabym rzygać jak kot. I jeszcze skóra cierpnie. I ma się dreszcze.

- Ale na pewno...

- Co, że już nie raz źle się czułam, na przykład przy grypie? Jasne. Ale tym razem było inaczej. To nie działo się w moim organizmie, to pochodziło z zewnątrz, od jakiejś... rzeczy poza mną.

Ledwie dostrzegalna przerwa po słowie „jakiejś” sprawiła, że Andrei ciarki przeszły po plecach.

- Czy coś widziałaś?

- Nie. Ale wiedziałam, że to jest. Coś niedobrego...

Nie zaraz złego czy wrogiego... po prostu niedobrego. No i dlatego uciekłam - tłumaczyła Reba z prostotą. - Bałam się, że jeśli zostanę to coś zobaczę...

- Więc już ci się to zdarzało?

- Och, kilka razy. W najprzedziwniejszych miejscach. Raz, za dawnych czasów, w ekskluzywnym apartamencie hotelu Mayflower. Był to najelegantszy hotel w mieście. Wybuchła polityczna rozróbka z pewnym kongresmenem, moim dawnym klientem. Wtedy podziałała na mnie osoba, nie miejsce. Przystojny gość, z siwą czupryną i akcentem z Nowej Anglii. Parę miesięcy później zabił żonę. Zatlukł ją na śmierć łopata.

Otarła pot z czoła. Andrea, bardziej wstrząśnięta, niżby się chciała przyznać, wykrztusiła:

- Coś okropnego. Tak mi przykro, nie zdawałam sobie sprawy. Byłaś u lekarza?

- Wiedziałam, że o to zapytasz - odparła Reba z posepnym uśmiechem. - Byłam u trzech lekarzy. Wszyscy kazali mi zrzucić dwadzieścia pięć kilo i przestać palić.

- Być może dlatego reagujesz inaczej niż inni, że jesteś bardziej wyczulona...

- Cholerę w bok! - Reba rąbnęła pięścią w stół. - Nie cierpię tego słowa. Gadasz jak Ruby Starflower.

- Przepraszam.

- Nie wrzasnęłam na ciebie. Nie jestem wyczulona, nie jestem medium, a kiedy umrę - co nastąpi prędko, bo nie przestanę palić, pić ani jeść - pochowają mnie na cmentarzu metodystów i tyle. Nie wiem, co to jest i czemu mnie to spotyka. po drugim razie przestałam próbować to zrozumieć. Teraz po prostu biorę dupę w troki i uciekam tak szybko, jak potrafię. Właśnie to przytrafiło mi się u ciebie. A przecież było tak sympatycznie i za nic nie chciałam zrobić ci przykrości...

- Nie przejmuj się.

- Taak. - Reba sapnęła jak lokomotywa. - Teraz mi ulżyło. Dziękuję. Więcej nie będziemy o tym rozmawiać. Nie lubię tego tematu.

- Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

- Wal.

- Odwiedzałaś przecież czasem kuzynkę Bertę. I nic się nie działo.

- Bo wtedy tego nie było.

ROZDZIAŁ X

Andrea poszła do domu pieszo, odrzuciwszy powtórna propozycję odwiezienia. Powiedziała, że przyda się jej spacer. W rzeczywistości chciała spokojnie pomyśleć.

Teraz rozumiała, dlaczego Martin wykręcał się od odpowiedzi, kiedy go pytała, co mówiła Reba. „Trzeba było to widzieć.” Reba to twarda kobieta w podeszłym wieku i zdeklarowana sceptyczka. Dlatego właśnie jej przeżycia są bardziej przekonujące niż wyrachowane oświadczenia Starflower Morningcloud. Szczerść Reby nie mogła budzić zastrzeżeń. Nawet sławna aktorka nie urządziłaby takiego przedstawienia, jakie dopiero co się rozegrało przed oczami Andrei.

Minęła domy miasteczka i skręciła w boczną drogę, zerkając na przejeżdżające samochody. Co to Martin mówił? „Nie mogę jej zaprzeczać tylko dlatego, że sam tego nie doświadczyłem.” Ale to takie liberalne gładzenie i unikanie jasnego opowiedzenia się po którejś ze stron. Prawdopodobnie mógłby dopuścić słabą, lecz faktyczną możliwość istnienia prawdziwych latających spodków, kierowanych przez prawdziwe, zielone ufoludki.

Gdyby przeżycie Reby miało być jedynym dowodem, że dzieje się coś dziwnego, Andrea zlekceważyłaby je, jak Scrooge zlekceważył ducha Marleya (Scrooge i Marley - bohaterowie Opowieści wigilijnej Karola Dickensa. Scrooge jest uosobieniem skąpstwa, egoizmu i sceptycyzmu. (przyp. tłum.): „Nie strawiony kęs buraka, okruch sera czy kawałek nie dogotowanego kartofla.” Chodziło jednak o jeszcze inne fakty i znaki.

Każdy z osobna był czymś błahym, nieistotnym, ale zebrane razem - wprost przeciwnie. Reba zieleniała ze zgrozy wchodząc do domu, Martin uważał go za ciepły i przyjazny. Jedna osoba twierdziła, że słyszy szelest anielskich skrzydeł, ona sama zaś kurczyła się ze strachu na wspomnienie skrzydlatego napastnika. I jak tu ze strzępków różnych świadectw wyrobić sobie obiektywny pogląd? O tym, by wezwać Ruby Dawdy, nie ma mowy. W historii Reby jest na pewno więcej prawdy, ale ile więcej?

Doszedłszy do podjazdu, Andrea zatrzymała się, by spojrzeć na dom krytycznym okiem. Gdybym była Rebą, pomyślała, pewnie zaczęłabym teraz widzieć różne rzeczy. Na przykład mglistą postać wychylającą się przez balustradę z górnego tarasu. Albo białą twarz o

pustych oczodołach w oknie nie zamieszkanego pokoju. Albo też coś, co zniknęło za drzewem, pozostawiając za sobą śluzowaty ślad zgnilizny...

Rozmówiony w architekturze gość użył raz w stosunku do domu określenia „gotycki tort weselny”. Wznoszące się jedna nad drugą kondygnacje, lśniące bielą murów jak polukrowane, wyglądały naprawdę jak podany na stół tort, udekorowany rzeźbionymi festonami i gzymsami. Szmaragdowa zieleń trawnika przypominała wytworną aksamitną serwetkę, na której go ustawiono. Słowem, był to piękny, stary dom, kojarzący się z nostalgicznymi obrazami fin - de - siecle'u: dzieci bawiące się na trawie pod okiem niani w białym fartuszkach, mama kołysząca się wolno na werandowym bujaku, pochylona nad robótką, papcio stojący na schodkach z kciukami zatkniętymi za kamizelkę, ogarniający swą trzódkę okiem posiadacza...

Może ona nie potrafi się zdobyć na obiektywizm. To jej dom, jej dzieło, ona uczyniła go tym, czym jest, i kocha go bezkrytycznym uczuciem, jakie każdy artysta żywi dla wytworu swoich rąk i serca. Wpakowała w to dzieło całą energię, wszystkie swoje siły, nadzieje i marzenia, które teraz stały się częścią domu. I ona, Andrea, też jest jego częścią. Jeśli się jej nie uda, jeśli będzie zmuszona poddać się i opuścić to miejsce, będzie się czuła jak rozdarta na dwoje.

Uda się!

- Tutaj zostanę - powiedziała głośno i z namaszczeniem, jakby składała przysięgę. I nagle poczuła, że dom przyjął te słowa do wiadomości i zaakceptował je.

*

Długi spacer dokonał tego, czego Andrea się spodziewała - pomógł nabrać dystansu i otrząsnąć się z mrocznych fantazji, które zaczęły ją trapić pod wpływem Reby. Prawdopodobnie problemy przyjaciółki brały się rzeczywiście z nadmiaru jedzenia i picia oraz z niedostatku ruchu.

Nie kusiło jej, żeby obgadać sprawę z Martinem. Najwyraźniej przełamał albo „przeskoczył” swoją twórczą niemoc. Siedział po całych dniach w swoim pokoju, nie pojawiając się nawet na lunch. Kiedy Andrea mijała jego drzwi, słyszała tylko monotony stukot maszyny.

Jim też znalazł sposób na swoją niemoc, która w jego przypadku odnosiła się do fizycznych ograniczeń przeszkadzających w dokończeniu prac remontowych. Pewnego popołudnia przed dom zajechała furgonetka. Kierowca, nieśmiały, krzepki młodzieniec, przedstawił się Andrei:

- Wayne. Mój tata ma sklep z narzędziami", nie? Wznosząca się modulacja sugerowała, że jest to pytanie, choć Andrea nie wiedziała, jak powinna odpowiedzieć. Na szczęście Jim, który wyraźnie oczekiwał tej wizyty, wyratował siostrę z opresji.

- Wayne przyjechał mi pomóc.

- Tak jest, psze pani - potwierdził przybysz. Więcej się do niej nie odezwał, jednak kiedy zostawiła ich samych, okazał się nawet dość rozmowny. Słyszała jak śmiali się razem i gadali bez ustanku podczas wnoszenia rzeczy na górę. Niektóre narzędzia - jak piła elektryczna, elementy rusztowania - budziły w Andrei najgorsze przeczucia, ale powstrzymała się, choć z trudem, od komentarza i protestu. Jeśli Jimowi tego właśnie brakowało do szczęścia, to niech tam.

Wczesnym rankiem następnego dnia pojawiła się pani Horner. Z początku Andrea nie odniosła się do niej zbyt entuzjastycznie. Kobieta chodziła kołysząc się na boki jak kaczką i nie patrzyła w oczy. Odzywała się jeszcze rzadziej niż Wayne. Temu przynajmniej sztuka płynnego mówienia nie była obca, po prostu postanowił nie eksponować jej wobec Andrei. Pani Horner jednak w ciągu pierwszej godziny wypowiedziała dwa słowa: „Dzień dobry”. Na zadawane pytania odpowiadała tylko kiwnięciem lub potrząśnięciem głowy.

Pokazawszy, gdzie leżą przybory do sprzątania, Andrea zostawiła panią Horner w jednej z łazienek na górze i odeszła do swoich zajęć. Nie obchodziło jej, czy nowa pomoc powie jeszcze jakieś słowo. Liczy się, czy rozumie polecenia i czy je wypełnia. Kiedy po półgodzinie wróciła, by sprawdzić rezultat, stwierdziła, że wprawdzie tylko pół łazienki jest sprzątnięte, ale ta połowa lśni tak nieskazitelną czystością, że można by śmiało jeść z podłogi albo i z wanny. Pani Homer zaczęła sprzątać od ściany i posuwała się metodycznie do przodu, czyszcząc wszystko, co napotkała po drodze, łącznie z wewnętrzną stroną „łapek”, na których wspierała się wanna.

Andrea zbiegła na dół do telefonu, unosząc się niemal nad ziemią.

Dzwoniła jedna z „babuń”, jak Andrea określała pewien rodzaj klientek, aby się dowiedzieć, czy mogłaby wraz z mężem przyjechać na święto Dziękczynienia.

- Córka oczywiście chciałaby mieć nas u siebie - zaczęła wyjaśniać starsza pani. - Myślę, że na Boże Narodzenie nie damy rady się wykręcić, ale ja po prostu nie zniosę tego więcej niż raz w roku. Pani nie ma pojęcia, jak to jest. Nigdy nie wiem, kto się głośniej drze: kot, kiedy dziecko ciągnie go za ogon, czy ono samo, jak je kot podrapie, a znów starsze grają w kółko w te hałaśliwe gry telewizyjne. Wszyscy trąbią, bucza, piszcza, a jeśli się przypadkiem odezwę do zięcia, gdy ogląda mecz - to on warczy, tak jest, droga pani, naprawdę warczy!

Andrea wiedziała dokładnie, jak wyglądają wizyty u dorosłych dzieci, bo pani Green opowiadała o nich bez końca. Lubiła tę, gadatliwą, wesołą starszą panią i jej sympatycznego męża, więc potwierdziła rezerwację na ten co zwykle pokój.

Odwiesiwszy słuchawkę, przyjrzała się z ołówkiem w ręku planowi rezerwacji. Do święta Dziękczynienia zostały dwa tygodnie. Przy nietypowym dla tej pory roku babim lecie wydawało się niemożliwe, że niedługo Boże Narodzenie.

Tyle miała roboty z prowadzeniem bieżących spraw, że nie zrobiła dotąd żadnych świątecznych planów. Może powinna zamknąć zajazd na święta. Tak cudownie byłoby pobyc trochę we dwójkę z Jimem... Od miesiący nie spędzili razem choćby jednego całego dnia... a już na pewno nie od czasu wypadku.

Ze zmarszczonym czołem studiowała kalendarz. Święto Dziękczynienia już przepadło, ale temu nie dałoby się zapobiec. Czy Jim coś mówił o przyjeździe Kevina? Mogłaby się spokojnie założyć, że tak. Rozwiedzeni rodzice chłopaka mieszkali po przeciwnych stronach kraju, ale odległość prawie pięciu tysięcy kilometrów nie wpłynęła na zmniejszenie wrogości między nimi ani też na wzajemną zazdrość o Kevina. Jak pojedzie do jednego, drugie go przeklnie - i na odwrót. Andrea rzeczywiście nie mogła mieć pretensji, jeśli ten biedak wybierze trzecie wyjście i ucieknie od obojga.

Kevin - i Martin, wszędobylski gość, bywający u nich na kolacji. Oczywiście nie jest żonaty, ale musi mieć kogoś bliskiego - braci, siostry, kuzynów, na których może liczyć w okresie, kiedy więzy rodzinne stają się najsilniejsze, najserdeczniejsze. Dziwne, że tak mało

o nim wie. Za to on wie aż za dużo na temat najbardziej osobistych aspektów życia Andrei. Ale to jej własna wina. Uległa jego zdradzieckiemu urokowi, gdy była zmęczona i zmartwiona. Nigdy jednak nie zachęcała go do zwierzeń ani o nic nie wypytywała. Bo niewiele ją obchodził.

Andrea podjęła decyzję. Żadnych rezerwacji na święta. Spędzi ten dzień z Jimem i zabije każdego, kto jej spróbuje przeszkodzić. Będzie choinka i prezenty. W tym roku może Jimowi kupić coś naprawdę wystrzałowego... dzięki pieniądzom od Martina.

Martin, zawsze ten Martin. Wiedziona nagłym impulsem sięgnęła po telefon, ale nim podniosła słuchawkę, rozmyśliła się. Martin miał zwyczaj krążyć niespokojnie po holu, kiedy praca mu nie szła. Po co ma słyszeć, jak wypytuje o niego Rebę. Trzeba namówić go na spacer. W tym jego pokoju musi być niezły śmietnik, nie sprzątało się go od...

Andrea zerwała się na równe nogi. Na śmierć zapomniała o pani Horner! „Będzie robić, co jej każesz, póki nie powiesz, żeby przestała.” Tak mówiła Reba. Pewnie kobiecina skończyła już łazienkę. Ciekawe, czy wróciła do punktu wyjścia i czyści ją od początku, czy zacięła się w jednym miejscu jak mechaniczna zabawka?

Nic z tych rzeczy. Pani Horner ze szczotkami i kubłem w rękach stała przed drzwiami łazienki, wpatrując się apatycznie w podłogę.

- Tak mi przykro - odezwała się Andrea. - Powinam pani powiedzieć, co dalej. Może posprząta pani teraz którąś z sypialń?

Pani Horner wyglądała jeszcze bardziej tępo, jeśli to w ogóle możliwe. Przemawianie do niej przypomina programowanie komputera, pomyślała Andrea, starając się nie roześmiać. Nie zadasz prawidłowo pytania, nie doczekasz się odpowiedzi.

- Proszę teraz posprzątać sypialnię - poprawiła się. Pani Horner się rozpogodziła. Andrea szybko dodała:

- Chwileczkę, tylko sprawdzę... - Zapukała do drzwi Martina. Nie słychać maszyny, więc może moment jest dogodny.

Otworzył z impetem drzwi i spojrzał na nią z tak groźną miną, że aż się cofnęła. Nadepnęła przy tym na nogę pani Horner, która dreptała za nią niczym posłuszny pies. Koszula Martina wyglądała, jakby w niej spał, rzadkie włosy sterczały jak u głupiego Jasia, na twarzy miał smugi z tuszu.

- Co się stało? - spytała.

- Zmieniam taśmę w maszynie - poinformował ją złowieszczo. - Zmieniałem taśmę w maszynie. Będę zmieniał taśmę w maszynie teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen.

W tym momencie pani Horner wypowiedziała swoje trzecie słowo.

- Amen - powtórzyła nabożnie.

Andrea stłumiła parsknięcie, ratując się atakiem kaszlu.

- Przecież w ciągu swej kariery musiałeś zmienić parę milionów taśm.

Teraz jego oczy zwięzły się z rozbawienia.

- Owszem. I ani razu nie obeszło się bez walki, przy której Waterloo to zwykła bójka w barze.

- Czemu sobie nie sprawisz takiej nowoczesnej maszyny, w której wymienia się całe kasety?

- Nie potrafię na nich pisać - wyznał ponuro.

Od tej dyskusji oderwał Andree widok łóżka, zamienionego w jedno kłębowisko koców i prześcieradeł, z ułożonym pośrodku jak plama tuszu Szatanem. Podłogę pokrywały zmięte kartki, ofiary twórczych wysiłków Martina, z przepelnionego kosza wysypywały się śmieci.

- Zmienię ci taśmę, jeśli wyjdiesz stąd na pół godziny i pozwolisz pani Horner posprzątać - złożyła mu propozycję. - Och, przepraszam. Pani Horner, to jest pan Greenspan.

Pani Horner stała przyciśnięta płasko do przeciwległej ściany. Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie, proszę pani. Nie da rady. Najmocniej przepraszam. Zrobię każdą robotę, co tylko pani zechce, ale za nic nie zostanę z tym stworem.

Oto sposób na rozwiązanie języka pani Horner - terapia wstrząsowa! Obeszło się bez indagowania, o jakiego stwora chodzi. Rozszerzone z przerażenia niebieskie oczy kobiety utkwione były w Szatanie.

Martin wyszedł z nimi do holu i zamknął za sobą drzwi. Pani Horner odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję panu. Wyszło mi z głowy, że ten stwór tu jest.

- Zabiorę go - ofiarował się Martin. W jego niewątpliwie przyjaznym tonie wyczuwało się pewną rezerwę. Pani Horner podchwyciła ją natychmiast.

- Nie może go pan zabrać - rzekła bezbarwnie - jeśli on nie zechce. Nie, proszę pana, piękne dzięki, ale raczej nie mogę sprzątać tego pokoju.

Andreę przeszył lęk. Tylko tego brakuje, żeby następne zdanie zabrzmiało: „Nie mogę pracować w domu, w którym mieszka ten stwór.”

- Sama się zajmę pokojem pana Greenspana - powiedziała pośpiesznie. - Czy może pani... Proszę posprzątać pokój po drugiej stronie holu.

Kamień z serca. Pani Horner skinęła głową. Wy tłumaczywszy, co ma robić, Andrea wróciła do Martina. Przyglądał się z podziwem, jak zmienia taśmę.

- Gdzieżeś znalazła tę osobliwą kobietę? - spytał.

- Przez Rebę, oczywiście. Już myślałam, że zaraz pierwszego dnia ją stracę. Jest trochę dziwna, ale sprząta fantastycznie. Mam nadzieję, że Szatan nie będzie łaził po innych pokojach.

Kocur nie przejawiał takich chęci. Kiedy Andrea podeszła do łóżka, spojrzął na nią jednym okiem przez możliwie najwęższą szparkę, po czym natychmiast zamknął je z powrotem.

- Może zaczekasz chwilę, aż zechce... - zaczął Martin.

- Nonsens. Ten pokój to jeden wielki chlew. Zaraz zabieram się do sprzątania. Słuchaj, czy kiedy zmieniasz taśmę, musisz wycierać ręce w prześcieradło?

- Kupię ci kilka nowych - obiecał ze skruchą.

- Mam nadzieję, że to się spierze. Wynoś się stąd, nie mogę pracować, jak mi ktoś stoi nad głową.

- Mam cię zostawić z tym stworem? Nigdy! Jestem gotów walczyć u twego boku, no, ostatecznie opatrzeć ci potem rany.

- To śmieszne, jak wy wszyscy ustępujecie temu zwierzakowi - zdenerwowała się Andrea. - Jazda stąd, Szatan! Psik! No, ruszże wreszcie ten czarny tyłek!

Szarpnęła mocno kocem. Szatan przewrócił się na grzbiet, tak że wszystkie cztery łapy znalazły się w powietrzu. Martin wybuchnął śmiechem. Kot prychnął ze złością.

- Uważaj - ostrzegł Martin Andreę, kiedy wyciągnęła rękę.

- Głupi jesteś. - Szatan przelewał się jej przez ręce jak futrzana zabawka. Andrea zachwiała się. - Mój Boże, ależ jest ciężki! - sapnęła.

- On to robi specjalnie - poinformował ją Martin. - Jeśli zechce, potrafi w jednej chwili podwoić swój ciężar.

- Ty i ta pani Horner... - Andrea cisnęła kota na krzesło. - Siedź tu, aż skończę - przykazała.

Szatan łypnął okiem ze złością, ale został na miejscu.

- No! - Andrea zerknęła na Martina ze źle skrywaną satysfakcją. - Teraz idź sobie i daj mi posprzątać.

Dziennikarz potrząsnął ze zdumieniem głową i wyszedł.

Nie przejmując się ani trochę kotem, który szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami śledził każdy jej ruch, Andrea zdjęła pościel. Kiedy szła po czyste prześcieradła, odkurzacz i worek na śmieci, starannie zamknęła za sobą drzwi. Rzut oka w stronę drugiego pokoju upewnił ją, że pani Horner spokojnie oddaje się pracy, a Martin najwyraźniej dotrzymuje jej towarzystwa. Andrea wprawdzie go nie widziała, ale słyszała nie kończący się, zawity monolog. Pasują do siebie idealnie, pomyślała.

Wycie odkurzacza nie zakłóciło spokoju Szatana, choć Andrei mówiono, że większość kotów tego nie znosi. Kiedy przejeżdżała miejsce pod jego krzesłem, nawet nie mrugnął okiem.

Martin wrócił, gdy zbliżała się do końca. Zaczekał, aż wyłączy maszynę, i odezwał się, nieco zaskoczony:

- Wygląda lepiej.

- To żaden komplement. Wszędzie byłoby lepiej. Jak możesz pracować w takim śmietniku?

- Przyzwyczailem się.

- Powinieneś przejść się trochę, takie piękne słońce! Nie sądzisz, że konwersacja z panią Horner jest nieco jednostronna?

- Pani Horner - rzekł Martin mentorskim tonem - jest jak kopalnia złota. Potrzeba czasu, żeby przebić się przez wierzchnią warstwę, ale gdy się już natrafi na właściwe złożę, znajdzie się tyle samorodków, że każdy wysiłek się opłaci. Innymi słowy...

- Właśnie, spróbuj innymi.

- ... włączasz ją - i mówi. Kusi mnie, żeby napisać regionalną powieść. Byłaby z niej znakomita postać. Wiesz, co powiedziała o Szatanie? „To czarodziejski stwór, ot co! Zostało mu jeszcze kilka z dziewięciu żywotów. Był tu za czasów mego dziadka i będzie, kiedy my dawno pomrzemy.”

- Widocznie ten akurat gatunek i kolor powieli się na tym terenie. Gdyby były białe albo łaciate, ludzie nie wiązaliby z nimi tylu przesądów.

- Na twoim miejscu nie wyśmiewałbym się z pani Horner - upierał się Martin. - Poczciwa z niej dusza. I obiecała mi upiec szarlotkę.

- Żartujesz! Zna się na kuchni? - Andrei rozbłysły oczy. - No więc niech sobie wierzy w czary i wszystkie diabły z całego piekła. Nic mnie to nie obchodzi.

Andrea nie mogła się doczekać wypróbowania talentów pani Horner. Następnego dnia przyniosła stos magazynów z przepisami i efektownymi, kolorowymi zdjęciami przeróżnych ciastek i bułeczek śniadaniowych. Nie zależało jej na jakimś szczególnym wypieku, wszystko poza znienawidzonymi muffinami będzie prawdziwym błogosławieństwem.

Pani Horner spodobały się obrazki, ale kiedy zrozumiała, czego spodziewa się po niej pracodawczyni, sposepniała.

- Z książki nie.

- Może pani wykorzystać jakiś własny przepis - zachęcała ją Andrea.

- Ja nie... Mam upiec coś takiego? - wskazała fotografię obwarzanka o lśniącej, brązowej skórce, posypanej migdałowymi wiórkami.

- Może być też co innego - tłumaczyła cierpliwie Andrea. - Cokolwiek nadającego się na śniadanie. - Tu przypomniała sobie najpopularniejsze pieczywo na lokalnych targach. - Byle nie takie lepkie były.

- Nie lepkie były - powtórzyła jak echo pani Horner.

- Palce się od nich brudzą. Proszę upiec, co pani zechce, dobrze?

Pani Homer kiwnęła głową. Biorąc to za pozytywną odpowiedź, Andrea zostawiła ją w kuchni. Dopiero podczas sprzątanía salonu przyszło jej do głowy, dlaczego „z książki nie”. Pewnie pani Horner po prostu nie umie czytać.

Zamiatała właśnie werandę przy otwartych drzwiach wejściowych, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, kiedy z kuchni zaczęły się wydobywać kuszące zapachy. Żołądek zareagował jeszcze przed mózgiem na to obiecujące zjawisko, ale zmusiła się do skończenia pracy. Właściwie szkoda było usuwać stąd suche liście.

Mieniły się wszystkimi odcieniami czerwieni, od purpury do głębokiego cynamonowego brązu. Tworzyły dywan piękniejszy od jakiegokolwiek rzemieślniczego wyrobu. Zamiatanie zajęło Andrei godzinę, ale było to jedno z jej ulubionych zajęć przy ładnej pogodzie. Chryzantemy kuzynki Berty kwitły jak szalone, ciesząc oczy pięknymi kolorami słonecznej żółci, bursztynu, rdzy i lawendy. Grupa jaworów przy strumieniu wyglądała jak namalowana przez jakiegoś orientального malarza. Miały jasne pnie z ciemniejszymi plamami i rozrośnięte, symetryczne korony, zbyt doskonałe w kształcie, by wierzyć, że są prawdziwe...

W czasie krótkiej przerwy na złapanie oddechu Andrea poczuła, że ogarnia ją głęboki spokój. Była to jedna z tych rzadkich chwil, kiedy wszystko przedstawia się zbyt idealnie, by miało potrwać dłużej. Rok dobiegał końca nie wśród dzikich porywów burzy, ale w atmosferze spokojnej akceptacji, a olśniewające kolory zwiędłych liści, trofea minionego lata, stanowiły zapowiedź wiosny.

Zapachy dobiegające z kuchni też coś zapowiadały. Andrea ze wzmożonym zapalem wróciła do pracy i dopiero później udała się z miotłą na ramieniu do źródła niebiańskich woni.

Jim już tam urzędował. Nic dziwnego. Potrafił na kilometr wywęszyć batonik czekoladowy owinięty w podwójną warstwę papieru. Teraz siedział z łokciami na stole i wcinał cynamonowe bułeczki pod czułym okiem pani Horner. Przed nim stały jeszcze dwie blachy smakołyków ozdobionych hojnie białym lukrem. Z miski na blacie kuchennym wznosiła się półkula wyrośniętego ciasta. Kiedy weszła Andrea, pani Horner właśnie się odwróciła, żeby wyciągnąć z pieca następną blachę, tym razem precelków. Andrea w nabożnej ciszy obserwowała, jak jej pracownica polewa je pomarańczowym płynem, który natychmiast zastyga, tworząc lśniąca, złocistą glazurę.

- Weź sobie bułeczkę - zapraszał Jim z pełnymi ustami. - Ta pani to najwspanialsza kucharka na świecie. Jesteśmy zaręczeni.

Andrea nie miała dotąd okazji usłyszeć śmiechu pani Horner. Doszła do wniosku, że gulgoczące dźwięki wydobywające się z jej ust można uznać za oznakę wesołości.

- Musiałabym cię najpierw podtuczyć, chłoptysiu - oznajmiła pani Horner. - Nie lubię chudzielców.

Wybuchnęli śmiechem.

W uchylonych drzwiach ukazała się głowa Martina, który poruszał nosem jak królik. Na spólkę z Jimem wsunęli całą blachę bułeczek. W ich obecności pani Horner wprost rozkwitła. Gdy Andrea pogratulowała jej sukcesu, kobieta potrząsnęła tylko głową.

- Lepsze byłyby na smalcu - powiedziała. - Następnym razem niech pani kupi smalec.

- Kupię pani całe wiadro smalcu - obiecał Mart' patrząc na nią z uwielbieniem. - I jeszcze karetę zaprzęzoną w sześć białych koni, i sobolowe futro. Pani Horner czy zostanie pani moją żoną?

- Nie, proszę pana. Nie mogę. Jestem już zaręczona. Spojrzała na Jima i znowu się roześmiali.

Kiedy blacha została opróżniona, Andrea wypchnęła obu mężczyzn z kuchni i zostawiła panią Horner przy splataniu w wymyślne kształty ostatniej części ciasta Grube, na pozór niezdarne palce kobiety poruszały się z zawodową zręcznością. Andrea udała się na górę i pokornie zabrała się do sprzątanía łazienki.

Już o pierwszej kuchenny blat był zastawiony blachami pełnymi wypieków, w które Andrea wpatrywała się z niemal bałwochwalczym zachwytem. Pani Horner skwitowała gratulacje krótkim skinieniem głowy. Po wyjściu mężczyzn znowu popadła w swą zwykłą małomówność. Andrea odprowadziła ją do drzwi.

- Do zobaczenia jutro - powiedziała wesoło.

- Nie, proszę pani. Jutro nie.

- Co? Dlaczego? - krzyknęła zawiedziona Andrea.

- Śnieg. Nie mogę jechać po śniegu.

- Śnieg? - Andrea zerknęła na słońce świecące na bezchmurnym niebie, na poruszane łagodnym wietrzykiem liście. - Och, nie, przecież prognoza pogody...

- Nie mogę jechać po śniegu.

Zbyt zdumiona, by protestować, Andrea patrzyła bezradnie, jak pani Horner pokonuje schody, po czym gramoli się do swojego wiekowego auta. Oryginalny kolor tego pojazdu mógłby stanowić przedmiot dyskusji, teraz jednak kojarzył się głównie z pomyjami. Przyglądając się oponom, nawet z pewnej odległości należało stwierdzić, że pani Horner istotnie nie powinna jeździć przy złej pogodzie. Ten problem wymagał jakiegoś rozwiązania, ale śnieg? Jutro?

Andrea znalazła się w kuchni w samą porę, by uratować przed obzartuchami bułeczki przeznaczone na weekendowe śniadanie.

Kiedy Jim wrócił na wieżę, a Martin niechętnie uznał, że powinien sprawdzić, czy nie ma go przy maszynie, Andrea wsiadła do samochodu i pojechała do miasta. Reba na jej widok wpadła w zachwyty.

- Drugi raz w tym tygodniu! Stajesz się włóczykijem, moja Andy! Siadaj, podam ci lunch.

- Dziękuję, już jadłam. Chętnie napiję się z tobą kawy, jeśli masz trochę czasu.

- Mam, mam. Dobrze, że przyjechałaś. Myślałam, że przy tej pięknej pogodzie masz po uszy roboty. Tu zwykle aż do świąt nie ma śniegu, ale ta jesień i tak jest najdłuższa, jaką pamiętam.

- Pani Horner powiedziała, że jutro będzie śnieg.

- O psiakrew! Miałam jechać do Baltimore. Lepiej zrezygnuję.

- Rebo, przecież nie ma mowy o żadnym śniegu. Ale chyba będę miała w zimie problem z dojazdami pani Horner do pracy. Gdzie ona mieszka?

Zaczęły dyskutować na temat obaw pani Horner co do prowadzenia samochodu. Okazało się, że mieszka ona przy wiejskiej drodze, którą przy złej pogodzie - według Reby - da się przejechać tylko dżipem.

- Przy okazji - wtrąciła Andrea. - Czy pani Horner jest analfabatką?

- Potrafi się podpisać - ucięła Reba. - Prawdę mówiąc nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Wniosek sam się nasuwał: i co z tego? Andrea była skłonna się z tym zgodzić.

- Po prostu nie chcę jej stawiać w kłopotliwej sytuacji - wyjaśniła.

Reba się rozchmurzyła.

- Rozumiem. To miło z twojej strony.

- Och jestem miła aż do obrzydliwości. Już sama ze sobą nie mogę wytrzymać!

- Czemu się tak gryziesz? Jesteś sympatyczną osobką Albo inaczej: byłabyś sympatyczna, gdyby ci dać trochę czasu.

- Nigdy nie miałam czasu - przyznała Andrea. - To luksus, na który nie mogę sobie pozwolić.

- Bzdura. „Miła” jest dla ciebie brzydkim słowem. Wydaje ci się, że będąc miłą, przyznajesz się do słabości. Trele - morele, dziecino, ja to już przerabiałam. Myliłam się, oczywiście, ty też się mylisz. Wartość, o której rozmawiamy - no tak, słowo „miły” absolutnie tu nie pasuje - jest oznaką duchowej siły i spokoju wewnętrznego.

- Mówisz jak Martin - prychnęła Andrea. - Właśnie, a propos Martina...

- Zmieniasz temat, co? Dalej, nie żałuj sobie! - zdenerwowała się Reba.

Rzeczywiście Andrea miała taki zamiar, ale wołała się nie przyznawać.

- Nie, wcale nie. Przyjechałam między innymi po to, żeby porozmawiać o Martinie. Nie chciałam być wścibska, ale uświadomiłam sobie wczoraj, że wkrótce mogę się znaleźć w niezręcznej sytuacji. - Zaczęła wyjaśniać swoje rozterki związane z przerwą świąteczną. - Gdybym spytała go wprost, mógłby sobie pomyśleć, że nie jest mile widziany - tłumaczyła obłudnie. - A do tego nie chcę dopuścić.

- Nie sądzę, by się gdzieś wybierał - odparła Reba.

- Nie ma dokąd.

- Żadnej rodziny? Przyjaciół?

- Przyjaciół ma na pęczki. Kurczę, przecież może zatrzymać się u mnie, dobrze o tym wie, są też inni. Ale nie ma nikogo naprawdę bliskiego. Przynajmniej... - Zawahała się. Mieszając bez sensu fusy w filiżance, wydusiła: - W przeciwieństwie do tego, co może myślisz, nie mam zwyczaju chlapać na prawo i lewo o prywatnych sprawach moich przyjaciół.

- No to nie mów.

- Lepiej jednak powiem. Dla jego dobra. Martin ma syna. Dwunastolatka. Nie widział go od trzech lat.

Andrea otworzyła usta ze zdumienia. Nim zdążyła się odezwać, Reba podniosła rękę ostrzegawczym gestem.

- Widzisz? O to właśnie mi chodzi. Gdybyś znała tylko gołe fakty - które zresztą są łatwe do wykrycia - mogłabyś wszystko zrozumieć na opak. Martin ma fioła na punkcie dzieciaka. To, co się stało, nie jest jego winą, tylko tragedią.

Fioła miał także na punkcie swojej żony. Nie była tego warta. To jedna z tych przerasowanych, niedożywionych kobietek o dużych

niebieskich oczach dziecka i popielatoblond włosach. O umyśle nie ma co gadać, ale Martin ubóstwiał ziemię, po której stapała. Znałam ich oboje w czasach, kiedy on był wiecznie głodnym, początkującym reporterem. To właśnie jedna z przyczyn, dla których jej rodzice nie godzili się na małżeństwo. Drugą było jego żydowskie pochodzenie. O, tak, tamci postawili sprawę jasno, to stara, południowa rodzina, przeżarta na wylot rodową pychą. Marietta jednak raz w życiu zrobiła coś mądrego. Odesłała ich do wszystkich diabłów i uciekła z Martinem.

To małżeństwo nie miało szans. Rok po ślubie tonęli w długach. Ona nie potrafiła zaprzestać szastania pieniędzmi, do czego była przyzwyczajona. Kiedy Martin jej tłumaczył, że nie stać go na kupowanie futer i biżuterii, płakała i złościła się. A gdy się okazało, że jest w ciąży, rozpętało się istne piekło. Biedna idiotka, zachowywała się tak, jakby nie wiedziała, skąd się biorą dzieci i jak to, które miała urodzić, dostało się do jej brzucha. Próbowwała się pogodzić z rodziną, ale oni nie chcieli o niczym słyszeć. Powiedzieli, że jak sobie pościeliła, tak się wyśpi.

No i umarła przy porodzie. Brak sił, brak charakteru... Gdy już było po niej, zjawiała się rodzinka i opadła Martina jak rój wściekłych os. Skoro zamordował ich pieszczoszkę, to niech odda dziecko. Ponieważ tatunio był sędzią, jednym z tych dobrze osadzonych w stanowych układach Wirginii, Martin nie miał szans. Fakt, że od śmierci Marietty nie trzeźwiał przez pół roku, pogorszył oczywiście sprawę. „Nie nadaje się na ojca” - tak to ujeli. A on nie protestował. Przypuszczam, że nic wtedy do niego nie docierało.

- Nie miałam pojęcia - mruknęła Andrea. - Patrząc na niego teraz, nigdy bym nie powiedziała...

- Teraz już się pozbierał. W przeciwieństwie do swej nieszczęsnej żony, ma charakter. Myślę, że utrata praw rodzicielskich mocno nim wstrząsnęła. Przestał pić i zaczął pracować jak wół. Gdy jego kariera była już ugruntowana, zwrócił się ponownie do sądu i zyskał tyle, że przyznano mu prawo do widywania chłopaka. Ale okazało się, że rodzinka wpoila w dzieciaka nienawiść do ojca. I strach przed nim. Martin w końcu dał za wygraną. Nie chciał obciążać psychicznie małego.

- Cieszę się, żeś mi powiedziała - oświadczyła Andrea. - Nie przyznam mu się, że wiem.

- Lepiej nie. Nie chcę stracić następnego przyjaciela z powodu za długiego jęzora.

- Jeśli do mnie pijesz, to wiedz, że wcale nie straciłaś mojej przyjaźni - uśmiechnęła się Andrea.

- Nie pokazali się nowi spirytyści?

- Sensacja chyba już wygasła.

Andrea wstała. Choć wierzyła Rebie, uważała, że z pewnością brak jej obiektywizmu. Tak czy inaczej smutna historia Martina podziałała na nią przygnębiająco. Czuła przemożną potrzebę wydostania się na słońce.

- Muszę koniecznie zaprosić go do nas na święto Dziękczynienia - stwierdziła.

- To będzie naprawdę... - Reba wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Naprawdę miłe. Nie widziałam dotąd, by przywiązał się do kogoś tak jak do was. Andy, czy zastanawiałaś się kiedyś...

- Nad czym?

- Nieważne - mruknęła Reba. - Założę się, że nie.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Może byś też przyszła na świąteczną kolację? Oczywiście daleko mi do twoich standardów, ale upiekę indyka... jeśli pani Horner mnie nauczy.

- Raczej wy przyjdźcie do mnie. - Reba poszarzała na twarzy. Odwróciła od Andrei wzrok, jakby ją kto przyłapał z zakrwawionym nożem w ręku. - I tak miałam was zaprosić - dodała szybko. - Tak mi bardziej na rękę, a i tobie należy się dzień oddechu...

- Ty jeszcze ciągle to czujesz! - wykrzyknęła Andrea z niedowierzaniem. - Ten dom nadal cię przeraża!

Reba nie odpowiedziała.

Po przepięknym zachodzie słońca nastąpił łagodny zmierzch. Niebo było usiane gwiazdami. A jednak obudziwszy się rano, Andrea stwierdziła, że pokój tonie w mroku. Za oknem, na brzydkim, szarym tle, fruwały duże białe płatki. Wyglądały jak grochy na sukience.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna. Niebo miało kolor ołowiu, ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu. Każdy krzew był ubrany w białą czapkę, azalię zasypało niemal zupełnie.

- A niech to szlag trafi! - Andrea tupnęła nogą. I ta kobieta miała czelność skarżyć się na kota! Skąd, do diabła, wiedziała o śniegu? Zresztą mniejsza o jej nieobecność, jeśli pada w całym dystrykcie, goście na pewno odwołają przyjazd.

Pierwszy telefon odebrała zaraz po ósmej. Dzwoniła starsza pani, jedna z najsympatyczniejszych klientek.

- Dzwonię najszybciej, jak mogę, żeby nie trzymać drogiej pani w niepewności. Mamy tu marznący deszcz ze śniegiem. John kategorycznie odmówił jazdy i wcale mu się nie dziwię.

Do jedenastej wszyscy odwołali rezerwacje. Andrea usiadła przy kuchennym stole, rozłożyła gazetę i pochłonęła sześć pomarańczowych precelków pani Horner. Czytała poczynając od ostatniej, komiksowej strony. Nie miała siły, żeby zmierzyć się od razu z głównymi wiadomościami, wołała dochodzić do nich stopniowo, przez informacje rady miejskiej i sprawozdanie z burzliwej debaty na temat szkół z internatami w dystrykcie Kolumbia.

Pierwszy prawdziwie zimowy dzień w tym domu. Pamiętny marzec, kiedy to padał deszcz ze śniegiem, nie przygotował jej na taką niespodziewaną przerwę w rutynie codziennych obowiązków. Śnieg padał powoli, grubymi płatkami, w kompletnej ciszy, bez wiatru, bez bębnienia o szyby. Ptaki gdzieś się pochowały albo tkwiły nastroszone na gałęziach czy drutach.

Poszła zawołać Jima na lunch, ale odkrzyknął, że nie ma ochoty na jedzenie. Chce skończyć malowanie kolejnego fragmentu. Później przyjedzie Wayne i pomoże mu rozebrać rusztowania. Śnieg? No i co z tego? Wayne pożyczycy od ojca dżipa i na pewno jakoś tu dotrze.

Andrea pewnie by pomarudziła, ale odpowiedzi Jima były zwięzłe, niemal szorstkie, a myśl o nim, balansującym z jedną nogą na szczycie rusztowania, wytrącała ją z równowagi. Powłokła się z powrotem na dół i zrobiła kanapki. Kiedy mu je zaniósła, zostały skwitowane krótkim: „Dzięki, zjem później.”

Martin też nie pokazał się na lunchu. Wpuściła Wayne'a. Jak mu się udało dostać tu po tym śniegu, jeden Pan Bóg wie, zresztą nieważne. Kiedy wychodził jakiś czas potem, nawet się nie ruszyła. Czowała się tak rozleniwiona i bezwolna jak te śniegowe płatki. Leżała właśnie na kanapie i czytała kryminał, którego od tygodni nie miała czasu skończyć, kiedy na książkę padł blady promień słońca.

Chmury się rozsunęły, jakby specjalnie po to, by otoczyć miedzianą tarczę zachodzącego słońca aureolą rozproszonego światła. Na południowym trawniku utworzyła się długa, połyskująca różem i złotem zaspą. Na jej tle zaznaczały się cienie gałęzi i krzewów. Toż to czarodziejska zima z bajki! Różowy śnieg, jak na mnożących się

kopcach, które daremnie usiłował uprzątnąć Kot w Kapeluszu. Jakże Jim lubił tę głupią książeczkę! Pomyślała, że go zawoła i zaproponuje, by ulepili różowego bałwana, ale w tym momencie chmura przysłoniła słońce i czar prysł. No i dobrze. Na twarz Andrei padł cień, śnieg też poszarzał. Byłoby im obojgu przykro. Jim kuśtykający z wysiłkiem w sytuacji, w której dawniej pędziłby niczym Merkury ze skrzydełkami u pięt...

Włożyła płaszcz i botki, zabrała miotłę i wyszła. Śnieg już nie padał, chmury zaczynały rozpraszać. Góry na zachodzie odcinały się lawendową, poszarpaną linią na tle czystego nieba. Słońce zaszło, na jego miejscu zostały jeszcze resztki poświaty. Andrea zabrała się do uprzątania werandy, ale szybko odłożyła miotłę. Szkoda marnować taki piękny wieczór! Każda zmiana oświetlenia przekształcała krajobraz, dodając subtelnych odcieni kolorom śniegu. Wprost trudno dobrać odpowiednie nazwy dla tych barw. Nie fiolet ani srebro czy lazur, raczej mieszanina wszystkich trzech. Z ust Andrei wydobywały się obłoczki białej pary, widoczne w zapadającym zmierzchu.

Szła wolno do bramy, szurając z dziecinną radością nogami. W miarę jak mrok się pogłębiał, wydłużały się cienie gałęzi na śnieżnej zaspie.

Kiedy doszła do bramy, odwróciła się, tknięta nagłym przeczuciem. Dom prezentował się okazale, białe ściany odbijały srebrzysty poblask śniegu. Okna wieży rzucały koncentryczne łuki światła. Na tle jednego z nich przesuwiał się tam i z powrotem cień człowieka. To Martin spacerował. Reszta domu tonęła w ciemności.

Zarówka w holu musiała się przepalić. Andrea pamiętała dokładnie, że wychodząc zostawiła zapalone światło.

Na szosie zamarł wszelki ruch. Pograżona w mroku Andrea nie czuła się osamotniona ani wyizolowana. Otaczały ją cienie, wspomnienia o wszystkich, którzy zamieszkiwali kiedyś tę starą siedzibę, którzy przystawali w tym samym miejscu, by podziwiać jej piękno i cieszyć się na czekające za progiem ciepło domowego ogniska.

Nie poruszyła się, póki nie zniknął ostatni ślad poświaty słonecznej, a na niebie nie pokazały się gwiazdy. Dopiero wtedy wróciła po własnych śladach do domu. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, znalazła się nagle w całkowitej ciemności. Nawet świetlik i szybki obrzeżające drzwi były zacienione przez dach werandy. Andrea

ruszyła pewnym krokiem w stronę, gdzie znajdował się kontakt. Kiedy szła po omacku z wyciągniętymi rękami, coś się o nią otarło i zaczęło wchodzić po schodach.

Wyczuła, że przeszło. Już miała zawołać „hej!”, bo było to coś lub ktoś znajomy, nie do pomylenia nawet w ciemności, jak Jim czy Martin. Ale to nie żaden z nich. Uświadomiła sobie, że nie wie, jakie imię wykrzyknąć.

Namaciała wreszcie kontakt. Światło na moment ją oślepiło. Jeszcze zanim odzyskała zdolność widzenia, wiedziała, że w pobliżu nie ma nikogo.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi na górze, a po chwili głos Martina.

- Andreo?

- Tu jestem - odrzyknęła pewnym głosem. - To znaczy gdzie?

- Na dole. O co ci chodzi?

Martin zatrzymał się na podeście i spojrzał na nią, osłaniając ręką oczy.

- To ja pytam, o co tobie chodzi. - Po czym na widok jej ośnieżonych botków i płaszcza dodał: - Byłaś minutę temu na górze?

- Dopiero co weszłam. Zszedł na dół.

- Nie pukałaś przed chwilą do moich drzwi?

- Nie.

- Chyba zaczynam wariować. - Przejechał ręką po nie istniejących włosach.

- Może to Jim? - podsunęła mu Andrea.

Nie miała zamiaru opowiadać, co jej się przytrafiło. Zaczęłyby snuć różne przypuszczenia, wypytywać, aż w końcu okazałoby się, że to coś podejrzanego i przerażającego. A to wcale nie było straszne. To jej własne, osobiste przeżycie. Należało wyłącznie do niej, do nikogo więcej.

Usłyszała, że Jim schodzi na dół. Zanim skreśliła w korytarz, napotkała wzrok Martina. Od razu wiedziała, co myśli: nikt nie mógłby pomylić kroków Jima z jej krokami. Ani też nie usłyszeć stuku kul. Mimo to Martin wziął chłopaka na spytaki, gdy tylko się pojawił.

- Nie - odparł Jim. - Cały czas byłem na górze. Może to włamywacz? Dobrze wychowany, bo mamuśka nauczyła go pukać, zanim wejdzie.

Martina nie rozśmieszyła ta uwaga.

- Nie wiem, czy pukał, czy nie - rzekł wolno. - Pomyślałem, że ktoś tam jest, bo kot zaczął się dziwnie zachowywać. Zerwał się nagle i utkwiał oczy w drzwiach. Potem zeskoczył z łóżka, podbiegł do drzwi i zaczął miauczeć, żeby go wypuścić. Był podniecony. Mruczał chodził tam i z powrotem, jak wszystkie zwierzaki kiedy...

- Marnujesz swój talent na publicystykę - rozzłościła się Andrea.
- Powinieneś pisać powieści o duchach. Puknij się w czoło, co ty wygadujesz!

- ...kiedy chcą powitać bliską osobę - dokończył spokojnie Martin.

ROZDZIAŁ XI

Pani Horner zjawiała się następnego ranka, ale Andrei to nie zdziwiło. W nocy temperatura się podniosła i śnieg zaczął topnieć. Zapowiadano znaczne ocieplenie. Poza tym pani Horner mówiła że nie przyjdzie „jutro”, a nie wspominała nic o następnym dniu. Andrea skłonna była uwierzyć teraz we wszystkie prognozy tej kobiety. Zresztą nie chodziło tylko o panią Horner. W końcu, odkąd zamieszkała wśród wzgórz Marylandu, spotkała się z tyloma przedziwnymi zjawiskami... Może cały ten region jest nawiedzony. Może mieszkańcy Ladiesburga są potomkami czarownic, czcicieli diabła albo przybyszów z innej planety.

Goście, którzy dzień przedtem odwołali rezerwacje, zatelefonowali, że jednak przyjadą. Jak zwykle w takich wypadkach, Martin udał się na lunch do „Rogu Obfitości”, wymieniając po drodze dusery z panią Horner i zapewniając ją, że Szatan jest zamknięty w pokoju. Wprawdzie oboje z Andrea wiedzieli, iż nie ma żadnych gwarancji, że kot tam zostanie, ale nie widzieli powodu, by informować panią Horner o jego zdolnościach do teleportacji.

Jim pojawił się na dole dopiero po odjeździe pani Horner. Andrea wmusiła w niego lunch. Zjadł w takim tempie, że omal się nie udławił, i oznajmił, że jedzie do miasta. Potrzebuje paru rzeczy. Czy może dostać trochę forsy? Wystarczy dwadzieścia dolców.

Andrea wręczyła mu pieniądze bez dyskusji, ale stanowiła, że w najbliższym czasie przeprowadzi z nim poważną rozmowę. Stanowczo za dużo czasu spędzał n wieży, wdychając kurz i chemikalia. Jego twarz straciła nabyty jesienią zdrowy wygląd, a na czole pojawiły się pionowe kreski świadczące o ciągłym marszczeniu brwi albo mrużeniu oczu. Może potrzebne mu okulary. Nie badał sobie wzroku od lat. Gdyby tylko zechciał oddawać się różnym zainteresowaniom, a nie poświęcać się tak fanatycznie jednej sprawie. Najpierw cmentarz, potem archiwum sądowe, teraz ten pokój na wieży... Na szczęście kończy już remont, potem może znajdzie sobie mniej wyczerpujące zajęcie.

Skończywszy pracę w kuchni, poszła na górę, żeby ostatni raz rzucić okiem na pokoje dla gości. Od razu poczuła, że w korytarzu panuje lodowaty chłód, który przedostaje się ze schodów na strych.

No, już ona natrze Jimowi uszu za zostawianie otwartych okien! Świeże powietrze było bardzo wskazane, kiedy używał mocniejszych

rozpuszczalników, ale mówiła mu przecież, żeby wychodząc zawsze zamykał okna. Poszła na górę. Tak jak przypuszczała, przeciąg pochodził z wieży. Albo Jim zapomniał zamknąć drzwi, albo wiatr je wypchnął.

Jak wszystkie okna w domu, tak i te były opuszczane, złożone z dwóch części umieszczonych jedna nad drugą. Ponieważ jednak okna wieży sięgały do samej podłogi, każda część składała się z czterech zamiast dwóch szyb. W północnym oknie brakowało obydwóch części, a także parapetu i wewnętrznego gzymsu. Szyby leżały na podłodze, w ścianie zaś ział ogromny otwór.

Jasna sprawa. Jim próbował wymienić spróchniały parapet. Okazało się przy tym, że uszkodzenia są większe, niż się spodziewał, więc niewiele myśląc, wyjął całe okno - wprost trudno sobie wyobrazić, jak tego dokonał i potem nie potrafił wstawić go na miejsce. Pewnie myślał, że uda mu się zasięgnąć rady w sklepie z narzędziami, albo nawet sprowadzić pomoc, zanim Andrea się zorientuje.

Z największą ostrożnością podeszła do otworu. Parapet znajdował się na wysokości zaledwie pół metra. Jeden nieuważny krok, jedno poślizgnięcie czy potknięcie - i leci się w dwudziestometrową przepaść.

Przemknął jej przez głowę nie sprecyzowany pomysł, żeby otwór prowizorycznie czymś osłonić, ale szybko sobie uświadomiła, że sama nie da rady tego zrobić. Nic, nic, nie może poradzić poza zamknięciem drzwi i obmyśleniem reprimendy dla Jima. A niech to wszyscy diabli!

Bardzo uważała, żeby nie zbliżać się zbyt blisko do otworu, a jednak ciągle posuwała się naprzód. Wolno i ostrożnie - ale się posuwała. Ziemia była daleko w dole. Rosły tam duże rododendrony, ale ten rodzaj krzewów, w przeciwieństwie do bukszpanów, nie złagodziłby upadku. Połamałaby je... Roztrzaskałaby kruche gałązki, tak samo jak swoje kruche kości i wątłe ciało... Bolałoby, ale niedługo. Wszystko stałoby się szybko. Szybciej i łatwiej niż w inny sposób...

Część umysłu wiedziała, co się dzieje, i krzyczała bezgłośnie ze zgrozy, próbując ją zatrzymać, ale nogi same posuwały się naprzód. Andrea stała już na krawędzi, resztkami sił trzymając się framugi, pot jej spływał po twarzy, nogi odmawiały posłuszeństwa. Toczyła zaciętą walkę, by skoczyć - i jednocześnie, żeby nie skakać.

Nagle poczuła na ramieniu dotyk, a potem zaciśnięcie czyjejs przyjaznej, lecz stanowczej ręki. To sprawiło, że otrząsnęła się z odrętwienia. Dysząc ciężko, zatoczyła się do tyłu i opadła, skulona, na podłogę.

- Andreo! Gdzie jesteś? - Usłyszała głos, a zaraz potem kroki Martina. - Wiesz, że na schodach jest cholerny przeciąg? Jim musiał chyba... Dobry Boże! Co się stało?

Upadłaś? - Ciepłe, silne dłonie pomogły jej usiąść. Ale to nie one ją uratowały... Na pewno nie. - Gdzie cię boli? - wypytywał Martin. - No, powiedz coś, do diabła!

- Nie upadłam. Już wszystko w porządku. Ja... Martin, ja chciałam wyskoczyć. Stałam tam, przy tej dziurze... i chciałam... no, chciałam polecieć w dół...

- Chryste Panie! - Martin spojrzał na otwór i silnie pobladł. - Niech szlag trafi tego gówniarza! Skręcę mu kark. Chodź, Andy, wynosimy się stąd.

- To nie jego wina. Zamknij drzwi.

- Tak, oczywiście. Chodź, pomogę ci.

- Nic mi nie jest. - Pod wpływem jego dotyku odzyskała przytomność umysłu. Opadła ciężko na ostatni schodek. - Boże, co ja przeżyłam!

- Nie ma w tym nic niezwykłego - zapewnił ją Martin.

- Naprawdę?

- Niektórzy ludzie tak reagują na wysokość.

- Ty też?

- Nie. Ale nie przepadam za przebywaniem na skraju przepaści. Balustrada, nawet szyba dają złudzenie bezpieczeństwa.

- Coś w tym musi być. Przecież nie boję się latać samolotem. Nigdy nie przydarzyło mi się nic podobnego.

- I miejmy nadzieję, że już się nie przydarzy.

- Nie, na pewno nie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Już się dobrze czujesz?

- Tak, oczywiście. - Podniosła się. - Pogadam z Jimem. Nie jest winien, przecież tam nie zaglądam. Poza tym - kto mógł przewidzieć, że zareaguję tak nerwowo?

- Zrobisz, jak zechcesz, tylko nie wracaj już na wieżę. Obiecujesz?

- Zgoda, obiecuję.

Jimowi tym razem się upiekło, ponieważ wrócił w towarzystwie kudłatego Wayne'a i jego ojca, pana Burtona. Speszona Andrea uciekła do kuchni, zanim ją zobaczyli. Nie chciała upokarzać Jima w obecności jego przyjaciół. Zresztą teraz, kiedy przemyślała całą sprawę, doszła do wniosku, że wolałaby nie opowiadać bratu o swym osobliwym przeżyciu. Miałby wyrzuty sumienia - całkiem niepotrzebnie, bo przecież sama była sobie winna - zmartwiłby się, jeszcze by mu coś głupiego wpadło do głowy. Musi ostrzec Martina, żeby nic nie mówił. I tak źle się stało, że ją znalazł, nim doszła do siebie.

Odczekała godzinę i poszła zobaczyć, co robią. Okno było już na miejscu, Burton zajmował się uszczelnianiem futryny, Jim się przyglądał, a Wayne usłużnie zamiatał resztki.

- O, pan Burton! - wykrzyknęła z udanym zdziwieniem Andrea. - Nie słyszałam pana. Jak to miło, że przyjechaliście pomóc.

- Nie ma sprawy, proszę pani. Jim prawie wszystko sam zrobił, trzeba było tylko poskładać to do kupy. Niektóre roboty wymagają drugiej pary rąk. W sklepie dziś spokój, więc pomyślałem, że pokażę chłopakom, co i jak.

Wyjaśnienie bardziej skomplikowane od sytuacji. Burton wyraźnie krył Jima, pomagając mu w utrzymaniu mitu męskiej wszechwiedzy. Żaden z nich nie przyznałby się za nic, że nie potrafi sam się uporać z jakimś kłopotem. Nie, po prostu zabrali się razem do roboty, żeby kumplowi zaoszczędzić czasu.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni.

- Czego się nie robi dla dobrego klienta. Jim to zręczny chłopak, ale mógłby nie zdążyć z robotą do święta Dziękczynienia.

- Och, nie wiem wprost, jak...

- To nic takiego. No, teraz będzie się trzymać. Chodź, Wayne, musimy już lecieć. Tylko zabierz na dół worek ze śmieciami.

- Jeszcze raz dziękuję - rzekła Andrea.

- Nie ma co dziękować za sąsiedzką przysługę. Obrotny chłopak z pani brata. Gdyby kiedyś szukał pracy chętnie go zatrudnię.

- Trzymam cię za słowo - ucieszył się Jim. Kiedy Burtonowie wyszli, Andrea obrzuciła pokój

krytycznym spojrzeniem. Teraz, gdy okno znajdowało się na miejscu, nie czuła już żadnego niepokoju. Wprost nie do uwierzenia, że mogło jej się to wszystko przydarzyć!

Wygląd pokoju sprawiał wrażenie kompletnego chaosu, lecz Andrea miała dość doświadczenia, by stwierdzić, że większość robót dobiegła końca. Wiadomo, że najwięcej czasu zajmuje przygotowanie powierzchni: skrobanie, szpachlowanie, szlifowanie. Wszystko to Jim miał już za sobą. Zostało tylko położyć kilka warstw farby - i można się wprowadzać.

Andrea podeszła do Jima, który stał plecami do niej. Ramiona miał usztywnione, palce na kulach zaciśnięte tak, że aż mu knykcie zbielewały.

- O co chodzi, Jimmie? - spytała.

Strząsnął rękę, którą położyła mu na ramieniu. Nadal stał do niej tyłem.

- O nic. Czemu pytasz?

- Jakoś nie jesteś rozmowny.

- Za to ty gadasz za dwoje. Jak jakaś cholerna pielęgniara w szpitalu. „Tak, panie doktorze, dzisiaj czujemy się o wiele lepiej.”

Dzwonek do drzwi dał jej pretekst do wycofania się z sytuacji, w której nie wiedziała, jak się zachować. Kiedy obejrzała się przez ramię, zobaczyła, że Jim nie stoi już tak sztywno. To bolesne, że sama jej obecność budzi w nim taką niczym nie uzasadnioną niechęć.

Pojawili się pierwsi goście, zaaferowani, przepraszając za zamieszanie z powodu odwoływania rezerwacji. Mają nadzieję, że nie przybyli za wcześnie. Andrea zapewniła, że pokój jest gotowy i zaprowadziła ich na górę.

Pani Hinckley, szczupła, o żywych oczach kobieta po sześćdziesiątce, należała do dość uciążliwego rodzaju gości. Wprawdzie ludzie tego typu rzadko się na coś skarżyli i nie przejmowali się drobnymi niewygodami, ale za to mogli człowieka zagadać na śmierć. Czy ten dom jest bardzo stary? Gdzie Andrea znalazła te urocze antyki? Dlaczego zdecydowała się prowadzić zajazd? Nieszczęsna gospodyni czuła, że czeka ją ciężkie popołudnie i wieczór w towarzystwie sympatycznej starszej pani.

Rodzina z Delaware, która przybyła nieco później, to zupełnie inna kategoria, znana Andrei z poprzedniej pracy. Nerwowa i potulna pani Bascom była całkowicie zawojowana przez męża. Pan ten natychmiast po przyjeździe poskarżył się, że droga jest za długa, a do zajazdu trudno trafić. Ponieważ w drukowanym prospekcie znajdowały się dokładne wskazówki zrozumiałe nawet dla

ośmioletniego dziecka, Andrea nie czuła się ani trochę winna. W skład rodziny wchodziły jeszcze dwie nastolatki. W broszurze reklamowej było wyraźnie napisane, że zajazd nie przyjmuje dzieci poniżej szesnastego roku życia. Młodsza panna Bascom, choć ubrana zdecydowanie za dorośle, musiała mieć rok albo i dwa mniej. W dodatku nie wyglądała na taką, której przypadłby do gustu weekend na wsi. Jej pierwsze pytanie brzmiało: „Gdzie tu jest telewizor?”

Goście udali się na wcześniejszy obiad. Andrea schowała się bez skrępowań, słysząc gderliwy głos pana Bascoma. Gdy tylko dom opustoszał, poszła na górę. Martin uchylił drzwi.

- Która kategoria? - spytał.

Było to tradycyjne pytanie. O ile goście należeli do odpowiednio wysokiej kategorii, Martin, jeśli miał dobry humor, przyłączał się do towarzystwa zebranego w salonie lub bibliotece. W przeciwnym razie nie opuszczał swego pokoju.

- Hinckleyowie mają u mnie trzy albo cztery punkty na dziesięć możliwych. Nieszkodliwi, ale nudni. Bascomowie... - Pokazała mu odwrócony do dołu kciuk.

- To kiepsko. On czy ona?

- On. I młodsza córka też całkiem do niczego.

- Hmm. - Poskrobał się w podbródek. - Właściwie jestem dziś w wojowniczym nastroju. Czy ten facet wygląda na republikanina?

- Cóż, nie ma tego wypisanego na czole. Martin zamknął drzwi. Andrea poszła na wieżę. Jim siedział na stopniu drabiny i malował poręcz krzesła. Uśmiechnął się do siostry.

- Która kategoria? - spytał.

- Widzę, że czujesz się lepiej. - Andrea odwzajemniła uśmiech.

- Wcale nie czułem się źle. Przykro mi, że ci nawrzucałem. No, która kategoria?

Wprawdzie kult bohatera to normalna rzecz, ale czasem miała dość tego wiecznego małpowania Martina.

- Nie pokazuj się tam - ostrzegła go. - Przynajmniej jedna ze starszych kobiet zechce ci matkować, obie smarkule będą cię podrywać, a Martin szykuje się do kłótni na tematy polityczne.

- Zapowiada się interesująco. Andrea nie podjęła tematu.

- Co chcesz na kolację?

- Pizzę - oznajmił Jim, machając pędzlem.

- Znowu?!

- Chciałem ci oszczędzić gotowania. Jak to wygląda?
- Wspaniale, kochany. Naprawdę dokonałeś tu wielkich rzeczy. Chciałabym ci pomóc, ale nie mam czasu.
- Nie szkodzi.
- Może pojedziemy w poniedziałek do miasta i wybierzemy farbę do ścian! O jakim kolorze myślisz?
- Właściwie myślę o tapecie. Już zamówiłem.
- Wybrałeś sam?
- Chyba ci to nie przeszkadza? - Jim spojrzał na siostrę wyczekująco, gotów uśmiechnąć się lub naburmuszyć, zależnie od odpowiedzi.

Cóż mogła odpowiedzieć?

- Czemu miałoby przeszkadzać? Jaka jest ta tapeta? - Zobaczysz. To niespodzianka.

- No dobrze. Kiedy chcesz jeść?

- Mniej więcej za godzinę. Chcę skończyć tę warstwę. Andrea zeszła na dół i udała się prosto do pokoju

Jima. Przez jakiś czas nikt jej nie przeszkodzi.

Nie po raz pierwszy zniżala się do postępuku, którym sama gardziła, a powtarzanie go bynajmniej nie umniejszało uczucia wstydu, a jednak nie zawahała się.

Na biurku Jima piętrzyły się różne szpargały, które zbierał, jak artykuły Martina wycięte z gazet, listy, poza tym brudne szklanki po mleku albo piwie, talerzyki pełne okruszków, dwa śrubokręty, prospekty, próbki farby... Andrea usiadła i zabrała się do sprawdzania szuflad. Druga od góry była zamknięta, ale dała się otworzyć pilnikiem do paznokci. Wyciągnęła błękitny notatnik z grzbietem ze spiralki.

Od czasu, gdy znalazła wiersz, zaczęła regularnie przeglądać papiery Jima. Nie miała wyboru. Tylko w ten sposób mogła się dowiedzieć, co go gnębi, skoro nie chciał jej się zwierzyć. Już jako dziecko był taki zamknięty w sobie. Andrea nigdy nie zapomni tego okropnego roku po śmierci ojca i macochy. Jim uwielbiał Helenę. Nie pamiętał prawdziwej matki, więc nie traktował macochy jak kogoś, kto zajął jej miejsce. Andrea zazdrościła im wzajemnego przywiązania, teraz mogła się do tego przyznać, ale kiedy wyjeżdżała do college'u, zdawała już sobie niechętnie sprawę z wartości Heleny. Ten pierwszy rok poza domem był fantastyczny - nowi przyjaciele,

nowe pomysły, pierwsza poważna miłość. Johnny... Tak dziko, rozpaczliwie go kochała... Teraz nawet nie pamięta jego nazwiska ani twarzy.

Miała dziewiętnaście lat i właśnie skończyła pierwszy rok studiów, kiedy samolot z ojcem i Heleną na pokładzie spadł podczas burzy do Atlantyku. Nikt nie przeżył. Nowe obowiązki zagłuszyły ból Andrei, ale Jim, wówczas ośmioletni, nie miał takiej możliwości. Przeżyła okropne chwile, nie dlatego, że braciszek szalał z rozpaczy, tylko dlatego, że wszystko dusił w sobie. Mała, ściągnięta twarzyczka do tej pory ją czasem prześladowuje...

A jednak Jim dał sobie radę. Zwalczył wszystkie gnębiące go demony, wyrzucił je z siebie dzięki ćwiczeniom fizycznym. Teraz jest tego pozbawiony, lecz przecież mógłby znaleźć inne sposoby. Jeśli sam nie da rady, Andrea mu pomoże.

Otworzyła notatnik. Zdaje się, że Jim teraz wyżywał się w poezji, a ściślej biorąc, w wierszach, gdyż te wypociny nie zasługiwały na tak podniosłe określenie. Uśmiechnęła się na widok znajomych gryzmołów. Jeden utwór stanowił imitację Pieśni nad pieśniami z niezliczonymi odnośnikami do damskiej anatomii. Inny był próbą sonetu. Chłopak wyraźnie próbował odkryć dla siebie jakieś nowe światy. Coś podobnego! Jeszcze rok temu nie rozpoznałby sonetu, nawet gdyby na niego nadepnął. „O cudny kwiecie schyłku roku/ Zostaw po sobie choć zapach wokół...” Słowo „wokół” przekreślił - i słusznie, pomyślała Andrea - ale potem nie potrafił już dobrać rymu. Sonet pozostał nie dokończony.

Na jednej stronie nie było poprawek ani wykreśleń. Jim wpisywał tu różne cytaty, najwyraźniej w nadziei, że wspomogą jego słabnącą muzę. „Obawa przed tym, co będzie po śmierci/ Przed nieobecną w atlasach krainą/ Skąd żaden jeszcze odkrywca nie wrócił...” (W. Szekspir, Hamlet akt III, sc. I, tłum. Stanisława Barańczaka, (przyp. tłum.)). Aha, więc odkrył Hamleta, jeszcze jednego stukniętego młodzika. Potem długi fragment Romea i Julii: „... chociaż śmierć "spiła ci z ust miód oddechu...” (Akt V, sc. III, tłum. Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.)). Może nie daje sobie rady z pisaniem poezji, ale potrafi odróżnić szlachetny kruszec, gdy na niego natrafi. „Jesteśmy ukształtowani na miarę naszych marzeń”.

Andrea zamknęła notatnik i odłożyła go do szuflady. Odruchowo sięgnęła po brudne szklanki, ale w porę się opamiętała. Wszystko

musi zostać nie ruszone. Dziś wieczorem powie Jimowi, że chce sprzątnąć jego pokój. Będzie zadowolony, że szanuje jego prywatność.

*

Zarówno Jim, jak Martin zlekceważyli przestrogi i zjawili się po kolacji w bibliotece. Sprawy potoczyły się oczywiście dokładnie tak, jak Andrea przewidywała. Przynajmniej raz miała satysfakcję. Pan Bascom narzekał na obrzydliwe miejscowe restauracje, obrzydliwą pogodę, obrzydliwych, ordynarnych ludzi, z którymi się zetknął, wreszcie podpuszczony umiejętnie przez Martina skrupił swój gniew na obrzydliwym rządzie, wydzierając się bezsensownie w czasie dyskusji. W tym czasie jego córki przewracały oczami, kręciły tyłkami, wypinały biusty, słowem, wychodziły ze skóry, żeby tylko zwrócić uwagę Jima. Ten zaś dał za wygraną jeszcze wcześniej niż Martin. Nie minęło pół godziny, jak wymamrotał parę słów usprawiedliwienia i uciekł.

Na szczęście Bascomowie przyjechali tylko na jedną noc. Hinckleyowie mieli zostać do poniedziałku. Przed wyjazdem pani Hinckley zapytała o Szatana. Wprawdzie nigdy go nie widziała, ale najwyraźniej kot cieszył się pewnym rozgłosem. Ona uwielbia kiciusie i będzie czuła niedosyt, jeśli chociaż nie rzuci okiem na najśłynniejszego go rezydenta zajazdu. Chyba nie sprawi w ten sposób kłopotu?

Tym, na co naprawdę chciała rzucić okiem, było - jak podejrzewała Andrea - prywatne lokum najślawniejszego dwunożnego rezydenta. Oczywiście nie mogła dopuścić by Martin padł ofiarą poszukiwaczy sensacji. Wobec tego sama poszła na górę i przyniosła Szatana. Tylko jej jednej pozwalał brać się na ręce, nawet Martin nosił ślady zadrapań po niebaczących próbach usunięcia kota ze swoich papierów albo łóżka. Teraz Szatan przez całą drogę na dół wydawał nieprzyjemne pomruki. Andreę ponownie zaskoczył jego ciężar. Spoczywał na jej rękach bezwładnie jak kawał czarnego granitu, a pomruki szybko ustąpiły miejsca gniewnym wrzaskom.

Pani Hinckley nie potrzebowała ostrzeżenia, by nie dotykać koteczka. Zwierzak z miejsca ją opluł, więc odskoczyła, mruczając pod nosem nieszczere komplementy.

Jim pojechał do sklepu z narzędziami, żeby odebrać zamówioną tapetę. Kiedy wrócił, Hinckleyowie ciągle jeszcze przygotowywali się

do odjazdu. Wyjeżdżali tak już od godziny; pani Hinckley wyraźnie zamierzała zwlekać w nieskończoność. Jej mąż, znudzony i zrezygnowany, zainteresował się Jimem, który rozładowywał samochód.

- Czekaj, synku, pomogę ci.

Oferta miała przyjacielski charakter, ale Jim zaczerwienił się z gniewu i Andrea przez chwilę myślała, że wybuchnie. Opanował się jednak, mruknął: „dziękuję” - i poszedł za mężczyzną na górę.

- Jaka szkoda! - westchnęła pani Hinckley. - Pewnie stracił nogę w wypadku?

Andreę kusiło, by warknąć: „Nie, sam ją sobie obciął”, ale utrzymała nerwy na wodzy. Spotkała się już z bardziej bezpośrednimi, zgoła obcesowymi pytaniami.

Kiwnęła więc tylko głową, zaciskając usta, a pani Hinckley, wrażliwsza może niż inni goście, nie podtrzymywała tematu.

Jim zwykle był bardziej tolerancyjny, ale starszy pan musiał mu nadebrać na odcisk. Kiedy Andrea pojawiła się na wieży, spojrzał na nią wilkiem i wypuścił z rąk rolkę tapety, która zaraz zwinęła się z powrotem, białą stroną na wierzch.

- Zobaczymy, co wybrałeś - powiedziała, zmuszając się do wesołego tonu.

Nie ruszył się, by jej pomóc, tylko obserwował z ponurą miną, jak rozwija rolkę.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła.

- Nie podoba ci się.

- Ależ podoba! Jest... jest bardzo ładna. Po prostu spodziewałam się czegoś innego.

Róże... Na kremowym, połyskliwym tle bogactwo kwiatów w różnym stadium rozkwitu - pączki, na pół i w pełni rozwinięte - we wszystkich odcieniach rózu, od najbledszego do jaskrawego, o splecionych łodyżkach, z zielonymi listkami... Jim dawno wyrósł z wieku, w którym tapety i kapy na łóżko w jego pokoju pokrywały ogromne podobizny futbolowych zawodników i symbole Narodowej Ligi Futbolu w podstawowych kolorach. Mimo to pastelowa, bardzo kobieca tapeta była ostatnią rzeczą, której mogła się po nim spodziewać. Andrea musiała jednak przyznać, że znakomicie pasuje do jasnego, przestronnego pokoju o delikatnych gzymkach i wysokim suficie. Nagle wyobrazila sobie gotowe wnętrze: białe lakierowane

okna i drzwi, róże na ścianach, cienkie, muślinowe firanki, powiewna, biała zasłona oddzielająca wnekę z wąskim, mosiężnym łóżkiem, ozdobionym francuskimi, emaliowanymi medalionami, ze stosem falbaniastych poduszek...

Tak urządzony pokój wyglądałby prześlicznie, ale zapewne Jimowi całkiem nie o to chodziło. Wizja pasowała do kobiecej, a właściwie dziewczęcej sypialni.

- Naprawdę bardzo mi się podoba - powtórzyła. Znakomicie pasuje do tego wnętrza. Jak będziesz gotów pomogę ci wyklejać.

- Dam sobie radę.

- Ależ kochany, ten pokój ma z pięć metrów wysokości. Nie możesz przecież...

- Zrobię to sam. Nie potrzebuję żadnej pomocy. - Podniósł głos. - Chcę wszystko zrobić sam. Do jasnej cholery, ile razy mam ci powtarzać? Wynoś się stąd do wszystkich diabłów i zostaw mnie wreszcie w spokoju!

Policzki nabiegły mu krwią, oczy niemal wychodziły z orbit. Podniósł się chwiejnie. Andrea cofnęła się.

- Przepraszam - wyjąkała. - Skoro tego właśnie chcesz...

- Tak, właśnie tego. No, wynocha stąd! Speszona i rozdygotana Andrea uciekła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Dawniej też zdarzały mu się takie wybuchy złości, ale nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie - chorobliwej, wręcz groźnej furii. Przecież niczym sobie nie zasłużyła na takie traktowanie. Ani ona, ani nieszczęsny, poczciwy pan Hinckley.

Po jakimś czasie przysła do siebie na tyle, by zacząć się pocieszać tak jak zwykle. Jim przechodzi trudny okres, a ona czasem działa mu na nerwy. Wybuch, ale potem jest mu przykro. Tym razem też się rozzłościł, tylko mocniej. Gdy się uspokoi, na pewno ją przeprosi.

Co do niej, to musi zaraz wyjść z domu. Nie chce widzieć nikogo, nawet Jima, przynajmniej na razie. Pojedzie do miasta i załatwi parę sprawunków. Zginęło jej kilka koszyczków na pieczywo. Prawdopodobnie opuściły dom w walizkach gości podobnych do Bascomów. Przypadkowym złodziejaszkom, którzy podwędzają na pamiętkę różne rzeczy z hoteli, zadrżałaby zapewne ręka, nim ukradliby coś z antyków. Havilandzka porcelana czy miseczki z

rzniętego szkła to wartościowe, rzucające się w oczy przedmioty, niewarte ryzyka. Co innego koszyczki - to czysty hazard.

Andrea jechała przez miasto. Świeże, rześkie powietrze i pozdrowienia mijanych znajomych poprawiły jej nastrój. W chwili gdy parkowała samochód przed sklepem z wyrobami wiklinowymi i innym rękodziełem, była święcie przekonana, że nie ma powodu do zmartwienia.

Przebierała właśnie w stosie różnych koszyków, kiedy z zaplecza wyszła Sue Vanderhoff, właścicielka. Była w wieku Andrei i świetnie znała się na interesach. Towar, którym handlowała - wiklina, ceramika, przeróżne stroiki - wyróżniał się zdecydowanie na tle sztampowych produktów zalegających inne sklepy. Ostatnio Sue poszerzyła swoją ofertę o ręcznie szytą konfekcję - wyroby tkackie, patchworki, hafty i tego typu rzeczy. Demonstrowała te ciuchy na sobie, chociaż obfite, chłopskie spódnice i workowate rosyjskie rubaszki fatalnie wyglądały na jej krępej figurze, w dodatku przy niskim wzroście. Obwieszała się srebrnymi łańcuszkami, bransoletkami, kolczykami, które podzwaniały przy każdym ruchu.

- Dostałam parę patchworkowych kamizelek - oświadczyła. - Sprzedam ci jedną po cenie kosztów, jeśli będziesz informować swoich gości, gdzie ją kupiłaś.

- Nie stać mnie nawet na cenę kosztów - westchnęła Andrea, zerkając na kamizelkę z godłem Teksasu. - Tak źle z interesami?

- Właściwie całkiem dobrze. - Sue zapaliła papierosa i wrzuciła zapalniczkę do kieszeni spódnicy. - Częściowo zresztą dzięki tobie. Gdybyś się nie obraziła, chętnie dałabym ci tę kamizelkę. Może jeśli nikt nie kupi...

- Kupi, kupi. - Kamizelka w kolorach lilaróż, różowym i lawendowym była artystycznie wykończona, jak zresztą wszystko u Sue. - Ja też nie narzekam. Liczyłam się z zastojem po nadejściu chłódów, ale zdaje się, że w tym sezonie wypełzli z jam wszyscy najbardziej zaciekli łowcy antyków.

- To samo mówił na zebraniu Al Wyckoff. Powinnaś przyjść, Andreo, przecież jesteś członkiem?

- Stowarzyszenia Kupców? Tak, jestem. Miałam szczyry zamiar przyjść, ale ostatnio wieczorami dosłownie padam z nóg. Poza tym dwa ostatnie zebrania odbywały się w piątki, a ja mam wtedy zwykle urwanie głowy.

- Pomówię z Alem. Może uda się następnego przełożyć na środek tygodnia. Al ma zamiar cię wciągnąć do realizacji swojego najnowszego projektu. Chce zorganizować „dzień otwarty”, w którym wszyscy byśmy uczestniczyli. Nie możemy się tylko zdecydować, pod jakim hasłem: święto plonów czy Boże Narodzenie?

Przez jakiś czas dyskutowały żywo.

- Wiem, że masz dobre pomysły - powiedziała w końcu Sue. - Musisz koniecznie przyjść na następne zebranie, twój zajazd odgrywa w naszych planach dużą rolę. Jeśli będziesz zmęczona, mogę po ciebie przyjechać.

Andrea pośpieszyła z zapewnieniem, że da sobie radę, ale propozycja sprawiła jej przyjemność. Zapłaciła za koszyczki, uzyskując dziesięcioprocentową koleżeńską zniżkę, i wyszła.

Nadal nie miała ochoty wracać. Na dworze było chłodno, ale przyjemnie, powędrowała więc ulicą z rękami w kieszeniach, przyglądając się dekoracjom na święto Dziękczynienia. Latarnie obwieszane były kolbami kukurydzy, drzwi ozdobione stosownymi girlandami w żywych kolorach. Przechodząc koło restauracji, Andrea zwolniła kroku. Kiedy zobaczyła w oknie machającą do niej Rebę, uświadomiła sobie, że właściwie chce się z nią zobaczyć. Nie po to, by się zwierzyć z wybuchu złości Jima - Po prostu ma chęć pogadać.

Reba mieszkała nad restauracją. Miała tam między innymi pięknie umeblowany salon, lecz większość czasu spędzała w obskurnym, zagraconym biurze, które teraz wydało się Andrei przytulne i swojskie. Rozsiadła się w tym co zawsze fotelu, starając się nie trafić na pękniętą sprężynę, i podłożyła pod nogi podnózek. Przestała już zapraszać Rebę do siebie.

- Jak tam Jim?

Przyjaciółka zawsze pytała o niego, ale tym razem trafiła w dziesiątkę.

- Świetnie, po prostu świetnie - odpowiedziała nieco za szybko Andrea. - Pracuje w domu. Maluje, tapetuje... Jest bardzo przydatny.

- Właśnie słyszałam. - Reba zachichotała na widok jej miny. - Andy, powinnaś się przyzwyczaić do ludzkiego gadania. Tak jest zawsze w małych miasteczkach. To tylko sąsiedzkie zainteresowanie.

- Jak diabli.

- Ludzie to najciekawsze obiekty - tłumaczyła Reba. - Przyjrzyj się twórczości Jane Austen. Wszystkie jej powieści są o zwykłych ludziach, wykonujących zwykłe, nudne czynności.

Andrea nie miała nastroju na dysputę literacką.

- Jak interesy? - spytała.

- O tej porze roku zawsze jest duży ruch, aż do świąt. Miałaś u siebie kogoś ciekawego?

Po błysku w oczach Reby Andrea się zorientowała, że jej przyjaciółka słyszała już o Bascomach.

- Nie rozumiem, po co mnie o to pytasz. Martin i tak pierwszy wszystko wypaple.

- Och, tacy jak oni nieczęsto się trafiają - usprawiedliwiała się Reba.

- No tak, masz rację. Zdaje się, że w tym tygodniu przyjedzie ktoś interesujący. Podobno specjalista od zabytkowych domów. Mówił, że pisze książkę. Nie przeszkadza mi, gdy ktoś chce obejrzeć dom, jeśli ma konkretne powody.

- Jak on się nazywa?

- Holderman. John William Holderman.

- Holderman, powiadasz?

- Znasz go?

- Znam. Napisał kilka książek - mówiła Reba z namysłem. - Na temat... na temat historii i architektury tego regionu. Między innymi.

- Więc ma prawo interesować się domem. Zamierzałam sprawdzić w bibliotece, ale zabrakło mi czasu.

- Och, jest dość znany.

- Ale nie wiedziałaś, że ma do mnie przyjechać, prawda? Twój szpieg się zaniedbuje.

- Nie powinnaś tak mówić o Martinie - odparła Reba poważnie. - On tak bardzo cię lubi...

- Ja też go lubię. Czasem jest nieznośny, ale dużo mu zawdzięczam. Będzie mi przykro, jak wyjedzie.

- A kiedy to nastąpi?

- Pewnie na wiosnę. Mówił coś o marcu. Rebo, czy wiesz, gdzie mogłabym dostać... Och, przepraszam, zdaje się, że chciałaś coś powiedzieć.

- Rozmyślałam się.

Reba miewała czasem irytujące zagrania, ale jej impulsywne, życzliwe usposobienie było zaraźliwe. Andrea wyszła z restauracji w znacznie lepszym humorze. Miała właśnie przejść przez ulicę, kiedy jakiś mężczyzna popchnął ją tak, że aż się zachwiała na nogach. Nim się zorientowała, co się stało, zobaczyła już tylko oddalającą się sylwetkę. Było coś znajomego w tej wielkiej, niezdarnej postaci, nie rozpoznała go jednak, dopóki nie zatoczył się na zakręcie. Wtedy przez moment widziała jego twarz.

Gary Joe, tak zwany narzeczony Linnie. Andrea słyszała od Reby, że pan Hochstrasser wymówił mu dom. Potem Gary Joe parę razy naraził się prawu; jazda po pijanemu, jakaś bójka u Shamrocka. No i proszę, roboczy dzień - a ten snuje się po ulicach, wyraźnie pijany.

- Nic ci nie jest, Andrea?

Ręka, która ujęła ją pod łokieć, należała do Ala Wyckoffa, właściciela „Przeszłości i Teraźniejszości”. Był on emerytowanym pułkownikiem marynarki wojennej i nosił się z charakterystyczną wojskową sztywnością. Według Martina tak samo można by określić jego poglądy polityczne.

- Widziałem, jak ten bandzior cię popchnął. Jeśli chciałabyś złożyć skargę...

- Nic się nie stało. Zwykły wypadek. Zdaje się, że facet niezbyt pewnie trzymał się na nogach.

- Był pijany - prychnął Wyckoff. - Stracił pracę na stacji benzynowej. Zarzucono mu nieudolność i brak odpowiedzialności. Oczywiście natychmiast postanowił zalać robaka. Nie rozumiem, co się dzieje z tymi dzieciakami. Nic dziwnego, że w kraju taki bałagan.

- Nie wszyscy są tacy. A w naszym pokoleniu też jest pełno nierobów.

- Taktowna jesteś. - Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. - Andrea, czy myślałaś kiedy, żeby sobie sprawić psa?

- Po co, u Boga Ojca?

- Dla obrony. Mieszkasz daleko od ludzi...

- Obrona? Przed czym? Na miłość boską, Al, nie myślisz chyba o Garym Joe!

- Ma do ciebie urazę. Uważa, że Linnie rzuciła go przez ciebie i Jima.

- Prędzej zafunduję sobie strzelbę niż psa - odparła nonszalancko Andrea. - Słowo daję, Al, naprawdę kupię strzelbę i niech no tylko Gary Joe postawi nogę na moim terenie, a podziurawię go jak sito.

- Ale ty masz charakter! - Al pokiwał głową z aprobatą. - Oczywiście, to też możesz zrobić.

- Więc...

- To nawet będzie jeszcze lepiej. Pozwolenie uzyskasz z łatwością, a ja ci wyszukam coś odpowiedniego. Na przykład starą policyjną trzydziestkę ósemkę.

- Dam ci znać - odparła Andrea.

Zanim się rozstali, po omówieniu daty następnego zebrania Stowarzyszenia, Al dodał:

- Nie odkładaj sprawy broni, Andreo. Wprawdzie nie przypuszczam, byś miała powód do zmartwienia, ale...

A niech go licho porwie, myślała, zawracając samochodem w stronę domu. Po prostu próbuje ją nastraszyć. Nie bała się Gary'ego Joe. Miała już do czynienia z podobnymi typami. Z większością z nich radziła sobie za pomocą groźnej miny i kaśliwego języka. Nie zawaha się przed żadnym środkiem, jeśli okaże się to konieczne. Gdy pracowała w waszyngtońskim hotelu, poradziła sobie z kompletnie zalanym typem, który zaczepiał gości w holu, a ją potracił. Rąbnęła go wtedy wazonem tak, że założono mu dziewięć szwów, żałowała tylko, że nie więcej. Nie, na pewno nie obawiała się lokalnych obwiesiów w rodzaju Gary'ego Joe.

A jednak miał też rację. Dom był odizolowany od ludzkich siedzib, a wśród gości często zdarzały się osoby dobrze sytuowane. Pies czy broń? A może jedno i drugie? Jim pewnie wolałby psa. W dzieciństwie miał ukochanego, starego kundla, który zdechł na parę miesięcy przed katastrofą samolotu. Ona zaś uważała, że pies to nieustanne zawracanie głowy. Nie miała złudzeń, co do tego, kto będzie go karmił, wyprowadzał i sprzątał po nim. Wszystko spadnie na nią. Poza tym dreszcz ją przenikał na myśl, jak Szatan zareaguje na nowego lokatora. Każde stworzenie mniejsze od dobermana zostanie rozdarte na strzępy.

A jednak pies byłby lepszy niż broń. Nie podzielała głupich, liberalnych poglądów Martina na sprawę ograniczenia handlu bronią, ale czytała kiedyś, że więcej właścicieli domów padło ofiarą własnej broni niż włamywaczy. Wypadki się zdarzają. Chłopców zawsze tak

bezsensownie fascynuje wszystko, co strzela... Oczywiście ma na myśli dzieci swoich gości. Jeśli szesnastolatek znajdzie gdzieś pistolet, nic go nie powstrzyma przed wzięciem go do rąk, a jeśli przypadkiem się zastrzeli, rozgłos ją zrujnuje.

Całkiem niezły pomysł z tym psem. Może... Cóż za rozkoszna perspektywa! Może to pies rozerwie Szatana na strzępy? Jeszcze dziś pomówi z Jimem.

Poniedziałkowe wieczory były najprzyjemniejsze z całego tygodnia. Weekendowi goście już wyjechali, a następni jeszcze się nie pojawili. Restauracja „Róg Obfitości” w poniedziałki miała wolny dzień, więc Martin przyzwyczał się do towarzyszenia Andrei i Jimowi przy kolacji - oczywiście za dodatkową opłatą. Zwykle spędzali cichy wieczór na rozmowie i oglądaniu telewizji, niby nic specjalnego, a jednak Andrea zawsze wyczekiwała poniedziałku.

Pani Horner upiekła wyśmienitą szarlotkę. Jim uwielbiał ciasto z jabłkami. Andrea miała zrobić zapiekankę, ale w końcu wyciągnęła z zamrażarki paczkę steków. Jim potrzebował dobrego jedzenia, przygotowanego z odpowiednio zestawionych składników. Wszystkie te pizze i spaghetti bynajmniej mu nie służyły. Miała pokusę, by zawołać go zaraz po zapadnięciu zmroku, ale coś ją powstrzymywało. Kiedy wreszcie usłyszała na schodach stukot kul, poczuła jakies bezsensowne napięcie. Zmusiła się, by je zwalczyć.

Stanął w drzwiach, przyjrzał się przygotowanym do kolacji i gwizdnął.

- Fiuu! Ale wyzerka! Mamy jakieś święto?

- Nie mogę już patrzeć na te zapiekanki.

Andrea odwzajemniła jego uśmiech, czując, że ominęło ją jakieś nieokreślone niebezpieczeństwo. Jimowi tak samo jak jej zależało, żeby jak najprędzej zapomnieć o incydencie. Nawet przeprosiny przypomniałyby tylko niepotrzebnie całe zajście.

Podczas posiłku Andrea poruszyła problem psa. Jim nie zareagował zbyt entuzjastycznie.

- No, nie wiem - powiedział. - Przysporzyłby ci dużo pracy, prawda?

- To byłby twój pies, Jimmie.

- Sam nie wiem.

- Lepiej poczekać do wiosny - wtrącił się Martin. - O wiele łatwiej przyuczać szczeniaka do porządku przy ładnej pogodzie.

- Dobra myśl - poparł go Jim. - Może na wiosnę. Ledwie skończyli jeść, Jim odsunął krzesło i sięgnął po kule.

- Pyszne było, Andy. Zostaw mi kawałek szarlotki, dobrze? Zjem później.

- Ale... - Urwała. Czujny, wyzywający wyraz twarzy Jima groził wybuchem przy jakiegokolwiek próbie sprzeciwu. Nie zniosłaby tego po raz drugi. - Myślałam, że chciałeś obejrzeć ten dodatkowy program...

- Zmieniłem zdanie. Muszę dokończyć parę rzeczy. I wyszedł pośpiesznie.

- Czy on zawsze był taki? - spytał Martin.

- Jaki? - Pytanie jak zwykle obudziło w niej czujność.

- Owładnięty wyłącznie jedną myślą. Skłonny do wpadania w obsesję...

- Co za okropne słowo. Po prostu szuka nowych zainteresowań.

Martin potrząsnął głową.

- To się coraz bardziej rzuca w oczy. Spędza tam prawie całe dnie, tyrając jak wyrobnik. Co go tak goni?

- Na pewno nie ja, jeśli ci o to chodzi.

- Wolałbym tak myśleć. Wtedy mógłbym ci po prostu palnąć jedno z moich ulubionych kazań. Jestem aż za bardzo świadom faktu, że sam wszystko obmyślił i teraz dąży do jak najszybszego zakończenia pracy, która stała się jego obsesją... Przykro mi, ale to jedyne odpowiednie słowo.

- Chce się tam przeprowadzić.

- Wiem. Biorę to pod uwagę. - To dobrze.

Martin wstał i zaczął sprzątać ze stołu.

- Rozumiem także, dlaczego polubił ten uroczy pokój na wieży. Nie rozumiem natomiast, dlaczego nie potrafi myśleć o niczym innym. Czy właśnie tam znalazłaś rysunki?

- Do czego zmierzasz?

Jej głos brzmiał ostro i prowokacyjnie nie tylko z powodu tego, co Martin powiedział, ale także z obawy przed tym, czego nie powiedział. Martin nie należał do ludzi, którzy unikają kłótni. Kiedy wzruszywszy ramionami odwrócił się, by odnieść naczynia do zlewu, wiedziała, że nie przyjął jej argumentów, tylko utwierdził się we własnych wątpliwościach.

- Nie widzę w tym żadnego sensu - rzekł w końcu. - Chyba się starzeję.

- Powinieneś wziąć się do roboty, a nie wymyślać sobie zmartwienia jak jakaś nudząca się staruszka. - Andrea wstała. - Odejdź, ja pozmywam. Chłapiesz całą kuchnię.

- W porządku. Nie będę próbował prześcignąć takiego wspaniałego okazu pracowitości. Dobranoc, Andrea.

Gdyby nie chlapał, wymyśliłaby co innego, żeby tylko mu przerwać. Doskonale zdawała sobie sprawę, w jakim kierunku szły dociekania Martina. Przerazały go tak samo jak ją. Przeczyły całemu systemowi założeń i aksjomatów, na których opierał swoje życie. Miał otwarty umysł, był sceptyczny, tolerancyjny. Nie wierzył w nic, nie wyznawał nawet własnej religii. Rozumiała jego rozterki, bo przeżywała dokładnie to samo. Jeśli się nie ma ustalonych zasad, wskazówek, którymi można by się kierować pozostają tylko nieokreślone przypuszczenia, nie poparte dowodami i niemożliwe do udowodnienia.

Późnym wieczorem wyślizgnęła się na tylne schody. Poruszając się na czworakach i po omacku, z obawy, że światło mogłoby ją zdradzić, dotarła do pokoju na wieży i przysunęła ucho do dziurki. Był to duży otwór, do którego dotąd nie udało się znaleźć klucza. Usłyszała szmer głosu Jima.

Mógł recytować poezje albo czytać na głos. Ale nie. Wyraźnie do kogoś mówił; chwilami przerywał, potem jakby odpowiadał. Nie mogła odróżnić poszczególnych słów, nie słyszała też drugiego głosu. Był tam tylko Jim, który przemawiał do kogoś, kto nie istniał.

Po paru minutach umilkł. Przez jakiś czas panowała cisza. Potem dobiegł ją inny dźwięk. Cichy, rozpaczliwy płacz zagubionego w ciemnościach dziecka.

ROZDZIAŁ XII

Jim zszedł w końcu do siebie i położył się, a Andrea jeszcze długo w nocy leżała, patrząc w sufit. Zostawiła zapaloną lampkę, ale rzucane przez nią cienie były niemal gorsze niż ciemność. Pomimo zmęczenia wolała nie zasypiać ze strachu przed atakiem wroga kryjącego się w jej umyśle. Skrzydła obijające się o niewidzialne przeszkody, próbujące ucieczki - oto klasyczny symbol, którego znaczeniu nie mogła już dłużej przeczyć. Wyrwanie się z więzów ciała, lot ku słońcu, wyzwolenie ducha podążającego za światłem - takie zwroty powtarzały się we wszystkich religiach świata. I tym właśnie były: zwrotami, pustymi frazesami, pobożnymi życzeniami, rozpaczliwą nie spełnioną nadzieją. „Przed nieobecną w atlasach krainą, skąd żaden jeszcze odkrywca nie wrócił...”

Och, może jednak KTOŚ wrócił? Ktoś, kto przeszedł jak cień przez pogrążony w mroku dom. Ktoś, kto budzi grozę w osobach o pewnej specyficznej wrażliwości, ją przepelnia wyrzutami sumienia i strachem, a Jima wciąga w swoją ciemność? Wszystkie ostatnie poczynania chłopaka łączy jedna obsesja - śmierć. Dawno zmarłe, spoczywające na starym cmentarzu kobiety, których obecność daje się wyczuć tam, gdzie kiedyś mieszkały...

Andrea spojrzała na portret wiszący na wprost łóżka, ledwie widoczny w półmroku. Rysy Mary znała jak swoje własne. Kiedy skoncentrowała na nich wzrok, zły nastrój zaczął ustępować. Wszystkie niepokojące ją sprawy dawały się racjonalnie wytłumaczyć i było w nich o wiele więcej sensu niż w fantastycznych teoriach, które snuły jej się po głowie. Jim przechodził okres adaptacji. Lekarz ostrzegał, że to nie będzie łatwe. Należało oczekiwać okresowych załamania. Trzeba go zostawić w spokoju i pozwolić, by przewyciężył trudności.

Mary zrozumiałaby ją i przyznałaby rację. Mary była taka jak ona - pragmatyczna, sceptyczna, twarda.

Andrea ziewnęła i obróciła się na bok. Spała jak suseł do rana, bez żadnych snów.

*

Na tydzień przed świętem Dziękczynienia zatelefonował Kevin. Przeprasza, ale nie może przyjechać. Na początku listopada jego ojciec przeszedł poważny atak serca. Kevin postanowił narazić się na gniew matki, ale ferie spędzić z ojcem.

- Prędzej czy później trzeba zrobić to, co słuszne, nawet, jeśli się nie ma ochoty - tłumaczył poważnie Andrei.

- Podjąłeś bardzo dojrzałą decyzję - pochwaliła go z taką samą powagą, współczując mu bardziej niż dotychczas. Kto lepiej od niej zdawał sobie sprawę ze straszliwego szoku pierwszej konfrontacji z faktem, że człowiek jest śmiertelny?

Wypowiedziała przy okazji parę banalnych zdań, które jednak Kevin odebrał jako pocieszenie. Oddając słuchawkę Jimowi, uświadomiła sobie, że właściwie czuje się zawiedziona. Chyba łagodnieję na starość, pomyślała, lekko rozbawiona. A może to wpływ Reby i tych jej treli - moreli na temat „bycia miłym”.

Jim ze spokojem zniósł rozczarowanie. Zwerbował do pomocy Wayne'a, Martina i każdego, kto się nadawał do noszenia rzeczy, przeprowadził się do pokoju na wieży. Zdaniem Andrei wnętrze wyglądało dziwacznie - praktyczne, stare meble Jima o zdecydowanie męskim charakterze w tym połyskującym bielą farby panińskim buduaru z tapetami w róże... Jimowi jednak wyraźnie to odpowiadało.

Jedynym komicznym akcentem w skądinąd przygnębiającym tygodniu było przybycie Johna Williama Holdermana, znawcy starej architektury. Przyjechał w piątek przed świętem, jako ostatni z czwórki spodziewanych gości. Słońce właśnie zachodziło, zabarwiając niebo satanicznym szkarłatem, kiedy pojawił się w drzwiach, szczerząc sztucznie wybielone zęby, spowity w długą czarną pelerynę. Andrei skojarzył się z Drakulą, rozglądającym się za jakąś dobrze nabrzmiałą żyłą.

Znalazłszy się w domu, stał się kimś zwyczajnym, czyli niskim, zwawym człowieczkiem o lśniących, czarnych włosach. Czerń ta była równie sztuczna, jak biel zębów. Holderman chodził na palcach, żeby wydawać się wyższym, a jego maniery przypominały dwór Ludwika XVI: kłaniał się na każdym kroku, całował Andreę w rękę, dziękował, że była tak uprzejma i przyjęła go, wreszcie zapewnił ją, że ten śliczny dom znajdzie poczesne miejsce w jego przyszłej książce.

Martin od pierwszej chwili go nie znosił. „Kurczę, jak on śmie prawić mi morały na temat szkodliwości palenia?!” Jim wydawał się rozbawiony i zaciekawiony. Żeby nawet Holderman okazał się sto razy większym dziwakiem, Andrea i tak odnosiłaby się do niego z sympatią za to, że oderwał chłopca od rozmyślań. Kiedy następnego

ranka oprowadzała gościa po domu, Jim przyłączył się do nich i wypytywał o różne sprawy dotyczące konstrukcji budynku i materiałów. Holderman na wszystko miał gotową odpowiedź albo przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Jimowi bardzo pochlebił jego zachwyty pokojem na wieży.

- Sam tego dokonałeś, młody człowieku? Wspaniale! Masz prawdziwy talent do rekonstrukcji stylowych wnętrz.

Później, kiedy ścieliła łóżka i opróżniała kosze na śmieci, widziała przez okno, jak Holderman krąży wokół domu, obwieszony sprzętem fotograficznym, którego paski krzyżujące się na drobnym ciele wyglądały jak kłępujące je więzy. Gdyby nie wiedziała, co on tam robi, wzięłaby go za uciekiniera z zakładu dla obłąkanych. Kładł się płasko na trawniku, skradał za krzakami, wspinał jak małpa na drzewa - a wszystko po to, żeby uzyskać jak najlepsze ujęcie wybranego detalu architektonicznego.

Nadzieja na wzmiankę w książce Holdermana („Panna Torgesen, śliczna i gościnna gospodyni...”) poddała Andrei myśl, żeby przejrzeć szafę i wyszukać coś eleganckiego do włożenia wieczorem. Ku jej zaskoczeniu, większość strojów, których nie nosiła od miesięcy, okazała się za luźna. Straciła na wadze więcej, niż myślała. Ostatecznie z braku czegoś lepszego wybrała ciemnozieloną wełnianą suknię z karczkiem. Wyglądała zupełnie dobrze, gdy się ją przewięzało paskiem. Andrea z trudem wcisnęła na nogi pantofle na wysokich obcasach i potykając się poszła do biblioteki.

Obecność dwóch sławnych osobistości sprawiła, że wszyscy goście wylegli ze swych pokoi. Przyszedł nawet Jim. Martin palił jednego papierosa za drugim i łypał spode łba na Holdermana.

Andrea nie mogła sobie później przypomnieć, kto pierwszy poruszył temat duchów. Takie rozmowy już się zdarzały. Stare domy zawsze są powodem rozmaitych dywagacji. Andrea miała za każdym razem tę samą odpowiedź: „Przykro mi, że muszę państwa rozczarować, ale tutaj nic podobnego się nie zdarza.”

Tym razem jednak pytanie nie było skierowane do niej.

- No, panie Holderman, proszę się przyznać, poluje pan na duchy. Czytałam pańską książkę i jestem absolutnie zachwycona...

Holderman zachichotał z wystudowanym zakłopotaniem.

- Mój Boże, sądziłem, że te młodzieńcze próby dawno zostały zapomniane. Od wielu lat nie param się folklorem.

Martin, spowity kłębamii dymu niczym jakiś zły geniusz, podchwycił temat.

- Jest pan pewien, Holderman? Panna Torgesen ma alergię na zbnikowanych eksperymentatorów.

- Droga pani! - Holderman zamachał gwałtownie rękami. - Chyba mnie pani nie podejrzewa o takie oszustwo! Widziała pani moją pracę na temat historii architektury...

- Oczywiście. - Andrea uśmiechnęła się z przymusem. - Czujemy się zaszczytzeni, że ma pan zamiar napisać o naszym domu w następnej książce. To taki ciekawy temat...

Poszukiwaczka sensacji nie dawała za wygraną.

- No tak, ale ja uwielbiam historie o duchach. Panie Holderman, proszę nam opowiedzieć coś naprawdę wstrząsającego!

- Mogę drogiej pani polecić lekturę klasyków, takich jak Poe, James, Machen i Blackwood...

- Ale oni pisali opowieści. Mnie chodzi o prawdziwe duchy.

- To sprzeczność - odparł stanowczo Holderman. - Duchy nie istnieją, nie można zatem mówić o „prawdziwych duchach”.

Andrea uśmiechnęła się do niego z aprobatą. Holderman mówił dalej, upajając się własnymi słowami.

- Historie, które zebrałem w mojej książce, oraz inne podobne, motywowała w przeważającej większości jedna z dwóch przyczyn: subiektywne halucynacje albo mylna interpretacja czysto naturalnych zjawisk. Takie opowieści dobrze się czyta, szczególnie w wietrzne, zimowe wieczory, ale to naprawdę fikcja, nic więcej.

Przez moment wszyscy milczeli. Holderman przemawiał z takim przekonaniem, że nikt nie odważył się zaprzeczyć.

Nikt - z wyjątkiem Martina.

- Powiedział pan: „w przeważającej większości”. To znaczy, że dopuszcza pan wyjątki.

- Jest jeszcze trzecia przyczyna - przyznał Holderman. - Dotyczy zaledwie paru spraw, opisanych przez wiarygodnych świadków i nie dających się wyjaśnić halucynacjami ani - przepraszam za słowo - głupotą. Mam pewną teorię na ten temat.

- Oczywiście, że pan ma - tokował Martin. - Czy moglibyśmy ją poznać?

- Odzwierciedlenie przeżyć psychicznych. Gwałtowne emocje, namiętności, uczynki... Czyż może nie pozostać po nich żaden ślad,

taki jak na przykład zapis dźwięku, w miejscach, gdzie się wydarzyły? Obrazy niedostrzegalne ludzkim okiem, dźwięki nieuchwytny dla ludzkiego ucha są w pewnych okolicznościach odbierane przez osoby wyjątkowo „zestrojone” z tymi specyficznymi emocjami.

*

Serdeczność, z jaką Andrea pożegnała odjeżdżającego następnego ranka Holdermana, dała małemu człowieczkowi złudzenia, którymi karmił się całe miesiące, i zaowocowała jednym z najbardziej przesadzonych panegiryków. Kiedy książka się ukazała, Andrea napisała do autora liścik z podziękowaniem, ale Holderman nigdy nie miał się dowiedzieć, co było przyczyną tak czułego pożegnania.

Odbicia, tak bezosobowe jak fotografie czy kopie druków... To właśnie to, myślała Andrea. To wszystko wyjaśnia. Jej przywiązanie do tego domu - i negatywne reakcje Reby. Cienie przesuwające się przez nie oświetlony hol, sny o rozpaczliwie tłukących się skrzydłach... Dom był hotelem. Dziesiątki, setki ludzi przemierzało jego korytarze, spędzało noce... I każdy wnosił bagaż własnych radości i smutków. Stary budynek był świadkiem narodzin i śmierci, miłości zwycięskiej i zawiedzionej. Niektórzy potrafili się dostroić do pewnej długości fal, ale nie do każdej; inni pozostali głusi na wszelkie impresje.

Ta dziewczyna, córka Mary, umarła w wieku siedemnastu lat. Jim i jego koledzy popisywali się wprawdzie szorstkością, ale w gruncie rzeczy byli sentymentalnymi mięczakami. Szczerze wierzyli, że każda kolejna miłość jest tą najważniejszą i ostateczną. To spośród tych dzieciaków cyniczni generałowie wybierali kandydatów na rycerzy bez skazy, gotowych polec zaszczytną śmiercią w obronie ojczyzny, mamuśki i tradycyjnej szarlotki. Znudzony i sfrustrowany Jim obdarzył sentymentem tę... no właśnie, jak jej tam. Gdyby żył w dziewiętnastym wieku, zapuściłby bokobrody jak Byron i pisał kiepskie poezje o pięknej młodej pannie, która zmarła w kwiecie wieku. Na pewno wyobraża ją sobie jako subtelną, wiotką blondynkę. A ona pewnie była prostą, kręłą dziewczuchą o niezdrowej cerze.

Na święto Dziękczynienia Andrea miała komplet rezerwacji, co nie pozostało bez wpływu na jej osobiste plany. Pozwoliła sobie tylko na kilka godzin wolnego, żeby zjeść świąteczną kolację u Reby. Martin ciągle dolewał wina, by rozweselić towarzystwo, ale nastrój popsuła wyjątkowo obrzydliwa pogoda. Mżył drobny deszczyk, na

świecie było szaro i ponuro, nawet zwykły humor Reby oklapł pod wpływem wilgoci.

Dopiero w poniedziałek rano Andrea mogła się zabrać do likwidacji skutków drobnych awarii, które zawsze muszą się przydarzyć w czasie świątecznego weekendu, kiedy nie ma mowy o sprowadzeniu jakiegoś fachowca. Przy śniadaniu oznajmiła, że wybiera się na zakupy do Frederick, co przez obu panów zostało przyjęte z jednakową obojętnością. Sporządziła długą listę sprawunków, począwszy od duszonych w brązowym cukrze jabłek (potrzebnych do śniadania), a skończywszy na zamku błyskawicznym do zielonej sukni. Następnie wsiadła do samochodu i przez pięć minut próbowała go uruchomić, nim się zorientowała, że bak jest kompletnie pusty.

To oczywiście sprawka Jima. Ma tajemniczy talent do wjeżdżania do garażu na ostatniej kropli benzyny. Andrea pobiegła do domu. Martin musi ją poratować przynajmniej taką ilością paliwa, żeby mogła dojechać do najbliższej stacji Amoco. Sama by się zresztą obsłużyła, nie zawracając sobie głowy pytaniem o pozwolenie, ale korek od baku garbusa zamknięty był na klucz.

Sprawa zamka przypomniała jej, że Martin mówił coś o popsutej klamce przy drzwiach swego pokoju. Nie dawały się przez to zamknąć. Skoro już tam idzie, przyjrzy się uszkodzeniu. Może da się łatwo usunąć.

Drzwi były lekko uchylone i Andrea usłyszała, że Martin rozmawia przez telefon, który kazał sobie zainstalować. Nie chciała podsłuchiwać ani przeszkadzać, więc powstrzymała się na chwilę od pukania. W tym momencie usłyszała coś, co sprawiło, że zapomniała o skrupułach.

- Nie podoba mi się ta przeprowadzka do wieży.

Mówił o Jimie. Ale do kogo? Nieważne. Nie ma prawa roztrząsać w taki familiarny sposób spraw jej brata. Z nikim. Andrea przyłożyła ucho do drzwi. Po następnym zdaniu aż się zaczerwieniła ze złości.

- Nie, przeciwnie, myślę, że dobrze sobie radzi z kalectwem. Właśnie to mnie martwi... Jak to, dlaczego? Ty jesteś spec od czubków, więc sam powinieneś wiedzieć... Bo jest czymś normalnym - jeśli to odpowiednie słowo - że dzieciak w tym wieku załamuje się po stracie nogi. Skoro jednak nie kalectwo jest przyczyną depresji, musi być coś, czego nie potrafię wyjaśnić... Jeszcze nie. Spytałem go

kiedyś wprost, czy nie zechciałby zobaczyć się z psychiatrą, ale uśmiechnął się tylko takim szczerym, chłopięcym uśmiechem i powiedział, że czuje się świetnie. Będę go miał na oku... Wiem, że nie możesz. Zrobiłeś już więcej, niż mogłem oczekiwać... Dzięki, Tony. Tak, oczywiście.

Andrea odczekała parę sekund. Chciała upewnić się, że skończył. Potem otworzyła nogą drzwi.

Szatan siedział na maszynie do pisania, rozsiewając lśniąca sierść po kartkach. Zasycał ze złością. Martin zerwał się, zaklął i rzucił słuchawkę. Rozległ się ciągły sygnał. Andrea nie odzywała się. Czekala, aż Greenspan się pozbiera.

- Kurczę - rzekł w końcu. - Miałaś jechać na zakupy.

- Z kim rozmawiałaś?

Martin usiadł na nie pościelonym łóżku.

- Z przyjacielem - odpowiedział bez wahania.

- Jest psychiatrą?

- Jednym z najlepszych.

- Cóż, to oczywiście wszystko usprawiedliwia. Nawet wtykanie nosa w cudze sprawy.

- Usiądź - poprosił.

- Nie usiądę. Najchętniej dałabym ci w dziób, gnido jedna.

Z gardła Szatana zaczęły się wydobywać groźne pomruki. Sierść na grzbiecie zjeżyła mu się jak szczotka. Martin siedział z założonymi rękami i potulnie spuszczonego wzrokiem. Nie stanowił zbyt odpowiedniego obiektu do wyładowania kipiącego w Andrei gniewu. Kot lepiej się nadawał.

- A ty się zamknij! - rozwrzeszczała się. - Jak śmiesz na mnie syczeć? Zabieraj stąd ten tłusty, futrzany tyłek!

Szatan zeskoczył ze stolika i ruszył dyrdaczkiem w stronę drzwi, poruszając się nieco szybciej niż zazwyczaj. Gdyby Martin się roześmiał, Andrea rzuciłaby się na niego z pięściami. On jednak tylko powtórzył:

- Usiądź. Masz prawo się wściekać, ale powinnaś mnie najpierw wysłuchać.

Jego kamienny spokój przebił się przez skorupę zapiekłej złości, która nagle znalazła ujście, doprowadzając Andreę niemal do łez.

- Martin, jak mogłeś? Nie masz prawa...

- On nawet nie zna nazwiska Jima - usprawiedliwiał się. - I nigdy nie pozna, jeśli Jim nie zgodzi się z nim zobaczyć.

- To ty masz świra. Jim nie potrzebuje psychiatry.

- Jest biedny - rzekł spokojnie Martin. - Jest głęboko nieszczęśliwy. A ty z godnym zazdrości uporem ignorujesz sprawy, których nie chcesz dostrzec. Teraz jednak nawet ty musisz je sobie uświadomić. Jego oczy przypominają mi czasem...

- No mów. Już bardziej nie możesz mnie obrazić.

- Widziałem kiedyś, jak para zwyrodnialców wypchnęła z samochodu psa i odjechała. Pewnie zaczął być uciążliwy. Nie był to specjalnie atrakcyjny zwierzak - zwykły kudłaty kundel... Stał i patrzył na oddalający się samochód. Jego oczy miały taki sam jak u Jima wyraz zaskoczenia, zagubienia, niezrozumienia...

Andrea odzyskała panowanie nad sobą.

- Niech cię szlag trafi. Ze wszystkich niskich, podstępnych chwytów...

- Wiem, że to nieprzyjemne. Ale taka jest prawda.

- Mylisz się. Jim ma problemy, przyznaję. Ale stara się je rozwiązać.

- Mogę cię pocieszyć, że Tony Benson podziela twoje zdanie.

Rozbroiło ją to nieoczekiwane wyznanie. Martin niechętnie mówił dalej.

- Oczywiście, on porusza się w próżni. Nigdy z Jimem nie rozmawiał, ale uważa, że chłopak podchodzi do swego kalectwa z wielką dojrzałością. Próbuje różnych zajęć - czytania, stolarki, ogrodnictwa... Mówiłem Tony'emu o tym. A on na to: „Więc nie rozumiem, na czym polega problem.”

- No na czym?

- Nie wiem.

- Wolałabym, żebyś swoje zmartwienia zatrzymywał dla siebie. Przygnębiają mnie, nawet jeśli ich nie dzielam.

Martin oparł się pokusie i nie odpowiedział, że przecież nie rozmawiał z nią o swoich zmartwieniach, więc nie czuje się winien.

- Tony twierdzi również - wrócił do tematu - że cierpię na niewyżyty instynkt ojcowski. Wiesz o moim synu, prawda? Reba ci powiedziała?

- Tak - przyznała się Andrea, nie patrząc mu w oczy.

- Nigdy nie wspomniałaś...

- Nie chciałam, żebyś myślał...

- ... że jesteś wścibską babą? Może Tony ma rację. Ja naprawdę nie wiem, co się czuje, gdy się jest ojcem. Dlatego nie rozpoznaję symptomów.

Andrea zawahała się, ale nie na długo. Przyjaźń, upomniała się w myśli, polega na gotowości, by położyć się obok i słuchać. Poza tym Martin nie utrzyma języka na wodzy, jeśli uważa, że ona nie ma racji.

- Czemu się poddałeś? To twój dzieciak, masz prawo do...

- Do rozerwania go na kawałki?

- Do okazania mu swojej miłości.

- No i kto tu stosuje podstępne chwyt? - Trafiła w bolesne miejsce. Poczzerwieniał z przykrości i gniewu. - Jeśli taka jest twoja idea miłości - rzekł łamiącym się głosem - to niech niebo ma w opiece człowieka, którego...

- Skończ.

- Wiesz, co chcę powiedzieć.

- Wiem. Role się odwróciły, co? A ty nie lubisz krytyki dokładnie tak samo, jak ja.

Rumieniec na twarzy Martina przybladł.

- Teraz mnie dopadłaś. W porządku. Umowa dotyczy obu stron: ty masz prawo do wydawania opinii, ja do jej odrzucenia. Ale mylisz się, Andreo. Straszliwie, fatalnie się mylisz. Miłości nie można wymusić ani nią sterować. Czasem jedyny sposób zatrzymania jej to rezygnacja.

Był to najłagodniejszy grudzień od prawie dwudziestu lat. Trzy tygodnie przed Gwiazdką temperatura sięgnęła kilkunastu stopni ciepła. Andrea spędziła godzinę w ogrodzie, próbując wepchnąć zielone kielki na powrót do ziemi. Martin, który ją na tym przyłapał, uśmieł się tak, że aż mu okulary spadły z czoła.

- Co ty najlepszego wyprawiasz?

- Przecież zamarzną - tłumaczyła zdenerwowana Andrea. - One myślą, że już kwiecień.

- Nic im nie będzie.

- Naprawdę?

- Słowo.

Wyprostowała się i zwróciła twarz ku słońcu. Było tak ciepło, że miała na sobie tylko cienki sweter.

- Co to za duże krzewy koło szopy? - spytała.

- Bzy. Ale z ciebie mieszcuch! Nie widziałaś, jak kwitły w zeszłym roku?

- Nie pamiętam. Pewnie musiały kwitnąć, podobnie jak inne: dereń, forsycja, wiśnie. Tamtych też sobie nie przypominam.

- Miałaś inne sprawy na głowie.

- Nigdy nie zajmowałam się specjalnie ogrodem. Tak długo mieszkaliśmy w bloku... Pamiętam, że wiele lat temu pomagałam mamie sadzić cebulki. Ona kochała kwiaty. To był jeden gatunek - chyba hiacynty. Takie duże, puchate...

- Owszem, takie właśnie są. - Głos Martina brzmiał nad wyraz łagodnie.

- Miały najpiękniejszy odcień błękitu - ciągnęła rozmarzona Andrea. - Wyraźny, ale blady, jak wiosenne niebo. Nazywałam je „moimi kwiatami”. Co roku w kwietniu urządzałyśmy wielką ceremonię wynajdywania pierwszych kiełków.

- Ile miałaś lat, kiedy mama umarła?

- Dwanaście. Jimmie był jeszcze w pieluchach. Helena, moja macocha, tak się starała, biedactwo, ale nigdy nie opowiedziałam jej o „moich kwiatach”. W następnym roku, w kwietniu, poszłam poszukać ich sama. Nie kwitły. Myślałam, że już nigdy nie będzie wiosny...

- Za rokiem rok - to prawie nie do wiary...

Człowiek - pochodnia, potem proch i kwita.

Maj, czerwiec, lipiec i już grudzień szary -

Tak, martwy grudzień... i znów maj zawitał...

Pamiętam jedno;

Wiosna nadejść musi...

- Vachel Lindsay... - mruknęła Andrea.

- Rzeczywiście. Zapomniałem, że angielski był twoim głównym przedmiotem.

- Czy jest coś, czego o mnie nie wiesz? - Andrea uśmiechnęła się smutno, ale bez urazy. - Sama się dziwię, że to zapamiętałam. Od lat nie czytuję poezji.

- Może przejdziemy się brzegiem strumienia - zaproponował Martin. - Powiem ci jakiś wiersz. Znam ich całą masę.

- Dość czasu zmarnowałam - odburknęła.

Martin znał ten ton. Uśmiechnął się, wzruszył ramionami i wrócił do swojej pracy.

Zawsze, gdy wydarzy się nieszczęście, zostaje to okropne uczucie klęski. Czemu nie wiedziałam? Jak to się mogło stać, że z niczego nie zdawałam sobie sprawy i jeszcze czułam się szczęśliwa? Andrea naprawdę była szczęśliwa tego dnia. Jim zachowywał się tak miło i serdecznie. Po kolacji nie poszedł od razu do siebie, lecz spędził z nią wieczór. Rozciągnięty na kanapie oglądał telewizję. Nie mówił dużo, ale gdy podnosiła głowę, ciągle napotykała jego wzrok. Było jeszcze wcześniej, kiedy wstał i powiedział, że chyba już pójdzie.

- Dobranoc, kochany. Śpij dobrze. Objął ją i pocałował.

- Dobranoc, Andy. Kocham cię.

Dawno nie słyszała od niego takich czułości. Ze wzruszenia nie mogła wykrztusić ani słowa.

Kiedy właściwie zaczęła odczuwać ten dziwny niepokój? Trudno powiedzieć. Nieznośne wrażenie, że się o czymś zapomniało, czegoś nie zauważyło, narastało w miarę upływu czasu. Przebiegła w myśli listę obowiązków, ale nie znalazła żadnego zaniedbania czy przeoczenia. Uczucie ciągle pozostawało nieokreślone, kiedy nagle w głowie Andrei rozdzwonił się alarm. Zerwała się z krzesła tak gwałtownie, że aż robótka spadła na podłogę. Wypadła z kuchni i popędziła na górę.

Martin usłyszał tupot jej nóg na korytarzu. Dopędził Andreę w drzwiach pokoju na wieży. Zanim zdążył powiedzieć, odwróciła się do niego, nieprzytomna ze strachu.

- Nie ma go. Uciekł...

- Dziewczyno, istnieje kilkanaście miejsc i powodów...

- Nie, nie. To nie to, co ostatnio. Stało się coś złego. Czuję, że tak jest. Pomóż mi go znaleźć. Proszę, Martin, musimy go znaleźć...

Postępował za nią z pobłażliwą miną, jak ktoś, kto ustępuje nieszkodliwemu maniakowi, kiedy jednak okazało się, że Jima nie ma w żadnym z możliwych miejsc, spoważniał.

- Czy coś się wydarzyło dziś wieczorem?

- Powiedział, że mnie kocha - odparła Andrea przez zaciśnięte gardło.

- Nie podniecaj się. Pomyśl. Jest piękna, księżycowa noc. Mógł pójść na spacer.

Spokojny głos i przelotne muśnięcie ręką jej ramienia sprawiły, że się opanowała.

- Mówił, że idzie spać. Gdyby zdecydował się wyjść z jakiegokolwiek zwykłego powodu, wiedziałabym o tym. Musiał sobie zadać wiele trudu, żeby się wymknąć niepostrzeżenie.

- Nie ma go w domu - stwierdził Martin. - Chyba że się schował. Poszukam jeszcze.

- Nie. Łańcuch na frontowych drzwiach jest zdjęty. Po kolacji sama go założyłam.

- Potrzebujemy latarki.

- Jest w szufladzie stołu.

Samochód stał w garażu. Szopa, w której Jim trzymał swoje hantle, była zamknięta i ciemna. Gdy Martin ją oświetlił, ukazały się cienie splecionych gałęzi bżów. Następnie skierował promień latarki w stronę trawnika. Rozległa przestrzeń łąki zdawała się drzemać w księżycowej poświacie.

Andrea drgnęła.

- Wiem, gdzie on jest.

Martin nie dyskutował ani nie przestrzegał jej przed potknięciem. Biegł tuż za nią. Przy bramie cmentarza znaleźli się jednocześnie.

Księżyc rozjaśniał prostokątne mogiły i sterczące nad nimi jakby na straży kamienne płyty. Ławeczka skryta była w cieniu wysokich cedrów, za krzewem róży. Na pierwszy rzut oka Andrea zobaczyła tylko ciemny kształt. Wydawał się za duży jak na jedną osobę. Martin błysnął latarką. To był Jim.

- Wziąłem parę tabletek - rzekł, mrugając oczami. - Pomyliłem się. Myślałem...

Próbował wstać, ale zachwiał się i osunął na kolana. Martin odepchnął Andreę, ukląkł przy Jimie i uniósł jego bezwładną głowę.

- Kiedy?

Jim wymamrotał coś, czego Andrea nie dosłyszała. Martin wyrzwał chłopaka w twarz z taką siłą, że mało mu nie roztrzaskał głowy.

- Ile?

- To przez pomyłkę - powiedział wyraźnie Jim.

Światło latarki padało na ziemię dużą, jasną plamą, ale Andrea nie widziała, co robi Martin. Paraliżujący szok, który nie pozwalał jej ruszyć się z miejsca, ustąpił. Podbiegła do Jima i wzięła jego twarz w obie ręce. Miał zamknięte oczy.

- Do domu! - zakomenderował Martin. - Bierz go pod jedno ramię, ja wezmę z drugiej strony.

Musieli go wlec, przerzuciwszy sobie ręce chłopaka przez ramiona. Kiedy dotarli do kuchni, Martin warknął:

- Posadź go. Tutaj.

Jim zwisał z krzesła bezwładnie jak szmaciana kukła. Ręce i głowa opadały mu ciężko w dół. Andrea sięgnęła po telefon, ale Martin ścisnął ją za nadgarstek, aż syknęła z bólu.

- Dokąd dzwonisz?

- Po pogotowie... lekarza...

- Daj spokój. Pomyśl. Chcesz być jutro na językach całego miasta?

- Ale on przecież... - Wyschnięte wargi nie mogły wymówić tego słowa.

- Nie, wcale nie umiera. - Otworzył zaciśniętą pięść i pokazał jej czerwono - białe kapsułki.

- Moje pigułki nasenne! O mój Boże, całkiem o nich zapomniałam!

- Ile ich tam było?

Ścisnęła skronie, próbując zebrać myśli.

- Lekarz dał mi dwanaście. Wzięłam jedną... Nie, dwie.

- Tu jest pięć. Może nie znalazłem wszystkich. Bez wody trudno je połknąć, a on o tym nie pomyślał. Nie wziął śmiertelnej dawki.

- Nie możesz mieć pewności.

- Ale ją zdobędę - oświadczył Martin stanowczo i dźwignął Jima.

Całe postępowanie było w najwyższym stopniu nieprzyjemne dla wszystkich uczestników, a w szczególności dla Jima. Nie opierał się. W gruncie rzeczy próbował na swój pożalowania godny sposób ułatwić im zadanie. Andrea załamała się ostatecznie, kiedy zobaczyła, jak spełniając żądanie Martina, próbuje chodzić na wypadających mu ze słabych dłoni kulach. Wreszcie Martin uznał, że chłopak ma dość.

- Prześpij to teraz - powiedział i pozwolił mu opaść na kanapę.

Włosy i twarz Jima ociekały wodą, jego ciałem wstrząsały niepohamowane odruchy wymiotne. Martin wysmagał mu pierś i plecy zmoczonymi w zimnej wodzie ręcznikami, aż wystąpiły czerwone pręgi. Kiedy Andrea pochyliła się nad bratem, ten otworzył jedno oko i spojrzał jej prosto w twarz.

- To była pomyłka - powtórzył z naciskiem.

- Wierzę ci - szepnęła. - Teraz już wszystko będzie w porządku...

- Tak.

Obrócił się na bok i zwinął w kłębek, oplatając ramionami drżące ciało.

Martin owinał go starannie kocem. Delikatność jego ruchów, po jeszcze tak niedawnym brutalnym potraktowaniu pacjenta, okazała się zbyt wielkim szokiem dla Andrei. Greenspan podprowadził ją do krzesła.

- Potrzebujesz drinka - rzekł. - A potem lulu.

- Będę przy nim czuwać.

- Ja też. Żadne z nas się nie wyśpi. Czy to ma sens?

Sięgnęła po szklanę, którą jej podawał, i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie jest w stanie zgiąć palców. Martin zaklął pod nosem i przytknął jej szklanę do ust.

- Do dna! - rozkazał.

Był to czysty burbon, który niemal eksplodował w jej żołądku, rozpalając go żywym ogniem. Otarła oczy i próbowała złapać oddech.

- Lepiej?

- Tak. Nie... Lepiej mi było, kiedy nic nie czułam. Rozumiesz?

- Bardzo dobrze rozumiem. - Uniósł swoją szklanę. - No to za lepsze dni! - wygłosił sardoniczny toast.

- O mój Boże...

- Pij.

Następny łyk nie przypominał już mieszanki zapalającej, ale podziałał rozgrzewająco. Martin sięgnął po butelkę i napełnił ponownie swoją szklanę. Przez ciemny zarost na policzkach przebijały mu czerwone plamy, przechodzące w sińce pod zapadniętymi ze zmęczenia oczami.

- To była pomyłka - odezwała się Andrea. - Wypadek.

- Jeśli w to wierzysz, to może odkupisz ode mnie Most Brooklyński.

- Przecież słyszałeś.

- Taak, słyszałem - przyznał, nalewając sobie trzeciego drinka.

Andrea dokończyła swojego burbona.

- Czy zarzucasz mojemu bratu kłamstwo?

- Upiłaś się - stwierdził Martin. - Gratuluję. Idź do łóżka.

- Nie jestem pijana. I napiję się jeszcze.

- Czemu nie? Im prędzej padniesz, tym prędzej zapakuję cię do łóżka.

- Łóżko, łóżko, tylko o tym potrafisz mówić? Uratowałeś Jimmiemu życie. Jesteś cu.. cudowny. A jednak cię nie znoszę. Po co to wszystko robisz? Czemu, do cholery, zawsze kręcisz się w pobliżu i ciągle coś dla mnie robisz?

- Nie wiesz? - Martin łypał na nią wściekle znad okularów. - Jasne, że nie wiesz. Tylko ty jedna w całym pieprzonym mieście nie wiesz. Wszyscy na mój widok trącają się łokciami i nabijają z biednego, zakochanego jak kot idioty, który nie potrafi wyznać dziewczynie czuje.

- Zakochanego? - powtórzyła Andrea. - W kim? We mnie?

- Ale ze mnie skurczybyk - szepnął żałośnie Martin. - Nigdy nie sądziłem, że parę drinków tak mi uderzy do głowy. - Jestem zmęczony, mdli mnie i ciągle robi mi się zimno na myśl, jak on blisko się otarł... Tak, kotku w tobie. - Roześmiał się z goryczą. - Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie jest miłosna scena stulecia. Siedzę tutaj na wpół przemoczony, śmierdzi ode mnie jak z szamba i wyznaję wieczną miłość kobiecie, która jest jeszcze bardziej pijana niż ja. Czy czujesz się na tyle trzeźwa, żeby pojąć, dlaczego nie zaprzątałem sobie dotąd głowy poruszaniem tego nudnego tematu? Przecież nie z powodu mojej wrodzonej skromności, zapewniam cię. Jestem łysy, gruby i o piętnaście lat starszy od ciebie, ale nie to mnie powstrzymywało, tylko obawa, że mnie stąd wykopiesz na zbity pysk. Nie chcesz mnie. Nie chcesz nikogo. Masz głowę i serce nabite wyłącznie... nie, nie Jimem jako takim. Jego wypaczonym, przerysowanym wizerunkiem, który uważasz za bóstwo, a zarazem za swój krzyż. Nie widzisz, czym to grozi wam obojgu?

Oczy Andrei zrobiły się duże jak spodki. W jej wypompowanym umyśle zostało tylko jedno uczucie: niebotyczne zdumienie. Przemowa Martina absolutnie nie pasowała do jej wyobrażenia o nim. Zupełnie jakby nagle zrzucił skórę i zmienił się w coś w rodzaju wilkołaka. Nie wiedząc, jak się zachować, dokończyła drinka.

- Szczerłość nie zawsze zasługuje na pochwałę - odezwał się po chwili już normalnym tonem. - Co za noc! Tak niedaleko było do tragedii, a w końcu wyszła idiotyczna farsa. Jak się czujesz?

- Nie wiem.

- No to oboje nie wiemy.

Jim zaczął chrapać. Andrea błyskawicznie odwróciła głowę, ale Martin ją uprzedził. - Zostanę z nim.

- Może rzeczywiście lepiej będzie, jeśli się położę - mruknęła Andrea. Postawiła szklankę na krawędzi stołu, i popchnęła ją palcem.

- W moim pokoju. O, tam. Zawołasz mnie, jeśli...

- Zawołam.

Obserwował ją, gotów w każdej chwili do pomocy, gdyby miała upaść, ale doszła do drzwi, potknąwszy się tylko kilka razy, po czym się odwróciła.

- Pogadamy jutro - oświadczyła złowieszczo i wyszła.

Martin zakrył twarz rękami. Ramiona mu drgały, ale trudno byłoby orzec, czy się śmiał, czy płakał.

ROZDZIAŁ XIII

Jasne, że spotkam się z tym facetem - zgodził się Jim. - Jeśli sobie życzysz.

Andrea nigdy jeszcze nie uświadomiła sobie z taką ostrością różnicy wieku między nimi obojgiem. Po przespaniu większej części dnia Jim wracał do normalnego stanu, ona natomiast czuła się jak przepuszczona przez wyżymaczkę. Kiedy patrzyła, jak chłopak zmiata resztki zapiekanki i połowę szarlotki pani Horner, żołądek jej się wywracał.

Martin ledwie skubał jedzenie. Gdyby ktoś obcy obserwował z boku jego i Jima, orzekłby, że to Martin wczoraj przedawkował. Wyglądał, jakby miał potężnego kaca, i choć Andrea nigdy nie mogłaby określić jego sposobu prowadzenia rozmowy jako taktowny, zwykle wyrażał się bardziej oględnie. Teraz bez wstępnych komentarzy, bez zasięgania opinii Andrei, wyrąbał prosto z mostu:

- Jim, chciałbym, żebyś się spotkał z moim przyjacielem psychiatrą. Zgadzasz się?

Zaskoczyła go gotowość chłopca. Spodziewał się awantury, ale gdy jego starannie przygotowane przemówienie spaliło na panewce, stracił cały koncept. Odwrócił oczy, Jim natomiast ze spokojem wcinał dalej szarlotkę popijając mlekiem. W pewnej chwili obrzucił siostrę i przyjaciela pobłażliwym, czułym spojrzeniem zmrużonych oczu, jakby przejrzał ich ciche, sekretne machinacje.

- Przykro mi, że odstawiłem wczoraj taki numer - powiedział. - Zachowałem się jak skończony głupol. To się już nie powtórzy. Oczywiście rozumiem, że mi nie wierzycie na słowo. Zrobię, co każecie.

- Dlaczego? - wyrwało się Andrei. - Dlaczego, Jimmie?

- To była pomyłka. - Na moment odwrócił wzrok, po czym spojrzał na Andreę szeroko otwartymi, szczerymi oczami. - Wziąłem tylko parę kapsulek. I nagle uświadomiłem sobie, że robię coś głupiego. Próbowałem wsadzić sobie palec do gardła, ale nie pomogło. Potem chciałem wrócić do domu, lecz byłem tak osłabiony, że nie mogłem się ruszyć. Wtedy wystraszyłem się na dobre. Wołałem cię. Słyszałaś?

- Tak - odparła Andrea. - Słyszałam.

- Dość tego - zarządził Martin. - Jim, najchętniej dałbym ci takiego kopa, że poleciałbyś stąd do Baltimore i z powrotem. Nie jestem takim frajerem jak twoja siostra. Biorę cię na okres próbny.

- Nie mam pretensji - zgodził się chłopak.

- Pojedziesz ze mną do Tony'ego, jak tylko będzie mógł cię przyjąć?

- Jasne. Co tylko uznasz za stosowne. - Sięgnął do kieszeni i wyjął zmięty węzełek z pigułkami. - Masz, Andy. Wracam na ziemię.

- Och, kochany, to niepotrzebne...

- Muszę dowieść, że jestem godzien twojego zaufania. Słowa nie wystarczą. - Pochylił się ku niej. W jego oczach błysnęła stanowczość.

- Ale niech będą i słowa. Powiadam: wszystko jest w porządku. Zaplątałem się w różne sprawy. Dotąd nie znam wszystkich odpowiedzi, ale jednego jestem pewien: mam kupę szczęścia. Kocham cię, Andy. I ciebie, Martinie, też. Nigdy nieprzypuszczałem, że coś takiego przejdzie mi przez gardło w stosunku do faceta.

- Hmm... - mruknął Martin, starając się nie okazać, jak bardzo jest wzruszony.

- No, to by było na tyle. Mogę dostać jeszcze kawałek szarlotki?

Wkrótce potem Martin oświadczył, że idzie popracować. Andrea zostawiła Jima na kanapie przy transmisji meczu koszykówki i poszła na górę. Nogi się pod nią ugiwały. Nie było jej śpieszno do konfrontacji, podobnie jak Martinowi, który uciekł pod pretekstem pisania. Wiedziała jednak, że nie może tolerować tej niezręcznej sytuacji, jaka się między nimi wytworzyła, w nadziei, że jakoś to będzie.

W pierwszej chwili sądziła, że jej nie wpuści. Stał w drzwiach, blokując wejście, i patrzył na nią z kamienną twarzą.

- Musimy pogadać - wykrztusiła. Wargi mu drgnęły.

- Już i tak powiedziałem cholernie dużo. Kurczę, no chyba masz rację. Właź.

Rozwalony na łóżku Szatan rzucił Andrei znudzone spojrzenie i przymknął ślepią. Andrea miała wielką ochotę wyeksmitować go. Czuła się, jakby miała prowadzić intymną, delikatną rozmowę pod okiem świadka, w dodatku nastawionego niezyczliwie, cynicznego i krytycznego. Nim jednak uległa tej pokusie, Martin odezwał się:

- Mam nadzieję, że byłaś wczoraj na tyle wstawiona, że nie pamiętasz, co plotłem.

- Raczej sędzę, że to ty się załałeś i nie wiedziałeś, co mówisz.

- Nie ma tak dobrze, moja pani. Bezsprzecznie in vino jest veritas. I co masz zamiar z tym zrobić?

Z początku nie była w stanie patrzeć mu w oczy. Teraz sytuacja się zmieniła. Szyderczy ton głosu i złośliwy półuśmiech przeczyły deklaracji, której prawdziwość dopiero co potwierdził.

- To zależy od ciebie - odparła niepewnie.

- Ode mnie? Ja nie mam zamiaru nic robić. Jeśli cię to martwi, możesz czuć się bezpieczna od moich lubieżnych zakusów.

- Wcale się nie martwię.

Mogło to być źle zrozumiane, ale wiedziała, że Martin pojął jej słowa właściwie.

- Dzięki - odparł spokojnie. - Andreo, to, co wczoraj mówiłem, nie dotyczy w gruncie rzeczy ciebie. To mój problem. Ty masz tylko zapomnieć - jeśli potrafisz - że w ogóle coś powiedziałem. Gdybym czuł się choć trochę wolny, wyniosłbym się stąd do diabła, ale nie zrobię tego, chyba że mnie wyrzucisz. Chcę tu zostać.

- Z powodu Jima?

- Oczywiście. Bardzo się do niego przywiązałem. Nawet gdybym cię nie... gdyby mi na tobie nie zależało, chciałbym zrobić dla niego wszystko, co w mojej mocy.

Andrea usiadła na łóżku ze splecionymi rękami.

- Chcę, żebyś został.

I to też zrozumiał: z jednej strony obietnica, z drugiej ograniczenia. Przymknął oczy i czekał w milczeniu, co jeszcze usłyszy.

- Chcę, żebyś został jako przyjaciel. Aż do wczorajszej nocy nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem od ciebie uzależniona. Może trochę późno na podziękowania, ale zawsze przychodziło mi z wielką trudnością zwracanie się do kogoś z prośbą i wyrażanie wdzięczności.

- O nic nie prosiłaś, sam się narzucałem. Andreo, co cię właściwie niepokoi?

- To takie niesprawiedliwe! - wykrztusiła. - Tyle mi dajesz, a ja niczym się nie rewanżuję...

Wybuchnął gromkim, serdecznym śmiechem.

- Naczytałaś się romansideł, moja droga. Przecież jesteś za inteligentna, żeby wierzyć w takie bzdety. „Biała róża przyjaźni nie

zaspokoi serca spragnionego szkarłatnej róży miłości." Przyjaźń to uczucie rzadsze od miłości Twoja przyjaźń jest dla mnie bardzo ważna.

- Wiec już wszystko w porządku?

- Tak, moje biedactwo, w porządku. Zaufaj wujciowi Martinowi.

*

Martin doprowadził sprawę do końca. Jim został przebadany przez pół tuzina różnych specjalistów. Zaprotestował tylko raz: przy badaniach laboratoryjnych.

- O rany, Martin, naprawdę muszę? W zeszłym roku tak mnie pokłuli, że jestem podziurawiony jak sito. I nie cierpię defilować przez poczekalnię z tą cholerną buteleczką...

Martin popatrzył ze współczuciem, ale nie ustąpił.

- Mogę zemdleć - zagroził Jim.

Ankieta, którą Jimowi kazano wypełnić, przypominała niektóre iście diabelskie formularze urzędu podatkowego. Biedził się nad nią wieczorem przed wizytą u lekarza, mamrocząc pod nosem i narzekając.

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć, czy przechodziłem wietrzną ospę?

- Przechodziłeś - stwierdziła siedząca naprzeciw niego Andrea. - Odry nie, byłeś szczepiony.

- A infekcje układu moczowego? Dłuższe utraty przytomności? - Jim szybko przesuwiał długopis wzdłuż listy, odfajkując negatywne odpowiedzi. - Dobry Boże, nie sądziłem, że tyle rzeczy w ludzkim ciele może szwankować. Podwójne widzenie, epilepsja, wysokie ciśnienie, bóle głowy... Jestem zdrowszy, niż przypuszczałem.

Internista potwierdził, że stan zdrowia Jima jest znakomity. W końcu tygodnia chłopak miał za sobą wszystkie badania z wyjątkiem psychiatrycznego. Benson zgodził się na trzy wizyty w celach diagnostycznych. Andrea wiedziała, że zawdzięczają je Martinowi. Psychiatra takiej sławy nie przyjmuje nowych pacjentów w tak krótkim terminie.

Wyniki badań medycznych poprawiły jej nastrój, ale najlepszym dowodem powrotu Jima do normalności było jego zachowanie. Stał się wesoły, pogodny, uprzejmy, pomagał w domu, nie okazywał nawet najmniejszych oznak ponurych nastrojów, w które dawniej tak często popadał. Andrea uwierzyła, że połknął kapsułki przez pomyłkę. Mógł

nie przeczytać etykiety albo ją źle zrozumieć i pomyśleć, że to środki uspokajające lub amfetamina. Jego pokolenie zwykło używać tego rodzaju leków jako panaceum na wszystkie problemy: żeby sobie polepszyć humor, wydobyć się z depresji, zwiększyć zdolność koncentracji, potencję i Bóg wie co jeszcze. Aż dziwne, że wcześniej nie próbował.

Siedziała jak na szpilkach, kiedy Jim z Martinem pojechali na trzecią, ostatnią już wizytę do psychiatry. Nie obawiała się, że Benson stwierdzi skłonności samobójcze. Gdyby coś takiego powiedział, miałyby pewność, że się myli. Naprawdę przerażała ją ewentualna interpretacja jej stosunków z bratem. Na pewno lekarz dopatrzy się jakiegoś paskudnego, Freudowskiego podłoża, zwłaszcza że Martin zarazi go własnymi podejrzeniami. On wprawdzie nie opierał swej krytyki na teorii Freuda, ale na czymś równie niesmacznym. Jakby go słyszała: „Przytłaczająca miłość, trzymanie się spódnicy siostry...”

Najbardziej jednak przerażała ją myśl, że może się wcale się nie dowiedzieć, co Benson powiedział. Kiedy Martin ją uprzedził, że psychiatra nie ma zamiaru informować jej o wyniku badań, obraziła się.

- Nie masz prawa do informacji - oświadczył kategorycznie. - To Jim jest pacjentem Tony'ego, nie ty.

Jimmie mi powie, pocieszała się. Jakoś to z niego wyciągnę.

Nie miała zamiaru sondować brata w obecności Martina. Spędzą miły wieczór we trójkę, jak zawsze w poniedziałek. Wstawiła butelkę wina do lodówki i zrobiła ulubione zakąski Jima - koktailowe parówki nadziewane serem i owinięte plasterkiem bekonu; teraz trzeba je tylko zapiec.

Przyjechali później niż zwykle. Andrea zaczęła już ze zdenerwowania mówić do siebie: „Przecież on wie, jak się martwię... Jest nieodpowiedzialny... bezmyślny...” Kiedy drzwi kuchenne wreszcie się otworzyły, promienny uśmiech, który przybrała na tę okazję dwie godziny temu, zaczął zniknąć z jej twarzy. Pośpiesznie wstawiła parówki do piecyka. Nie powiedzieli „cześć” ani „jak się masz”, ani „przepraszamy za spóźnienie”. Kończyli rozpoczętą wcześniej dyskusję na temat podniesienia wieku uprawniającego do kupowania alkoholu.

- Ze statystyki wynika, że się mylisz - perorował Martin. - W grupie wiekowej od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat zdarza się najwięcej wypadków spowodowanych jazdą po pijanemu.

- Statystyka nie zajmuje się jednostkami. W ten sposób prawo karze mnie za cudze przestępstwa.

Andrea obróciła się do nich.

- O, cześć! - zawołała z wymuszoną wesołością.

- Cześć - odparł Jim i rzucił kurtkę na podłogę. - Martin, chodzi mi o to, że...

- Jesteście spóźnieni.

- Przepraszamy. Reba nas przyłapała. Pytała, czy przyjdziemy do niej na świąteczny obiad.

- Nie mogę planować tak długo naprzód. Chciałabym wiedzieć, co będę robić za tydzień.

- Pewnie to samo, co zawsze - stwierdził Jim. Andrea dała sobie spokój z udawaniem.

- Kiedy masz następną wizytę? Spojrzał na nią obojętnie.

- Och, masz na myśli tego psychiatrę? Już koniec.

- Wiem, że z doktorem Bensonem koniec. Ale co ci kazał robić dalej?

- Coś się chyba przypała.

Andrea odwróciła się z krzykiem. Parówki były stracone. Bekon spalił się na węgiel, prawie cały ser wypłynął na blachę.

- Hej, właśnie takie lubię! - zawołał Jim na widok jej żalostnej miny.

Martin pochwycił wściekle spojrzenie Andrei.

- Tony proponuje - rzekł pośpiesznie - żeby Jim się przyłączył do grupy dyskusyjnej młodych ludzi w jego wieku.

- No i co? - spytała Jima, podpierając się pod boki. - Masz zamiar go posłuchać?

- Jak sobie życzysz.

Podmuchał na zwęgloną parówkę i wpakował ją sobie do ust.

- A ty sam na co masz ochotę?

- Myślę, że jeśli wy dwoje skończyliście już z rozbieraniem mnie na części pierwsze, to może wreszcie pozwolicie mi wrócić do tego, co najbardziej lubię robić.

- To znaczy? - spytał Martin.

- Cieszyć się życiem - odparł Jim i sięgnął po następną parówkę.

*

Andrea nie mogła się już doczekać rozmowy z Martinem. Pognała za nim, ledwie wyszedł z kuchni.

- Chcę go zapytać o plany na święta - wyjaśniła Jimowi.

Chłopak przewrócił oczami i wyszczerzył zęby.

- O, doprawdy?

- Jesteś obrzydliwy.

- Nie sędzę, by w tym było coś obrzydliwego. Uważam, że to urocze.

Andrea uciekła.

Martin czekał na nią. Otworzył drzwi, jeszcze nim zapukała.

- Powinniśmy przestać spotykać się w ten sposób - rzekł wpuszczając ją.

- Mogłabym cię udusić. Was obu. Specjalnie unikacie tematu...

- Przygotowywałem swój żołądek na wielką porcję żab - odparł wykrzywiając się.

Dopiero po chwili dotarł do niej sens tych słów.

- To znaczy...

- Uhm... Tony nie zagłębiał się w szczegóły. Powiedział, że gwałci wszystkie zawodowe zasady, mówiąc mi nawet tyle. Słowem, kupił wyjaśnienie Jima co do tych kapsulek. Według jego opinii jest zupełnie nieprawdopodobne, by chłopak chciał popełnić samobójstwo.

Andrea poczuła tak głęboką ulgę, że aż zaniemówiła. Martin jednak nie wytrwał w swej szlachetności do końca.

- Zaleca też usilnie, by Jim się od ciebie wyniósł - dodał złośliwie.

Była zbyt szczęśliwa, by wziąć tę uwagę na serio.

- Wiedziałam, że coś takiego powie. Psychiatrzy są tacy cyniczni. Trudno im uwierzyć w normalne więzy łączące kochającą się rodzinę.

- Zejdźże wreszcie z obłoków - prychnął Martin. - Nie przypuszczasz chyba, że Jim zamierza spędzić tutaj resztę życia, prawda? Jego kalectwo nie jest aż tak poważne, ludzie daleko bardziej upośledzeni robią kariery, żenią się, zakładają rodziny. Mógłbym przysiąc, Andreo, że wiem, co ci się roi: ty i Jim za pięćdziesiąt lat - stara panna i stary kawaler - siedzicie tu jak dwa gołąbki, uprawiacie swoje nieszkodliwe hobby, wyjałowieni, pomarszczeni, zasuszeni...

- Jesteś największym ordynusem, jakiego znam! - rozzłościła się Andrea. - Nie rozumiem, po co w ogóle cię słucham.

- Ponieważ wiesz, że mam rację. Jim powinien się starać o powrót do college'u. Prawdopodobnie już na to za późno. Trzeba było dawno złożyć podanie.

- Mówisz bez sensu. Termin składania podań minął, gdy Jim dopiero co wrócił ze szpitala. Potrzebował czasu na rekonwalescencję.

Martin wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Widzisz? - zwrócił się do Szatana. - Po co ja sobie zawracam głowę?

- Nie wiem - odpowiedziała. - Chcę tylko, abyś przyznał, że się myliłeś co do...

- O, nie! - Martin zrzucił stos książek z krzesła i usiadł. - Gwiżdżę na gadanie Tony'ego. Ja nie kupiłem wersji z wypadkiem. Tamtej nocy Jim chciał pozbać się życia. Coś sprawiło, że się rozmyślił. Nie wiem, co to było, a on nie ma ochoty o tym mówić. Ale niewątpliwie się zmienił. Choćby dlatego, że stracił swoje obsesyjne, chorobliwe zainteresowanie Alicją Fairfax.

- O czym ty mówisz?

- Wiesz, o czym. Ty pierwsza zauważyłaś to makabryczne zainteresowanie cmentarzem. Miałaś rację, a ja się myliłem. Wielkie brawa dla ciebie, a dla mnie jeszcze jedna żaba. Daj spokój, Andy, przecież musiałaś wiedzieć, że Jima interesuje Alicja, a nie Mary. Jej pokój na wieży, grób na cmentarzu...

- Grób Alicji?

- Czy ty nie masz ani krztyny wyobraźni? - ofuknął ją. - Grób Alicji znajduje się tuż obok grobu jej matki. Czemuż to Mary chciała leżeć właśnie tam, zamiast dać się uczciwie pochować na episkopalnym cmentarzu, obok swego ojca? Po co kazała wyryć na nagrobku taki napis, jeśli nie miało to być ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń?

„Nie ważcie się ruszać moich kości, chcę zostać tutaj!” I jeszcze ta róża...

- Sam mówiłeś, że to niemożliwe, by róża przetrwała tak długo. Coś sobie ubzdurałeś...

- Nie powiedziałem „niemożliwe”, tylko „niezwykłe”. Nie mogę udowodnić, że Mary zasadziła tę różę na grobie córki. Zresztą, nieważne. Może zrobiła to kuzynka Berta za czasów swej młodości, kiedy zauważyła grób i zrobiło się jej żal dziewczyny, która zmarła w wieku zaledwie siedemnastu lat. To takie romantyczne... Ty byś

pewnie powiedziała: ckliwe, sentymentalne. Ale uważam, że tak właśnie można by wytłumaczyć fantazje Jima na temat Alicji. Dzisiejsza młodzież nie wyzbyła się romantyzmu, ona tylko nauczyła się go ukrywać. Jim był wytracony z równowagi i jego sekretne fantazje zwróciły się przeciw niemu.

Andrea doszła do podobnych wniosków, ale zrozumiawszy, zadowolony z własnej przenikliwości wyraz twarzy Martina powstrzymał ją od przyznania mu racji.

- Nadal nie rozumiem, czemu jesteś przekonany, że Alicja tam leży. To tylko przypuszczenia.

- To fakt, moja droga. I Jim o tym wie. Wszystko jest w książce, którą pożyczył od Reby.

- W jakiej książce? Popatrzył na nią z politowaniem.

- Gdybyś potrafiła znaleźć czas na odrobinę marzeń, odrobinę wesołości, gdybyś poświęciła choć trochę uwagi temu, co myślą inni... Ale cóż, pewnie to nie twoja wina. Ty nigdy nie masz czasu, prawda? Książka, o której mówię, zawiera dokumentację miejscowych cmentarzy. Autor przepisywał inskrypcje z nagrobków na cmentarzu Springerów w 1938 roku. Wtedy wiele z nich jeszcze stało. Nie było wśród nich nagrobka Mary, za to ten Alicji przetrwał nienaruszony. Facet przepisał nazwisko i daty. Tylko to odczytał na płycie.

- I Jim cały czas wiedział? Czemu nic nie mówił? - Wyśmiałybyś go.

- No nie! - Andrea zerwała się na równe nogi. - - Dość mam już obelg, Martinie Greenspan! W razie, gdybyś zapomniał, przypominam ci, że to ja miałam rację. Żryj swoją żabę i mam nadzieję, że się nią udławisz!

*

- Zajęta? - spytał Martin, wsuwając głowę do kuchni.

- Tak - odparła Andrea, nie podnosząc głowy. Wślizgnął się nieśmiało i usiadł na kanapie jak pacjent

w poczekalni lekarza. Andrea nie zwracała na niego uwagi. Co za denerwujący facet! Choć właściwie fakt, że nie potrafił chować urazy, stanowił jedną z jego najcenniejszych zalet. Można go powalić na łopatki, urządzić piekielną awanturę z wrzaskami, a on następnego dnia będzie znów uśmiechnięty i przyjazny.

Dłużej niż zwykle ślęczała nad rachunkami. Wreszcie spojrzała na niego z rezygnacją.

- Tak?

- Co robisz? Miesięczny bilans?

- Tak.

- Jesteś podejrzanie wesola. Kiedy ja robię rachunki, zawsze wpadam w okropny humor.

- A mnie jest wesoło. - Cała, od stóp do uśmiechniętej twarzy, tryskała wprost euforią. Wyrzuciła w górę obie ręce gestem zwycięstwa. - Martin, wychodzę na prostą! Idzie mi lepiej, niż mogłabym się spodziewać. Tak cholernie ryzykowałam na początku! Włożyłam w ten interes wszystkie pieniądze, co do grosza. Czasem leżałam, nie mogąc zasnąć, dodawałam w myśli te nie kończące się kolumny i myślałam, że chyba mam źle w głowie. Ale teraz jestem pewna. Wszystko będzie dobrze!

- To wspaniale. Zasłużyłaś na sukces.

- Ty mi bardzo pomogłeś. - Andrea wpadła w wylewny nastrój. - To będzie najwspanialsza Gwiazdka w moim życiu. A jeszcze nie zaczęłam zakupów. Co chciałbyś dostać? - Usłyszała, że wstrzymał oddech i uśmiech na jej twarzy zgasł. - Przepraszam. Może traktuję cię zbyt bezpośrednio.

- Masz pożałowania godną skłonność do wygłaszania komunałów. Nie myślałem o tym, co przypuszczałaś. Przypominałaś mi małą dziewczynkę liczącą dni do pojawienia się Świętego Mikołaja. Chyba po raz pierwszy, odkąd cię znam, wyglądałaś na absolutnie szczęśliwą.

- Bo po raz pierwszy mam do tego powody. - Zaczęła wyliczać z namaszczeniem na palcach. - Jestem wypłacalna... Co za paskudne określenie na tak cudowne uczucie! Jim jest zupełnie zdrowy. Mam piękny, uroczy dom. Mam przyjaciół...

- Chyba jednak wolę twoją zwykłą kaśliwość - rzekł złośliwie Martin. - Ta promienna słodycz w ogóle do ciebie nie pasuje.

- Jesteś stary zrzęda. - Andrea podparła brodę rękami. - Będziemy mieli olbrzymią choinkę... - Rozmarzyła się. - Mam ozdoby jeszcze roboty mojej mamy... I na strychu są całe stopy pudeł Berty... Ogromny indyk ze wszystkimi szykanami... Gałązki ostrokrzewu i sosny, cały dom ozdobiony girlandami... Pójdziemy na pasterkę, będziemy śpiewać kolędy i słuchać organów. Spędzisz z nami święta, prawda? Czy może... Och, przepraszam, nie pomyślałam. Ty przecież nie uznajesz Bożego Narodzenia?

- Jestem fanatykiem ekumenizmu - odparł poważnie. - Nie widzę nic obraźliwego w nieszkodliwym świętowaniu. Będę zaszczycony, Andreo. Mogę nawet iść do kościoła. Co chcesz dostać pod choinkę?

- Nie musisz przecież...

- Zapomnij o tym pytaniu. Pewnie zażyczyłabyś sobie coś nudnego i praktycznego. Może nową miotłę? Będę musiał sam ruszyć głową.

Andrea wyciągnęła kartkę.

- Muszę zaplanować zakupy. Chciałabym kupić Jimowi coś naprawdę wspaniałego. Jakieś części do wieży stereo, a może nawet magnetowid? - Spojrzała na Martina. - Przyszedłeś tu z konkretnego powodu, prawda?

- Przyniosłem ci pocztę. Masz tu paczuszkę od Johna Williama Holdermana.

- Obiecał mi zdjęcia. - Zaczęła niecierpliwie rozpakowywać przesyłkę.

- Ja myślę. Ciekaw jestem, jak wyszły.

Przesyłka była zapakowana w brązowy papier i oklejona całymi metrami taśmy z pieczołowitością, jakiej należało się po Holdermanie spodziewać. Wewnątrz znajdowało się solidne tekturowe pudełko i biała koperta.

- Oszukujemy państwową pocztę - oznajmił Martin z satysfakcją. - Prywatnych listów nie wolno przysyłać w paczkach. I cóż on pisze?

Andrea wręczyła mu arkusik. Martin, który jak wielu spikerów i wykładowców upajał się dźwiękiem własnego głosu, odczytał jej list.

- „Szanowna Panno Torgesen, brak mi słów, by podziękować Pani za uroczę...” bla - bla - bla i tak dalej... „Szczerze zachwycony...” hm, hm... „...zjadliwy dowcip pana Greenspana...” - Martin uśmiechnął się niewinnie. - Bardziej zjadliwy niż dowcipny, co?

- Raczej prostacki - odparła Andrea, mocując się z taśmą.

- „...podczas gdy Pani zachowywała się jak idealna gospodyni tak wyjątkowo efektownego domu...” I dalej: „Ciekawe, jak aparat fotograficzny potrafi utrzymywać kształty niedostrzegalne ludzkim okiem.” O co mu może chodzić?

- Zobaczymy. - Andrei wreszcie się udało otworzyć pudełko. Odbitki wykonane na błyszczącym papierze miały wymiar dwanaście na osiemnaście centymetrów. Była ich prawie setka. - Są fantastyczne! - wykrzyknęła z zachwytem. - Spójrz na ten detal obudowy kominka

w salonie! Wcale nie zauważyłam, że to konik morski myślałam, że zwykły zawijas. Pewnie właśnie o to mu chodziło, gdy pisał o utrwalaniu rzeczy niedostrzegalnych ludzkim okiem.

- Nie - odparł Martin. - Przypuszczam, że miał na myśli to.

Spojrzała, zdumiona dziwnym tonem jego głosu. W milczeniu wręczył jej oglądane przed chwilą zdjęcie.

Przedstawiało wieżę fotografowaną nie z samego dołu, ale mniej więcej z połowy wysokości. Początkowo nie potrafiła sobie wyobrazić, gdzie Holderman znalazł odpowiednie miejsce do takiego ujęcia, ale potem przyszła jej na myśl jabłoń. Musiał się wdrapać na sam czubek i w dodatku wychylić pod niebezpiecznym kątem, gdyż wycelował obiektyw prosto w daszek. Było to niezwykle i dość przerażające ujęcie; wydawało się, że cała budowla wali się z wolna na fotografa i za chwilę go zmiażdży.

Zdjęcie ukazywało dwa okna wieży. W jednym z nich, północnym, majaczył niewyraźny kształt ludzkiej postaci.

- Pewnie Jim stanął akurat w oknie - stwierdziła Andrea.

- To nie Jim.

- Więc jakieś odbicie. Może chmura?

- Tego wieczoru niebo było bezchmurne.

- No więc co?

- Nie wiem.

Andrea ponownie przyjrzała się fotografii. Im bardziej się w nią wpatrywała, tym mniej wyraźna wydawała się postać w oknie.

- To może być cokolwiek. Gra światła...

- Trudno coś stwierdzić - przyznał.

- No dobrze, Martin. - Andrea odchyliła się na krześle i założyła ręce, uzbrajając się w cierpliwość. - Znam ten ton. Gadaj, co myślisz.

- Właśnie tak zginęła Alicja Fairfax. Wypadła, czy też wyskoczyła z tego okna.

Andrea milczała dłuższą chwilę.

- Skąd wiesz? - wykrztusiła wreszcie.

- Z gazet, oczywiście. To źródło wszelkiej wiedzy. Szukałem dość długo. Nie było indeksu, poza tym nie znałem dokładnej daty.

- Wyskoczyła czy wypadła?

- To samo pytanie stawia gazeta. W takich wypadkach nigdy nie ma pewności, chyba żeby zostawiła list. Ale najwyraźniej tego nie zrobiła.

- I ty oczywiście uważasz, że wyskoczyła. Wymyślasz nową fabułę?

- Oceniam materiał dowodowy. - Martin nie dawał się sprowokować. - Twoje przeżycie przy tym samym oknie... I teraz ta fotografia.

- To żaden dowód. - Andrea odsunęła zdjęcie. - To smuga światła. I sam mówiłeś, że wiele osób odczuwa na dużej wysokości impuls do wyskoczenia.

- Och, masz rację. Mówiłem różne rzeczy, przeważnie same głupoty.

- Więc teraz już wierzysz w upiory, duchy i dolegliwości żołądkowe Reby?

- Czułbym się lepiej, gdybym wierzył - rzekł żałośnie. - Wszystko jest lepsze od tego jakiegoś stanu niezdecydowania, w którym ostatnio tkwię.

- To twój problem, nie mój. Ja jestem absolutnie usatysfakcjonowana i nie zamierzam dłużej zaprzętać sobie głowy tą sprawą. Teraz jadę na świąteczne zakupy.

- Proszę bardzo. Co mógłbym zrobić, żeby wnieść jakiś udział do nastroju powszechnej radości? Byłby ze mnie znakomity Święty Mikołaj, nie uważasz? - Poklepał się po brzuchu.

- Chyba straciłeś ostatnio na wadze. Potrzebowałbyś poduszki do tej roli.

- Pochlebstwem osiągniesz wszystko - odparował, ale wyglądał na zadowolonego.

Andrea starała się powstrzymać uśmiech. Mężczyźni zarzucają kobietom próżność, ale sami nie są lepsi.

- Niestety, wszyscy wyrosliśmy już ze Świętego Mikołaja. Mam zamiar namówić Rebę, żeby przyjęła zaproszenie na świąteczny obiad. Już czas, aby dała sobie spokój z tymi bzdurami.

- Nie wybijesz nikomu z głowy irracjonalnych myśli samym stwierdzeniem, że są irracjonalne.

- Może te myśli nie są aż takie irracjonalne. - Martin podniósł brwi, ale Andrea się roześmiała. - Nie, nie zaczęłam wierzyć w duchy. Ale jestem pod wrażeniem tego, co mówił Holderman. Wiesz, że silne emocje zostawiają coś w rodzaju psychicznego piętna. Tak właśnie mogło być w przypadku Reby. Kiedy zrozumie, że to jest nieszkodliwe, bezosobowe - przestanie się bać.

- Możliwe - zgodził się bez przekonania.

- Więc gdy będziesz z nią rozmawiał, staraj się pozbyć tego powątpiewającego tonu. Trzeba ją zmusić, by uwierzyła w tę teorię. To będzie połowa wygranej.

- Boże, jak to cudownie mieć na wszystko odpowiedź! - westchnął Martin.

*

Jim odniósł się do świątecznych planów Andrei ze wzruszającym entuzjazmem.

- Coś zbyt ostentacyjny ten zachwyty - mruknął Martin. - Nie podoba mi się.

Andrea namówiła go do pomocy w cięciu gałązek do przystrojenia domu. Lodowaty wiatr dał im prosto w twarz, gdy brnęli przez łąkę w kierunku drzew. Zeschnięte chwasty szeleściły pod kaloszami Martina. Kupił je niedawno i okazały się trochę za duże, więc potykał się ciągle o własne nogi.

- Ciebie nic nie zadowoli - gderła Andrea. - Najpierw narzekasz, że wygląda jak zagubiony szczeniak, a teraz, że się za bardzo cieszy. Zdecyduj się na coś.

- Normalny stan znajduje się pośrodku, między depresją a euforią. Ten dzieciak właśnie jest w euforii. Zachowuje się jak zakochany... albo jak ktoś, kto odnalazł Chrystusa.

- Jesteś świnia. Uważaj na królicze nory. Martin potknął się i zatoczył, ale nie upadł.

- Chyba się nie narkotyzuje?

- Kto, Jim? Ty już nie masz innych tematów?

- Jeśli tak jest, chciałbym wiedzieć, kto jest jego dostawcą - mruknął Martin. - Chłopak jest na permanentnym haju. Całkiem jakby...

- To drzewo jest ładne i dobrze rozrośnięte - przerwała mu Andrea. - Wolisz zbierać szyszki czy ścinać gałązki?

- Nie jestem zbyt mocny w kolanach, jakby powiedziała pani Horner. Wolę ścinać.

- Ty stary ramolu.

- Mam czterdzieści sześć lat - bronił się. Przez parę minut oddawał się pilnie cięciu gałązek. - Mógłbym być ojcem Jima.

Andrea nie odpowiedziała. Martin postanowił zwiększyć dawkę prowokacji.

- Znalazłaś w jego biurku jakieś nowe wiersze?

- Niech cię szlag trafi. - Andrea wrzuciła do koszyka pełną garść szyszek, po czym wyprostowała się, próbując wepchnąć z powrotem włosy wymykające się spod włóczkowej czapki. - Szpiegowałeś mnie?

- Ludzie, których życie toczy się na widoku...

- Przecież mnie chyba nie posądzasz, że chciałam go śledzić. Musiałam. Nigdy przedtem nie pozwalałam sobie na coś takiego. No, przynajmniej niezbyt często. Wiesz, kiedy był w szkole, tyle się mówiło o narkotykach... Uważałam to za swój obowiązek.

- Nie tłumacz się tak mętnie. - Martin rzucił sekator i klapnął ciężko na zwalony kłoc. - Znalazłaś jakieś proszki?

- Założył plantację marihuany. W szafie, przy sztucznym świetle.

- Całkiem pomysłowe - uśmiechnął się. - Nie odpowiedziałaś na moje pierwsze pytanie.

Poklepał zapraszająco pień i po chwili Andrea, wrzuciwszy ramionami, usiadła. W lesie panowała wielka cisza. Latem ścieżki były prawie nie do przebycia. Splątane jak w dżungli pędy wiciokrzewu i sięgające pasa chwasty rosły dziko, niczym nie skrępowane w sprzyjającym wilgotnym i gorącym klimacie. Teraz kruche szkielety badyli i zeschnięte liście leżały płasko przy ziemi, a igły sosnowe wydzielaly łagodną, balsamiczną woń. Krąg zachodzącego słońca wisiał jak wielki purpurowy owoc w sieci konarów.

- Nie sprawdzałam, odkąd się przeprowadził na wieżę - odpowiedziała w końcu.

- Dlaczego?

- Mówiłam ci. Brzydzę się tym.

- Nie lubisz tego pokoju, prawda?

- To nie ma nic do rzeczy. Nie sprawdzam, ponieważ uważam, że nie ma takiej potrzeby. Sam powiedziałeś: jest szczęśliwy...

- Ciągle myślę o tym utworku, który mi pokazałaś.

- A ja już o nim zapomniałam.

- Nie gadaj głupot. Wiersz był marny, ale te obrazy wciąż mnie prześladowają. Mapa drogowa, zawałone mosty... Te metafory odnoszą się do jego zachowania w ciągu ostatnich miesięcy. Czegoś szukał. Jeden narwany pomysł za drugim, jedna droga za drugą - i żadną nie da się przejechać...

- A teraz już znalazł.

Spodziewała się zaprzeczenia. Martin jednak pokiwał głową.

- Owszem, znalazł. Chciałbym tylko wiedzieć, co to takiego.

Parę dni przed świętami Andrea siedziała w swoim pokoju i pakowała prezenty. Na drzwiach wywiesiła kartkę z napisem: „Wstęp wzbroniony. Proszę pukać. Ciebie też to dotyczy!” Jim prawdopodobnie zajmował się u siebie tym samym. Wywieszka na jego drzwiach brzmiała o wiele dosadniej.

Na łóżku poniewierały się szpulki purpurowej, złotej i zielonej wstążki. Sztywny, kolorowy papier szeleścił pod palcami Andrei. Radio nastawione na lokalną stację nadawało koncert muzyki związanej z Bożym Narodzeniem. Andrea była w tak znakomitym nastroju, że nawet oklepiane przeboje Dzwonią dzwonki i Widziałem, jak mama całuje Świętego Mikołaja wywoływały uśmiech na jej twarzy. Z tradycyjnych rekwizytów brakowało tylko śniegu i według prognoz pogody raczej nie należało się go spodziewać, choć niskie, ołowiane chmury wyglądały groźnie, a gałęzie drzew trzeszczały od porywistego wiatru.

Interesy w poprzednim tygodniu szły trochę gorzej, ale już od dziewiętnastego do dwudziestego czwartego Andrea miała komplet rezerwacji. Z okazji świąt organizowano „otwarte dni”, marsze i inne obchody; w przyszłym roku, być może, Ladiesburg doczeka się własnego festiwalu. Andrea spisała pomysły, które miała zamiar przedstawić na następnym zebraniu Stowarzyszenia Kupców. Zajazd oczywiście odgrywał w tych planach znaczną rolę. Świąteczne dekoracje miały pokazać mieszkańcom, że Andrea potrafi się trzymać stylu tradycyjnego, wiktoriańskiego Bożego Narodzenia. Stąd wieńce, jedlina, duże kokardy z czerwonego aksamitu i ozdoby ze szklanego włókna odziedziczone po kuzynce Bercie. Wszystko już było gotowe oprócz samego drzewka i girland z bukszpanu i gałązek sosnowych, które miały obramowywać drzwi, kominki i lustra. Jedlina wysycha w domu tak szybko, że z girlandami należało poczekać do ostatniej chwili. Dekorowanie zajmie cały dzień, ale to przyjemne zajęcie, a Jim i Martin na pewno pomogą.

Biedny Martin. Tak bardzo starał się udawać świąteczny nastrój, ale Andrea wiedziała, że w głębi serca czuje zupełnie co innego. I nie chodziło bynajmniej o skrupuły natury religijnej. Gotów był rozebrać się do rosołu, wymalować na niebiesko i z całkowitym spokojem towarzyszyć starożytnym Druidom w ich pogańskich obrzędach,

gdyby tylko przyszła mu taka ochota. Andrea dobrze wiedziała, co mu jest. Żeby tak potrafiła go przekonać, że nie ma powodu...

Skończyła wiązać kolejną kokardę i rzuciła okiem na portret wiszący przy drzwiach. Nie mogła pojąć, co ją w nim kiedyś niepokoiło. Był naprawdę śliczny. Łączył w sobie urok prymitywu z talentem nie wyszkolonego jeszcze, ale nie budzącego wątpliwości artysty. I co za twarz... Nie to, że piękna. Policzki i czoło znaczyły głębokie ślady burz życiowych. Ale jaka siła, jaki charakter!

Andrea uniosła dłoń gestem pozdrowienia i zachichotała cichutko. Nie, Martin nigdy by tego nie pojął. Uważa, że jest ograniczona i pozbawiona wyobraźni, chociaż naprawdę to on jest ograniczony. Jak wszyscy samozwańczy sceptycy ma zakorzenioną głęboko w podświadomości wiarę w przesady. Gdy tylko zetknie się z czymś niezwykłym, jego pierwszą reakcją jest lęk.

Prawdę rzekłszy, na początku i ona się przestraszyła. Ale też od samego początku zdawała sobie sprawę z tej wspomagającej, podnoszącej na duchu siły. Jak inaczej zniosłaby tę morderczą harówkę i straszliwe zdenerwowanie, które załamałyby większość ludzi na jej miejscu? Zawsze czuła przy sobie... nie, nie żadną zjawę czy pokutującą duszę, to nonsens, ale piętno woli tak silnej, że zdolnej nawet po upływie połowy wieku wspomóc kobietę o podobnym charakterze i podobnych pragnieniach. Andrea potrafiła czerpać z tej siły, ponieważ ona i Mary mają ze sobą tyle wspólnego. Umysł ukształtowany według innego wzorca nie mógłby tego wyczuć, tak jak ciało odrzuca przeszczepiony organ pochodzący od niewłaściwego dawcy.

Czemużby prawda nie miała tak właśnie wyglądać? A jeśli nawet nie... komu szkodzi, że ona w to wierzy? Wielu ludzi ma swoje prywatne przesady. Mary - to jej talizman, maskotka, anioł stróż.

Biedny Martin... Zaprosiła go na święta wiedziona nagłym, spontanicznym impulsem, ale nie żałowała tej decyzji. Naprawdę bardzo go lubiła. Jest czasem narwany, ale poza tym uroczy, zabawny i absolutnie niezawodny. Tyle mu zawdzięczała. Ma nadzieję, że zostaną przyjaciółmi nawet po jego wyjeździe. Oczywiście nic więcej nie wchodzi w rachubę. Wcale nie z tych obraźliwych dla niej powodów, które sugerował. Po prostu nie pociąga jej ani fizycznie, ani romantycznie. W dodatku jest przekonana, że i on w gruncie rzeczy nic takiego do niej nie czuje. Zakochany mężczyzna nie trzyma się tak

na odległość. Szuka fizycznego kontaktu, bliskości. Martin dojrzał do małżeństwa, jego problem polegał na lęku przed wizją samotnej starości. Wmówił sobie, że ją kocha, ponieważ tylko ona jest pod ręką. To samo byłoby z każdą inną kobietą. Gdyby miał żonę, rodzinę, przestałby wreszcie wtrącać się w życie jej i Jima.

Cała sprawa zainteresowania Jima zmarłą dziewczyną... Jakie to typowe dla Martina, że dopatruje się w tym samych najgorszych rzeczy. Uważa, że to nienormalna, chorobliwa fantazja. A tymczasem chodzi tylko o marzenia wrażliwego chłopca, przelotne zauroczenie, nie bardziej niebezpieczne niż jej własne młodzieńcze "namiętności" do gwiazd filmowych czy bohaterów sensacyjnych powieści.

Tak by ją cieszyło towarzystwo Martina, gdyby wreszcie przestał się jej czepiać w związku z Jimem. Chłopak był powodem niemal wszystkich kłótni. Oczywiście, pragnęła dla brata normalnego życia. Mógłby za jakiś czas wrócić do college'u, kiedy poczuje się wystarczająco dobrze. W okolicy jest kilka doskonałych niedużych uczelni. Może zechce zamieszkać w kampusie... cóż, to będzie jego decyzja, chociaż gdyby miał własny samochód... Przyjąwszy, że interesy nadal układałyby się tak dobrze, mogłaby mu na jesieni zafundować auto...

Jeśli Jim zechce się wyprowadzić, nie będzie go zatrzymywać. Ale czemu jego wizja przyszłości miałaby kolidować z jej planami? Razem mogą odnieść sukces z tym zajazdem. Festiwal gwiazdkowy, sławny i popularny jak ten w Williamsburgu, sklep z upominkami, restauracja... jest tyle możliwości! Niewielu młodych ludzi dostaje na srebrnej tacy klucz do kariery, szansę, by być szefem, a nie wyrobnikiem na byle jakiej posiadce...

Zawiązała czerwoną kokardę na kolejnej paczce. Dołączyła ją do innych, piętrzących się na łożku. Biedny Martin. Trzeba będzie mu znaleźć miłą żonę.

*

Następnego ranka obudziła swych pomocników już o świcie. Po doświadczeniach z taśmą do maszyny nie zaskoczyła jej beznadziejna nieporadność Martina w czynnościach manualnych. Dwa razy spadł z drabiny, przytrzasnął sobie młotkiem kciuk i jeszcze zaplątał się w girlandę.

Z pani Horner też nie miała wiele pożytku. Co parę minut latała do drzwi, żeby podziwiać postępy w dekorowaniu, mrużąc przy tym

do siebie: „Jejku, ale ładnie”. Tego dnia przywiozła jednak całe pudło domowych ciasteczek, o których Jim się wyraził, że są warte grzechów całego świata.

Po południu pokoje na dole wyglądały naprawdę pięknie. Nawet Martin, ssąc z roztargnieniem obolały kciuk, przyznał, że wynik wart był wysiłku.

- Zapomnieliśmy o czymś - rzekł rozwalony na schodach Jim. - Nie mamy jemioli.

- Dzięki Bogu, to ziele nie rośnie w okolicy. Inaczej twoja siostra zażądałaby, żebym wlaź po nie na drzewo.

- Musimy mieć jemiolę - upierał się chłopak. - Może uda się zdobyć ją w mieście. Czy nie musimy już jechać?

- Jeśli nie możesz się obejść bez jemioli, to się o nią postaraj - odparła Andrea, składając drabinę.

- Mamy przecież zaproszenie do Sue na „dzień otwarty” - przypomniał Jim.

- O cholera, na śmierć zapomniałam. Nie mogę iść. Nie zaczęliśmy nawet ubierać drzewka.

- Możemy to zrobić wieczorem. - Jim wstał i objął Andree ramieniem. - Ze wszystkimi szykanami. Zaśpiewamy kolędy, zrobimy poncz i wszystko, co trzeba. Chodź, Andy.

- Jutro przyjeżdża dwójka gości, a pojutrze czwórka - zaczęła Andrea.

- Pomożemy ci jutro. Prawda, Martin?

- Jasne. - Martin popatrzył na nich i uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Już ja wiem, ile jest warta wasza pomoc - rzędziła Andrea, ale nie mogła się oprzeć błagalnemu uściskowi Jima.

Zwykle unikał wylewności, jak każdy chłopak, ale ostatnio coraz częściej zdarzało mu się demonstracyjnie okazywać uczucia. Andrea wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek. Jeszcze parę lat temu otrząsnąłby się i skrzywił. Teraz zrewanżował się jej serdecznym pocałunkiem.

- Będzie fajnie, zobaczysz. Nie musisz się przebierać. Sue mówiła, żeby przyjść tak, jak się stoi.

Naturalnie Andrea nie zamierzała słuchać tych bzdur - tylko mężczyzna mógłby wymyślić taki absurd! Wiedziała, że każda baba na przyjęciu będzie wystrojona od stóp do głów. Zaczęła więc grzebać w szafie w nadziei, że znajdzie jakąś zapomnianą kreację pasującą na

taką okazję. Oczywiście nic nie znalazła. Od roku nie kupowała sobie nic nowego, a suknie, które dotąd uważała za najlepsze, straciły elegancki wygląd. Skończyło się znowu na zielonej wełnianej. Z nachmurzoną miną zapięła pasek. Przynajmniej kolor był odpowiedni.

Musieli zaparkować w pewnej odległości od sklepu z wikliną. Większość stojących tam aut należała do gości Sue; inne sklepy właśnie zamykano. Kiedy szli ulicą, otworzyły się drzwi „Przeszłości i Teraźniejszości”. Stał w nich Al Wyckoff.

- Na przyjęcie do Sue? - zawołał.

- Owszem. A ty nie idziesz?

- Właśnie zamykałem. Andy, mam dla ciebie ramę, myślę, że dokładnie taką, o jaką ci chodziło. Wstap i obejrzyj.

Weszli więc wszyscy i zaczęli myszkować po sklepie. Martin przeglądał stare książki, Jim podziwiał kolekcję zabytkowych narzędzi. Rama była w sam raz - nie za szeroka, nie za ciężka ani nie tak przesadnie zdobiona jak te, które Andrea dotąd oglądała. Poza tym w doskonałym stanie. Może pozłotka trochę obłaziła, ale delikatne wypukłości z papier - mache były nienaruszone.

Andrea nie wyglądała na zdecydowaną. Z zasady.

- Trudno znaleźć ten rozmiar - rzekł pośpiesznie Wyckoff. - No i jest w świetnym stanie.

- Niezła. Ile za nią chcesz?

- Oddam ci po cenie kosztów. - Wymienił kwotę, która wydała się Andrei rozsądna, choć bynajmniej nie niska. Sięgnęła do torebki.

- Co w nią oprawisz? - zainteresował się Jim.

- Portret Mary, Mówiłam ci, że chcę go powiesić w holu. Co sądzisz o tej ramie?

- Chyba dobra. Skąd wiesz, że będzie pasować?

- Zmierzyłam ją, głuptasie.

Wręczyła Wyckoffowi pieniądze, a ten zabrał się do pakowania.

- Przy okazji, Andy, zdecydowałam się na coś w związku z bronią?

- Nie chcę przed świętami myśleć o takich rzeczach.

- Kogo masz zamiar zastrzelić? - zdumiał się Jim.

- Nikogo. Al sądzi...

- Nic nie sądzę, tylko wiem. Żyjemy w buszu i każdy właściciel nieruchomości ma prawo się bronić.

Od strony, gdzie Martin ostentacyjnie zajmował się lekturą, rozległo się niezręcznie stłumione prychnięcie.

- Nie kłóćcie się teraz - rzekła stanowczo Andrea. - Wiem, że nie zgadzacie się prawie na żaden temat, ale nie mamy czasu na dyskusje.

- Ja też jestem przeciwnikiem broni - wtrącił się Jim. - Ale, panie Wyckoff, pan nie zna mojej siostry. Ona nie musi strzelać. Niech Bóg ma w opiece frajera, który ośmieliłby się stanąć na jej drodze.

- Nie wiem, czy stać by cię było na dowcipy, gdyby tak którejś nocy Gary Joe się do was włamał i ...

- Och, na litość boską! - wykrzyknął Jim tracąc cierpliwość. - Mam wyżej uszu gadania o Garym Joe. - Próbujecie z niego zrobić jakiegoś miejscowego Kubę Rozpruwacza. Nie jest aż taki zły.

- Jak możesz tak mówić! - zdenerwowała się Andrea. - I to właśnie ty!

- To zwykły głupek. Nie wie, co ze sobą zrobić, więc myśli tylko, żeby dać komuś w ucho. Czy nigdy nie czułaś nic podobnego? A przecież jesteś o wiele bystrzejsza od tego nieszczęśnika.

- Podziwiam twoje miłosierdzie - rzekł ironicznie Wyckoff.

- To wcale nie znaczy, żebym go nie sprzął na kwaśne jabłko, gdyby się napatoczył. - Jim uśmiechnął się szeroko. - Oczywiście, jeślibym dał mu radę.

- Dość już tego gadania o strzelaniu, mordobiciu i innych wulgarnych sprawach - powiedziała z naciskiem Andrea. - To Gwiazdka, do cholery.

U Sue było całe miasto i oczywiście zgodnie z przewidywaniami Andrei panie wystroiły się we wszystko, co która miała najlepszego. Sue pobrzękiwała biżuterią jak sanie Świętego Mikołaja. Sama zresztą przypominała tego dobrodusznego jegomościa, ubrana w purpurowy kaftan haftowany w gołąbki pokoju. Powitała wchodzących kordialnymi okrzykami i wskazała im gościnnie wazę z ponczem.

Martin dał się skusić, ale Andrea stanęła przy wejściu z Jimem u boku, nie mieszając się z tłumem, choć czuła się jego częścią. Ze wszystkich stron dobiegały ich pozdrowienia, uśmiechy i życzenia wesołych świąt. Ktoś grał na gitarze, kilka zdeterminowanych osób nuciło Niech Bóg obdarzy was radością, panowie, chociaż ich głosy ginęły wśród ogólnej wrzawy, śmiechu i głośnych rozmów. Jeden ze śpiewaków urwał na moment i zaczął machać zapraszająco do Jima. Ten jednak odpowiedział mu tylko gestem i pozostał przy Andrei.

- Zupełnie jakbyśmy mieszkali tu od lat, a nie od kilku miesięcy - rzekł.

Andrea kiwnęła głową, przywołując w pamięci ubiegłoroczne przyjęcie świąteczne w biurze, podobne do innych w tym rodzaju. Wszyscy popili się w błyskawicznym tempie, po czym ludzie, którzy na co dzień nie potrafili zamienić ze sobą jednego uprzejmego słowa, poznikali parami w ciemnych kątach, by się tam gzić w najlepsze. Jeśli wierzyć opowieściom Reby, społeczeństwu Ladiesburga nieobce były żadne grzeszki. A jednak to co innego, choć trudno powiedzieć czemu...

- Jakbyśmy tu przynależeli - dodał Jim. - Jak rodzina.

Po przyjęciu pojechali do baru przy autostradzie na hamburgery. Następnie wrócili do domu i zabrali się do ubierania choinki. Noc była pogodna, lecz zimna, niebo usiane gwiazdami. Jim rozpałił ogień w kominku, Martin otworzył butelkę swojego ulubionego białego wina. A potem drugą. I na tym głównie polegała jego pomoc; Andrea zabroniła mu dotykać delikatnych ozdób choinkowych i wchodzić na drabinę. Sama ubrała górną część drzewka i przyczepiła na czubku ogromną gwiazdę odziedziczoną po Bercie. Wreszcie rozsiedli się na kanapie, by podziwiać własne dzieło i dokończyć wino.

Choinkę spowijały sznury suszonych żurawin i kukurydzy oraz stare świecidełka o łagodnie zmatowiałym połysku. W szpargałach po Bercie Andrea znalazła pudełko starych kart, które poprzeplatała błyszczącymi, szklanymi kulkami. Świeczki podkreśliłyby na pewno stylowy wygląd drzewka, ale nie chciała ryzykować. Różnokolorowe lampki zapalały się i gasły, rzucając purpurowe, błękitne, zielone i złote błyski na wypukłe kształty ozdób.

- Ileż wysiłku, jak na coś, co potrwa najwyżej tydzień... - zauważył Martin.

- Nie odstawiaj Scrooge'a. Przyznaj, że to piękne.

- Jest w tym jakaś magia - zgodził się Martin. - Pokój, radość, niewinność dzieciństwa... Jeszcze wina?

- Czemu nie? - wyciągnęła kieliszek.

- Ja już dziękuję - rzekł Jim, wstając. - Zostawiam was, wy alkoholicy. Wykończcie sobie tę butelkę.

- Dobranoc, kochany. Śpij dobrze.

Nie zauważyła, co się właściwie stało. Usłyszała tylko jakiś głuchy odgłos i stłumiony okrzyk Jima. Martin, który siedział twarzą do drzwi, roześmiał się.

- Coś mówiłeś o alkoholikach, kochasiu? Jak ktoś nie trafia do takich szerokich drzwi, to znaczy, że sam ma w czubie.

- Jimmie, nic ci nie jest? - Andrea zmieniła pozycję. Górne światło zgasło i rozległ się głos Jima:

- Proszę bardzo. Teraz macie lepszy widok na drzewko. A ty, Martin, nie trzeszcz mi nad uchem, póki nie uda ci się zejść na własnych nogach na górę.

- Nie mam zamiaru się stąd ruszać - odparł leniwie Greenspan - Dobranoc, Jim.

Chłopak wolno i ostrożnie ruszył po schodach. Kiedy umilkł stukot jego kul, Martin zachichotał.

- Subtelnie to rozegrał, co? Sądził, że nie odważę się wystartować przy zapalonym świetle.

- A masz taki zamiar? - spytała sennie Andrea.

- Jasne. Jak myślisz, dlaczego cały wieczór podlewam cię alkoholem? Poza tym nie chciałbym zawieść Jima.

Nie była przygotowana na dalszy rozwój wypadków. Nie miała zamiaru bronić się przed czymś tak błahym... zresztą co tam. Gdy objął ją ramieniem, przytuliła się. odprężona, szczęśliwa. Łagodny dotyk ręki głaszczącej jej policzek i szyję, odgarniającej włosy z czoła sprawił, że poczuła się jak zadowolony kociak. Martin przyciągnął jej twarz do swojej, a Andrea poddała się z gotowością. Poczowała na policzku kłujący zarost i zachichotała cichutko. Zawtórował jej, owiewając ciepłym oddechem rozchylone wargi, zanim ich dotknął własnymi.

Nieśmiałe z początku, lecz później coraz gorętsze pocałunki rozbudziły uczucia tak długo odpychane, że wprawiły ją w niebotyczne zdumienie. Objęła go ramionami i przytuliła się mocno. Długo... tak długo... Wszystko zamarzło, utonęło w ciemności, zagłuszone, zapomniane... Jak można było zapomnieć? Czy to się naprawdę zdarzyło? Nie tak jak teraz, nie w ten sposób...

Martin opanował się pierwszy. Musiał oderwać od siebie jej zaciśnięte ręce. Podniósł obie do ust, a potem trzymał przez chwilę, nim je odsunął niemal rytualnym gestem wyrzeczenia.

Lampki migotały w ciemności jak spadające gwiazdy, błyskając różnobarwnymi ognikami. Andrea, oszołomiona, zdyszana, wyciągnęła ręce do Martina. Odsunął się w drugi koniec sofy.

- Dlaczego? - szepnęła. - Dlaczego mnie nie... Martin nie odzywał się przez chwilę. Potem powiedział cicho:

- Bo to musi być twoja decyzja. Świadoma, przemyślana. Wiesz, że cię kocham. Może teraz wreszcie wiesz, jak bardzo. Za bardzo, bym miał cię po prostu przewrócić na kanapę, kiedy jesteś zawiana i następnego dnia mogłabyś żałować...

Choć wiedziała, że Martin naprawdę ma na uwadze jej dobro, nie miała zamiaru kierować się rozumem. Nie pogodzi się nakazów rozsądku z pragnieniami ciała. Wyrozumowana namiętność to sprzeczność sama w sobie.

Martin wziął ją za rękę i trzymał lekko na odległość ramienia.

- Jestem za stary, by się kochać na kanapie - rzekł kpiąco. - Od tego rano boli kręgosłup. Poza tym tutaj nie mogę rozwinąć skrzydeł. Zaproś mnie do siebie, Andreo, to się przekonasz.

Gdyby wziął ją w ramiona albo chociaż pogładził jej rękę w ten szczególny sposób, potrafiłaby przemówić. Odsunął się specjalnie, a obecny zdawkowy ton to tylko wykalkulowane posunięcie w grze, którą już przegrała. Była zmrożona i ogłupiała. A jednak Martin czuł takie samo podniecenie, co do tego na pewno się nie myliła.

- Nie wierzę ci - odpowiedziała. Nie spytał, o co jej chodzi.

- Jest nas tu za dużo - odparł. - A powinniśmy być tylko ty i ja.

ROZDZIAŁ XIV

Rano Andrea jak zwykle zerwała się pierwsza. Cieszyła się, że ma trochę czasu dla siebie, nim stanie oko w oko z Martinem. Poprzedniej nocy nie potrafiła zebrać myśli i jej stan wcale się nie poprawił. Im dłużej się zastanawiała nad tym, co zaszło, tym wszystko stawało się coraz bardziej zawile. Gdyby nie znała Martina tak dobrze, mogłaby podejrzewać, że specjalnie doprowadził ją do stanu podniecenia, by udowodnić, że potrafi, a potem odepchnął, żeby napawać się jej rozczarowaniem. Ale to nie mogła być prawda. Taka małpia złośliwość nie leżała absolutnie w jego charakterze.

Więc o cóż chodziło w tym za krótkim incydencie? Była gotowa i więcej niż chętna. Gdyby to od niej zależało, kochaliby się na kanapie, na podłodze, czy gdziekolwiek by zechciał. To się ciągle jeszcze może zdarzyć, kiedy tylko on zapragnie... Udowodnił jej przynajmniej jedno: nigdy żaden mężczyzna nie zawładnął do tego stopnia jej uczuciami i zmysłami.

Nie byłoby żadnych praktycznych trudności, na które Martin jest tak wrażliwy, choć przecież dotyczą one także jej samej. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić romansowania pod własnym dachem, z kręcącymi się wszędzie gośćmi, pod samym nosem Jima. Może Martinowi właśnie o to chodziło w tym enigmatycznym „jest nas tu za dużo”. Dlaczego nie może powiedzieć wyraźnie, tylko zawsze wszystko owija w kwieciste, literackie metafory? Zawsze odnosił się krytycznie do jej uczuć w stosunku do Jima. Był zazdrosny, a może mimo wyraźnej przewagi doświadczenia krępowała go obecność młodszego mężczyzny, w dodatku jej brata?

Jim nie miałby nic przeciw temu. Widziała po jego zachowaniu. Przywitał ją zwykłym „dzień dobry” i cmoknięciem w policzek, ale pewien błysk w oczach i znaczący uśmiezek mówiły więcej niż słowa. Oczywiście jest przekonany, że ona i Martin - jak to jego pokolenie określa te sprawy - poszli na całość? Uprawiali seks? Mniejsza o to, w każdym razie Jim wyraźnie się cieszył. Ta jego wszechwiedząca mina zadowolonego kota! Andrea najchętniej dałaby mu w łeb.

Kiedy pojawił się Martin, Jim ciągle jeszcze siedział przy stole, za co Andrea była mu szczerze wdzięczna. Ukradkowe spojrzenia chłopca bynajmniej nie złagodziły napięcia, choć Martin zdawał się niczego nie dostrzegać. Nie zmienił swego zachowania w stosunku do

Andrei. Ani jednego czulego spojrzenia za plecami Jima! Zakłopotanie zaczęło stopniowo przeradzać się w gniew. Zachowuje się, jak gdyby nic się nie stało! No i dobrze, rzeczywiście nic się nie stało. A ona robi z igły widły. Dla Martina wyraźnie nie ma sprawy.

Wymazała więc cały incydent z pamięci, a w każdym razie podjęła taką próbę, co było tym łatwiejsze, że Martin zachowywał się jak zawsze pogodnie i przyjaźnie, z pewną dozą subtelnej ironii.

Przybycie gości zajęło Andreę na tyle, że nie miała czasu na spekulacje myślowe, przynajmniej do dwudziestego czwartego rano, kiedy wyjechał ostatni przybysz. Razem z panią Horner spędziła cały dzień na sprzątaniu. Przygotowała dla swej pomocnicy świąteczną kartę i kopertę z wynagrodzeniem za dodatkowy dzień, ale kiedy znalazła pod drzewkiem trzy paczuski podpisane dużymi drukowanymi literami podobnymi do pisma dziecka - zawstydziała się swego pomysłu.

Jim natomiast zdobył się na miły gest, który jej nie wpadł do głowy. Kiedy pani Homer szykowała się do wyjścia, zszedł na dół.

- Wesółych świąt - powiedział, po czym ucałował ją serdecznie i wręczył prezent.

- Co jej dałeś? - spytała Andrea, gdy pani Horner, którą aż zatkało z wrażenia, wyszła, przyciskając kurczowo paczkę do obfitego biustu.

- Tylko małą półeczkę, którą sam zrobiłem. Jest kopią tej, co wisi w kuchni. Ma zaokrąglone boki i haczyki na filiżanki. Kiedyś powiedziała, że jej się podoba.

- Jimmie, to uroczy pomysł.

- Wszystkie prezenty zrobiłem sam - pochwalił się.

- Więc to nad tym ślęczałeś tyle czasu na górze! Jim zniżył konspiracyjnie głos.

- Zrobiłem Martinowi pudełko z orzecha. Wayne wyszukał mi odpowiednie drewno. Myślisz, że mu się spodoba?

- Będzie zachwycony wszystkim, co sam zrobiłeś.

- Lepiej wezmę się teraz do roboty. Nie skończyłem prezentu dla Reby, a chciałbym dziś jej wręczyć. Przyjdzie, prawda?

- Chyba że strach ją obleci.

Andrea musiała zmienić swoje plany na sam dzień Bożego Narodzenia. Reba wytłumaczyła jej - i niewątpliwie miała trochę racji

- że powinna tego dnia być na miejscu, by powitać stałych klientów. Niektórzy z nich przyjeżdżają do niej od lat.

- Zatem w Wigilię - rzekła stanowczo Andrea. - Mam zamiar zaprosić Sue, Ala i parę innych osób. Możesz się spóźnić, ale przyjdź koniecznie. Inaczej nigdy się z tego nie otrząsniesz.

Reba z ponurą miną wysłuchiwała tej uproszczonej opinii. Choć nie przekonana, starała się wybrnąć z honorem z sytuacji, nie robiąc przyjaciółce przykrości.

- No dobrze. Spróbuję jeszcze raz. Tylko nie dziw się, jeśli w pewnym momencie prysnę.

- Musisz po prostu ponawiać próby - nie ustępowała Andrea.

Reba wzniosła w górę oczy i jęknęła.

Późnym popołudniem Andrea rozłożyła klapy mahoniowego stołu w zielonym salonie i zaczęła układać talerzyki i serwetki do bufetowego przyjęcia. Z wyłożeniem zakąsek poczeka do ostatniej chwili, ponieważ pozostawione bez opieki mogłyby paść ofiarą Szatana. Kot nie miał sprecyzowanych poglądów na Boże Narodzenie. Andrea przyłapała go, jak z podniesionym ogonem ociera się o koszyk z jedliną. Trzepnęła go w tyłek i natychmiast wyrzuciła z pokoju. Łakomstwo mogło jednak okazać się silniejsze od strachu przed nią, toteż nie ufała zwierzakowi ani trochę.

Przy tych czynnościach odnalazł ją Martin.

- Masz tu prezent gwiazdkowy - rzekł wręczając jej okazałe pudło.

- Nie powinieneś... - zaczęła sztywno.

- Otwórz.

- Uzgodniliśmy przecież, że nie otwieramy prezentów aż do świątecznego ranka.

- Chcę, żebyś ten jeden otworzyła.

Ciekawość zwyciężyła. Pudło było pięknie zapakowane, niewątpliwie w sklepie. Fachowe zagięcia na rogach i delikatne złote dzwoneczki przyklejone pośrodku zielonej kokardy - to coś, co absolutnie przerastałoby zdolności Martina.

Odwijała papier ostrożnie, nie śpiesząc się. Cały czas upominała się przy tym w duchu, żeby nie wyrażać zbyt gwałtownie swojej wdzięczności. Jeśli on chce to rozgrywać na zimno - ona też pozostanie chłodna. Lecz kiedy ujrzała zawartość pudła, nie potrafiła powstrzymać okrzyku zachwytu.

Była tam długa suknia z miodowobrazowego aksamitu, w sam raz odpowiednia dla gospodyni przyjęcia. Dekolt i rękawy wykończono misterną złotą lamówką splecioną w warkoczyk. Nigdy w życiu nie posiadała czegoś tak wystrzałowego i - co tu dużo mówić - kosztownego. Pogładziła miękki aksamit i spontaniczny uśmiech na jej twarzy przygasł.

- Martin, nie mogę tego przyjąć.

- Nie podoba ci się?

- Jest fantastyczna. Ale musisz ją oddać.

- Nie mogę. Kupiłem na wyprzedaży.

- Kłamiesz.

- Nie zabiorę z powrotem tej kiecki! Możesz ją wyrzucić, pociąć na ścierki, oddać pani Horner. Rób, co chcesz, nic mnie to nie obchodzi. Miałem nadzieję, że ją dzisiaj założysz...

- Nie mogę.

- Więc chociaż przymierz.

Czytała w jego myślach. Jak raz włoży to cudo, nie będzie w stanie się oprzeć. Otóż pokaże mu, na co ją stać. Powie, że suknia źle leży. Wtedy będzie musiał ją zwrócić.

Kiedy jednak spowita w miękką tkaninę odwróciła się do lustra, wszystkie postanowienia prysły jak bańka mydlana, zwyciężone przez zwykłą, babską próżność. Kolor tak pięknie podkreślał jej kremową cerę i ukryte złote błyski kasztanowatych włosów... I ten znakomicie dobrany fason! Suknia, dopasowana w ramionach i biuście, opadała od talii wdzięcznymi fałdami do samej ziemi. Twarz, która wyjrzała z lustra, nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Zaróżowione policzki i błyszczące oczy uzupełniały tylko ten zniewalający obrazek.

Gdy ciągle jeszcze oszołomiona obracała się przed lustrem na wszystkie strony, rozległo się pukanie i Jim wsunął głowę do pokoju.

- O rany! - wykrzyknął i otworzył drzwi na oścież żeby Martin, który błyskawicznie znalazł się za nim, też mógł zajrzeć.

- Sam bym lepiej tego nie ujął - odezwał się Greenspan. - Pozwolę więc sobie powtórzyć: O rany!

Podbita do reszty Andrea przegoniła ich obu, próbując się nie roześmiać. Przebrała się z powrotem w roboczy strój. Teraz Martin już wie, że wygrał! Nie odda tej kiecki, niech się dzieje co chce! To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek miała w szafie. Dziwne, jak Martin zna jej słabe punkty... jest w tym coś diabolicznego. Dopóki

nie zobaczyła swego odbicia w lustrze, nie zdawała sobie sprawy, jak jest spragniona ładnej sukienki. Ta leży znakomicie, nawet długość jest dobra... Poza tym trzeba przyznać, że taka subtelna demonstracja uczuć była z jego strony czymś naprawdę wzruszającym. Tak dobrze ją znał. Wiedział o pragnieniach, które sama ledwie sobie uświadamiała. Potrafił też podpatrzeć każdy szczegół jej figury.

Wiedział również, jak podkopać jej niezależność. Podarunek należał do tych, które daje się żonie, ukochanej, w ogóle komuś bardzo bliskiemu. Gdy goście zaczną podziwiać suknię - a tak się stanie na pewno - będzie musiała wyjaśnić, że to prezent od Martina. I oczywiście nie omieszkają wyciągnąć wniosków.

Prawdopodobnie już je wyciągnęli. Że też nie pomyślała o tym wcześniej. Ladiesburg uwielbiał plotkować. Mieszkańcy miasteczka przyjęli niewątpliwie za pewnik, że dorosły mężczyzna i dorosła kobieta, mieszkający pod wspólnym dachem, śpiją ze sobą. Mogą na ten temat gadać, ale w gruncie rzeczy niewiele ich to obchodzi. Czasy, a wraz z nimi moralność, nie są już takie jak za życia Mary Fairfax.

Gest Martina przecinał wszelkie wątpliwości. Szczytem ironii byłoby, gdyby to przypuszczenie okazało się fałszywe. Kompletnie wytracona z równowagi Andrea obrzuciła suknię ostatnim czułym spojrzeniem. Nie miała pojęcia, o co temu facetowi chodzi. Ciekawe, czy on sam to wiedział.

*

Andrea stała przy otwartych drzwiach i witała gości. Z oświetlonego wnętrza domu biło zachęcające ciepło, zmieszane z zapachem jodły, cedru i dymu z palącego się w kominku drewna. Spowita w przybrany złotem aksamit, wyglądała jak wzorowy obraz gospodyni, pani pięknej i okazałej rezydencji, mówiąc słowami Holdermana. Kiedy tak ścisnęła dłonie przyjaciół i odpowiadała na ich pozdrowienia, przez cały czas była pod wrażeniem kontrastu między swoją obecną pozycją a tamtą sprzed roku. Wyczerpująca praca na podrzędnym stanowisku, ciasne mieszkanie - za małe na zebrania towarzyskie, nawet gdyby miała przyjaciół godnych zapraszania, zniszczone, tandetne meble, spartańska egzystencja... Pomyśleć, zaledwie rok temu... Nie był to w jej życiu najłatwiejszy rok, ale końcowe rezultaty okazały się godne walki, a nawet cierpienia.

Zgodnie z przypuszczeniami, suknia robiła furorę. Kilka pań obdarzyło Andree domyślnymi uśmieszkami, ale na bezpośredni komentarz zdobyła się tylko Sue, która wyraźnie łyknęła przed wyjściem parę głębszych.

- Jeśli się kiedyś znudzisz - rzekła wskazując Martina, na szczęście oddalonego w tym momencie - to mi go podrzuć, dobra?

Reba zjawiała się ostatnia. Andrea przypuszczała, że zebranie się na odwagę zajmie jej trochę czasu. Zasadziła Jima przy drzwiach i przykazała mu, żeby w razie gdyby przyjaciółka w ostatniej chwili stchórzyła, odciął jej drogę ucieczki. Wreszcie zawołał: „Już jest!” - i wyszedł na spotkanie. Gdy Andrea dotarła do drzwi, Reba właśnie wchodziła na schodki. Jim zajął strategiczną pozycję za plecami gościa. Przypominał psa, który zagania ociągającą się czarną owcę.

- No to jestem - uśmiechnęła się - ale nie wiem, na jak długo. Mój Boże, Andy, wyglądasz olśniewająco. Nigdy nie przypuszczałam, że masz w sobie to coś.

Andrea wciągnęła ją do środka. Postanowiła nawet okreśną drogą nie wspominać o obawach Reby. Przyjęcie do wiadomości ich istnienia było równoznaczne z uznaniem za prawdziwe.

- Nie chcesz mnie czasem zapytać, skąd mam tę kieckę? - spytała wesoło.

Reba uśmiechnęła się z przymusem.

- Przecież wiem. Powiedz facetowi, że ma dobry gust.

- Sama mu powiedz.

Wzięła od gościa płaszcz, po czym przekazała przyjaciółkę pod opiekę Jima, który usłużnie krążył w pobliżu. Czuła, że powinna wyjaśnić bratu powody, dla których miał uważać na Rebę, ale oczywiście pokpiła sprawę, mówiąc tylko: „Niektórzy ludzie mają czasem śmieszne pomysły.” Można by to uznać za oświadczenie roku.

Pełniąc obowiązki gospodyni, Andrea zerknęła od czasu do czasu w ich stronę. Ku swemu zadowoleniu, nie zauważyła żadnych złowróbných symptomów. Reba jadła, piła i rozmawiała ze zwykłą werwą pod czujnym okiem Martina, pełniącego funkcję drugiego obok Jima anioła stróża. Otoczeni dużym kręgiem znajomych, oboje skupiali na sobie ich uwagę. W tej grupie była też Sue, pochylona poufale ku Martinowi. Napotkawszy w pewnej chwili wzrok Andrei, puściła do niej oko i zaśmiała się.

Przyjmowanie tych ludzi w domu nie nastroczało specjalnych trudności. Większość znała się od dawna i miała sobie dużo do powiedzenia. Próbując uciec przed Alem Wyckoffem, który zbliżał się w jej stronę z wyraźnym zamiarem wznowienia dyskusji na temat broni, Andrea wpadła w sidła innego handlarza antyków. Ten znów chciał wiedzieć, czy nie zamierza sprzedać paru mebli. Lawirując między gośćmi, wymknęła się do kuchni, by uzupełnić tace z zakąskami i ciasteczkami. O Rebie chwilowo zapomniała.

Tłum przy bufecie stopniowo rzednął. Jedni goście przeszli do czerwonego salonu, inni wybrali bibliotekę. Andrea pogratulowała sobie w duchu. Przyjęcie wyglądało na udane, o czym świadczył ogólny harmider utrzymujący się cały czas na tym samym poziomie. Jim z Wayne'em i paroma innymi młodymi ludźmi siedzieli na podłodze, pograżeni w rozmowie. Al Wyckoff dosłownie unieruchomił Martina pewnym chwytem za klapę marynarki. Więzień próbował się taktownie uwolnić, ale bezskutecznie.

W pewnej chwili napotkał wzrok Andrei i zrobił minę, którą nauczyła się już rozpoznawać jako sygnał. Co jej próbował przekazać? Oczywiście, coś z Rebą. Miał na nią uważać, a tymczasem starsza pani gdzieś znikła.

Rozdzielając hojnie uśmiechy i ukłony, Andrea torowała sobie drogę przez pokój, starając się uniknąć zatrzymania przez gości. W bibliotece Reby nie było. Postanowiła zajrzeć jeszcze do czerwonego salonu.

Przechodząc przez hol, zerknęła przypadkiem na prawo. Zguba stała nieruchomo przed biurkiem, ledwie widoczna w mroku w swej długiej, brązowej, podobnej do mnisiego habitu szacie.

- Co ty tu robisz całkiem sama? - zagadnęła Andrea wesoło. - Chodź, pomożesz mi. Idę zaparzyć kawę.

Reba odwróciła głowę ruchem wiekowego żółwia, lecz reszta jej ciała nie drgnęła. Czoło miała zmarszczone raczej jednak z zaciekawienia niż z niepokoju.

- Skąd to masz? - Wskazała na portret nad biurkiem

- Znalazłam. - Andrea nie widziała powodu, by wchodzić w szczegóły. - To dawna właścicielka domu. W poprzednim stuleciu prowadziła tu hotel. Nieźle uchwycona, co?

- Uhm.

Miejsce wydawało się wprost idealne dla portretu. Można by pomyśleć, że zawsze tam wisiał. Mary, z kotem u stóp, znowu strzegła wejścia, czujna i władcza jak za dawnych dni.

Reba otarła czoło.

- Gdzie jest łazienka?

- Zaprowadzę cię. Czy ty... - Słowa nie chciały przejść jej przez gardło.

- Upiłam się - wyjaśniła Reba. - Zrobiłam to celowo. W ekspresowym tempie. Teraz chcę się wysikać.

- W porządku - uspokajała ją Andrea. - Idziemy. Oprzyj się na mnie.

- Ha! Gdybym cię usłuchała, dziecino, mogłabyś tego nie przeżyć.

Choć wydawało się, że Reba dość pewnie trzyma się na nogach, Andrea wolała nie ryzykować wchodzenia po schodach i zaprowadziła ją do własnej łazienki za kuchnią. Potem zajęła się ekspresem do kawy. Trzeba było znowu uzupełnić kanapki, wyciągnęła więc półmiski z lodówki i zdjęła ochronną folię.

Szatan spał - albo udawał, że śpi - w głębokim starym fotelu.

- Nawet nie próbuj się tu kręcić, koleś - pogroziła mu Andrea. - Tym razem ten numer nie przejdzie.

- Do kogo mówisz? - Reba stała w drzwiach, otrzepując niedbale suknię. Paprochy wzbily się w górę i osiadły z powrotem.

- Do tego cholernego kociska. Ostatnio nabrał zwyczaju kręcenia się po kuchni. Pewnie tylko czeka, żebym zostawiła jakieś żarcie na wierzchu.

Reba spojrzała na kota. Szatan przeciągnął się i usiadł. Owinąwszy się starannie ogonem, wpatrywał się uważnie w kobietę. Ona w niego też. Po chwili podeszła z wysiłkiem do krzesła, przystając za każdym krokiem, jak to robią uczestnicy procesji pogrzebowych.

- Kot Berty... - rzekła ochryłym głosem.

- Owszem. Ma już chyba...

- Kot Mary...

- Co?

Andrea odwróciła się w samą porę, by zobaczyć, jak Reba wali się ciężko na ziemię. Nie ugięła nawet nóg w kolanach, tylko upadła sztywno na bok jak podcięte drzewo. Andrea rzuciła się do niej.

Podłożywszy ręce pod plecy, z trudem wciągnęła przyjaciółkę na kanapę.

- Co tu się dzieje? - zawołał od progu Martin.

- Ona właśnie... - Andrea machnęła bezradnie ręką. - Chyba zemdlą.

- Nie mogłem się wyrwać temu kretynowi Wyckoffowi. - Martin pochylił się nad Reba, potrzymał ją przez chwilę za puls i podniósł powieki. - Jest całkiem nieprzytomna. Puls trochę słaby, ale w granicach normy.

- Gdzie studiowałeś medycynę?

- Pracowałem przez rok w bostońskiej policji. Obserwując pracę załogi ambulansu, można się nauczyć wielu pożytecznych rzeczy. Powiedziała coś?

- Nie. Czuję się całkiem dobrze. Mówiłam ci, że to wszystko dzieje się w jej umyśle.

- Masz pod ręką amoniak?

- Czemu jej po prostu nie zostawisz w spokoju? Niech się prześpi.

- Nie podoba mi się jej oddech - odparł Martin. - Widziałem w życiu wielu pijaków, ale ona... Daj wreszcie ten amoniak.

Andrea podeszła do szafki pod zlewem, gdzie trzymała różne chemikalia. Po drodze spędziła ze stołu Szatana udaremniając mu w ten sposób powolne, lecz systematyczne przemieszczanie się w kierunku kanapek. Wręczyła Martinowi potrzebną buteleczkę. Odkorkował ją i podsunął Rebie pod nos.

Z początku nie zareagowała i Andrea zaczęła się już niepokoić. Zdarzyło jej się kilka razy powąchać amoniak przy czyszczeniu czegoś, więc знаła jego działanie. Jeśli nawet to nie pomogło... W tym momencie Reba podniosła rękę i odepchnęła buteleczkę. Oczu jednak nie otworzyła.

- Nie - powiedziała cicho, lecz dobitnie.

- W porządku - zgodził się Martin, któremu wyraźnie ulżyło. - Czy ty...

- Nie ścinaj jej. Jest taka ładna. Co za śliczny kwiat! Kurczę, przecież ci mówiłam... Nie, nie trzymaj jej w rękę. Puść ją. Nie czujesz kolców? Masz zakrwawioną całą... Puść, powiadam!

Oddech Reby niewątpliwie odbiegał od normy. Łapała powietrze z wysiłkiem, krótkimi, urywanymi haustami. Andrea wpadła w panikę.

- Spróbuj jeszcze amoniaku.

- Nie. - Martin ją odsunął. - Zaczekaj. Rebo... słyszysz mnie?

- Słyszę.

- A co widzisz?

- To rośnie. - Jej głos dobiegał jakby z bardzo daleka. Odbijał się echem, rwał. - Zielone pnącze... Oplata się... Wije... O mój Boże, dosięgło go! Wpadł! Nie może... Czemu nie próbujesz się wydostać?

Głos przechodził w jęk.

- Kto? - indagował Martin. - Kto to jest, Rebo? - Ciałem leżącej wstrząsały gwałtowne drgawki. Gdyby Martin jej nie przytrzymał, spadłaby z kanapy. - Kto to jest? Kogo widzisz?

Otworzyła oczy.

- Widzę łysego, starzejącego się pismaka - odparła.

- Co, do diabła, ze mną wyczyniasz?

Martin przysiadł na piętach.

- Lepiej powiedz, co ty wyprawiasz? Wystraszyłaś mnie na śmierć, stara nietoperzyco!

Andrea odepchnęła go i pochyliła się nad przyjaciółką.

- Rebo, dobrze się czujesz?

- Jasne! Lepiej spędź tego kota ze stołu. Znów skrada się do kanapek.

Zmiana tematu i zachowania Reby była tak zaskakująca, że Andrea mogła tylko wpatrywać się w nią bez słowa. Szatan porwał kawałek kraba i uciekł przez nikogo nie niepokoiony.

- Lepiej już pójdę. Jutro mam mnóstwo roboty. Było bardzo miło, dziękuję. Chyba nie popsułam ci przyjęcia, Andy? Nie powinnam tyle pić.

Martin podtrzymał ją, kiedy wstała.

- Odwiozę cię do domu - zaproponował.

- Nie. Mogę jechać sama. Patrz! - Wyciągnęła rękę.

- W ogóle się nie trzęsie.

- Ale przed chwilą mówiłaś...

- Powiedziałam, że pojedę sama. Przecież, do cholery, po tej drodze samochód prowadzi się prawie sam. Jeszcze raz dziękuję, Andy. Do zobaczenia jutro.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Andrea, nie spuszczać z niej wzroku.

Martin wyszedł z Rebą. Próbował ją jeszcze przekonywać, by pozwoliła się odwiedzić. Przegra, myślała Andrea. Tamta jest jeszcze bardziej uparta niż on.

Wydawało się, że Reba zupełnie przysła już do siebie, ale rzeczywiście musiała za dużo wypić - to jedyne wytłumaczenie. Nie wystąpiły jednak żadne objawy takie jak podczas tej pechowej pierwszej wizyty.

Tylko jedna rzecz... Andrea zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć.

Reba widziała portret. Zauważyła kota przycupniętego u stóp swojej pani. Na obrazie nie było żadnego napisu bo Andrea nie miała czasu zamówić grawerowanej tabliczki. O ile dobrze pamiętała, powiedziała tylko tyle, że portret przedstawia dawną właścicielkę Springers' Grove.

Więc skąd Reba знаła imię Mary?

Dzień Bożego Narodzenia przebiegał w zupełnie innym nastroju. Wszyscy byli zmęczeni, lekko skacowani i krzywili się na sam widok jedzenia. Najważniejszym momentem miała być ceremonia wręczenia prezentów. Andrea nie szczędziła czasu i wysiłku na dobranie odpowiednich elementów do Jimowej wieży stereo. Dzwoniła nawet do Kevina, by zasięgnąć rady.

Tak jak się spodziewała, Kevin wiedział dokładnie, czego potrzebuje Jim i gdzie można to kupić.

- Powiedz temu próżniakowi, że zobaczymy się w styczniu - dodał. - Muszę na święta jechać do matki, teraz jej kolej, ale mam długą przerwę międzysemestralną, więc prędzej czy później do was zawitam.

Jim wydawał się zadowolony z prezentów, ale ze znacznie większym zainteresowaniem wyczekiwał, co Andrea i Martin powiedzą na swoje. Martin zareagował dokładnie tak, jak Jim by sobie życzył. Przesuwając palcami po idealnie gładkiej powierzchni pudełka, domagał się szczegółowego opisu - krok po kroku - całego procesu technologicznego. Zapowiedział też, że będzie trzymał w szkatułce swoje największe skarby.

- Listy miłosne? - spytał Jim zerkając na Andree.

- Czeki.

Andrea dostała rzeźbioną ramkę z pięknie wypolerowanego orzechowego drewna. Jim oprawił w nią fotografię ich obojga stojących przed domem, wykonaną jesienią przez Kevina. Nie chciała wtedy zgodzić się na pozowanie - miała na sobie starą koszulę i wytarte dżinsy, włosy w strasznym nieładzie... A jednak zaliczyła to zdjęcie do swoich ulubionych. Jim się uśmiechał i w ostatniej chwili wziął siostrę za rękę. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy otworzyła paczuszkę.

- Lubię, jak ktoś płacze nad moim prezentem - zauważył z satysfakcją Jim.

Byli zaproszeni na obiad do „Rogu Obfitości”, ale nawet Jim wyznał, że chyba nie sprosta sześciodaniowemu posiłkowi. Martin też zrobił kwaśną minę, kiedy Andrea zarządziła, że głodni czy niegłodni, muszą jeść. Zgodnie z przewidywaniami Reba była bardzo zajęta. W restauracji panował tłok, ludzie musieli czekać na miejsca. W biurze nakryto dla prywatnych gości stół na cztery osoby, ale kiedy gospodyni wreszcie się do nich przyłączyła, chwiała się już na nogach.

- Każdy dziś chce postawić mi drinka - tłumaczyła ze śmiechem, padając na krzesło. - Co za cholerny sposób spędzania świąt! Uwzięli się, by ubzdryngolić nieszczęsne, stare babsko!

Jedyna uwaga odnosząca się do przyjęcia u Andrei brzmiała dość ponuro.

- Wczoraj u Ala było włamanie. Pewnie w czasie, gdy bawił się u ciebie.

- Coś mu zabrali? - spytała Andrea.

- Sprzątnęli kasę. Mówiłam Ałowi, żeby oddał pieniądze do banku, ale uznał, że nie ma czasu. Prawdopodobnie amatorska robota. Nie tknęli towaru, nawet srebra.

- Podejrzewają kogoś? - zainteresował się Jim.

- Ktoś widział w pobliżu Gary'ego Joe.

- Wiedziałem, że mu to przypucują - skrzywił się Jim z niesmakiem. - Nie dadzą biedakowi żadnej szansy.

- Może masz rację - zgodziła się Reba. - Ale on też nic nie robi, żeby sobie pomóc. Proponowałam mu robotę parę tygodni temu.

- Ty niepoprawna wariatko - uśmiechnął się Martin. - I cóż on na to?

- Powiedział, żebym zrobiła coś, co jak sędzę, jest fizycznie niemożliwe - zachichotała Reba. - Głupi popapraniec. Weź jeszcze nadzienia, Jim.

Andrea, która siedziała twarzą do regału, zauważyła nowy nabytek - parę podpórek do książek, wykonanych z solidnego, pięknie wygładzonego kawałka drewna. Doszła do wniosku, że pewnie Jim dał je Rebie w prezencie, ale obdarowana nie zająknęła się na ten temat, póki nie zaczęli się żegnać.

- Hej, ludzie, widzieliście, co dostałam?

- Myślę, że rozpoznaję rękę rzemieślnika - uśmiechnął się Martin. - Są piękne.

- Stoją na honorowym miejscu - burknęła Reba.

- Podobają ci się?

- To najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Będę go strzec jak skarbu.

Jim wyciągnął do niej rękę, którą uścisnęła. Przez chwilę na twarzy Reby widać było rozpaczliwy wysiłek, ale nie zdołała się opanować. Po policzkach pociekły jej strugi łez, żłobiąc głębokie bruzdy w grubej warstwie makijażu i podkreślając linie zmarszczek.

- Hej! - zawołał Jim. - Nie ma powodu do płaczu! Nie czuwamy przy zwłokach, tylko świętujemy!

- Racja. A niech to jasny szlag... To jest, chciałam powiedzieć, wesołych świąt, kochani!

*

Po świątecznej przerwie Ladiesburg zamknął swe podwoje dla klientów. Wielu antykwariuszy udało się w cieplejsze strony, inni wycofali się do domowych pieleszy nad sklepami, przyjmując tylko osoby z góry umówione. Andrea nie czuła się na siłach, by zafundować sobie urlop, ale rezerwacje na styczeń spadły praktycznie do zera. Dała pani Horner miesiąc wolnego, co ta przyjęła ze zwykłą flegmą, mrużąc pod nosem:

- Będzie dużo śniegu w tym miesiącu.

Reba również opuściła miasto. Andrea nie miała o tym pojęcia, dopóki pewnego dnia nie zadzwoniła do restauracji. Trochę niemiło zaskoczona, oznajmiła nowinę Martinowi.

- Pierwszy raz, odkąd ją znam, gdzieś się wybrała. - Zmarszczył brwi. - Mam nadzieję, że nic jej nie jest.

- Paula mówi, że pojechała odwiedzić przyjaciół w Arizonie.

- Dziwne. Nie wspomniała nikomu z nas... Cóż, będziesz miała teraz trochę spokoju. Ja też wyjeżdżam na parę dni.

- Dokąd?

- Ależ kochanie, nie sądziłem, że cię to obchodzi. Zważywszy na okoliczności, uwaga była podwójnie

obraźliwa. Andrea z podniesioną głową opuściła pokój. Pewnie jedzie do Nowego Jorku, żeby udobruchać wydawcę, bo praca nad książką coś słabo idzie. Rzeczywiście, nic jej do tego. Wreszcie zostaną na jakiś czas sami z Jimem.

A jednak nie wszystko układało się według jej oczekiwań.

Jim zachowywał się wprost cudownie - poświęcał siostrze znacznie więcej czasu niż parę miesięcy temu, a nawet przed wypadkiem. Nie wydawał się zawiedziony ani zmartwiony, kiedy Kevin zatelefonował i przełożył zapowiadzaną wizytę na koniec miesiąca. W ogóle niczym się nie martwił ani nie przejmował. Jego uprzejmość nie oznaczała przy tym tylko braku negatywnych uczuć, na przykład złej woli. Do wszystkiego, co razem robili, odnosił się z radością, zarażając Andree swoim entuzjazmem. Znow zaczął się interesować sportem, łącznie z futbolem. Z okazji meczu o Super Puchar zrobili sobie z Andree wielką fetę. Siedząc przed telewizorem przy piwie i hot dogach, wymieniali uwagi na temat gry i w ogóle bawili się wspaniale.

Andrea wiedziała, że powinna czuć się błogo i szczęśliwie. Jak często w życiu udaje się dotrzeć do długo wyczekiwanego, niemal nieosiągalnego celu i przyznać, że rzeczywiście odpowiada on wyobrażeniom? To, co odczuwała, było tak subtelne, że prawie niezauważalne - zbyt niejasne, by użyć słowa „niezadowolenie”, „rozczarowanie” czy „uraza”. Kiedy przebywała z Jimem, nie uświadamiała sobie tego. Ale Jim nie zawsze był w pobliżu, wydawało się, że ciągle miał pełne ręce roboty i wcale nie tęsknił do towarzystwa. Nagle się okazało, że Andrea ma czas dla siebie - i właśnie wtedy, gdy siedziała sama czytając, szyjąc, czy też po prostu odpoczywając, pojawiał się na obrzeżach jej świadomości ten nikły, prawie niedostrzegalny cień.

Oczywiście wszystkiemu winien był Martin. Zdażyła się już przyzwyczać do jego dziwnego trybu życia i do paradoksów, w które obfitowało zarówno jego zachowanie, jak osobowość. Oto doświadczony, namiętny kochanek traci nagle cały zapał, by

zaciągnąć do łóżka obiekt swoich uczuć. Oto człowiek, który jednego dnia twierdzi, że ją uwielbia, a następnego nazywa egoistką i berbeciem widzącym tylko czubek swego nosa. Oto wreszcie wielbiciel, który składa najsubtelniejszy, najbardziej schlebający jej próżności dar - i nie przyjdzie mu do głowy, by w rewanżu poprosić choćby o jeden pocałunek. Krótko mówiąc, zachowuje się tak kompletnie bez sensu, że ona przestaje już go rozumieć. Natomiast jej uczucia - to całkiem inna sprawa i ma nadzieję, że potrafi je zanalizować. Przyznaje teraz przed samą sobą, że pokochała Martina, lecz słowo „miłość”, które dawniej wydawało się tak łatwe do zdefiniowania, straciło swoje dotychczasowe znaczenie. Okazało się, że ona nie wie, co to miłość. Pociąg fizyczny, przywiązanie, szacunek... tak, to wszystko czuła. Czy powinno być coś więcej? Tego nie wie. Martin przewrócił jej świat do góry nogami. Znalazła się w pokoju, który już nie miał podłogi, sufitu ani ścian.

Aluzje i krytyczne uwagi Martina odbiły się nawet na jej stosunkach z Jimem. Nie zgadzała się z zarzutami, ale Martin w jednym przynajmniej miał rację: Jim rzeczywiście potrzebuje towarzystwa rówieśników. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że dożyje dnia, kiedy sama zatęskni za „chłopakami”. A jednak taki dzień nadszedł. Żałowała ich nieobecności nie tylko ze względu na Jima. Okazało się, że i jej byli potrzebni ci duzi przyjacielscy wyjadacze domowych zapasów, zawsze skorzy do żartów i kawałów, napełniający dom śmiechem, hałaśliwą serdecznością, a także śladami zabłoconych butów. Może nie powinno jej dziwić, że Jim pozwolił im zniknąć ze swojego życia. Nie podzielał już zainteresowań „chłopaków”. Lecz kogoś z pewnością potrzebuje... Postanowiła zadzwonić do Kevina. Jeśli nadal będzie utrzymywał, że nie może przyjechać, namówi go, by zmienił zdanie. Nawet gdyby go miała błagać.

Podczas nieobecności Martina Andrea zauważyła ku swemu zdumieniu coś jeszcze: narastającą niechęć do przyglądania się portretowi Mary. Proces rozwijał się tak powoli, że z początku nie zdawała sobie z tego sprawy. Pewnego dnia przechodziła przez hol, układając w myśli urzędowy list, który właśnie miała napisać, i ocknęła się z zadumy z rękami na ramie portretu. Zupełnie jakby miała zamiar zdjąć go ze ściany. Ledwie zorientowała się, co robi,

cofnęła ręce. „Co się ze mną dzieje?” - zapytała głośno. Nikt nie odpowiedział.

Siedziała na sofie w kuchni, wpatrując się w przestrzeń, gdy wszedł Jim. Zwinięty w kłębek Szatan leżał koło Andrei. Kot nigdy nie przychodził do nikogo na kolana, ale od czasu do czasu pozwalał się pogłaskać, oczywiście z umiarem i delikatnie.

- No, czy to nie szczyt wszystkiego? - wykrzyknął Jim, kiepsko naśladowując lokalną wymowę. - Cóż za wdzięczny obrazek: pańcia i jej mrużący jak traktor koteczek!

- To zwierzę nie umie mrużać - odparła Andrea, obrzucając Szatana pogardliwym spojrzeniem. - Jako domowy pieszczołek jest kompletnym nieporozumieniem.

- Ostatnio często kręci się po kuchni. Zabawne, nigdy nie przychodzi, gdy jest pani Horner.

- Bo wie, że ta czarownica go rozszyfrowała - uśmiechnęła się Andrea. - Na pewno jakoś się dogadali.

- On zawsze cię lubił.

- Szatan nie zna słowa „lubić”. Jestem przekonana, że przyciąga go bliskość jedzenia.

- A może tęskni za Martinem? - Jim rzucił jej chytre spojrzenie. - Bo ja tęsknię. A ty nie?

- Nie za bardzo.

- Nie udawaj, Andy, mam oczy. Przecież on za tobą wariuje.

- Jim!

- Powiedział mi. Już parę miesięcy temu.

Andrea nie wiedziała, czy się roześmiać, czy rozżłościć.

- Czyżby cię pytał o pozwolenie?

- Jesteśmy przyjaciółmi - stwierdził. - Bardzo bym się cieszył, gdybyś... Potrzebujesz kogoś, Andy.

To samo właśnie myślała o Jimie.

- Mamy siebie nawzajem, Jimmie.

- Owszem. Tylko... Masz zamiar wyjść za niego?

- Nie prosił mnie - odparła kwaśno Andrea.

ROZDZIAŁ XV

Gdy od wyjazdu Martina upłynął tydzień, Andrea przestała się oszukiwać. Tęskniła za nim. Ostatnio nabrała zwyczaju nagłego przerywania wykonywanej pracy i wyczekiwania z przechyloną głową na dźwięk, który się jednak nie rozlegał. Kiedy zaś telefon rzeczywiście dzwonił, co zresztą zdarzało się rzadko, nie potrafiła się wyzbyć nuty lekkiego zawodu przy odpowiadaniu na głos innej osoby. Właściwie to Martin nie miał powodu dzwonić, chyba żeby zawiadomić o powrocie. Nie ma obowiązku składania jej codziennych sprawozdań, ale na tyle przynajmniej mógłby się zdobyć.

Pewnego mglistego popołudnia zamiast zadzwonić, po prostu wszedł, otworzywszy sobie własnym kluczem frontowe drzwi.

Andrea właśnie ponawiała próbę wypieku cynamonowych bułeczek według przepisu pani Horner. Pierwsze podejście okazało się totalną klęską do tego stopnia, że nawet wszystkożerny Jim nie był w stanie przełknąć ani jednej. Zmagając się z ciastem, które jakimś upiornym sposobem zaczynało żyć własnym życiem, Andrea kleła lepka breję i przy okazji cały świat. Jakie to upokarzające, że nie może dorównać tej tłustej klepie, która nawet nie potrafi przeczytać gazety!

Gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku, serce niespodzianie skoczyło jej do gardła. To musi być on! Jim siedzi u siebie, a nikt więcej nie ma klucza. Powinna się domyślić, że wróci bez ostrzeżenia, w najbardziej nieodpowiednim momencie. I rzeczywiście - stoi tu nie uczesana, bez makijażu, z dłońmi oblepionymi ciastem Wytarła ręce i zaryzykowała wyjście do holu.

- To nie włamanie - powitał ją Martin.
- Mogłeś dać znać, kiedy przyjeżdżasz.
- Może i mogłem. Cześć.
- Miałeś dobrą podróż?
- Hej, Martin! - Powitanie Jima było na tyle entuzjastyczne, że zaciętą minę przybysza zastąpił promienny uśmiech.
- Hej, Jim! Wszystko w porządku?
- Jasne. Fajnie, że jesteś. - Wyjrzał za drzwi. - Co się stało z garbusem?
- Wydał ostatnie tchnienie - odparł Martin posepnie. - Musiałem wynająć samochód. Pomożesz mi znaleźć następcę?
- Świetnie. Zaraz?

- Nie, muszę się przyzwyczaić do tej myśli. To jednak szok po tylu latach. Poza tym dziś zabieram twoją siostrę na kolację.

- Bomba!

- Zaraz, wolnego - zdążyła wtrącić Andrea.

- Och, przepraszam. Andreo, czy zechciałabyś zjeść dziś ze mną kolację?

- Jasne, że zechce. Będzie zachwycona - wyręczył ją w odpowiedzi Jim.

Jim odprowadził Andree i Martina do samochodu, rozpromieniony jak dumny ojciec. Gdy jednak próbował im dać do zrozumienia, że takie wspólne wyjście stwarza określone zobowiązania - nie spotkał się z właściwą reakcją zainteresowanych stron. Andrea w ostatniej chwili uległa słabości i włożyła nową, zakupioną tydzień temu sukienkę. Oczekiwała przynajmniej jednego błysku podziwu w oczach Martina, ale on ledwie raczył spojrzeć i nie powiedział ani słowa, więc milczała, urażona. Martin zachowywał się jak ktoś, na kogo nałożono ciężki obowiązek zabawiania wiekowej ciotki albo czyjejs brzydkiej siostry. Póki nie skręcił na szosę, żadne z nich się nie odezwało. Dopiero wtedy Andrea zapytała ze zdziwieniem:

- Czyżbyśmy nie jechali do „Rogu Obfitości”?

- Oczywiście, że nie.

- No to dokąd?

- Jeszcze się nie zdecydowałem.

Upłynęło kilka minut, nim odezwał się znowu:

- Czy to nowa sukienka?

- W zeszłym tygodniu była wyprzedaż...

- Właśnie tak wygląda. Jak z zeszłotygodniowej wyprzedaży.

- Niech cię cholera!

- A przecież to nie jest przejaw wrodzonego braku gustu - zastanawiał się głośno Martin. - Tak pięknie urządziłaś dom. Czy nie uważasz, że zasługujesz na przynajmniej tyle dbałości co kupa desek i tynku?

Milczenie, które zapadło po tym pytaniu, nie zostało przerwane, aż dotarli do obrzeży Frederick, najbliższego większego miasta. Martin gwałtownie skręcił na parking.

- Może tutaj. Chyba ujdzie - rzekł.

Jeśli zależało mu na prywatności - wybrał dobrze. Restauracja w sam raz nadawała się do pogruchania. Sala była zajęta tylko w połowie, dostali stół w kącie, z daleka od wejścia i kuchni. Kiedy kelner przyjął zamówienie na koktaile, Martin odchylił się na krzesło.

- Miałaś wiadomości od Reby?

- Nie.

- Czy coś się wydarzyło w czasie mojej nieobecności?

- Nie.

- Co będziesz jadła?

- Wszystko mi jedno.

Zjawił się kelner z drinkami. Martin zamówił kolację dla nich obojga.

- No i z głowy - rzekł. - Halo, Andy. Czy wspominałem ostatnio, że cię kocham?

- Tylko nie bierz mnie na słodkie słówka!

- Rzadko bywam oskarżany o ten grzech. Jeśli w ogóle. Stęskniłem się za tobą.

- Jestem pewna, że prawie o mnie nie myślałeś. Dobrze się bawiłeś w Nowym Jorku?

- Nie byłem w Nowym Jorku. Odwiedziłem parę nudnych miejsc. Między innymi Mobile w Alabamie.

- Coś takiego!

- Mobile w Alabamie - dokończył - to rodzinne miasto pułkownika Johna Fairfaxesa.

Dopiero po chwili dotarł do niej sens tych słów.

- Męża Mary! - wykrzyknęła. Martin potrząsnął głową.

- Wcale nie. Ona nigdy nie miała męża. Dziecko było nieślubne.

*

- Nie pytaj, czy jestem pewien. Jestem. Nie podsuwaj mi innych możliwości. Już je wykluczyłem. I nie przerywaj, bo chcę to raz mieć z głowy. Po raz pierwszy w życiu nie mam ochoty wygłaszać przemówienia.

Mężczyzna z Mobile to jedyny John Fairfax w randze pułkownika. Dlatego sprawdziłem go najpierw. Miał dwie żony, miejscowe ślicznotki. Żadna nie nazywała się Mary Broadhurst.

Może więc mąż Mary nie był pułkownikiem? Trzeba wziąć pod uwagę normalną ludzką skłonność do dodawania sobie splendoru.

Nazwisko jest dość popularne. Znalazłem dwóch poruczników i jednego kapitana. Żaden nie pasował.

Sprytnie to sobie wykombinowała. Trudno byłoby udowodnić, że nie poślubiła kiedyś człowieka o tym nazwisku. Wybrała kogoś z obozu wroga, z odległego regionu, zmniejszając w ten sposób szanse, że jacyś wścibscy ludzie coś wyśledzą. Podczas pierwszych lat wojny włączyły się przecież po Marylandzie oddziały konfederatów i kochanek Mary mógł być jednym z nich.

Nigdy nie poznamy jego prawdziwej tożsamości, tak samo jak nigdy się nie dowiemy, dlaczego trzydziestodzieciolatka Mary pozostawała w staropanieństwie. Bo żaden z miejscowych mężczyzn się nie nadawał? Jej ojciec musiał mieć z tym coś wspólnego. Gdyby nie czuł się winny, nie zależałoby mu tak bardzo na uzyskaniu przebaczenia córki.

W każdym razie, kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży, twardo stanął u jej boku. Wybrali nazwisko z przypadkowej listy i obmyślili całą historię. Póki starszy pan żył, nikt nie ośmielił się pisnąć ani słowa. Ale kiedy umarł, zostawiwszy córkę na pastwę losu, języki poszły w ruch. Zdaje się, że nie przepadano za Mary. Nie sądzę, by próbowała wkupić się w łaski miejscowej śmietanki towarzyskiej. Ktoś się czegoś dowiedział - może nie całej prawdy, bo byłaby za trudna do udowodnienia - ale wystarczyło, żeby zrobić z samotnej matki czarną owcę. Gdyby chociaż siedziała cicho w kącie, osłonięta wdowim welonem, może doczekałaby się kiedyś przebaczenia. To jednak nie leżało w jej charakterze. Stawiła im wszystkim czoło i wygrała. Ale zapłaciła wysoką cenę. - Martin przerwał swój wywód i podniósł szklaneczkę. - Za Mary!

Andrea słuchała, bynajmniej nie zaskoczona. Zupełnie jakby ktoś opowiadał dawno znaną historię. Teraz jej podziw dla Mary Fairfax tylko wzrósł. Zasłużyła sobie na to nazwisko, więc niech tak zostanie. Gdyby Andrea znalazła się w podobnej sytuacji, zrobiłaby to samo, jeśli oczywiście starczyłoby jej inteligencji, by coś takiego wymyślić.

- Za Mary! - powtórzyła. - Ale jakie jest znaczenie tej historii?

Martin odpowiedział pytaniem:

- Dla kogo? Dla Mary - ogromne, a jeszcze większe dla jej córki. Czy wiesz, co wtedy znaczyło słowo „bękart”? To było piętno, które odgradzało człowieka od wszystkich upragnionych celów, takich jak kariera, pozycja społeczna, szansa na dobre zamążpójście. Wolałbym

sądzić, że Alicja nigdy nie domyśliła się prawdy, ale obawiam się, że jednak wiedziała. Ten rysunek żołnierza... Idealny wizerunek ojca, którego nie знаła. I ukrywała go przed matką. Gdyby nie miała żadnych podejrzeń, nie schowałaby szkicu.

Nastąpiła przerwa, w czasie której kelner przyniósł zamówione potrawy. Potem Martin wrócił do tematu.

- Nie skończyłem jeszcze tej sagi. Zacząłem w tym samym miejscu co Jim, w archiwum sądowym hrabstwa. Szukałem zezwolenia na ślub Mary - i oczywiście nie znalazłem. Natomiast znalazłem takie zezwolenie wystawione na imię Alicji.

Ta wiadomość rzeczywiście zaskoczyła Andreę.

- Ależ Alicja nie była mężatką! Jesteś pewien?

- To nasza Alicja. Zgadzą się daty i miejsce zamieszkania. Zezwolenie nie zostało jednak wykorzystane, a na grobie wyryte jest, jak wiemy, nazwisko panięńskie.

Teraz - uprzedził jej następne pytanie - będziesz chciała wiedzieć, dlaczego. Powiem ci. Powiem ci przynajmniej, co podejrzewam. Zezwolenie na ślub ma datę o trzy miesiące wcześniejszą od daty śmierci. Tak więc nie śmierć przeszkodziła w zawarciu małżeństwa. Dziewczyna rzuciła narzeczonego albo to on ją rzucił, a może ktoś inny spowodował rozstanie. Rodzina chłopca mogła protestować w związku z nieślubnym pochodzeniem Alicji. Ale ja sądzę, że historia się powtórzyła. Mary uznała, że młody człowiek nie jest godzien jej córki. Trzy miesiące później Alicja wypadła albo wyskoczyła z okna wieży. Zbieżność dat nie przesądza, być może, sprawy, ale na pewno jest dość sugestywna.

- Podejrzewasz, że mogła być w ciąży?

- To byłaby ironia losu, co? Czas by się zgadzał, choć nie przypuszczam, żeby to miało rzeczywiście jakiś wpływ. Teraz - ciągnął Martin, rozgrzebując widelcem stygnące jedzenie - pewnie znów spytasz, dlaczego. Dlaczego straciłem dziewięć dni na wyśledzenie tej tragicznej, dawno zapomnianej historii? Odpowiem ci.

Zdarzenia ostatnich miesięcy można zinterpretować w dwojaki sposób. Pierwszy - to wyjaśnienie racjonalne, zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Nie muszę wchodzić w szczegóły, ponieważ jestem pewien, że sprawa jest ci znana. Podobnie jak ja, włożyłaś wiele czasu i wysiłku, aby przekonać samą siebie o prawdziwości tego rozumowania.

Drugi sposób jest daleko prostszy, ale trudniejszy do przyjęcia. Polega na założeniu, że Mary Fairfax albo jakaś jej część nadal jest wśród nas. Wywierała na ciebie wpływ od samego początku. Obecność jej udreźnionej, przepelnionej poczuciem winy duszy wyczuwała Reba. Róża, którą Mary zasadziła na grobie córki, ciągle żyje, podtrzymywana w jakiś nadprzyrodzony sposób. Gdy Mary zbliża się do moich drzwi, wita ją kot. O, tak! - uśmiechnął się posepnie. - Wiem, kiedy tam jest. Co jakiś czas się pojawia. Zawsze to wyczuwam. Widzę, jak to stworzenie z piekła rodem wygina się i ociera o niewidzialną spódnicę. Czy słyszałaś kiedykolwiek, żeby Szatan mruczał? Robi to, gdy Mary wchodzi do pokoju. I była w salonie tamtego wieczoru, kiedy...

- Chcesz powiedzieć, że dlatego...

- Publiczność zawsze mnie peszy.

- Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś tak niewiarygodnego! - wykrzyknęła szczerze Andrea.

- Och, doprawdy? Powiedz, ile podobnych wypadków ukryłaś przede mną? Oboje zachowywaliśmy się w ten sposób z tego samego powodu: nie mieliśmy odwagi przyznać, że spotkało nas coś, czego nie rozumiemy. A może jednak rozumiemy? - Rozłożył ręce. - Po prostu nie wiem. Pierwszy raz mam do czynienia z sytuacją, którą można tłumaczyć na dwa różne, wykluczające się sposoby. Kiedy wybrałem się w podróż, by odszukać ciąg dalszy historii Mary, miałem nadzieję, że znajdę coś, co przesądzi sprawę w jedną albo w drugą stronę. I doszedłem do wniosku, że ponad wszelką wątpliwość mamy do czynienia z błakającym się duchem, tylko że to nie rozwiązuje problemu...

- A co właściwie uważasz za problem? - dopytywała się Andrea.

- Jeśli obawiasz się własnych fantazji...

- Potrafię się przyzwyczaić do Mary - rzekł z powagą. - Jak na pokutującą duszę zachowuje się całkiem przyzwoicie. Nie rzuca talerzami, nie ściąga koców z łóżek, nie wyje po nocach...

Andrea roześmiała się.

- Żartujesz. To wszystko są żarty, prawda?

- Robienie z siebie głupka jest moim stałym zwyczajem. Tony nazywa to mechanizmem obrony. Prawdopodobnie nawet przed egzekucją robiłbym kawały katu. To jednak nie znaczy, że pozostanę obojętny na powagę sytuacji.

Ty ciągle nie rozumiesz istoty rzeczy. Nie chodzi o Mary - pokutującą duszę czy też wytwór mojej wyobraźni. Nie chodzi też o ciebie. Mary nie zrobiła ci nic złego. Jesteś sobą, może nawet bardziej niż kiedykolwiek.

Ja też nie od razu to dostrzegłem. Reba mówiła, że przed twoim przyjazdem nic szczególnego w tym domu się nie działo. Zapomniała tylko, że razem z tobą przyjechał Jim. To on jest katalizatorem, on wyzwala tę siłę, a nie ty. Pomyśl, co mu się przytrafiło. Z pewnością wiele z jego zachowania da się wytłumaczyć w racjonalny sposób, podobnie jak i resztę tego cholernego zamieszania, ale czy nie uważasz, że takie rozumowanie nie bardzo trzyma się kupy? Możesz zlekceważyć moje fantazje, ale jeden fakt jest niezaprzeczalny: ten dom źle wpływa na Jima. Musi się stąd wynieść.

- Twoje odczucie też da się wyjaśnić racjonalnie.

- Aż za dobrze o tym wiem. Co więcej, jestem pewien, że Tony Benson by się z tobą zgodził. Tylko że to nieprawda. Nie proszę cię, żebyś wybierała między mną a Jimem. Kocham tego chłopaka. Nigdy nie myślałem, że powiem coś takiego o facecie...

Nie potrafiła odwzajemnić jego uśmiechu.

- Nie przeczę, że martwię się o Jima. ale to wszystko jest zbyt... zbyt nieokreślone. Potrzebuję czegoś namacalnego, na czym mogłabym się oprzeć...

- O Boże, przecież ja też! Kiedy nadeszły wyniki badań, zamartwiałem się całymi dniami. Byłoby tak łatwo, gdyby znaleźli jakiś problem natury fizycznej... albo psychicznej. Można by próbować walczyć. Ale jak wyleczyć kogoś z... nawiedzenia przez duchy?

Andrea potrząsnęła głową.

- Mogę ostatecznie kupić jednego ducha. Ale dwóch nie przyjmę do wiadomości.

- Wpuścisz jednego - i cześć! Będą się pchały drzwiami i oknami. Obecność Alicji jest nawet silniej wyczuwalna niż Mary. Co ci przyszło do głowy, żeby stać w otwartym oknie tak wysoko nad ziemią? Co jeszcze wtedy się stało? Nie powiedziałaś mi wszystkiego, prawda?

- Poczulałam dotyk ręki na ramieniu. Powstrzymywała mnie, odciągała. Myślę, że gdyby nie ona wyskoczyłabym.

- Znów to samo - westchnął Martin. - Subiektywne urojenia czy też Alicja, która chciała ci zaoszczędzić własnego losu?

- Albo Mary.

- Mary... - Zastanawiał się przez chwilę. - Jeszcze lepsza koncepcja, prawda? Alicja to siła destrukcyjna. Dom jest ciągle przesiąknięty jej rozpaczą. A Mary jest dobra. Próbuje wydostać się z czyśćca, pomagając innym, ponieważ nie udało się jej pomóc własnej córce. Nie... cholera, czysty Dickens! To za bardzo wydumane!

- Może oboje popełniamy podstawowy błąd, przypisując ludzkie cechy, uczucia, motywacje tym... no wiesz...

- Dlaczegożby nie mieli czuć po ludzku? Byli przecież ludźmi.

- Martin, mogę w to grać, jak długo zechcesz, i to grać uczciwie. Ale sam powiedziałeś: każdą okoliczność można wytłumaczyć na dwa sposoby. Nie mogę przyjąć twojego.

- Nawet po tym, co się stało z Jimem?

- Co takiego się stało? Był na granicy załamania nerwowego po urazie mózgu. Mogę się ostatecznie z tobą zgodzić, że chciał popełnić samobójstwo. Nie wszystko ci powiedziałam... Są rzeczy, do których się nie przyznaję nawet przed sobą. Ale kiedy znalazł się oko w oko ze śmiercią, kiedy zdał sobie sprawę z zagrożenia, zrozumiał, że popełnił błąd. Wcale nie chciał umrzeć.

- Nie chciał wrócić do życia... - przypomniał jej łagodnie.

- To było dawno temu. Miał bóle, bał się... Teraz to co innego.

- Tej nocy, kiedy znaleźliśmy go na cmentarzu... Czy nie odniosłaś wrażenia, że ktoś przy nim siedział? - Czekał dłuższą chwilę na odpowiedź, wreszcie wzruszył ramionami. - W porządku. Wierz sobie, w co chcesz, ale musisz przyznać, że dla Jima będzie lepiej, jeśli stąd wyjedzie. Nie na zawsze, po prostu na tak długo, by zdołał zbudować sobie nowe życie.

- Jeśli zechce, nie będę mu przeszkadzać.

- To nie wystarczy. On nie zechce. Czy nie widzisz, że właśnie tym się martwię? Powinnaś go zmusić. Dać mu kopa. Uwolnić.

Andrea zadrżała.

- Spróbuję. Ujął ją za rękę.

- Wszystko się ułoży, Andy... Co byś powiedziała, gdybyśmy tak kupili parę hamburgerów na wynos? Nie mogę jeść tego paskudztwa.

Następnego dnia Martin z Jimem rozpoczęli wielkie poszukiwania godnego następcy ukochanego garbusa. Wyruszyli

wczesnym rankiem i wrócili dopiero na kolację. Nie odnieśli jednak sukcesu, a Jim twierdził, że nigdy nic nie kupią, jeśli Martin nie zmieni swojego nastawienia.

- Przyrównuje każde auto do volkswagena - opowiadał na pół z niesmakiem, ale i z rozbawieniem. - Jest w głębokiej żałobie. Kiedy pokazuję mu coś godnego uwagi, patrzy na mnie jak świeży wdowiec, którego na siłę ciągną do ołtarza.

- Dzisiejsze samochody to kupa szmelcu - wybrzydzał Martin. - Natomiast garbus...

- Zdechł i już! - wrzasnął Jim. - Posłuchaj no...

- A ceny! - Martin wznosił oczy ku niebu. - Dziś samochód kosztuje tyle co dawniej dom. Zapłaciłem sześćset dolarów za...

- Nic nie mów - ostrzegł go Jim.

- Jest coś obscenicznego w ładowaniu trzydziestu tysięcy w powleczoną chromem puszkę.

- Kto ci każe kupować mercedesa? Tylko sprzedawca, ja nie! A ta czerwona corvetta...

- Nie kupię samochodu, który prowadzi się na leżąco.

Kłócili się niemal cały wieczór. Ostatecznie uzgodnili, że jutro spróbują jeszcze raz. Andrea, która powstrzymywała się od wyrażania opinii mimo zachęty z obu stron, kategorycznie odmówiła wzięcia udziału w wyprawie.

Gdyby kupno samochodu zostawić Martinowi, prawdopodobnie nabyłby pierwsze z brzegu pudełko na czterech kółkach i ze skrzynią biegów. Wciągnięcie Jima stanowiło część kampanii, podobnie jak subtelne aluzje na temat różnych college'ów, pracy wakacyjnej i innych spraw. Andrea nie miała nic przeciwko temu, chociaż jak zwykle, gdy Jim kręcił się w pobliżu, jej przeczucia wydawały się absurdalne. Był taki szczęśliwy...

Od miesięcy sypiała znakomicie, bez żadnych snów, ale tej nocy była trochę niespokojna. Ostatnio w okolicy wydarzyło się kilka włamań. Jedno na stacji benzynowej, drugie na farmie, której właściciela, głuchego staruszka, uważano za kutwę ukrywającego rzeczywiste dochody. Andree poinformował o tych wypadkach Al Wyckoff, który znów ponowił ofertę wyszukania jej jakiejś „poręcznej pukawki”. Odpowiedziała mu stanowczo, że nie chce żadnej broni, ale po raz pierwszy, odkąd zamieszkała w tym domu, zaczęła się

denerwować. Jej pokój znajdował się na parterze, w takiej odległości od pokoiów mężczyzn, że wątpliwe, by ktoś usłyszał krzyk.

Jak wszyscy właściciele domów, stała się wrażliwa na nocne odgłosy. Do niektórych, takich jak szmer strumyka czy szum przejeżdżających samochodów, przywykła, ale każdy obcy dźwięk stawiał ją na nogi. Podświetlona tarcza zegarka na stoliku nocnym wskazywała godzinę trzecią dwadzieścia, gdy z głębokiego snu wyrwał ją chrzęst zeszywniałej, zamarznętej trawy.

Nasłuchując pilnie, rozpoznała odgłos skradających się kroków. Czuła w tym momencie więcej gniewu niż strachu. Okno w jej pokoju było nieco uchylone. Wydawało się, że intruz przystanął w pewnej odległości, może przy oknie dawnego pokoju Jima. Starając się nie zaszeleścić pościelą, wysunęła się z pościeli. Wsunęła stopy w miękkie kapcie i sięgnęła pod łóżko.

Ani Jim, ani Martin nie mieli prawa wiedzieć o pogrzebaczu. Najpierw brzuchy by ich rozbolewały ze śmiechu, a potem palnęłyby jej mowę na temat pchania się w niebezpieczne sytuacje. Andrea zresztą pierwsza mogłaby przyznać, że jako broń pogrzebacz pozostawia wiele do życzenia, zwłaszcza w jej przypadku. Jednak po prostu pewniej się z nim czuła. Ściskając ciężki, żelazny pręt, przeszła na palcach do pokoju Jima.

Ledwie zdążyła tam wejść, gdy odgłos skradających się kroków przekształcił się nagle w kakofonię dźwięków - wściekłego syczenia i okrzyków bólu. Potem usłyszała ciężki tupot nóg. Komuś wyraźnie bardziej zależało na natychmiastowej ucieczce niż zachowaniu ciszy. Otworzyła okno, ale zobaczyła już tylko cień masywnej postaci znikającej za kurnikiem.

Teraz już nie było sensu się skradać. Pobiegnęła do kuchni po latarkę. Dłuższą chwilę zajęło jej mocowanie się z zasuwą - kuchenne drzwi miały podwójne zabezpieczenie. Uzbrojona w pogrzebacz i latarkę, Andrea wypadła na dwór.

Zadygotała z zimna. Wszędzie panowała cisza i dopiero po chwili dobiegł ją dźwięk uruchamianego samochodu, który zaraz odjechał z głośnym rykiem silnika.

Udało mu się uciec! Zastanawiała się przez chwilę, czy nie przyjrzeć się śladom, ale powstrzymały ją zimno i zdrowy rozsądek. Mimo przekonania, że samochód należał do intruza, nie była tego w stu procentach pewna, a ryzykowanie starcia można by uznać za

przejaw ciężkiej głupoty. Już miała się wycofać do domu, gdy promień latarki oświetlił ciemny kształt zmierzający w stronę domu. Szatan, z najeżonym, rozkołysanym gniewnie ogonem, wkroczył z godnością na schodki i wsunął się do środka.

Andrea zaryglowała drzwi. Kocur siedział w najlepsze pod piecykiem. Nie zaszczycając jej ani jednym spojrzeniem, zajmował się toaletą: zwilżał śliną łapkę i pocierał nią nos i uszy. Gdy nazbyt długo marudził nad drugą łapą, Andrea zauważyła, że coś mu się przyczepiło do pazurka. Pochyliła się i zdjęła strzęp materiału.

Kot, zadowolony, że pozbył się kłopotu, zabrał się znowu do mycia. Andrea przyjrzała się swojej zdobyczy. Było to zaledwie parę nitek granatowej tkaniny podobnej do dżinsu.

Przez dłuższą chwilę obserwowała Szatana, po czym otworzyła lodówkę. Leżało tam parę kawałków kurczaka - resztki z kolacji. Zeskrobała na miseczkę trochę mięsa z udka i postawiła przed swym obrońcą.

Dopiero wtedy usłyszała tupot nóg na schodach. Martin był strasznym śpiochem. Obudzony w środku nocy, miotał się bez sensu i nie potrafił zebrać myśli. Teraz pojawił się w kuchennych drzwiach, ziewając i trąc oczy.

- Nie przejmuj się, bohaterze - rzekła sarkastycznie Andrea. - Już po wszystkim.

Wodził nieprzytomnym spojrzeniem od niej do leżącego na stole pogrzebacza, wreszcie zobaczył Szatana, który z głośnym mlaskaniem pochłaniał kurze mięso.

- Więc jednak ktoś tam był. Zdawało mi się, że słyszałem hałas...

- Przynajmniej już wiem, że nie ma co liczyć na ciebie czy Jima, gdy ktoś nastaje na moją cześć - odgrywała się dalej.

- Jim śpi snem sprawiedliwego. - Do Martina wreszcie dotarł sens tego, co miał przed oczami. Błyskawicznie oprzytomniał. - Chyba nie rzuciłaś się na bandziora z tym pogrzebaczem?

- Mam jeszcze odrobinę rozumu. Dźwięki, które słyszałeś, to kocie wrzaski i krzyki biednego, podrapanego złodzieja.

- Och.

- Chyba sobie sprawię psa - rzekła z namysłem Andrea. - I to zaraz jutro.

Martin opadł ciężko na krzesło.

- Po co? Masz jego. - Wskazał ręką kota, który natychmiast się odwrócił, obrzucając go pogardliwym spojrzeniem.

- Facet pewnie nadepnął mu na ogon. Nie mogę liczyć, że to się powtórzy. Pies jest pewniejszy.

- Istnieje jeszcze inne wyjście... - mruknął Martin.

- Nie mam zamiaru spać w twoim pokoju, jeśli o to ci chodzi. Gdybym miała zostawić na noc tę część domu pustą, to już lepiej od razu wręczyć klucze lokalnym mętom.

- Więc ja mogę spać u ciebie.

- Właśnie: spać. W razie czego straciłabym co najmniej dziesięć minut na doprowadzenie cię do przytomności.

- Prawda, nie jestem najlepszym gorylem na świecie - przyznał. - Ale mam inne kwalifikacje, które może zechcesz wziąć pod uwagę.

- Może kiedy indziej.

Andrea przyglądała się z nie skrywanym rozbawieniem jego pomarszczonej od snu twarzy i opadającym powiekom. Mimo to poczuła ukłucie zawodu, gdy pokiwał sennie głową.

- Rzeczywiście, nie jestem w najlepszej formie. Nie gniewasz się, prawda? Może chcesz, żebym spał tu, na kanapie?

- Och, wracaj do łóżka! - zdenerwowała się wreszcie. - Na szczęście mam Szatana, on mnie obroni.

Gdy Jim i Martin zeszli rano na dół, Andrea studiowała ogłoszenia.

- Naprawdę niewiele wiem o psach - wyznała, kiedy już zrelacjonowała Jimowi nocne przejścia i poskromiła jego niespokojne okrzyki. - Jaka rasa jest najlepsza?

- Zależy do czego - roześmiał się Martin.

- Przecież to jasne.

- Chcesz stróża, obrońcę czy po prostu kundla, który szczeka na zawołanie? Za dobermana przyuczonego do pościgu i przytrzymania napastnika zapłacisz nawet tysiąc. Możesz także pójść do schroniska i kupić tanią maszynkę do szczekania.

- Och. Chyba nie chcę dobermana... Wyglądają tak... mizernie.

Jim nie brał udziału w dyskusji, ale gdy Andrea poprosiła, żeby pojechał z nią do schroniska, nie bronił się specjalnie.

- Mieliśmy z Martinem rozejrzeć się za wozem. A może najpierw wszyscy pojedziemy do schroniska?

- Beze mnie - odparł Martin. - Nie mogę znieść widoku takich miejsc. Wszystkie te wielkie ślepia wpatrzone we mnie błagalnie z nadzieją, że się zlituję... Większość z tych psów czeka uśpienie.

- To o wiele bardziej humanitarne niż porzucenie czy potrącenie przez samochód.

- Wiem, wiem. Odpalam co roku parę docłów na Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami i podziwiam tych ludzi. Ale sam jestem parszywym tchórzem i nie wstydzę się do tego przyznać. Ty jedź, Jim. Wyruszymy po waszym powrocie.

Wizyta w schronisku dla zwierząt okazała się cięższym doświadczeniem, niż Andrea się spodziewała. Znowu przez Martina; uwrażliwił ją na wiele spraw, którymi dawniej nie zaprzętałyby sobie głowy. Zdecydowała się na dużego, kudłatego przedstawiciela nieokreślonej rasy. Pielęgniarz zapewniał, że to jeszcze szczeniak, choć pies był wielki i zarośnięty jak owca. Rzeczywiście zachowywał się jak szczenię. Wyrwał się z klatki tak gwałtownie, że przekoziółkował przez własną łapę, po czym przypadł do Andrei i w błyskawicznym tempie oblizał jej obie ręce, wymachując przy tym ogonem i objając nowej pani łydki. Udowodnił też, że potrafi szczekać.

- Co o nim myślisz, Jim?

Nie doczekała się odpowiedzi. Jim siedział na podłodze, a pies mył mu jęzorem twarz.

- Bierzemy go - zdecydowała Andrea.

Okazało się, że muszą poczekać kilka dni, aż zwierzak zostanie zaszczepiony. Mimo to wcześniej miała psa niż Martin samochód. Gałgan został zainstalowany i obdarzony wszystkimi niezbędnymi psimi akcesoriami. Dostał dwie miski - na jedzenie i wodę, budę, obrozę, smycz, podścielono mu też grubą warstwę gazet. Tymczasem Martin i Jim nie ustawali w poszukiwaniach auta.

Andrea postanowiła twardo, że pies ma większość czasu spędzać na dworze.

- Będzie wielki jak słoń - tłumaczyła. - Nie mogę dopuścić, by zwierzę kręciło się pod nogami, zwłaszcza w sezonie. Poza tym zachowuje się niehigienicznie...

- Muszę się z tobą zgodzić - przyznał Martin, oglądając swój but.

- To się niedługo skończy - rzekła Andrea z nadzieją w głosie. - Ale są jeszcze inne, trwałe niedogodności, jak linienie, pchły i tak

dalej. Ma wspaniałą budę, za którą zapłaciłam majątek. Nie rozumiem, czemu się nad nim roztkliwiacie. Przecież tylko ja nie mogę spać z powodu jego wycia.

- Co ty wygadujesz? - zaczął się Jim. - Słyszeć go w promieniu dziesięciu mil. Gdybyś mu pozwoliła spać w moim pokoju...

Gałgan polubił pokój chłopca. Pewnie przyzwyczaiłby się i do innego miejsca, ale tam było mu najlepiej. Prawdopodobnie z powodu obecności Jima i nieobecności Szatana. Pierwsze spotkanie obu czworonogów miało przebieg prawie tak gwałtowny, jak Andrea oczekiwała. Niestety, musiała przyznać, że z winy psa. Gdy kocur po raz pierwszy ujrzał ze zdumieniem sapiący, rozdygotany kłab brązowego futra, skłonny był zignorować to paskudztwo. Gałgan jednak, nieczuły na ostrzegawcze prychnięcia, chciał się pobawić. Szatan znieruchomiał na taką bezczelność. Odczekał, aż pies zbliżył się na odległość nie większą niż dziesięć centymetrów, i jednym celnym pacnięciem rozorał mu nos. Zdawałoby się, że po pierwszym starciu Gałgan powinien mieć dość, a jednak czy to z głupoty, czy nieuleczalnego roztargnienia nie potrafił zostawić kota w spokoju, chociaż wiedział, co go czeka.

Gałgan bywał wpuszczany do domu tylko pod nadzorem. Do biblioteki i salonów wstęp miał absolutnie wzbroniony. Pokój Martina nie wchodził w rachubę z powodu Szatana, tak więc jedyny azyl stanowił pokój Jima na wieży. Kiedy chłopak zabrał tam psa po raz pierwszy, Andrea i Martin poszli za nimi. Żadne z nich za nic by się nie przyznało, że chce sprawdzić reakcję psa. Gdy Gałgan, wymachując ogonem, rozłożył się przy łóżku z wywieszonym jęczorem, konspiratorzy wymienili długie spojrzenia. Andrea patrzyła z triumfem, Martin z rezerwą.

Albo w pokoju na wieży wszystko było w porządku, albo powszechnie rozreklamowane wyczulenie psów na zjawiska nadprzyrodzone okazało się fałszem.

Martin nie wracał już w rozmowie do swoich teorii. Udało mu się namówić Jima do zamówienia informatorów o college'ach, ale kiedy nadeszły, sam zainteresował się nimi bardziej niż ewentualny kandydat. Studiował je dogłębnie, czytając głośno co cenniejsze fragmenty, Jim zaś słuchał z uprzejmości, na nic się nie decydując.

W domu panował spokój. Zupełnie jakby fakt, że Martin nazwał duchy po imieniu, spowodował ich zniknięcie. Od tygodni nie

zdarzyło się nic choćby odrobinę odbiegającego od normy. Mimo to Andrea czuła, że coś wisi w powietrzu. Nie był to strach; po prostu pewność, że coś się wkrótce wydarzy. Z niecierpliwością oczekiwała wizyty Kevina, podobnie zresztą jak Martin, który, poinformowany o wszystkim, uznał to za świetny pomysł. Być może właśnie stąd się brały jej odczucia.

Pewnego popołudnia siedziała sama w domu, kiedy zadzwieczał dzwonek u drzwi. Nie oczekiwała żadnej wizyty. Gdy zobaczyła, kto stoi na progu, oczy jej się rozszerzyły ze zdumienia.

- Reba! Nie wiedziałam, że wróciłaś!

- Przyjechałam wczoraj.

- Wejź. Tak się cieszę, że cię widzę. Jima ani Martina nie ma...

- Wiem. Widziałam ich w mieście. Dlatego przyjechałam.

Pozwoliła Andrei zaciągnąć się do środka, ale na propozycję zdjęcia płaszcza potrząsnęła głową.

- Nie mogę zostać. Przyjechałam, bo mam ci coś do powiedzenia. Gdy to usłyszysz i tak nie będziesz mogła na mnie patrzeć.

- Ależ Rebo...

- Byłyśmy przyjaciółkami, tak?

- Jesteśmy przyjaciółkami. Choć nie podobał mi się ten wyjazd bez uprzedzenia.

Reba znów potrząsnęła głową. Była blada, lecz opanowana. Andrea zauważyła, że wyraża się staranniej i nie używa wulgaryzmów.

- Pozwól mi mówić, Andy. Musiałam zebrać całą odwagę, nim wreszcie zdecydowałam się na ten krok. Nie zamierzałam tego robić. Uciekłam. Ale w końcu uświadomiłam sobie, że muszę. To może oznaczać koniec naszej przyjaźni, a jest ona dla mnie czymś o wiele ważniejszym, niż sobie wyobrażasz. Tylko że gdybym milczała, a coś by się stało, nigdy bym sobie nie wybaczyła.

Dałam ci się namówić na to świąteczne przyjęcie, ponieważ uznałam, że muszę przestać uciekać. Pomyślałam, że masz rację... że to nie związane z nikim konkretnym, nieszkodliwe odczucie czegoś, co dawno minęło. Tak naprawdę nie wierzyłam w tę koncepcję, ale postanowiłam spróbować ze względu na ciebie. Gdybym odkryła coś złego, niebezpiecznego, mogłabym cię ostrzec. - Zrobiła przerwę i przez chwilę dyszała ciężko. Andrea była zbyt zaskoczona, by się odezwać. - Z początku nic złego się nie działo - ciągnęła Reba po

chwili. - Dopiero kiedy zobaczyłam portret... Gdybym była psem, podwinęłabym ogon i zawyła... Ale wtedy ty się zjawiałaś, a ja pomyślałam: to jest to, tym razem wszystko jasne.... Te kocie oczy jak złote monety, jak błyszczące przedmioty używane przez hipnotyzerów do wprowadzania ludzi w trans... No i nerwy mi puściły...

Nie pamiętam, co mówiłam. Pamiętam, co widziałam.

Najpierw ujrzałam kwiat. Chyba różę. I ścinający ją sekator. Kwiat zaczął spadać na ziemię, ale wtedy pojawiła się ręka. Złapała różę i trzymała ją mimo kolców. Krew ciekła po palcach, lecz ręka nie wypuszczała kwiatu. Nagle krzew różany zaczął się rozrastać. Wypuścił długie pędy, wyginające się, splecione. I... tam był Jim. Pędy oplątywały go jak liny, trzymały go w środku. On zaś nie próbował się uwolnić. Po prostu stał, a ciernie go rozdzierały...

Nie mogłam ci o tym powiedzieć. Uznałabyś, że próbuję odstawić Ruby Starflower, a przecież wiem, jak jesteś uczulona na takie rzeczy. A następnego dnia... kiedy Jim i ja uścisnęliśmy sobie ręce... Andy, to się stanie niedługo. Bardzo niedługo. Nie wiem, jak mogłabyś temu zapobiec, ale musisz spróbować.

- Coś się stanie... Jimowi?

- Idę już. Do widzenia, Andy.

Andrea nie próbowała jej zatrzymać. Reba odeszła z opuszczoną głową, powłócząc ciężko nogami jak stara, schorowana kobieta. Nie obejrzała się.

Andrea wiedziała, że powinna za nią pobiec i zapewnić, że się nie gniewa. Wiedziała, ile odwagi wymagała ta wizyta. Przyjaźń tej klasy warta jest zachodu. Należało Rebę uspokoić, powiedzieć, że niebezpieczeństwo, którego się obawiała, ale nie potrafiła określić, minęło. Symboliczny charakter jej snu był tak oczywisty... Na pewno Martin rozmawiał z nią o swoich koncepcjach.

Przez głowę przeleciała jej nagła myśl: „Czy to rozumowanie nie staje się zbyt naciągane?” Pozostała głucha na te podszepty. Powinna pobiec za Rebę... Ale nadal stała nieruchomo, prawie nie czując zimnego powiewu na ramionach i twarzy, póki mercedes nie zniknął jej z oczu.

Powietrze wydawało się tak gęste, że ledwie była w stanie oddychać. Zatykało płuca, jakby zalewała je jakaś zawieszista ciecz. Serce Andrei waliło jak młotem, ręce mimo chłodu lepiły się od potu.

W głuchej ciszy rozległ się nagle dźwięk, który podniósł jej włosy na głowie: przeciągłe wycie psa.

Po kilku hałaśliwych nocach Gałgan oswoił się z nowym legowiskiem, ale nawet w najgorszych chwilach nie wydawał takich odgłosów. Przejmujący psi skowyt wznosił się i opadał jak jakaś rozpaczliwa suplikacja.

Andrea potykając się o własne nogi popędziła do tylnych drzwi. Rano uwiązała psa - inaczej pogoniłby za mężczyznami. Teraz siedział przed budą z podniesionym pyskiem, śląc swe żale prosto w obojętne niebo. Andrea przycisnęła ręce do uszu.

- Przestań!!! - krzyknęła histerycznie. - Przestań, przestań!

Zamiast przybiec do niej na powitanie jak zwykle, nawet wtedy gdy został skarcony, pies przywarował do ziemi z głową między łapami, a po chwili, wlokąc za sobą ogon, wpełzł do budy.

Andrea drżała na całym ciele, ale nie z zimna. Nic dziwnego, że wycie psa uważano za klasyczną zapowiedź śmierci. Nigdy nie słyszała czegoś tak przejmującego jak ta beznadziejna boleść, ten straszliwy lament. Jim i Martin... Czemuż oni nie wracają? Nie ma ich już tak długo...

Pies się uspokoił. Andrea wróciła do domu. Spojrzała na telefon; bez sensu, przecież nie wiedziała, gdzie są, nie może dzwonić do każdego handlarza samochodów w całym okręgu. Portret Mary spoglądał na nią z ramy. Ale nie sama Mary - ta nadal obserwowała drzwi. Dziwne, że ona, Andrea, nie zauważyła dotąd, jakie napięcie i wyczekiwanie kryło się w tej usztywnionej pozie i przechylonej głowie.

Zaczęła wchodzić po schodach - z początku wolno, w pewnej chwili jednak ruszyła biegiem, przeskakując stopnie. Gdy dotarła do pokoju na wieży, nie mogła złapać tchu. Drzwi były otwarte, Jim nigdy ich teraz nie zamykał na klucz. Wiedział, że Andrea rzadko tam chodzi. Sprzątał sam, z niewielką pomocą pani Horner. W zeszłym tygodniu porządnie się napracował, wynosząc jedną po drugiej torby pełne niepotrzebnych szpargałów. Powiedział, że robi „wiosenne porządki” i pozbywa się starych kłopotów.

Wnętrze okazało się puste i bezosobowe jak pokój hotelowy przed przybyciem gości. Andrea podeszła do biurka. Błat był czysty - ani jednego papierka, ani jednej puszki po piwie. Zaczęła otwierać

szufladę, ale palce odmówiły jej posłuszeństwa w obawie, co tam zobaczy... Pusto. Wszystko wyprzątnięte, wyrzucone.

Nie mogła oddychać. Powietrze na górze było jeszcze gęściejsze, ciężkie jak olej. Wróciła do drzwi. Podłogę przy progu zakrywała mała wycieraczka. Andrea odsunęła ją nogą i sięgnęła do skrytki.

Z łatwością podniosła deskę. Rysunki leżały na miejscu. Na okładce szkicownika było coś jeszcze: koperta z jej imieniem wypisanym ręką Jima.

Zostawiła otwartą skrytkę. Nie zamknęła nawet drzwi. Gdy znalazła się na pierwszym piętrze, wiedziała, że nie robi już ani kroku. Otworzyła drzwi pokoju Martina. Zobaczyła ubrania, porzucone beztrudno w nogach łóżka, rękopisy zaścielające stół i krzesła. Wciągnęła w nozdrza zapach jego tytoniu i wody po goleniu... Poczula się trochę lepiej. Usiadła na łóżku i otworzyła kopertę.

Kochana Andy!

Nie przeczytasz tego listu, póki nie odejdę. Przynajmniej nie powinnaś, bo jeśli to zrobisz, będę wiedział, że znów myszkujesz w moich rzeczach...

Będiesz przeżywać teraz ciężkie chwile, wiem o tym. Piszę ten list, żeby Ci choć trochę pomóc. Jestem naprawdę szczęśliwy i chciałbym, żebyś i Ty cieszyła się moim szczęściem.

Z pewnością trudno pisać takie coś, żeby nie wyjść na głupka! Lepiej zacznę od samego początku, to znaczy od tego, co stało się po wypadku. Myślę, że sądzone mi było zginąć. Andy, mówiłem Ci, że nie chciałem wracać. Nie powiedziałem Ci jednak, że z początku obwinałem za swój powrót Ciebie. Przez jakiś czas zachowywałem się jak gówniarz. Przepraszam Cię za to. Musiało upłynąć trochę czasu, nim pojąłem, że istnieją powody, bym znalazł się tutaj - a Ty nie jesteś niczemu winna.

Nie wszystko jeszcze rozumiem. Wiem tylko, że to ma coś wspólnego z tym domem i z nią. Z Alicją, dziewczyną, która tu niegdyś mieszkała. Kiedyś miałem w związku z nią różne głupie myśli - że to moja dawno utracona miłość czy coś takiego. Oczywiście, czyste bzdury. Chociaż mam wrażenie, że w przeszłości musiałem ją znać...

Andy, te kapsułki wziąłem umyślnie. Nie mogłem już dłużej wytrzymać. Gdy siedziałem tam, w ciemności, czekając... coś się wydarzyło. Usłyszałem jakby głos, który mówił, że popełniam

okropny błąd. Że w ten sposób nie osiągnę celu. Ze muszę czekać. Ale niedługo.

Więc przypuszczam, że to wkrótce nastąpi. Nie wiem kiedy ani jak, ale wkrótce. Bo nie znajduję się tam, gdzie powinienem, podobnie jak Alicja. Jesteśmy w takiej samej sytuacji. Ona mnie nieco wyprzedza, ale coś ją powstrzymuje. Sądzę, że jednym z powodów, dla których tu tkwię, jest to, iż mam jej pomóc odnaleźć właściwą drogę.

Już słyszę, jak się śmiejesz, czytając coś tak absurdalnego. A może nie będziesz się śmiać? Mam nadzieję, że Twoje cierpienie nie potrwa długo. Martin Ci pomoże. Cieszę się, że będzie przy Tobie. Ten rok przyniósł wiele dobrego. Okropnie byłoby nie poznać Martina.

Pamiętasz, jak się czułaś, kiedy po raz pierwszy po Bożym Narodzeniu wracałaś do college u? Żałowałaś, że zostawiasz tatę i mnie, ale chciałaś jak najprędzej znaleźć się wśród przyjaciół, no i w ogóle. Czuję teraz dokładnie to samo, tylko mocniej. Kocham Cię, Siostrzyczko. Bądź szczęśliwa.

Jim

*

Kiedy przyjechali, Andrea stała w oknie salonu. W pierwszej chwili nie wiedziała, kto nadjeżdża. Długi, nisko zawieszony pojazd lśnił nowością. Na szybie widać było jeszcze naklejki sprzedawcy. W szarości otoczenia biła w oczy jaskrawa czerwień lakieru. Auto zatrzymało się przed frontowymi drzwiami, tak że widziała twarze obydwóch mężczyzn. Uśmiechnięty od ucha do ucha Jim siedział za kierownicą. Przy nim - wyraźnie niezadowolony Martin poruszał gwałtownie ustami, jakby się o coś gniewał. Po chwili odjechali w stronę garażu. Oczywiście - zanosilo się na śnieg. Martin nie zwróciłby na to uwagi, ale Jim nie mógł dopuścić, by choć jeden płatek skalał wilgocią nowe cudo.

Ich bezpieczny powrót, przekreślający wszystkie złe przeczucia, powinien usunąć ciężar z jej serca, lecz misterna sieć logicznego rozumowania zaczęła wreszcie pękać. Andrea próbowała temu zapobiec: list nic nie znaczył, Jim mógł go napisać całe tygodnie temu, poza tym nie wnosił nic nowego do tego, co już wiedziała i z czym próbowała zwalczyć... A jednak sieć się zerwała i nic już nie pomagało.

Tak długo stała bez ruchu, że całkiem zeszywniała. Powlokła się z trudem do kuchennych drzwi. Martin wyszedł z garażu z dużą papierową torbą. Prosiła go, by kupił mleko, chleb i trochę jarzyn. Pomachał do niej ręką.

- Widziałaś? Kiwnęła głową.

- Jim będzie dziś chyba spał w garażu - zawołał do niej. - Nie mogłem go wyciągnąć zza kółka. Czemu tak stoisz bez płaszcza? Jest mróz. Załóż coś, to pójdziemy oglądać wóz. Jim się nie uspokoi, póki nie pokaże ci każdej śrubki w tej piekielnej maszynie.

Nie dał jej czasu na odpowiedź, ale i tak by się nie odezwała. Zamarły w niej wszystkie motoryczne funkcje - zdolność mówienia, poruszania się, rozumienia... Pozwoliła się wciągnąć do kuchni. Martin, cały w uśmiechach, z zaczerwienioną od mrozu twarzą, gadał bez przerwy jak najęty. Andrea nic nie słyszała, a on nie zauważył, że zatrzymała się jak zegarek, który zapomniano nakręcić. Narzucił jej płaszczyk na ramiona i poprowadził do drzwi.

Jim ich nie widział. Z rękami kurczowo zaciśniętymi na kulach wpatrywał się w przylegającą do garażu szopę. Nagle ruszył szybko w tamtą stronę, starając się omijać zamrożone łaty lodu. Był już prawie przy wejściu, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem i ze środka wypadł jakiś człowiek...

Jak się później dowiedzieli, Gary Joe znowu planował włamanie. Ukryty w szopie, czekał, aż się ściemni, skracając sobie czas za pomocą butelczyny. Na widok samochodu, błyszczącego symbolu sukcesu i dostatku, który doprowadzał go do białej gorączki, przysunął się do drzwi. Pozostałby jednak w ukryciu, gdyby go Jim nie zobaczył.

Paraliż Andrei ustąpił w jednej chwili. Krzyknęła. Martin zszedł ze schodków, ale bez pośpiechu. Gary Joe był w takim stanie, że wystarczyłoby go trącić, a i bez tego sam by się rozłożył. Natknął się na dawnego rywala, choć zapewne nie zdawał sobie sprawy, kto stoi na jego drodze. Widział tylko przeszkodę w ucieczce i chciał ją usunąć.

Niezdarny, źle ukierunkowany cios nawet nie dotknął Jima. Chłopak cofnął się z pogardliwym uśmieszkiem, ale w tym momencie kula zahaczyła o zmarzniętą grudkę ziemi i wyslizgnęła mu się z ręki. Zatoczył się do tyłu i rąbnął głową i barkiem w ścianę garażu.

Odgłosu uderzenia prawie nie było słychać. Jim zeszywniał i oparł się całym ciałem na drugiej kuli. Nagle zmętniał mu wzrok. Próbował poruszać powiekami, chcąc coś dojrzeć, lecz wysiłek okazał się za duży. Nim upadł, zdołał wyszeptać trzy słowa:

- Nie... jego... wina...

Martin dopadł go pierwszy. Andrea rzuciła się na kolana i ścisnęła z całej siły rękę brata. Nieświadoma gwałtownych ruchów Martina, nie wiedziała nawet, ile czasu minęło, nim podniósł głowę. Łzy na jego twarzy mieszały się z marznącym deszczem, który właśnie zaczął padać.

- Wszystko na nic. To zator... rozległy wylew krwi do mózgu. Powinienem wcześniej wiedzieć, że nastąpi. Gdybym zwrócił uwagę na objawy, zamiast głupio bujać w obłokach... Andy, on był martwy, nim upadł. Nic nie poczuł.

Andrea zaciskała coraz mocniej palce na rękę Jima, ciężkiej i zimnej jak kamień.

- Jim nie umarł - rzekła z mocą. - To niemożliwe. Nie pozwolę mu umrzeć.

- Miał szybką i lekką śmierć, Andy. Nie cierpiał. Strząsnęła rękę Martina z ramienia. Każdą cząsteczkę woli koncentrowała na zamierającej, nieuchwytniej nitce życia. Kiedyś się jej udało. Uda się i teraz.

- Nie może tak leżeć na deszczu - przekonywał ją Martin.

Nie próbowała go powstrzymać, gdy unosił bezwładne ciało. Zacisnęła tylko jeszcze mocniej rękę. Martin skierował się na oślep do najbliższego pokoju, który okazał się akurat sypialnią Andrei. Złożył ciężar na łóżku, po czym opadł na kolana, dysząc ciężko z wysiłku, przepelniony bólem.

- Wezwij pogotowie - rzekła drewnianym głosem Andrea. - Lekarza...

- Za późno.

- Dzwon.

Martin podniósł się z trudem i wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Ta krótka wymiana słów rozluźniła wątplą nić łączącą ją z Jimem. Niestrudzona Andrea rzuciła się za nią całą siłą woli. Wracaj. Wracaj!!!

Nagle pokój wypełnił bezgłośny, rozpaczliwy łopot oszalałych skrzydeł. Andrea skryła twarz na łóżku, nie wypuszczając ani na moment ręki Jima.

- Pomóż mi.

Wymówiła te słowa - czy też je usłyszała? Nieważne. Pomoc nadeszła. Nawet przez zamknięte oczy wyczuwała obecność kojącego źródła ciepła i siły.

Podniosła głowę. W pokoju panował mrok, ale dostrzegła wyraźnie sylwetkę tak znajomą, jakby to była ona sama. Posepny wdowi welon, małe, szorstkie dłonie ściskające zawieszony u paska pęk kluczy... Łopot zdesperowanych skrzydeł oddalił się i ucichł.

To Mary - jej twarz, jej postać, nie żaden obraz ani utrwalone, bezosobowe wspomnienie z przeszłości. Ona sama. Mary która nie żyła, rozsypała się dawno w proch pod cmentarną płytą, a jednak stała tu, w pokoju. Zaciśnięte usta uśmiechały się przyjaźnie, porozumiewawczo. Wyciągnęła ręce...

W jednym oślepiającym błysku Andrei objawiła się prawda o Mary Fairfax. Wiedziała już, jakiego rodzaju więź wytworzyła się między nią a matką Alicji. Łączyła je nie siła, lecz przeciwnie, tchórzliwy egoizm. Siła potrafi się zdobyć na rezygnację i wyrzeczenie, słabość natomiast, powodowana nie tyle złośliwością, ile zaborczą miłością, dąży do ujarznienia wymykającej się na wolność istoty, do ustawiania na jej drodze przeszkód.

Nie przypominała sobie świadomego momentu decyzji. Nagle się okazało, że stoi z opuszczonymi rękami i próbuje oznajmić swoją rezygnację i żal zgasłemu kształtowi, który wyrwał się właśnie na wolność z klatki jej miłości.

Zniknęli wszyscy... jeśli rzeczywiście istnieli poza jej umysłem. Pokój był teraz zimny, mroczny i pusty. Andrea czuła się tak, jakby odzyskała przytomność po długiej chorobie, w której nawiedzały ją nie kończące się gorączkowe koszmary.

Powoli obróciła się w stronę łóżka.

Odszedł. Pierwszy raz rozumiała to słowo jako zwykłe stwierdzenie faktu, a nie eufemizm łagodzący prawdę. Kształt na łóżku był tak pozbawiony tożsamości jak fotografia czy posąg naturalnej wielkości. Jim odszedł. Nie ma go tu.

Zmierzch z wolna przechodził w ciemność. Po szybach spływały łzy deszczu, ale oczy Andrei pozostały suche. Nie czuła już nic. Ani

bólu, ani rezygnacji, ani nawet żalostnej pociechy ze swej ofiary. Ten ostatni obraz był jeszcze jednym złudzeniem. Cóż, lepsze to niż nic, choć doprawdy nie ma się już czego uchwycić...

Odgłos tłukącego o szyby deszczu stał się nie do wytrzymania. Podeszła do okna, by zasunąć zasłony...

Świat skąpany był w słonecznym blasku. Derenie wzdłuż drogi dojazdowej stały w pełnym rozkwicie, białe gwiazdki kwiatków tańczyły na wietrze. Drogą biegł Jim. Miał na sobie wytarte dzinsy i koszulkę z napisem: Gdzie, u diabła, leży Ladiesburg? Ziarenka żwiru odskakiwały od jego stóp, pęd powietrza zwiewał do tyłu włosy.

Czekała na niego na ławeczce obok bramy. Andrea zawsze wyobrażała ją sobie jako blondynkę, lecz włosy na małej, pochylonej główce lśniły czernią jak skrzydła jaskółki. Podniosła się na jego powitanie i wyciągnęła ręce, odchylając ze śmiechem głowę. Zanim wyszli przez bramę na drogę, Jim obejrzał się i podniósł rękę. Zniknęli.

Rozległo się delikatne pukanie. Andrea odwróciła się od okna. Znów miała przed oczami zimny, ciemny pokój. Na tle jasnego prostokąta drzwi odcinała się sylwetka Martina. Stał z opuszczonymi ramionami, niepewny, czy może wejść. Wyczuła, jak bardzo cierpi, i nie mogła pojąć, dlaczego. Bez chwili wahania rzuciła mu się na szyję. Wiedziała już, że potrafi zarówno dać, jak i przyjąć to, co ma się stać ich wspólnym losem.

On też kochał Jima. Kiedyś mu opowie... Zasłużył na to. Nieważne, czy jej uwierzy. Oczywiście, obraz, który widziała, nie był realny, ale nie był też złudzeniem. Stanowił symbol prawdy zbyt głębokiej, by mogły ją zrozumieć istoty obdarzone tylko pięcioma zmysłami o ograniczonym zasięgu. Co do tej ostatecznej prawdy Andrea nie miała cienia wątpliwości. Gdziekolwiek Jim był teraz - pobiegł, wolny, ku słońcu.

Barbara Michaels to pseudonim amerykańskiej pisarki Barbary G. Mertz, piszącej także jako Elizabeth Peters. Urodziła się w Canton, Illinois, 29 września 1927 roku. Ukończyła Oriental Institute, University of Chicago (w 1952 uzyskała stopień doktora filozofii). Wydała pod własnym nazwiskiem trzy cenione książki o tematyce archeologicznej: *Temples, Tombs, and Hieroglyphs: The Story of Egyptology* (1964), *Red Land, Black Land: The World of the Ancient Egyptians* (1966), *Two Thousand Years in Rome* (1968, z Richardem Mertz).

W literaturze pięknej debiutowała powieścią *The Master of Blacktower* (1966), zawierającą wiele cech należących do tradycji gotyckiej: bohaterka, nosząca rzadkie imię Damaris, podejmuje pracę jako sekretarka/bibliotekarka wysokiego, dżentelmena o twarzy poznaczonej bliznami i opiekuje się jego kaleką córką, stary służący śmieje się „jak goblin”, tajemnicza budowla związana z tajemniczą przeszłością właściciela zwie się Czarna Wieża, mroczną atmosferę potęguje nastrojowe wycie wichru, a całość wieńczy obowiązkowy happy end - tutaj: małżeństwo. Podobnie jest z następną, równie sformalizowaną powieścią *Sons of the Wolf* (1967). Ale już następną, *Ammie, Come Home* (1968), jest udanym połączeniem wątku romansowego, okultystycznego i zagadki kryminalnej. Sara, młoda studentka, mieszka w pięknym starym domostwie, którego właścicielką jest jej starsza kuzynka Ruth. Sarę nawiedza duch dziewczyny zamordowanej w XVIII wieku, a przyjaciel Ruth, profesor antropologii, okazuje się ekspertem od czarnej magii i seansów spirytystycznych.

Bohaterka Michaels często jest po przebytej ciężkiej chorobie, utracie bliskiej osoby lub przeżywa kryzys małżeński. Wątki romansowy i tajemniczy przeplatają się na tle starego domu zwykle odziedziczonego przez bohaterkę i zwykle nawiedzanego przez echa tragedii, jaka niegdyś miała w nim miejsce. Dominującym elementem organizującym akcję jest przeszłość, a akcja może rozgrywać się na wyspach Morza Egejskiego (*The Sea King's Daughter* 1975), we Włoszech Garibaldiego (*Wings of the Falcon* 1977) czy we współczesnym amerykańskim wielkim mieście: *Shattered Silk* (1986, bohaterka otwiera sklep z dawnymi ubiorami), *Into the Darkness* (1990, bohaterka dziedziczy sklep jubilerski). W powieści *Smoke and Mirrors* (1989) bohaterka uczestniczy w kampanii wyborczej

kongresmenki, a romans, humor i zagadka z przeszłości występują w odpowiednich proporcjach. Do najciekawszych i najslynniejszych dzieł Barbary Michaels należy Czarownica (1973); ucieczka Ellen March przed przeszłością i nieudanym małżeństwem zmienia się w koszmar na jawie, w którym główną rolę odgrywa mglista postać tajemniczej kobiety z białym widmowym kotem u boku - książka wkrótce ukaże się nakładem ALFY. Pod pseudonimem Barbara Michaels ukazało się łącznie 26 powieści.

Pod pseudonimem Elizabeth Peters ukazało się 25 powieści, głównie w trzech cyklach, o charakterze zagadek kryminalnych okraszonych humorem i egzotyką. Akcja cyklu, którego bohaterką jest Vicky Bliss (począwszy od Borrower of the Night 1973), obraca się wokół zaginionych lub skradzionych dzieł sztuki czy antyków, a przyjacielem Vicky jest fałszerz i złodziej działający w różnych krajach Europy. W powieści The Seventh Sinner (1972) pojawia się po raz pierwszy Jacqueline Kirby, wicedyrektorka biblioteki Coldwater College, kobieta - naukowiec mająca się za intelektualną snobkę. Cykl ma walory humorystycznej literatury kryminalnej o zacięciu pastiszowym w stosunku do popularnych odmian rozrywkowej prozy, np. erotycznej. Ale największy sukces wydawniczy przypadł w udziale cyklowi Amelii Peabody. W powieści Crocodile on the Sandbank (1975) licząca 32 lata niezamężna osobka podróżując po Egipcie, przeżywa liczne przygody i zaznajamia się z archeologią i z wysokim, ciemnowłosym, przystojnym i roztargnionym facetem, najżywszym przykładem tego typu zadumanych postaci literackich. Amelia opowiada o swoich przygodach z ogromną werwą i poczuciem humoru, a Elizabeth Peters przy okazji złośliwie parodiuje wiktoriańskie (akcja toczy się w tamtych czasach) powieści - melodramaty. W szóstej powieści cyklu, The Last Camel Died at Noon (1991) pojawia się element fantastyczny: potomkowie starożytnych Egipcjan zamieszkują odcięty od świata zakątek Afryki.

Ponad 50 powieści Barbary Mertz to znakomita mądra rozrywka, ciekawe fabuły, tło, postacie bohaterów zapewniają jej czołowe miejsce wśród pisarek literatury popularnej o charakterze przygodowo - kryminalno - romansowym, a częsta obecność wątków nadprzyrodzonych pogłębia psychologiczny rysunek postaci z tego świata.

Oprac. MSN

Andrea Torgesen, otrzymując w spadku stare, zrujnowane domostwo na obrzeżach małego, prowincjonalnego amerykańskiego miasteczka, nie mogła nawet przypuszczać, że znajduje się u progu wydarzeń, które diametralnie odmienią jej życie. Kiedy młodszy, ukochany brat dziewczyny w wyniku ciężkiego wypadku samochodowego staje się kaleką i tylko upór oraz zaborcza miłość siostry utrzymują go przy życiu, Andrea postanawia w odziedziczonej posiadłości urządzić zajazd. Następuje seria tajemniczych wydarzeń, które odsłaniają niezwykle dzieje dawnych mieszkańców domu. Lekko napisana, wzruszająca i zabarwiona humorem powieść łącząca dreszczyki emocji z subtelnie zarysowanym wątkiem romansowym.

ISBN 83 - 7001 - 848 - 3 Cena zł 95.000 -